

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/207 - 2/208 1965



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

NAGRODY "KULTURY" ZA ROK 1964 :

W. IWANIUK I M. KOŚCIAŁKOWSKI

Cz. MIŁOSZ :

WYPRAWA W "LA BELLE EPOQUE"

M. HŁASKO :

DRUGIE ZABICIE PSA

**G. de CERIZAY : TRZY ZAGADKI SPRAWY
WAŃKOWICZA**

SPIS RZECZY

Witold Gombrowicz:	<i>Dziennik transatlantycki</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Wyprawa w „La belle époque</i>	11
W.A. Zbyszewski:	<i>„Establishment” londyński</i>	29
Jack Jones:	<i>Nowa koncepcja ideologii pomarksis-</i> <i>towskiej (dok.)</i>	47



Marek Hłasko	<i>Drugie zabicie psa</i>	68
--------------	---------------------------------	----



Józef Łobodowski:	<i>Komentarz tłumacza</i>	156
Josif Brodskij:	<i>Wiersze</i>	158

KRAJ

Gaston de Cerizay:	<i>Trzy zagadki sprawy Wańkowicza</i> ..	161
--------------------	--	-----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Ideologia samobójstwa</i>	167
Borys Lewickij:	<i>„Chruszczowizm” bez Chruszczowa</i>	176
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	184
S.W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	192

SPRAWY I TROSKI

Witold Kuss, sen.:	<i>Polacy w Argentynie (II)</i>	197
--------------------	---------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Nagrody „Kultury” za rok 1964</i> ..	205
Marian Bohusz-Szyszko:	<i>Malarstwo Mariana Kościakowskiego</i>	205
Maria Czapska:	<i>Florian Czarnyszewicz</i>	210

Komunikaty:

—	1) <i>Nagrody Fundacji im. Kościel-</i> <i>skich</i>	214
	2) <i>Wieczór Marka Gordona w Chi-</i> <i>cago</i>	214
	3) <i>Nagrody Roy Publishers, Inc.</i> ..	214

KSIĄŻKI

Józef Wittlin:	<i>Dar intelektu</i>	216
Paweł Hostowiec:	<i>Antyczny szlak Wieniewskiego</i>	222
Florian Śmieja:	<i>Nowe przekłady z hiszpańskiego</i> ..	225
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	233



M. Borwicz, M. Erdman, M. Iwań-		
czak, T. Komarnicki, T. Ro-		
kicki:	<i>Listy do Redakcji</i>	234

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń - Luty - Janvier-Février 1965

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria) po raz ósmy	21,60 F
Danuta i Stanisław Mostwin, Baltimore, Md (USA) — zamiast życzeń świątecznych dla przyjaciół i znajomych	48,10 "
Bogusław Wądołkowski, Lyndhurst, N.J. (USA) po raz piąty ..	23,80 "
Ilse Maybach, Heilbronn, Neckar (Niemcy)	31,00 "
Bezimiennie (Kanada)	90,00 "
Józef Fryd, Rzym, po raz trzeci	244,00 "
Edward Baumiller, Leonard, Mich. (USA) po raz drugi	48,10 "
Bezimiennie, Rzym	29,00 "
W. Iwanowski, Milton, Mass (USA) po raz trzeci	26,10 "
M.W.K. (Australia) — po raz dziewiąty	28,50 "

DZIĘKUJEMY



*Bieżący zeszyt „Kultury” jest, jak zwykle, podwójny — sty-
czeń-luty 1965 — następny ukaże się 1 marca rb.*



*Przepraszamy subskrybentów Pamiętników Wincentego Wi-
tosa za niewielkie opóźnienie w wydaniu trzeciego i ostatniego
tomu. Jest ono spowodowane koniecznością sporządzenia Indek-
su nazwisk dla wszystkich trzech tomów, który zabrał nam o
wiele więcej czasu niż przypuszczaliśmy. Trzeci tom będzie go-
towy w końcu stycznia rb. i zaraz go roześlemy. (Redakcja)*

Dziennik transatlantycki

O zakład, że niniejsze wspomnienia berlińskie także dostaną się w łapy gazeciarzy; że polityka odtańczy wokół tego tekstu swój murzyński taniec; że ja, artysta, będę wydany felietoniście, ja, człowiek, stanę się pastwą redaktorów, porychadłem publicystów, żerem nacjonalizmów, kapitalizmów, komunizmów, diabli wiedzą czego, ofiarą ideologii będących raczej mitologią, i to mitologią zdziadziałą, zdziecinniałą, sklerotyczną, biurokratyczną i w sam raz do powietrza.



Triumf Güntera Grassa, jego ostatnia powieść dobiega dwustu tysięcy sprzedanych egzemplarzy. Humor Grassa: miano mu za złe, że na balach zjawiał się w stroju sportowym; wobec czego sprawił sobie smoking potwornie fioletowy i zadaje w nim szyku na śniadaniach i popołudniowych herbatkach. Inny rys humoru Grassa: filozofia niezbyt mu smakuje, o czym wiedząc skierowałem dyskusję z nim na tereny filozoficzne. Na to Grass, uprzejmie pochylony, subtelny, dyskretny: — Przepraszam pana, ale moja siostra, tu obecna, dostaje nerwowego kaszlu gdy się wymienia więcej niż sześciu filozofów na raz.

Z nimi trzema — Grass, Johnson, Weiss — widywałem się od czasu do czasu, ale te spotkania były unicestwiane bądź trudnościami natury lingwistycznej, bądź obecnością osób trzecich. Wiele razy mówiłem sobie, muszę się rozmówić z Weisse, muszę od niego się dowiedzieć, on mi powie... Co się tyczy Uwe Johnsona, to to była Północ. Nordyk tak północny, iż nie raz, nie dwa, postanawiałem, że trzeba by jednak koniecznie stoczyć z nim rozmowę bardziej... Nic z tego. Byliśmy hermetyczni, oni

dla mnie, ja dla nich, z góry wiadomo, nic, zupełnie nic, a najlepsze, co można zrobić, to żeby jeden drugiego zostawił w spokoju. Troszkę, jak konie pasące się na łące. Ale też jak istoty zaborcze, w stanie ekspansji, gotowe się pożreć przy pierwszej okazji. Kiedyś Uwe Johnson natknął się na mnie przypadkiem w restauracyjce naprzeciw Akademii der Künste. Podszedł i w zawstydzeniu północnym mruknął coś co, jak się domyśliłem, było komplementem dotyczącym świeżo wydanej po niemiecku „Pornografii”. Zawstydziłem się jego wstydem, coś wymamrotałem, i rozmowa zesłała na zwykłe między nami tematy, to jest fajki, guziki i klapy u marynarek.

Nowa filharmonia „cyrk Charouna”, jak ją nazywają tak-sówkarze, żółta na zewnątrz, wewnątrz będąca lekkim, eleganckim spływaniem płaszczyzn ze słuchaczami ku orkiestrze — ze wszystkich stron — tej architektury słucha się dobrze i dobrze się słucha w tej architekturze. Karajan zainaugurował ją (nie byle święto) odtworzeniem Dziewiątej. Orkiestra jest dumą Berlina, jest „świetna”. Zamieszczam „świetna” w cudzysłowie nie żebym wątpił, ale ponieważ tylko specjaliści mogą coś o tym powiedzieć; reszta, tysiące, musi uwierzyć na słowo. Słuszniejsza tedy byłaby formuła „słucha się tej orkiestry jako świetnej”. Ale sztuka jest luksusem, więc i język nasz, gdy o niej mowa, staje się luksusowy. Mówi się dumnie „nie mogę już słuchać Dziewiątej, znam to na pamięć”. Bogiem a prawdą, nawet Dziewiątą, nawet tu, w Berlinie, zna się na ogół na dziewięć procent, nie więcej.

„Znakomity” kwartet Vegha, tylekroć z płyt słyszany — teraz przede mną na estradzie. Zanurzony w ludziach po gramofonowym sam na sam, nie słucham, nie słyszę, podziwiam tylko wchodzenie i wychodzenie czterech wyfraczonych panów uskrzydłonych skrzypcami, a zwłaszcza aktorstwo samego Vegha, który swoją zaokrąglającą się figurę umie natchnąć przedziwnym znękaniami.

Szeryng w filharmonii, koncert skrzypcowy z orkiestrą, przykre, razi wątroś skrzypiec, widać nadludzkie wysiłki „mistrza” by wydobyć śpiewy, gniewy, szały z tych strun... ale ktoś, kto by „nie znał się na muzyce” powiedziałby, że ledwie słyszą... Cóż jednak znaczy „znać się na muzyce”? Znaczący: wychycać krytycznym uchem najsubtelniejsze niedociągnięcia w wykonaniu a zapominać dyskretnie o jaskrawych mankamentach, gdy one dotyczą — zaryzykujemy tę metaforę — samej szachownicy, na której się gra. Trudno i darmo: dźwięk skrzypiec *solo* jest za słaby w dużej sali, choćby z najlepszą akustyką. Jeśli nawet fortepian ledwie zipie w tych przestrzeniach, to

skrzypce stają się ciurkające, zupełnie jakby... hm... I z punktu widzenia estetyki mniej „wyrobionej”, czyli mniej profesjonalnej, byłoby może bardziej znośne, gdyby artysta po prostu się odlał, niż widzieć jak jemu, rozszalałemu na tych swoich skrzypcach, wszystkie natchnienia i cała potęga przemieniają się... hm... w ciurkanie. Cóż za kompromitacja ducha człowieka! Ale to, naturalnie, jest punkt widzenia zbyt naiwny i za mało „wyrobiony”.

Sypią się na mnie zaproszenia: wystawy, koncerty, opery, przedstawienia, zjazdy i odczyty... czy Berlin postanowił sobie być Paryżem? Ilość berlińczyków „znających się na sztuce” musi w tych warunkach wzrastać w tempie niemiejszym, niż ilość samochodów. Ale ja zachowałem moją zadawnioną niechęć do spektaklów, nie wierzę, by ogonki do kas sprzedających bilety, mogły doprowadzić kogokolwiek do sztuki, trzeba ją robić samemu, chcę ją widzieć nie na estradzie, ale w oczach, uśmiechu, na ustach i w mowie...

Ostrożnie... uwaga... znowu młody kościotrup... ten młody trup natręt! Cóż znaczą ich teatry obecne wobec *tamtego* teatru, oni to dali światu największą tragedię stulecia, przedstawienie najbardziej odkrywcze, wywracające do góry nogami wszystko co Europa mogła wiedzieć o sobie, wprowadzające Europejczyka w nowy wymiar — ale nie o blaskach tego piekła chcę mówić, a o młodym, pobliskim trupie, o młodotrupiej piękności. Opowiadał mi jeden student, że woli wydać kilka marek na omnibus, niż czekać na drodze by ktoś go wziął do samochodu, ponieważ z reguły starszy pan przy kierownicy zaczyna częstować swoimi wspomnieniami z wojny — a to jest nudne, to jest bardzo nudne! Dlaczego tak się denerwował ten student? Czy to nie była zazdrość, po prostu? Czy nie zazdrościł młodości *tamtej*, zbratanej ze śmiercią, przepięknie trupiej, poetycznie trupiej... on, stojący w ogonku do kas najprzeróżniejszych, sprzedających poezję i piękność, on, bierny widz recytowanych dramatów? Berlin jest sprawą polityczną. Berlin jest sprawą kulturalną, ekonomiczną, lub metafizyczną. Ale Berlin jest też sprawą ex-poezji, zatruwającej jak młody trup, drapieżnej jak trup młody. Nie zapominajmy, że piękność należy do ukrytych a potężnych motorów Historii. Weźmy pod uwagę, że nie tylko dziewczyna drży o swoją urodę, że to drżenie jest także właściwe chłopcom... więc ten student, stojący w ogonku do kasy ze swoim pugilaresem, samochodem i narzeczoną, ze swoim życiem z mieszczańską-żywnym, które tak mu się uspokoiło, zatruty jest jednak jadem *tamtej* młodej okropności-piękności; oto nostalgia, do której za nic się nie przyzna. Zau-

ważny jeszcze, że Niemiec, jako taki, zdaje się być istotą szczególnie podatną zarówno szpetocie, jak urodzie. Zamiłowanie do nauki i techniki nierzadko wtrąca go w zupełną niewrażliwość estetyczną, w pedanterię tłusto-białą, ociężałą, abstrakcyjną, w okularach, z piwem i z notesem — a znów, na odwrót, nieśmiertelny jego liryzm i romantyzm wydają go Muzom. Więc ten student w ogonku do kasy, gdzie się sprzedaje poezję już spreparowaną, w ramach racjonalnie funkcjonalnego podziału na produkcję i konsumpcję, doświadcza czasem głuchej i wściekłej obrzydliwości, zupełnie jakby kupował bilet do bordelu — a po tym, rozparty, zadowolony z komfortu sali, w miarę obrzydliwy, drży jednak wyczuwając możliwość ust swoich, zimnem, strachem, głodem wykrzywionych, pociąganiem może uwodzonych i — Narcyz — czuje na ustach swoich pocałunek tamtych ust swoich, żołnierskich.

Starsi ze wzrokiem zatopionym w *tamto...* jak wędkarze, by w ciemnej i przekłętej wodzie złowić odbicie tamtej swojej twarzy... groźnej... naiwnej... Młodszy drżą, niepokojeni podziemną bliskością rówieśnika... Któryż współczesny poeta niemiecki pokusił się o wyrażenie tej poezji? Nie znam takiego. I żaden z języków, którymi dziś mówi się w Berlinie, ani ten życiowo-praktyczny, ani polityczny, ani język teorii, wiary, moralności, nie są w stanie przekopać się do miejsca podziemnego, gdzie spoczywa grzech niewinny, uroda ohydna, życie uśmiercone, śmierć żyjąca. I żadna piękność na powierzchni, jeżdżąca samochodem, motocyklem, pływająca się w rzece, skacząca o tyczce, chodząca do kina, zającąca sandwicz, nie zdoła stąpić żąłdła tamtego uroku, który dzień w noc zamienia.

Koncerty i wystawy — teatry i kina — odczyty i recytacje... Owszem. Nowoczesne. Zracjonalizowane, zorganizowane, coraz bardziej „naukowe”. Owszem. Ale ty, poeto, jeśli chcesz dotrzeć do źródła, musiałbyś zstąpić w podziemia. Oczekiwałbym od ciebie czegoś w rodzaju boga o dwóch obliczach.



Opuściłem Berlin po roku, w maju 1964-go, wyrzuty z sił — ledwie wsiadł do samolotu. Choroba przyczaiła się we mnie już w pierwszych miesiącach pobytu, ale dopiero śniegi, deszcze, wiatry i chmury nieba północnego, nie oglądanego od ćwierć wieku, pobudziły ją i rozwinęły. Dwa miesiące w szpitalu. Kiepski był ze mnie gość.



W czasie choroby redagowałem, dla siebie jedynie, „Dziennik nawigacji” po morzu, które nazwałem „Bersee”. Tak... Berlin był morzem... a ja płynąłem i płynąłem po wodach rozfalowanych... rozświetlonych... czarnych...

◆

Byłem osłabiony w ciągu całej tej mojej podróży do Europy. Więc i ten „Dziennik Transatlantyczny” to tylko zetknięcie się mojego istnienia — nadwątlonego, słabowitego — z istnieniem Europy; i moja wątpliwość, moje zmęczenie, musiały zakazić... Och! Nadaremnie wzywałem młodości aby wydobyć się z mego istnienia, już nie dość istniejącego, z rzeczywistości nie dość rzeczywistej.

Nadpłynąłem po dwudziestu pięciu latach, przeżarty czasem i przestrzenią... Zabrakło siły żeby przemóc kamienną obcość Europy. Przez lata mego argentyńskiego wygnania wysilałem się, jak mogłem, by zachować wierność Europie, ukrytą dumą mojego pisania było to właśnie: wierność Europie. Sprawiedliwe więc, że w Paryżu, w Berlinie, poczuł się, jak u siebie w domu, ja, Europejczyk. Tylu przyjaciół. Czytelnicy. Takie karesy. Czułość. A jednak byłem za słaby fizycznie, choroba już mnie wysysała. I zanadto tkwiłem jednak w Argentynie. Więc gdy Argentyna za mną cofa się, rozplywa, wyraстая przede mną Europa jest jak piramida, jak Sfinks i obca planeta, jak fatamorgana, już nie moja, ja jej nie poznaję, nie odnajduję w czasie i przestrzeni.

I nie daje się osiąść mnie, osłabionemu.

Czułem się zgubiony, gdym wypływał z Buenos Aires.

Jestem zgubiony.

Wracać do Argentyny? Gdybym wrócił, wróciłbym już tylko do *przeszłości*.

◆

W ciągu całego mego przebywania w Europie, gdziekolwiek, w Clermont Ferrand, w Royaumont, w Paryżu, w Berlinie, ani nawet filiżaneczki kawy nie wypilem, która by była „prawdziwa”, „zwykła” — nie zaś wyłoniąca z otchłani i zawieszona w próżni nieskończonej.

◆

Przyznajcie, że w mojej polskiej duszy Berlin, ten powojenny, musiał wywołać burzę — mściwości, zgrozy, sympatii,

podziwu, potępienia, lęku, uznania, przyjaźni, wrogości — dla wszystkich tych uczuć i dla wielu innych znalazłoby się miejsce... Otóż nie.

Berlin stał się dla mnie zagadką urzeczywistniania... i unierzeczywistniania...

Jedno zapanowało nad wszystkim innym: tworzenie się, rozpadanie, paczenie, wyprostowywanie, ulatnianie, mieszanie, natężanie... rzeczywistości.

Zawędrowałem do Berlina jak do kresu pielgrzymki po Europie, jak do miejsca najbardziej rzeczywistego i najbardziej fantastycznego. Podróż była podwójna: raz na mapie, a drugi raz w sobie. Berlin stał się moją wewnętrzną przygodą... ale z tego zdałem sobie sprawę dopiero teraz, powolutku, w czasie pisania...



Odnosili się do mnie, jak powiedziałem, z wielką i staranną gościnnością, niemniej staranną przyjaźnią — ależ nie, bzdura, za grosz w tym polityki, natomiast sporo, przypuszczam, tego że jestem Polakiem. Jasne. Jako Polak ciążyłem im na sumieniu. Poczuli się do winy.

Na nic! Na nic! Nie bądźcie dziećmi, wasze uśmiechy i wszystkie wygody, jakie moglibyście mnie ofiarować, nie znieważą jednej minuty jednego jedyne go z polskich konań wielotysięcznych, a tak urozmaiconych, o tak rozpiętej skali udręczenia. Nie dam się uwieść! Nie przebaczę!

Nie przebaczyłem, ale zdarzyło mi się coś gorszego. Ja, Polak (gdyż to przeżyłem właśnie „jako Polak”) musiałem stać się Hitlerem.

Musiałem przyjąć na siebie wszystkie *tamte* zbrodnie, zupełnie jakbym sam je popełnił. Stałem się Hitlerem i musiałem przyjąć, że Hitler był obecny w każdym ginącym Polaku, że jest ciągle w każdym żyjącym Polaku.

Potępienie, wzgarda, to nie jest metoda, to nic nie jest... takie wieczne wymiotowanie zbrodni tylko ją utrwała... Trzeba ją połknąć. Trzeba ją zjeść. Zło można przezwyciężyć, ale tylko w sobie. Narody świata: czy wciąż wam się zdaje, że Hitler był austriackim Niemcem?



Widok z okien moich na piętnastym piętrze.

Z jednego olbrzymiego okna: naprzód oszronione drzewa i białe stawy rozległego, uśpionego parku, tuż za nim w odle-

głości kilometra Kurfürstendamm, Zoo, samo centrum Zachodniego Berlina o amerykańskim profilu, pulsujące, mrugające, oślepiające, jawią się i nikną neony, chmury samochodów gnąą alejami, horyzont zalega elektryczna łuna.

Z drugiego olbrzymiego okna: mrok i tajemnica, olbrzymie milczenie, za murem rozsiadł się Wschodni Berlin długimi ulicami o smutnych latarniach. Kominy, wieże, zacierające się we wczesnym mroku zimy, gdzieś tam coś się świeci, biorę lornetkę, dom chyba wielopiętrowy, może na wzgórzu...

Ta błyskotka, Berlin Zachodni, ostatnia kokieteria luksusowej Europy — dalej głusza, jakby już nie miasto, a obszar tylko, gigantyczny, aż po Chiny. Wpatruję się z natężeniem jak w samotność niemą pól zimowych, jakbym na wsi był... magia utaiła się w tej przestrzeni pierwotnej, o której wie się, że jest poddana Myśli uniwersalnej i organizującej, opanowana niepodzielnie przez Ideę.

Gdy Berlin Zachodni jest świetlistą ślepotą, porządkującym się na chybił trafił bezładem, po tamtej stronie, gdzie noc, przestrzeń, ziemia, zima, ciemność, rozsiadła się Idea, zacięta, milcząca. Surowa. To drażni. Dziwne, może bolesne, że Duch jest tam, nie tutaj... fascynuje jego sąsiedztwo... ale zdumiewa, przynębia, że on bardziej podobny do mgieł wstających, ciemności zapadających, chmur przepływających, pór roku następujących, niż do czegoś co by bardziej ludzkie było...

Ta pierwotność...

— Jak się patrzy z okna, wygląda ponuro. Ale, wie pan, we Wschodnim Berlinie ludzie są o wiele bardziej sympatyczni... Życzliwi, przyjacielscy... Bezinteresowni. Ani porównać z zachodnim berlińczykiem, zmaterializowanym...

— Acha, pan jest zwolennikiem tamtego systemu?

— Nie, przeciwnie. Ludzie są lepsi, bo w biedzie i przyduszeni... To zawsze tak. Im gorszy system tym człowiek lepszy...



Kończyć! Odrywam się od ciebie, wyspo! Lecę do Paryża.

Samolot wzbija się w przestwór. Europa otwiera się i rozpościera. Ja w samolocie. Zmierzch. Szybkość 800, wysokość 8000. Oto już Francja. Wtulony w fotel spadam spojrzeniem na sam dół. Roje domków. U kresu spojrzenia mojego, spadającego, tam, tam, domki i ogródki, szachownice, kominy, mosty, tamy, fabryki, trójkąty, linie, szosy, osiedla, budynki. Ja

na zawrotnej wysokości, lecący z hukiem niedosłyszalnym, rozgłośnym. Lecę. Ja, wariat. Lecę.

Lecę sam jeden. Wyrzucony poza orbitę. Wyodrębniony. A ze mną, przesywające niebo z szybkością 800, moje wszystko, mój bagaż, myśli, kombinacje, wspomnienia, Berlin, Argentyna, Polska, to, tamto, reminiscencje, kluczyk, ona powiedziała, ryby, trzeba by, po co, ulica Hoża, wszystko to leci ze mną na wysokości 8000, lecę, a wciąż kojarzę, pracuję, kombinuję, wysnuwam, zgubiony, zatracony w lesie. Ja i mój las. Ja i mój gąszcz, rój, mrowisko, rozpleniające się, przepełniające. Patrzę w dół. W dole rój, mrowisko, rozpleniające się, przepełniające. Nie widzę ich, ale wiem, że są. Sobowtór wielotyśieczny. Ja sam jeden przelatujący, a pode mną dziesiątki tysięcy, setki tysięcy moich podobizn, powtórzeń, moich „jak ja” rojących się, zadzierzgających, kombinujących mrowiem zwielokrotnionym wiem znam nie mogę nie wiem ja oni ja. Ja rozpetany zwielokrotnieniem. Wielomyśl. Wieloistnienie.

Paryż.

Zagęszczenie, spotęgowanie, wyolbrzymienie, ryk dziki zwielokrotnienia. Bestio! Lecę! Potworze! Lecę! Sobowtór Wielomilionowy rozwała się zapelniając i przepełniając, ja dolatujący do mego Wielopowikłania... Wycie i wrzask! Zaraz wysiądę. Wezmę taksówkę. Zobaczą jednego, dwóch, trzech... zobaczą tysiąc... i milion zobaczą ludzi.

Witold GOMBROWICZ

KWARTALNIK

DROGA

Wolna trybuna polskiej myśli demokratycznej

Ukazał się zeszyt 2, który zawiera m.in.

Ideologia i polityka — Reportaże z Jugosławii — Gospodarka a biurokracja — Nowe pokolenie w ZSRR — Glossy, komentarze, sprawozdania

Cena egzemplarza 3 F

Prenumerata roczna 10 F

Wyd. ŚWIATŁO, 5, rue d'Alsace, Paris 10^e,
konto poczt. PARIS C.C. 98 98 28

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH POLSKICH

Wyprawa w "La belle époque"

Jean-Paul Sartre jest sławny dlatego, że w cywilizacji, która obezwładnia człowieka, przedstawiając mu się jako nieprzejrzysta, swoim tylko prawom poddana, niewzruszona niby Natura, zajmował się kwestiami ludzkiej woli i decyzji. Kiedy piśmiennictwo wyraża stany psychiczne przechodnia, jego grymas i bierność, książki pisarza „zaangażowanego” wchodzą jak nóż w próchno. I jeżeli w każdej literaturze istnieje pewna powtarzalność układów, w zmieniających się warunkach i nie przy tym samym owych układów znaczeniu, wpływ Sartre’a można porównać z wpływem Voltaire’a. Ponieważ komentował wszystko co się działo, jak jego poprzednik, stale był w centrum sporów. Zarazem jego dzieło przychodzi w chwili, kiedy rozpada się zgrabny podział na rodzaje literackie i on sam niemało przyczynia się do przewrotu. Filozof? Publicysta? Powieściopisarz? Dramaturg? nie mieści się w żadnej szufladce. Jego filozofia jest literacka, jego literatura, filozoficzna. Być może niektóre odziedziczone gatunki, których używa jako instrumentu dla przekazania swoich idei, niezbyt się już do tego nadają — powieść byłaby więc dla niego mniej więcej odpowiednikiem klasycznego francuskiego wiersza służącego do rozmaitych potrzeb w osiemnastym wieku.

Nie-Francuz pisząc o nim nie może ukrywać swoich złożonych reakcji, na wpół zawiści, na wpół nieufności. Zawiść, bo ten żywioł myślo-języka, wchłaniający każde zjawisko, nadający mu intelektualną formę, jest dla niewłączonych we francuskie misterium całkowicie poza zasięgiem możliwości (furia Heideggera: że Sartre go okradł). Nieufność, jak chłop, który z rozdziawioną gębą przysłuchuje się wywodom prawnika. Ki lichy? Żeby z ust człowieka wydobywały się takie potoki

zręcznie ułożonych zdań, trudne to do wiary. Ale białe rączki prawnika i ta miódopłynność jakoś ostrzegają: no, niby tak, choć właściwie wcale nie tak. Gdyż mowa, ciągła, frenetyczna, bez miejsca dla ciszy, wygląda na próbę zagadania różnych stref cienia niszczących sylogizmy i niemożliwych do dotknięcia słowami.

Ciekawe, że Sartre, tak wybitny jako postać, jako całość swoich zasług, zyskał rozgłos utworami, których wartość jest wątpliwa. Literatura nie musi „odtworzać” rzeczywistości (nie wiadomo nawet co taka czynność znaczy) ale nie powinna też zamącać proporcji istniejących poza naszym wyobrażeniem. Te proporcje mogą być oddane rozmaitymi środkami, źle jest jednak, jeżeli słonie zaznaczają swoją obecność znakami odpowiednimi dla zajęcy, i odwrotnie. Czytając Sartre’a ma się nieraz uczucie, że ufa on w zupełności swojemu umysłowi, który z siebie samego wyprowadza ludzi i ich stosunki, jako składniki swoich operacji, obywając się bez innych sprawdzianów. Jest w nim coś z Bouvarda i Pécuchet, którzy utożsamili świat z tomami encyklopedii. Może niesłusznie byłoby go oskarżać o niedowład zmysłu rzeczywistości, bo ten jest u niego wyostrowany, ale wyostrowany tylko w bardzo wąskim zakresie, więc raczej chodzi o szczupłość doświadczeń, jego zdaniem wystarczających. Posłużmy się tutaj przykładem jego ostatniej, jak dotychczas, sztuki „Les Séquestrés d’Altona”. Sztuka ta, o winie niemieckiej, ma podtekst zwrócony przeciwko milczącemu przyzwoleniu większości Francuzów na tortury stosowane w Algierii. Otóż jeżeli publicystyczny podtekst zasługuje na szacunek, temat niemiecki musi budzić protest. Niby równanie jest poprawne: przez obojętność brnie się od rzemyczka do koziczka pograżając się w faszyzm. Ale właśnie specyfika miejsca, czasu, okoliczności, psująca ład wszelkich *idées générales* unieważnia Niemców Sartre’a. Nie zaczernia się lekkomyślnie papieru na temat o którym ma się słabe pojęcie, zmieniając niemieckiego oficera w gadatliwego francuskiego licealistę, rozbętlując problem w psychologicznych zawiłościach, newrozie, incescie i produkując w istocie secesyjny dramat. Gdyby Sartre zastanawiał się dostatecznie nad doskonałą normalnością zbrodni i gdyby przeczytał to o niej świadectwo jakie przetrwa w literaturze światowej — opowiadania Tadeusza Borowskiego, uznałby może, że dekadencja, nie waham się użyć tego słowa, wyobrażenia w niektórych wypadkach nie przystoi. Sztuka była grana w mnóstwie teatrów w Niemczech i pewien zachodnio-niemiecki literat w rozmowie ze mną uznał ją za wysoce szkodliwą: jego zdaniem młodzież, tłumnie na nią chodząca, otrzymywała w niej to czego

Niemcy szczególnie powinni się wystrzegać — windowanie faktów przeraźliwych w swojej prostocie w „wyższy wymiar”, przez co wina hitleryzmu rozpływa się w winie „ogólnoludzkiej”. Przykład ten zresztą ilustruje stałą wewnętrzną sprzeczność Sartre’a jako pisarza. „Rozum dialektyczny” nie zna krajów, kontynentów, narzeczy, zna tylko stadia rozwoju i obejmuje kulę ziemską jednym rzutem. Stąd myśliciel ze swojego paryskiego bocianego gniazda czuwa nad całą ludzkością wypowiadając sądy ważne wszędzie, niby filozof Oświecenia. Niestety zmagające się ze sobą Ogólność i Szczegółność mają tę wspólną cechę, że lubią płać sobie nawzajem figle, bardzo, zaiste, dialektyczne. Toteż Sartre, zawsze chętny do dyskusowania o regionach których nie zna, narażał się nieraz na to, że Szczegółność pokazywała mu język.

Jeżeli jednak cegiełki z których budował swój gmach niekoniecznie były pierwszej jakości, kładł je zawsze kiedy było potrzeba. Wiedział, że aby trzymać publiczność w szachu należy ją zadziwiać i szokować. Nie obraziłby się zapewne słysząc, że przypisuje mu się spryt i znajomość rynku: bo te zalety nie równają się u niego adaptacji do zamrożonych i, żeby tak rzec, krowich, gustów. Ponieważ zamieszkał w nim dialektyczny Rozum, posiada zdolność tropienia przesunięć zbiorowej uwagi, zmian rytmu składających się na ruch i postęp. Chce więc utrafić każdym swoim utworem w punkt węzłowy, wcześniej dostrzeżony przez niego niż przez innych. Jest to wyczucie aktualności — ale w sensie głębszym niż mają to dziennikarze. Za każdym razem, kiedy jego prestiż się obniżał, kiedy już zaczynało o nim zapominać, wystrzelał jakąś nowalią i znów dokoła niego w prasie wrzało.

Tak też i ostatnio, kiedy wydał „Les Mots”^{*)}). Jest to książka dość zdumiewająca. Nie często się zdarza, żeby pisarz odsłaniał karty którymi grał, pokazując, że były to karty znaczne. Co prawda pastwienie się nad sobą należy już do rynsztunku współczesnej literatury. Zwykle jednak autorzy starają się oszczędzać swoją częśćkę lepszą, swój „geniusz”, i jest on przez nich tym bardziej podziwiany im brzydziej przedstawiają się różne przypadki ich życia. Sartre przeciwnie, zwraca swój sarkazm przeciwko sobie jako pisarzowi, a pośrednio, obierając siebie za świnkę doświadczalną, przeciwko literaturze. O, niewinne to z pozoru dziełko — dwieście stron wspomnień z dzieciństwa, rodzaj pisarstwa sielski i anielski. Dopiero stop-

^{*)} Jean-Paul Sartre: *Les Mots*. Paris, Gallimard, 1964.

niowo, w miarę jak czytelnik zaczyna doceniać wagę małego zdanka tu, epitetu tam, odkrywa podstęp.

Mały Jean-Paul jest jedynym dzieckiem w domu swoich dziadków, Schweitzerów (jest krewnym Schweitzera z Afryki) gdzie mieszka z matką, owdowiałą tak wcześnie, że sama jest niemal dzieckiem. Dziadek Karl Schweitzer, uchodźca z Alzacji, którą Francja straciła na rzecz Niemiec po Sedanie, prowadzi szkołę języka francuskiego dla cudzoziemców, głównie zresztą tych zza Renu. Miejsce akcji: Paryż „pięknej epoki”, w latach poprzedzających wybuch I wojny światowej. Jakkolwiek Sartre dba o dystans do tego stopnia, że zimna ironia z jaką mówi o swojej burżuazyjnej rodzinie jest niemal nieprzyjemna, nie zauważa, jak myślę, wcale pewnej ironii sytuacyjnej, zastanawiającej nie-francuskich czytelników. Wychowywać się nad Sekwaną, chodzić na spacer do Ogrodu Luksemburskiego, grać w piłkę na placu Panteonu — i następnie wszystkie swoje życiowe sprawy, studia, przyjaźnie, literacką karierę rozgrywać na tych samych kilku ulicach, które są, niezmienione — to wydaje mu się najzupełniej naturalne, choć *osiadłość* jest rzadka w dwudziestym wieku i jeżeli paryżanie do dziś zdają się nie rozumieć jak można być Persem, wielu Persów tego świata przestaje już rozumieć jak można być paryżaninem.

„Poulou” jest chłopcem grzecznym, spokojnym, kochającym cnotę i siebie jako wzór cnoty, zadowolonym w roli, jaką wyznaczyle mu dorośli tj. zawsze urzęda się tak, aby być przedmiotem podziwu i uwielbienia. Zanim nie pójdzie do liceum nie zna towarzystwa innych dzieci, wcześniej za to znajduje towarzystwo książek. I wcześniej zaczyna zapełniać zeszyty powieściami, które plagiuje ze swojej lektury. Pomiędzy ósmym i dziesiątym rokiem życia wpada na pomysł, który przed nim był już własnością wielu dostojnych i cenionych osobistości. Oto czuje niejasno, że jego istnieniu brak jest uzasadniającej racji i że on sam musi swoje istnienie uzasadnić: będzie pisarzem i zostawi dzieło zdolne trwać zamiast niego. Mały potwór tak wynajduje cudowny eliksir przeciwko śmierci. Strach śmierci odciągał będzie mu obcy, bo nic nie może stać się człowiekowi, który został powołany, zanim nie wypełni tego po co posłano go na ziemię. Interpretacja Sartre’a: Poulou przyjął skalę wartości swego otoczenia, rodziny chrześcijańskiej, protestancko-katolickiej, ale religijnej już tylko w swoim stosunku do kultury. Ten nadir sław pisarskich, grobowców w Panteonie, nagród szkolnych w złożonych okładkach, był niebem, a zbawienie równało się pobyutowi na półkach Bibliothèque Nationale.

„Dawne wypowiedzi Karla, zebrane, złożyły się w mojej głowie na prze-

mowę. Świat jest w mocy zła; jedyne co zbawia: umrzeć dla siebie, dla Ziemi, kontemplować w tym rozbiciu niemożliwe Idee. Ponieważ nie można było tego osiągnąć bez trudnej i niebezpiecznej zaprawy, powierzono zadanie ciału specjalistów. Klerkowie brali ludzkość w opiekę i zbawiali ją odwracając zasługi: dzikie bestie doczesności, wielkie i małe, mogły mordować się dowoli albo wieść w ośpieniu egzystencję bez prawdy ponieważ pisarze i artyści medytowali zamiast nich o Pięknie i o Dobrze”.

„Brudne głupstwa: połykałem je nie bardzo je rozumiejąc, wierzyłem w nie jeszcze mając dwadzieścia lat. Z ich powodu długo uważałem dzieło sztuki za metafizyczny ewenement, którego narodziny interesują wszechświat”.

Tak to „Poulou” został zarażony „abstrakcyjną nienawiścią do człowieka”, właściwą Flaubertowi, braciom Goncourt, Tefilowi Gautier.

„Pisze się dla swoich sąsiadów albo dla Boga. Postanowiłem pisać dla Boga, aby zbawić swoich sąsiadów. Chciałem mieć zobowiązanych a nie czytelników. Pogarda przeżerała moją wspaniałomyślność”.

Sartre jako dziecko nie bardzo wierzył w Boga i prędko przestał wierzyć do reszty, ale wierzył w Ducha Świętego, który obrał go za narzędzie. Cała metafizyczna koncepcja dzieła literatury albo sztuki jest według Sartre’a niczym innym jak osadem pozostawionym przez cofające się chrześcijaństwo. Pełny ateizm, dla Sartre’a zasadniczy, jest niemożliwy zanim się jej nie przezwycięży, ale borykał się z nią przez całą młodość i znaczną część dojrzałego wieku, aż wreszcie wyzwolił się dochodząc do wniosku, że pisze się nie po to żeby odkupiać ludzkość, ale wyłącznie po to, żeby ludzie nas czytali, co implikuje literaturę jako akcję.

„Les Mots” należy do utworów mających już pewną tradycję, choć nie tylko francuską i wątpliwe czy autor jest tej drugiej świadomy. Skaza idealistycznej abstrakcji, pochodząca z zakochania w sobie i tłumaczona wpływem środowiska tj. trybem życia klas pasożytniczych, inteligencji, burżuazji, jest analizowana w „Życiu Klima Samgina” Maksyma Gorkiego. Poprzednikami Sartre’a są też tutaj polscy prozaicy z okresu tzw. „porachunków inteligenckich” 1945-1949: Paweł Hertz, Stanisław Dygat, Kazimierz Brandys. W ogóle Sartre w niejednym przypomina swoich wschodnio-europejskich kolegów, nieraz nawet tych z ubiegłego wieku. Potępienie sztucznych rajów literatury w imię czynu zmieniającego los ludzi nie wszędzie jest czymś nowym.

Wolno zapytać, czy przemądrzałe dziecko w „Les Mots” nie jest tworem nadmiernej konceptualizacji rzutowanej wstecz. Zakładając, że Sartre poprawnie odtwarza „egzystencjalną sytu-

ację” Pawełka, każdy z nas wie jednak, że dzieciństwo, z jego kalejdoskopową zmiennością wrażeń i marzeń, z roślinnym jakby rośnięciem wśród sprzeczności, może pomieścić w sobie wszystko co się chce, bo nie jest dla nas już dostępne, przebywa w mroku. To samo dziecko może być przedstawione jako istota urocza albo obrzydła — Sartre woli to drugie, zgodnie ze swoją filozofią ucieczki człowieka od siebie już spełnionego do siebie, jeszcze mogącego się spełnić. Ale nie bierzmy w obronę Pawełka przed jego potomnym, noszącym to samo imię i nazwisko. Problem poruszony przez Sartre’a jest kapitalny. Jest to problem zaufania do naszego „wewnętrznego głosu”, do naszej „potrzeby serca”. Hipokryta Pawełek ukazuje się nam jako nieświadomy spadkobierca całej linii wielkich figur próbujących wymykać się racjonalizmowi: Pascala czy późniejszych patronów „łóż mistycznych” jak Claude de Saint-Martin, nieprzyjaznych Encyklopedystom. Z postępującą dechrystianizacją uzasadnić własne, poszczególne, przypadkowe istnienie, przychodziło jednostce coraz trudniej, bo skoro jej przygody nie odbywały się w obliczu Boga, gwarantującego ich sens, poczucie tożsamości (nierozłączne z poczuciem, że jestem po coś, w jakimś celu, na ziemi) upadało. Żeby je ratować, wynaleziono rację sztuki jako „ewenementu który interesuje wszechświat”. Diagnoza Sartre’a jest tu najzupełniej poprawna: rola sztuki jako namiastki religii stale rośnie w ciągu dziewiętnastego wieku, kulminując w teoriach specyficznego kapłaństwa przed I wojną światową, nie zarzuconych zresztą i dzisiaj, mimo zmiany nomenklatury. Pawełek, przyzwyczajony do hołdów składanych mu przez rodzinę jako cudownemu dziecku, chce stan błogości przedłużyć na całe swoje życie i bierze swoje przywiązanie do własnej osoby za wyrok z góry, za znak wyznaczonej mu misji. W ten sposób Sartre ubija dwie sroki jednym strzałem. Atakuje wroga, rozprawa z którym jest samym rdzeniem jego twórczości, tj. religię. Atakuje swoich współczesnych wstydliwie krzątających się dokoła własnego zbawienia, do którego dążą poprzez akt artystyczny pośredniczący pomiędzy ludzkością i sferą Idei czy bliżej nienazwanym metafizycznym łaodem.

Z hipokryzji Pawełka wynikałoby, że wiara religijna, potrzeba serca, jest nie więcej niż nieautentycznością, manewrem naszego *ego*, które próbuje siebie ratować ustalając związek z rzekomą wyższą potęgą. Święci i mistycy klęczeli nie przed Bogiem ale przed sobą. Tego podstawowego argumentu przeciwko religii, podstawowego, bo z góry uniemożliwia odwołanie się do wewnętrznych doświadczeń, nikt rozsądny nie będzie lekceważył. Niestety trudno oprzeć się podejrzeniu, że Sartre, pra-

gnąc autentyczności i czyszcząc wnętrze człowieka żeby błyszczało jak wypucowana miedź, ma nadzieję całkiem oswobodzić się od diabelskich pokus czyli od *moi haïssable*. Co jest być może optymizmem nieco zbyt daleko posuniętym. Pascalowska potrzeba serca nie jest pewną przewodniczką ale nienawiść do niej dostarcza wskazówek jeszcze mniej pewnych, jak to nie trudno wykazać na przykładzie pułapek, w które Sartre zwałbiał samego siebie. Powiada on, że w wieku dojrzałym, pożegnawszy się z urojeniami swego dzieciństwa i młodości, nauczył się „myśleć systematycznie przeciwko sobie, mierząc oczywistość jakiejś idei stopniem nieprzyjemności jaką mi sprawiała”. Rewelacyjne to wyznanie jest, jak często u Sartre’a, zwykłym non-sensem jeżeli przyjmiemy je dosłownie. Ma ono zapewne znaczyć, że świadomość klasowa burżuazji może prowadzić tylko do błędów i że ktoś naznaczony piętnem pochodzenia powinien badać czy jego sprzeciw wobec pewnych idei, np. idei rewolucyjnego terroru, nie pochodzi z odruchów zdeterminowanych przez jego klasową przynależność. Jednakże przykrość jaką *mnie* sprawia jakaś idea nie przesądza nic a nic o jej prawdziwości albo błędności. Ponieważ fanatyzm albo sadyzm jakiegos przywódcy godzi w moją zdolność poprawnego myślenia albo w mój zmysł moralny, nie wynika stąd jeszcze wcale, że słuszność jest po stronie przywódcy, nawet gdyby był on, jak Napoleon dla Hegla, samym rozumem Historii siedzącym na koniu. Wstręt do siebie, wstyd, że się urodziło w niewłaściwym środowisku, chęć publicznego pokajania się, są to obsesje i żeglujemy tu na pełnych wodach irracjonalizmu.

Że można całe życie uciekać w przód, zostawiając za sobą swoje dawne wcielenia niby zwłoki, jest wieścią pocieszającą ale, pomijając jej użyteczność dla higieny moralnej, mało sprawdzoną. W losie każdego człowieka trwa pewne continuum, błędy i cnoty powtarzają się w ciągle nowych warunkach i nowych postaciach. Co zresztą z goryczą przyznaje sam autor: „...ten stary rozpadający się budynek, moje oszukaństwo, jest także moim charakterem: można wyzbyć się newrozy, nie można wyleczyć się z samego siebie”. Jeżeli wziąć go za słowo, to koło się zamyka. Najpierw jest się „Poulou”, nosi się krótkie majtki, potem się dorasta, coraz więcej tytułów na liście napisanych książek, ale pozostaje się pieszczonym i szczęśliwym jedynakiem, księciem wśród poddanych-dorosłych i nasza zręczność w utrzymywaniu władzy posługuje się mnóstwem przemysłnych masek. Pawełek nie był zarozumiały. W swoje powołanie uwierzył dlatego, że nie przypisywał sobie talentu, tzn. poddawał się tajemniczej sile, która nim pokieruje. Podobnie, skłonni jeste-

my przypuścić, dorosły Sartre, skromny ale zawsze szukający siły poza nim, zdolnej na niego spłynąć i jego osobę wywyższyć. Kto wie czy Duch Święty jego dzieciństwa nie wystąpił później jako Rozum Dialektyczny. Wybrany i mianowany przez niego papieżem paryskiej elity, Sartre rozdzielał kategoryczne wyroki nie dlatego, że ufał sobie — to sprzeciwiałoby się jego skromności. Ufał sobie tylko jako pomazańcowi. Ale pomazaniec nie może zawieść tych co śledzą każde poruszenie jego ust i tak wkradała się pewna uległość wobec zmian mody czyli wobec konformizmu nie-konformistów. Jego przyjaciel a później przeciwnik, Albert Camus, nigdy o swój urząd tak się troszczył i wypowiadał sądy niepopularne, za które płacił drogo. Nie całkiem mylilibyśmy się chyba cofając się w czasie i tłumacząc konflikt pomiędzy tymi dwoma pisarzami ich bardzo różnym dzieciństwem. Kiedy, jak Camus, ma się za matkę Hiszpankę-analfaberkę, która utrzymuje rodzinę praniem i posługami u bogatych kolonów Algieru, nie dostaje się wcześniej tronowego fotelika i podwładnych.

Co się rzekło nie jest zarzutem pod adresem Sartre'a, bo nasze „ja” zawsze ma swoje sposoby. Jest natomiast zarzutem wymierzonym w jego demaskatorską działalność, wierną naczelnej maksymie wszystkich demaskatorów od lat dwustu: „nie więcej niż”. Niewiele wynika zwykle z tezy, że posłuszeństwo wobec różnych wewnętrznych głosów nakazujących malować obrazy, budować klasztory, pisać apologetyczne dzieła było „nie więcej niż” psychozą, histerią, chytrym odwetem „ego”. Skoro przyjmiemy, że geneza nie przesądza o wyniku, że całkowicie czyste sumienie jest chimerą, zdolni będziemy przejść obok tej tezy obojętnie. Walcząc z diabłami należy baczyć żeby inne nie siedziały nam na karku. Gdyż jeżeli Pawełek był nie więcej niż zbyt wychuchanym jedynakiem, nieodrodną latoroślą zabawnego mieszczaństwa III Republiki i przez to hipokrytą, nie możemy przewyciężyć pokusy dopatrywania się w krytyce jakiej podaje go Sartre jeszcze jednej operacji przebiegłego egotysty.

„Les Mots” jako traktat o literaturze jest z pewnością utworem kluczowym dla twórczości Sartre'a, choć może zbyt lokalnym. Literatura wydzwignięta w sferę Piękna i Dobra, ponad mordującymi się wzajemnie „bestiami doczesności” spełniała w różnych okresach różne funkcje i jej miejsce w dziejach III Republiki nie może być powszechnym miernikiem. Zwalczając tę koncepcję literatury, Bieliński, Czernyszewski, Dobroliubow mieli niezgorsze argumenty, zapewne lepsze niż Sartre, gdyby jednak Dostojewski dostosował się do ich wskazań, ludzkość nie miałaby „Winy i kary” ani „Braci Karamazow”. Biorąc inny

nurt, „kapłaństwa sztuki”, łatwo byłoby wykazać na przykładzie choćby Rilkego, że ci ludzie ubóstwiają słowo, skoro niczego już nie mogli ubóstwić, zostali zapędzeni na wyżyny gdzie powietrze jest rozrzedzone i oddychać trudno, właśnie przez takich pisarzy jak Sartre, skoro ci rozciągali swoją kontrolę na coraz więcej urodzajnych dla literatury i sztuki gruntów. Proces został doskonale opisany przez Stanisława Brzozowskiego w jego „Głosach wśród nocy, studiach nad przesileniem romantycznym kultury europejskiej” i niedawno przez Ericha Hellera w jego książce o literaturze niemieckiej od Goethego do Kafki i Karla Kraussa, „The disinherited mind”, przy czym Heller niemal dosłownie powtarza wywody Brzozowskiego, choć go nigdy nie czytał. Nie znaczy to wcale, że „Les Mots” są pozbawione aktualności. „Romantyczne przesilenie kultury europejskiej” nie może być rozpatrywane w czasie dokonanym; dualizm („odkupienia” i „działania”) nadal nas osacza. Toteż dla niejednego z nas lektura Sartre’a przypomina chwile spędzone na fotelu dentystycznym. Pawełek, choćby nasze dzieciństwo nie upłynęło wśród amatorów literatury dopatrujących się w nas wyjątkowych uzdolnień, nie jest postacią całkiem nam obcą. Poza tym wszelkie poczucie własnej niemocy sprzyja odradzaniu się koncepcji artysty i pisarza jako anioła zesłanego po to żeby po prostu był. A niemocy i paraliżu jest w obecnym momencie dużo.

Ponieważ często wspomina się o wtórnym charakterze literatur słowiańskich, warto przypomnieć, że wkładem Sartre’a są przede wszystkim elokwencja i przenikliwość psychologiczna zastosowane do zjadliwej introspekcji, natomiast większość jego podstawowych założeń pochodzi od niemieckich filozofów — Hegla, Marksa czy też od innej ich linii, egzystencjalnej. Czyli niejako odwet za długie obywanie się Francji bez nich.



Już po napisaniu tych słów przyszła wiadomość o nagrodzie Nobla dla Sartre’a i o jego odmowie. Niezależnie od powodów, jakie sam przytoczył, zapewne nagrody nie mógł przyjąć, przede wszystkim dlatego, że dostał ją przed nim Albert Camus. Przyznajmy, że doza humoru w tym wyróżnieniu jest nieco za duża. Kiedy naszą ambicją jest być zawsze i wszędzie non-konformistą, kiedy wojujemy przeciwko alienacji uosobionej przez kapitalizm, religię i moralność, instytucja z założeń humanitarna czyli zmierzająca do poprawy a nie do obalenia ustroju na tzw. Zachodzie nie powinna nas wieńczyć bo to nas policzkuje: gdyż dowodzi to, że nie ma takiego znęcania się nad

ustalonym łaodem, które by nie zostało przez ład wchłonięte i że bluźniercy, jeżeli tylko jest sławny, zawsze wreszcie będzie posyłany pod stopy czerwony chodnik. Albert Camus, ten punkt obolałości Sartre'a, otrzymał nagrodę Nobla w chwili, kiedy paryskie środowisko, przede wszystkim wskutek kampanii Sartre'a i Jeanson'a w „Les Temps Modernes”, uważało go za zdrajcę: Camus opowiedział się za „czystym pisarstwem” moralisty oświadczając, że nie wie jakie stanowisko wobec konkretnych „bestii doczesności” jest słuszne. Sartre mu wtedy doradzał żeby zamieszkał na wyspach Galapagos. Czyż zostać laureatem Nobla po Camusie nie równałoby się przekreśleniu tamtego sporu? Ale była w nagrodzie i rzecz gorsza. Oto, ni mniej ni więcej, oznaczała ona pełną rehabilitację Pawełka, ośmioletniego spryciarza, który widział w snach swoje nazwisko na tomach ustawionych w Bibliothèque Nationale i co sobie zaplanował, osiągnął. I jego literackość i jego późniejsze bunty przeciwko literaturze w imię zaangażowania ukazywały się jako seria posunięć służących w istocie jednemu celowi. A przykro jest kiedy z bojowań o zmienione oblicze ziemi zostają tylko książki na nagrody dla licealistów i kiedy wieńczy nas jury w znacznym stopniu za utwór wyszydający samą zasadę jego działania. Zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów, byle zagrozić drogę widmom i jeszcze przez chwilę nie zmieniać się w posąg, nie wydaje się wtedy zbyt wygórowaną ceną.



Przenieśmy się w całkiem inne okolice, do Moskwy na przełomie stuleci. Przy Kriwonikolskim Zaułku mieszkał w swoim pięknie urządzonej domu-pałacu sławny naówczas adwokat, jeden z najznakomitszych mówców w Rosji. W jego salonie, którego ściany zdobiły obrazy znanych współczesnych malarzy, odbywały się nieraz zebrania kulturalnej i politycznej elity, gdyż człowiek ten zajmował się nie tylko prawem, był znany także jako liberalny polityk, działacz stronnictwa Konstytucyjnych Demokratów. Wysoką swoją pozycję zawdzięczał wyłącznie pracowitości, uporowi i potężnemu zdrowiu. Gdyż Aleksander Lednicki pochodził ze starej wprawdzie, ale całkiem zubożałej polskiej szlacheckiej rodziny. Zapewne dlatego też korzystał ze swoich ogromnych zarobków w sposób przepisany przez tradycję nakazującą swój ród podźwignąć: kupował majątki ziemskie, łożył na nowe w nich budynki i dobrą organizację gospodarki.

Równoczesne czytanie „Pamiętników”*) jego syna, Wacława

*) Wacław Lednicki. *Pamiętniki*. Tom I. Londyn, B. Świdorski, 1963.

wa Lednickiego, i wspomnień Sartre’a bardzo jest praktyczne. Ów dom, gdzie dziadek Karl Schweitzer, istota wyższa, gdyż napisał podręcznik do nauki języka francuskiego dla cudzoziemców, tyranizował kobiety, a rzadcy goście, Madame Durand czy Dupont, robiły na drutach, nieco nas zacieśnia i dławi, za dużo pyłu zebrało się na półkach zapelnionych wydaniem francuskich klasyków, więc przyjemnie jest wydostać się na szersze obszary. Zarazem można mierzyć kontrast pomiędzy ciągle terażniejszym czasem klas i grup nadal prosperujących w najlepsze i tą niebieską mgielką jaka okrywa sprawy i obyczaje na zawsze minione.

Pamiętnikarstwo jest w swojej technice pokrewne „klasycznej” powieści przez sztukę narracji. Łapczywość dzisiejszych czytelników na pamiętniki musi mieć jakiś związek z coraz skromniejszą dozą satysfakcji jakiej dostarcza im nowoczesna powieść, zajęta mikrokosmosem doznań i wrażeń pozbawionego właściwie indywidualności bohatera. Narracja, czy kto chce czy nie chce, wymaga wielkiej liczby okazów ludzkich wchodzących ze sobą w wielorakie stosunki i wędnie kiedy brak jej balzakowskiego czy tołstojowskiego oddechu. Pamiętnikarz jest uprzywilejowany, bo jego postacie mogą wylegitymować się rzeczywistym istnieniem; „klasyczny” powieściopisarz starał się stworzyć iluzję dotykalnego istnienia swoich postaci, bo tylko wtedy czytelnik potrafi naprawdę przejmować się ich losami. Wiązki refleksów, jak to zbyt często się dzieje w nowej prozie, na próżno pretendują do miana bohaterów. Co prawda pamiętnikarz ukazuje się w nieco innej skórze niż autor powieści. Ofiarowując potomnym obraz wydarzeń do osądu i interpretacji, sam się ofiarowuje jako jedna z figur na stronicach książki, poddana tym regułom zachowania się, jakie obowiązywały niegdyś. Ale tu właśnie, przez to że zbyt krytycyzm zdaje się być sprzeczny z zasadą pamiętnikarstwa, bo przekształca łagodną epickość w satyrę, w system krzywych luster, jest jeszcze jedna więź pamiętników jako rodzaju literackiego z dawną powieścią. Relacja Sartre’a o jego dzieciństwie nie ma w sobie nic z epickiej narracji ponieważ autor jest ze swoją przeszłością w sporze.

Pamiętniki Wacława Lednickiego mają dwa splątane ze sobą tematy. Jeden, to Rosja przed I wojną światową, Rosja liberalnej, kosmopolitycznej inteligencji, gospodarczego rozpędu i politycznej ruchliwości. Drugi, to ziemiaństwo polskie w Mińszczyźnie, w Witebszczyźnie, na Smoleńszczyźnie, klany Lednickich, Poczobuttów, Kontrymów, Nitosławskich, Sławińskich, Świackich, z ich parantelami, w których nieraz gubi się czytelnik i trybem bytowania niezmiennym w istocie od rozbio-

rów. Dzięki zawodowi ojca i stałemu zamieszkaniu w Moskwie, tak że do majątku Borek przy stacji Katyń jeździło się tylko na trzy miesiące wakacji, powstaje ciekawa podwójność planów: Oskar Wilde, prerafaelici, symboliści i typy dziwaków w jakie obfitowała szlachta kresowa (jak ów pan Szauman studiujący w swojej pustelni historię stradivariusów czy Witold Nitołowski gardzący towarzyskim konwenansem, ze swoją torbą instrumentów mierniczych i nieodstępnymi tomikami Byrona i Shelley'a); wielka polityka Kadetów, mowy w Dumie i zalecani do białoruskich dziewcząt; teatr, opera, restauracja Jar i przyroda naddnieprzańskich leśnych zakątków; lektury, koncerty i kucharze, lokaje, garderobiane, guwernantki; podróże do Konstantynopola, Grecji, Wiesbaden, Florencji, Paryża, Biarritz i przygody psów Lorda, Gamin, Żuczka. To wszystko Lednicki wydobywa ze swojej pamięci, która jest zadziwiająco zmysłowa, przywiązana do konkretnych, przechowująca gesty, barwy, smaki, zapachy. Pod tym względem przypomina niekiedy innego pisarza rodem z tzw. Kresów — Jarosława Iwaszkiewicza, w jego wczesnej, Ukrainą nasyconej, prozie.

Moskiewscy froterzy:

„Raz na tydzień, w czwartek czy też sobotę, przychodziła do domu brygada froterów. Ukazywali się wcześniej, przed ósmą. Było ich czterech czy pięciu. Wchodzili do pokoi boso i bez kurtek, które zostawiali w kuchni. Mieli czarne, aksamitne spodnie i ciemne rosyjskie rubachy (koszule), przewiązane w pasie czerwonym sznurem. Szybko zsuwali meble do jednego rogu, zwijali dywany do wytrzebania w podwórzu, szybko zmiotli podłogi — i wtedy woskowali je na klęczkach. Pamiętam te duże kawały złotego wosku. Lubiłem bardzo woskować posadzki wraz z nimi.

Ale nie był to jeszcze najprzyjemniejszy moment w tej szczególnej przygodzie. Ta najrozkoszniejsza chwila przychodziła później. Kiedy woskowanie zostało skończone, cała brygada jak na rozkaz podnosiła się z kolan, chwyciła nożne szczotki, nakładła je na nogi — i wtedy rozpoczynał się najwspanialszy fokstrot froterów. Z niezwykłą zręcznością i z zawrotną szybkością wykonywali oni najbardziej różnorodne ruchy — ślizgali się na tych szczotkach jak na łyżwach. Ruchy ich były, jak powiedziałem, niezmiernie różnorodne. Pamiętam zwłaszcza dwa. Jeden polegał na posuwaniu szczotek z lewa na prawo, w przód i w tył. Ruch ten był fantastycznie szybki. Inny miał rytm odmienny. Lewa noga poruszała się z wolna w przód i w tył, posuwając się nieznacznie naprzód, podczas gdy prawa wykonywała oskrzydłający ruch dookoła niej. Zwykle dwaj froterzy wykonywali ruch pierwszy, a inni jednocześnie oddawali się ruchom oskrzydłającym. Tworzyło to wspaniały rytm porywającego tańca”.

Prom:

„Do tej pory pamiętam tak dobrze powolny, spokojny ruch promu, skrzyp wywoływany ocieraniem się żelaznej liny o słupki na osiach, cichy

ruch chłopów ciągnących prom po tej linii, śliski plusk spokojnej ale rozkołysanej wody o łodzie promu, zniecierpliwienie nieco przestraszonych koni, uderzających kopytami o pomost promu (furman stał przy ich głowach i uspokajał je), jasną, poważną ciszę oddalającego się brzegu i nieopisane uczucie ciekawości dla zbliżającej się nieznannej okolicy”.

Chociaż jednak Lednicki pokazuje mnóstwo scen co są „jak żywe” i mnóstwo ludzi „jak żywych”, jego pamiętniki nie są tylko próbą ocalenia świata, który był a którego już nie ma. Trudno jest zapomnieć kto je pisze: wybitny historyk literatury rosyjskiej i polskiej, o dorobku świadczącym, że konflikty wtedy, przed I wojną, uświadomione, nigdy nie przestały go nawiedzać. Nie są to konflikty ideologiczne albo polityczne. Narrator jako dziecko i młodziwiec jest najzupełniej „normalny” dla środowiska w którym rośnie i ustalony porządek rzeczy nie jest przez niego podawany w wątpliwość. Duchy Banka albo króla Hamleta — utracony byt państwowy — zapewne są, ale nie zakłócają śniadań, obiadów, podwieczorków i kolacji relacjonowanych, ku zadowoleniu czytelnika, ze znanstwem nie tylko smakosza, także kolekcjonera recept kucharskich. Jesteśmy w Soplicowie ale Soplicowo z bogactwem się i zmodernizowało. Sędzia i Podkomorzy mają dyplomy inżynierów albo prawników zdobyte w Moskwie i Petersburgu, Tadeusz, Zosia i Telimena biegle mówią po francusku, angielsku i rosyjsku, Hrabia nie gorszy swoją pochwałą zagranicznych drzew, bo całe towarzystwo co kilka miesięcy podróżuje *sleepingami* za Alpy i Ren, służba, jako że lato, nosi białe krochmalone liberie, dom jest skanalizowany, park *landscaped* przez specjalistę z Warszawy. Ale konflikty są i ich splot można nazwać: ojciec, Polacy, Rosjanie. W istocie pamiętniki Lednickiego są hymnem na cześć jego rodziców, aktem wdzięczności za szczęśliwe dzieciństwo i późniejszy dramat ojca jest już bardzo obecny w pierwszym tomie. Dramat ten jest dzisiaj trudno zrozumiały. Aleksander Lednicki, wzorem swego mistrza, Włodzimierza Spasowicza, był rusofilem i polskim patriotą. Stawiał na liberalizację carskiej Rosji i miał dane aby sądzić, że skuteczna jest jego działalność w Komitecie Centralnym potężnego stronnictwa Kadetów (należeli do niego dwaj Polacy, on i sława Uniwersytetu Petersburskiego, profesor Leon Petrażycki). Poseł do Dumy z Mińszczyzny, przypłacił tę godność kilkumiesięcznym pobytem w więzieniu w chwili „przymrozku”, ale pole działania stale się rozszerzało a I wojna przyniosła nowe możliwości. Podczas wojny kierował komitetem pomocy dla Polaków-uchodźców operującym milionowymi sumami i zwalczał politykę „spustoszonej ziemi” stosowaną w Polsce przez cofające się wojska rosyjskie. Od 1915 roku wysuwał hasło nie-

podległości, w 1916 z jego inicjatywy powstało w Petersburgu Koło Przyjaciół Niepodległości Polski, był też rzeczywistym sprawcą proklamowania niepodległego państwa polskiego przez Rząd Tymczasowy księcia Lwowa, co wyniosło „kwestię polską” na forum międzynarodowe. Występował też w obronie niepodległości Finlandii i Gruzji — niemałe zapewne miał w tym zasługi, skoro był jedynym cudzoziemcem zaproszonym na pierwszą sesję parlamentu niepodległej Finlandii. Jako prezes Komisji Likwidacyjnej do Spraw Królestwa Polskiego przeprowadzał „rozwód z Rosją” a po leninowskiej rewolucji zajmował się repatriacją setek tysięcy Polaków. Słusznie więc może byłoby wymieniać jego nazwisko obok nazwisk Piłsudskiego i Dmowskiego. Stawiając na przyjaźń z Rosją przegrał wskutek rewolucji bolszewików, ale dramat jego, kiedy przeniósł się do Warszawy, wymyka się dostępnym nam dzisiaj kategoriom politycznego myślenia i zdaje się należeć do sfery obyczajów. Nie mylibyśmy się chyba porównując go z dramatem jego kolegi i przyjaciela, sławnego teoretyka prawa (dziś powiedzielibyśmy raczej: socjologa prawa) Leona Petrażyckiego, który w Warszawie popełnił samobójstwo w 1931 roku. Chodziło o trudny do nazwania konflikt pomiędzy szerokością horyzontów właściwą liberalnej inteligencji rosyjskiej i należącym do niej cudzoziemcom, a cechą dość, powszechną w polskich zbiorowiskach, którą można nazwać tylko słowem rosyjskim: *mielkost’*. Przeciwno Aleksandrowi Lednickiemu regularną kampanię prowadziła nad-partia, bo niejako sama esencja ducha narodowego, w jego najgorszym co prawda, sarmackim, wcieleniu, znana historykom jako endecja: że mieszkał w Rosji, że „nigdy nie mógł zdecydować się co do swojej narodowości”, że „judofil”, że mason i td. Jak ludzie o zdrowych zmysłach mogli traktować takie głupstwa poważnie, nie mieści się nam już w głowie, ale Lednicki był politykiem, kampania oszczerstw sparaliżowała go i złamała. Przyjrawszy się dziejom jego syna, można dojść do wniosku, że żal do tej polskiej *mielkości*, o ojca, niemało zaważył na ich paradoksalnym przebiegu. Jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego siedł na udry z niechęcią do literatury rosyjskiej w Polsce i stał się tej literatury ambasadorem, zasłużonym polskim puszekinistą. Następnie, zostawszy w Ameryce profesorem literatur słowiańskich, zamiast oddać się zajęciu przynoszącemu rozgłos i uznanie tj. pisać książki o Rosjanach, znów siedł na udry, tylko na odwrót, ciągle w swoich pracach wracając do lekceważonych za granicą, oskarżanych o szowinizm i nacjonalizm pisarzy polskich. Np. tytuł jednej z jego książek: „Russia, Poland and the West” jest nieprzyzwoity, wydawcy stronią od takich maniaków, bo po co mię-

dzy „Russia” i „the West” to brzydkie, niepotrzebne „Poland”? Polaryzacja, zawsze obrona skrzywdzonych, literatury rosyjskiej w Polsce, polskiej w Ameryce, pozwalają się domyślać u Lednickiego jakiegoś trójkąta urazy, przebaczenia i kompensaty.

Ta „konfliktowość” wychodzi na dobre jego pamiętnikom dostarczając im osi kompozycyjnych (przy tym autor umie usztrzec się publicystyki). Szukając powodów, które bardzo różnią jego tom od czystego wspominkarstwa, na to przede wszystkim się natrafia, choć oczywiście jest i powód inny: dwadzieścia lat jakie Lednicki spędził w Ameryce nie były dla niego dogorywaniem wygnańca, zepchnętego na margines, przeciwnie, wypełniała je energiczna działalność pedagoga i uczonego, co pozwoliło mu zebrać wiele doświadczeń, coraz to przywoływanych na pomoc w pamiętnikach.

Polskość-rosyjskość. Równało się to przeciwstawieniu: katolicyzm-prawosławie, jako narzędzie rusyfikacji. Małżeństwo rodziców autora było nielegalne, bo ślub został zawarty w kościele katolickim, nie w cerkwi, podczas gdy matka pochodziła z rodziny polskiej wprowadzie, ale już prawosławnej. Dawało to okazje do szantażu — ale prokurator, Rosjanin, podarł donos złożony przez Polaka. Chociaż jednak najbliższa rodzina trwała uparcie, nieraz ryzykując, przy katolicyzmie i polskości, nie brakło wśród najbliższego otoczenia ludzi dokonywujących całkiem świadomie odwrotnej opcji. Obrządek rzymski i „Trylogia” przeciwko uniwersalizmowi rosyjskiej inteligencji to niedużo, jak wiemy chociażby z miotań się Stanisława Brzozowskiego. Krewne narratora, Zina i Lunia Poczobuttówny, uważały się za Rosjanki i nie lubiły Polaków. Ich raczej są przytoczone obiektywnie, z zamyśleniem. Zina, lekarka, „właściwie była to mówiąca po rosyjsku kosmopolitka”. Lunia natomiast, bardziej agresywna,

„nie mogła znieść pewnych cech polskiego charakteru, które zwłaszcza w zetknięciu z charakterami rosyjskimi szczególnie wyraźnie się zaznaczały. Pisałem już o tym wiele w moich pracach rosyjsko-polskim stosunkom poświęconych, dlatego tu nie będę się nad tym dłużej rozwodził. Polska buta z jednej strony, zaś z drugiej *polскоje podchalimstwo* — lizusostwo: oto cechy, które w pojęciu Rosjan nas charakteryzują. Cechy te podniosła przeciw cała wielka literatura rosyjska — Tołstoj w pierwszym okresie swego życia. Dostojewski, Turgieniew i tylu innych, cechy te nieraz podkreśliła i literatura zachodnia”.

Lednicki cytuje z listu Mickiewicza do Henrietty Ankiewicz fragment o upadających skutkach niewoli. A dalej:

„Ale nawet teraz, gdy obserwuję stosunek Francuzów, Amerykanów, Anglików do rosyjskich emigrantów — często uderza mnie atmosfera wyjątkowej przyjaźni, jaka ich wszędzie otacza. Nie ulega wątpliwości,

że Rosjanie posiadają, i to w wielkim stopniu, dar przyciągania i przywiązywania ludzi do siebie. Porównanie stosunku obcych do nich i do nas wypada zawsze, prawie bez wyjątku, dla nas niekorzystnie i to daje się zauważyć we wszystkich sferach życia — w stosunkach towarzyskich, w interesach, w świecie akademickim. Odwoływanie się do prestiżu dawnego imperium rosyjskiego i do obecnej groźnej potęgi imperium sowieckiego — wszystkiego nie tłumaczy. Powtarzam: Rosjanie posiadają jakiś tajemniczy klucz, który otwiera wszelkie zamki. Niestety my tego klucza nie mamy”.

Niemniej pouczająca jest historia Matyldy Joubert, rodem z Genewy, wieloletniej guwernantki w domu Lednickich, na prawach członka rodziny.

„Rusyfikacja elementów obcych następowała w Rosji z niezwykłą szybkością. Już nie mówię o Niemcach — ci przeistaczali się w Rosjan prawie bez najmniejszego oporu. Ale proszę wziąć Francuzów, Belgów, Szwajcarów, Szwedów! A przecie są to narody posiadające wspaniałe i mocne tradycje kulturalne. A trzeba było widzieć, jak szczerze z Moskwą żyła się np. kolonia francuska. Ci Francuzi mówili po rosyjsku jak rodowici Rosjanie, żyli na sposób rosyjski, z Rosji nie wyjeżdżali prawie wcale”.

Matylda Joubert jest u Lednickiego jednym z wielu przykładów tej asymilacji:

„...ze zniecierpliwieniem i nawet złością, używając wszelkich argumentów, odwoływałem się do historii, do rozbiorów, do naszych starych tradycji kulturalnych, do naszej wspaniałej romantycznej poezji. Na nic się to wszystko przydawało, odpowiedź była zawsze ta sama, typowo rosyjska zresztą i po rosyjsku wygłaszana — po prostu: *nie to*. — 'Nie umiem określić, nie umiem wytłumaczyć swego uczucia, powtarzam: *nie to*. *Vous pouvez dire ce que vous voulez, Vatià* (zawsze używała tego rosyjskiego zdrobnienia), *je n'aurai jamais de sympathie pour les Polonais*'”.

A później, w 1919 r. pisała w liście z Genewy:

„*Tout me paraît ici, après la Russie, si petit, si médiocre, si mesquin... je ne rêve qu'à une chose, c'est de revenir en Russie, de revoir ma chère matouchka Rossia*”.

I prawdopodobnie tam wróciła.

Autor, jako młody człowiek, studiował na uniwersytecie filologię romańską i literaturę angielską, „Rosjan czytałem mało i bez entuzjazmu”. W tej tęsknocie do Zachodu, w oporności wobec Rosji, był więc przysięgłym Polakiem, niemniej, jak wnosimy z niektórych ustępów, przekonał się, kiedy znalazł się w Polsce po I wojnie, że uczuciowe argumenty Mademoiselle Joubert miały swoją wagę. Ale oto inny ruch dialektyczny, wypadek z lat bezpośrednio poprzedzających wybuch II wojny światowej, który przyniósł przebaczenie. Zaledwie przelotna obserwa-

cja w spokojnej i skromnej kawiarni-jadłodajni w Warszawie, pod nazwą „Sejmowa”, na Placu Trzech Krzyży, koło wylotu Alej Ujazdowskich.

„Ktoregoś wieczoru ujrzałem naprzeciwko siebie starszego łysego człowieka, ubranego typowo: w odświętną ciemną marynarkę prowincjała. Miał ze sobą małego chłopca. Obaj byli typowo polscy, niewątpliwie skromnego pochodzenia. Mówili niewiele, lecz od czasu do czasu chłopak zadawał pytania starszemu panu, ojcu lub dziadkowi, prawdopodobnie związane ze zwiedzaniem stolicy. Bardzo był miły, grzeczny i spokojny. W chwili gdy przyglądałem się tej bezpretensjonalnej parze, uderzyły mnie ich oczy: niebieskie i głęboko osadzone. Ujrzałem w nich wyraz jakiejś bezbronności i naturalnej dobroci. Podniesione brwi zamysłonego starszego pana nadawały jego twarzy wyraz pytającego smutku. Nie wiem czemu, ale te niebieskie oczy wzruszyły mnie głęboko — i naraz poczułem, że oddają prawdziwie duszę całego narodu. To spotkanie — mimo że nie było to właściwie żadne spotkanie — objawiło mi jakieś głębsze prawdy o naszym życiu, a gdy w kilka lat później niemieckie samoloty huczały w idealnie błękitnym niebie września 1939 roku — widziałem prawie na każdej polskiej twarzy ten sam wyraz smutnego zdumienia i niemej rezygnacji.

Po tragicznej śmierci ojca mego w roku 1934, chciałem opuścić Polskę. Ale później, w roku 1939, owe niebieskie oczy pojednały mnie z moją ojczyzną, i na pewien czas zapomniałem o cierpieniach, jakie zadała mojemu ojcu”.

„Pamiętniki” są piękną, bogatą książką i ich siła leży w wierności wobec szczegółu. Spośród wielu ich wątków można byłoby zatrzymać się na innych, niekoniecznie na medytacji nad właściwościami dwóch narodowych zespołów. Jednakże, skoro na przeciwnych biegunach umieścimy polemiczną, sarkastyczną konstrukcję Sartre’a i polską gawędę, która przeszłość zbyt upoczciwiała, rzeczą chyba słuszną jest zwrócić uwagę na element chroniący Lednickiego od popadnięcia w tę drugą skrajność.

Ziemiaństwo polskie na Litwie i Białej Rusi tuż przed I wojną światową oraz zrosnięta z nim inteligencja nie zostały niemal utrwalone w powieści. Jakiegokolwiek były lokalne zasługi Marii Rodziewiczówny, nikt nie potrafi obronić jej rangi. Józef Weyssenhoff, niegdyś chwalony za „Sobola i pannę” i nawet uważany za znakomitego stylistę, jest dziś pisarzem już tylko żenującym, toteż nie wiadomo czy jedna powieść-przypadek, „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego”, ocali jego nazwisko. Ale i cofając się wstecz, w wiek dziewiętnasty, niewiele powieści można wymienić, poza Orzeszkową, z jej dość wąskim terytorium. Natomiast pamiętnikarstwo i gawęda kwitły na tym obszarze i ostatnie ogniwo w tym łańcuchu, „Pamiętniki” Lednickiego, skłaniają do refleksji nad przemianami jakie zaszły od czasu pierwszego ogniwa, pamiętników spisanych po rusku (czy

też, choć termin jest ciągle kontrowersyjny, po staro-białorusku) przez szlachcica spod Nowogródka nazwiskiem Jewłaszewski. Kalwinista, ale posyłający kiedyś swoje dzieci do szkół ariańskich a zarazem utrzymujący przyjazne kontakty z katolickim klerem w Wilnie, szlachcic wybierający królów w wolnej elekcji ale wierny swemu rodzinnemu językowi, Jewłaszewski w końcu szesnastego wieku z żalem wspominał erę staroświeckiej już wtedy tolerancji. Kilka stuleci później, w Ameryce, Lednicki rozpoczyna swoją podróż w poszukiwaniu utraconego czasu i odtworza dwory, zaprzęgi, karety, serwisy, całą Atlantydę nieobecnych, na której i jego ojciec i on sam, przez przejście do wolnych zawodów, byli już raczej tylko gośćmi.

Literackie walory jego książki: jasny i prosty język, wstrzeżliwy humor, zachowana równowaga pomiędzy kompozycją i dygresją (a dygresja przecie jest samym sekretem tego gatunku) upoważniają do twierdzenia, że Lednicki napisał jedno z lepszych pamiętników w polskiej literaturze. We wstępie do nich opowiada o doświadczeniu, z jakiego się poczęły: o oglądaniu starej fotografii.

„To słońce, ta parasolka, to ramię, ten pasek — wszystko to egzystowało, wszystko to powinno dalej egzystować, skoro się faktycznie odbyło. Jak i gdzie znikło? — I wtedy zrozumiałem raz jeszcze, że tylko nasze wspomnienia są prawdziwie realne”.

Tak dotknął — a inaczej niż przeżywając ją samemu dotknąć jej nie można — prawdy znanej pisarzowi który go „opętał”, Proustowi.

Czesław MIŁOSZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

**UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.**

**Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301**

"Establishment" londyński

Monsieur Jourdain nie wiedział, że mówi prozą; ludzkość do niedawna nie zdawała sobie sprawy, że wszędzie społeczeństwa dzielą się na *establishment* i na „resztę”. A jednak taki podział istnieje nawet w społeczeństwach pierwotnych, a przybiera znaczenia, gdy tylko stosunki socjalne stabilizują się, „prawa nabyte” w postaci dynastji ziemiańskich, arystokratycznych, oficerskich, profesorskich, urzędniczych, przemysłowych, w postaci emerytur, związków zawodowych, wpływów politycznych nabierają konsystencji. Ale co to jest *establishment*?

Establishment angielski.

Zarówno słowo jak i pojęcie są wkładem angielskim w naszą cywilizację. Pochodzenie tego słowa jest wzięte z angikańskiego prawa kanonicznego: kościół anglikański, ustanowiony za Elżbiety I, był *established*, był „konkordatowy”. Inne kościoły, nie tylko katolicki, ale także sekty protestanckie, purytańskie, unitarne, były przez dwa stulecia nieludzko, krwawo prześladowane: w annałach nietolerancji Anglia zajmuje w 17-ym wieku jedno z najpierwszych miejsc, ani kroku nie ustępując Hiszpanii. W drugiej połowie 18-go wieku powiały łagodniejsze wiatry, choć jeszcze w roku 1783 motłoch londyński, podburzony przez lorda Gordona, demagoga i fanatyka, palił kaplice katolickie i mordował katolickich kapłanów. Ale w zasadzie pod koniec 18-go wieku ubogie kościółki katolickie, i skromne kaplice purytanów, metodystów etc. były tolerowane, choć istnienie ich zależało od kaprysów sądów, to znaczy od wszechpotężnej szlachty, z której wówczas rekrutowała się palestra. Przedstawiciele mniejszości wyznaniowych byli pariasami społecznymi, legalnie wciąż poddani wszelkim dyskryminacjom, i mowy nie było, by ci duchowni czy ich szkółki niedzielne mogły

otrzymywać najskromniejsze zasiłki z kas państwa czy samorządów, nawet w wypadkach, gdy ci dyssydenci, jak w Liverpoolu katolicy, lub na północy Anglii metodyści, stanowili większość mieszkańców. W oczach prawa i sądów, które w Anglii (o dziwo!) potrafiły przez kilka stuleci spełniać rolę, którą na kontynencie spełniają policje i żandarmerie, istniała tylko *The Established Church*. Ten termin zaczęto w obecnym stuleciu dla wygody skracać na *Establishment*. Z kolei termin ten zaczęto rozciągać na instytucje i grupy społeczne o sytuacji analogicznej, czyli na UPRZYWILEJOWANYCH. Zrazu chodziło tylko o uprzywilejowanie prawne. Tak więc w 19-ym wieku należeli do *establishment* duchowni anglikańscy, nie należeli do niego kardynałowie Wiseman, Newman i Manning. Do *establishment* należeli zawsze Lordowie, dziedziczni parowie Królestwa, oraz ich rodziny. Należeli członkowie Rady Królewskiej — *Privy Council* — to znaczy obecni i byli członkowie rządów, wysocy dostojnicy, obdarzeni tytułem *Right Honourable*, Jaśnie Wielmożnych. Do *establishment* należała *gentry*, *vel squires*, czyli ziemianie, właściciele ziemscy: z nich rekrutowali się *Justices of the Peace*, Sędziowie Pokoju i *Magistrates*, którzy dotąd odgrywają w Anglii mniej więcej tę rolę, którą komisarze policji sprawują na Kontynencie. Do *establishment* w Anglii należała zawsze cała palestra, *the Bar*, z której rekrutowały się jednocześnie adwokatura, prokuratura i sędziowie: wpływ palestry na podział klasowy Anglii był do ostatnich czasów znacznie większy, niż wpływ kapitalizmu. Klasa oficerska, zwłaszcza oficerów gwardii, zresztą rekrutowana bez wyjątku w klasie arystokratycznej i ziemiańskiej, i klasa oficerów marynarki, również najściślej związana ze szlachtą i arystokracją, uzupełniały ten pierwotny skład *establishment*. W przeciwieństwie do stosunków polskich, pisarze, poeci, artyści, później dziennikarze, nigdy do tego *establishment* się nie dostali.

W miarę dochodzenia do władzy plutokracji, i jej skali wartości, opartej na pieniądzu a nie na pochodzeniu, *establishment* zaczął się powoli zmieniać. W komediach Oscar Wilde'a występuje prawie zawsze *the Vicar*, *the Rev. Brown*, albo *The Archdeacon*, *the Venerable Smith*. Wilde był agnostykiem, który dopiero na łożu śmierci, na rue des Beaux-Arts w Paryżu, nawrócił się na katolicyzm: jeżeli faszerował swe komedie tymi postaciami z kleru „ustanowionego”, zresztą bez wyjątku komicznymi i ośmieszonymi, to czynił to dlatego, że te postacie odgrywały jeszcze w końcu ub. stulecia dużą rolę towarzyską. Teraz się to skończyło. Nigdy nie zapomnę mego zdziwienia, gdy, jeszcze w czasie wojny, byłem zaproszony na wieś do rodziny lordowskiej, noszącej jedno z największych w dziejach Anglii nazwisk i gdy w niedzielę zauważył, że absolutnie nikt się nie wybiera do kościoła anglikańskiego, który znajdował się dosłownie o 50 metrów od pałacu, i którego moi gospodarze byli oczywiście kolatorami. Naiwnie spytałem się dlaczego. Piękna

córka domu spojrzała na mnie z bezgraniczną pogardą: „Mój kochany, czyż nie rozumiesz, rzekła, że gdybyśmy poszli na nabożeństwo, to musielibyśmy zaprosić *Vicarego* (proboszcza) z żoną na *tea*, a ona jest przecie tak wulgarna! Nie, nie może być o tym mowy”.

Kler anglikański wyleciał więc w praktyce z *establishment*, którego był tak długo podporą, synowie ziemian już nie stają do ogonka po prebendy kościelne. Biskupi i *Deans* jeszcze się liczą, ale mniej. Kardynał-arcybiskup Westminsteru już należy do *establishment*, choć w Izbie Lordów nie zasiada, ale jest regularnie zapraszany na obiady dworskie i wielkie fety urzędowe, obok *leadera* metodystów i *Moderator'a* zborów szkockich. Zapewne rodziny lordowskie i szlacheckie, zwykłe z tytułem baroneta (*Sir'a*), dalej utrzymują się na świeczniku, tak samo *the Bar*, zwłaszcza ci co mają *Silk*, czyli prawo do tytułu Radcy Korony. Prestiż ambasadorów, gubernatorów kolonialnych, generałów i nawet admirałów zmalał: trudno uważać za Nelsonów 260 admirałów w służbie czynnej, z których tylko znikoma mniejszość dowodzi na morzu, a reszta spędza całe życie przy biurku. Za to *Civil Servant*, dawniej traktowany trochę jak *fagas*, dzisiaj, oczywiście w wyższych rangach, ma pozycję zbliżoną do tej, która dotąd była udziałem tylko prawników. Za to rola *City* wyrosła do rozmiarów klasy omal równej Lordom królestwa: taniec przed złotym cielcem rywalizuje dzisiaj z odwiecznymi rozkoszami snobizmu. Technik, przemysłowiec, uczony, badacz, dziennikarz, publicysta, pisarz dotąd nie dostali się do *corridors of power*, czyli do przedsionka władzy: wciąż zdanie ich ma mniej znaczenia, niż emerytowanego majora gwardii, który posiada majątek ziemski i jest posłem do parlamentu. Ale *establishment*, a więc całość ludzi wpływowych, których opinia coś znaczy, z którymi się trzeba liczyć, którzy mają prawo do prebend i beneficjów świeckich, których trybunały będą bronić w razie procesu o oszczerstwo (*libel*), wyznaczając rzekomym oszczercom straszliwe grzywny-nawiązki na rzecz rzekomego poszkodowanego — ta liczba kolosalnie wzrosła. *Establishment* wiktoriański składał się z 50 tysięcy osób. Dzisiejszy obejmuje zapewne milion osób. Więc jak sprowadzić wszystkie grupy uprzywilejowanych do jednego mianownika, jak przeciągnąć niezawodną, a jednocześnie niezbyt rażącą linię podziału

Pragmatyczny geniusz angielski wynalazł tutaj rozwiązanie, które jest prawdziwym jajkiem Kolumba: *Public School*. Dopiero za Wiktorii, z inicjatywy Arnolda, *Headmaster'a* (dyrektora) Rugby szkoły prywatne wybiły się na czoło systemu edukacyjnego: przedtem synowie magnatów mieli belfrów domowych, tym bardziej ich córki; szkoły były dla gminu. Odtąd ustalił się podział na dwie grupy: tę która wychowywała się w drogich internatach, czyli w *public schools*, i tę, która uczęszczała do bezpłatnych eksternatów, *day schools*, zwanych *grammar schools* etc. Ta reforma, początkowo przypadkowa, stworzyła dwie An-

glie, jak bodaj nigdy przedtem: bubków, co ukończyli *Public Schools*, można poznać w późnej starości po zupełnie innym, a strasznie afektowanym akcencie, który właściwie różni się totalnie od języka, którym mówi zwykły angielski śmiertelnik. Podział szkolny stał się podstawą podziału klasowego. Dzisiaj kto nie był w *Public School*, o ile możliwości specjalnie w Eton, Harrow, Winchester, Rugby etc., ten w zasadzie nie ma prawa należenia do *establishment*. Lord, który by nie ukończył szkoły „publicznej” oczywiście będzie zawsze parem królestwa, ale jednak jest postacią żenującą, będzie się go unikać, dobre kluby gotowe go „zblackbulować”. Ukończenie *Public School* nie daje żadnego wykształcenia, żadnego zasobu wiadomości, nie przygotowuje do żadnego fachu, do żadnej kariery, ale Anglicy wierzą, że wyrabia „charakter”, że tworzy *Gentleman’a*, że hoduje „elity”. Wychowanek *Public School* wierzy głęboko nie tylko, że należy do innej, lepszej rasy, nie tylko jest snobem i arogantem, ale także uważa, że wszystko mu się należy, że ma prawo do każdej synekury, do każdego faworytyzmu, do każdego awansu. W *Civil Service* wszystkie wyższe stanowiska są obsadzone przez *Public School Boys*. To samo w sztabach marynarki, i armii. To samo, oczywiście w *Foreign Office*. Ale i w przemyśle działa się dotąd podobnie. Generalnym dyrektorem Kolei był do niedawna emerytowany generał Sir (*something*) Richardson, były dowódca Brygady Gwardii (*Brigade of Guards*), co w snobistycznej Anglii znaczy dużo więcej, niż nie to Feldmarszałek, ale zwycięski wódz. Macmillan — i była to jedna z nielicznych jego rozsądnych decyzyj — wreszcie usunął tę dystygowaną nicość i zastąpił go Dr. Beechingiem, dyrektorem Imperial Chemicals, wybitnym technokratą, ale który nigdy nie był w *Public School*. Oburzenie wśród Konserwatystów było dużo większe, niż w Partii Pracy, która przecie obawiała się nieodzownej redukcji rozдутego do absurdu personelu kolejowego.

Dzisiaj się to kończy. Ale snobizm angielski jest tak kolosalny, że jeszcze Attlee i Gaitskell rekrutowali się z *Public Schools*, a Harold Wilson chodził wprawdzie, o zgrozo, do *Grammar School*, ale jednak nabył *Public School accent* na uniwersytecie w Oxfordzie. Ktoś kto nie zna Anglii nigdy nie zrozumie, jak małym, jak skromnym, jak uniżonym i nawet przerażonym robi się angielski robotnik a jeszcze bardziej angielski mieszczuch (a dopiero jego żona!), gdy tylko usłyszą *Public School accent*! Natychmiast uznają, że to ktoś z wyższych sfer, że trzeba się nisko kłaniać, i podziwiać. *He is a Gentleman!! She is a Lady!!!!*

Establishment na Kontynencie.

Wszędzie tam, gdzie *démocratie directe*, jak w górskich kantonach szwajcarskich, jest niemożliwa, musi powstać jakie *esta-*

blishment, to znaczy grono osób, które wytwarza opinię publiczną. To grono może być szersze, czy węższe, struktura tej klasy miarodajnej będzie bardziej finezyjna w społeczeństwie *évolués*, prostacka w prymitywnych. We Francji *establishment* składa się nie z wychowanków drogich, a więc klasowych, internatów, ale z prymusów najróżniejszych egzaminów, poczynając od konkursu matur (*Concours Général*), kontynuując przez egzaminy wstępne do *Grandes Ecoles*, przez konkursy do tytułów i stopni *Inspecteurs des Finances*, *Polytechniciens*, *Normaliens*, *Agrégés de l'Université*, etc. Dwa klasyczne przykłady tej różnicy. Tony Armstrong Jones ledwo przebrnął przez Eton, w Cambridge należał do reprezentacyjnej ósemki wioślarskiej, był *a Cambridge Blue*. To na zawsze mu otworzyło drzwi do *establishment*. Nic to, że po ojcu jest skromnego pochodzenia (bo po matce jest skoligowany z arystokracją). Nic to, że został *sent down*, czyli wylany z Cambridge za brak postępu w studiach. Należy do klasy rządzącej, uprzywilejowanej, i mógł ożenić się z córką króla: zapewne wielu kiwało głową, ale gdyby nie miał za sobą *Public School* taki mariaż w ogóle nigdy by nie wchodził w rachubę.

Pompidou jest synem nauczyciela licealnego języka hiszpańskiego. Pochodzenie jego jest więc skromne. Jego rodzice mieli kawałek ziemi w Owernii, ale nie dość, by wyróżnić się od sąsiadów. Jego siostra jest dotąd nauczycielką w Liceum. On sam ożenił się z kobietą bardzo piękną, i bardzo szykowną, ale znowuż bez związków czy to z wielkim kapitałem, czy *les grandes familles républicains*, czy *la grande bourgeoisie*. Ale młody Pompidou był pierwszym *en version grecque* już na konkursie matur, dostał się do *École Normale Supérieure* na rue d'Ulm, która uchodzi słusznie za najlepszą uczelnię nie tylko we Francji, ale na świecie, której egzamin wstępny jest trudniejszy niż doktorat w innych krajach, skolekcjonował pięć dyplomów uniwersyteckich (*Normalien*, *Agrégé*, *Licencié-ès-Lettres*, i nadto dyplom z prawa i dyplom *Hautes Études Administratives*). I te dyplomy pozwoliły młodemu prowincjonałowi dostać się do gabinetu de Gaulle'a, do Rady Stanu, do banku Rotszyldów, do fotelu premiera. System francuski jest systemem Mandarynów, system angielski jest systemem snobizmu.

Establishment w Polsce przedwojennej.

Do roku 1914 kręgosłupem *establishment* polskiego była szlachta, ziemiaństwo, obszarnicy, jak kto woli. Ale — i to była specyficznie polska korektura demokratyczna — obok posesjonatów, jako mandatariuszy „opinii”, figurowała również „inteligencja”, a może szczególnie i jaskrawo poeci i pisarze. Ta „inteligencja” rekrutowała się w lwiej części spośród drobnej lub zubożałej szlachty: tym niemniej poczucie „braci szla-

checkiej", „narodu szlacheckiego", wspólnoty herbu, klejnotu było na ziemiach polskich znacznie mniej żywe w 1914 r., niż za czasów szlachty sejmikowej i Pana Tadeusza, z wyjątkiem może Wileńszczyzny, gdzie *drewniaja Polska* zachowała się dłużej, niż gdzie indziej. W Królestwie „inteligencja" zbliżała się do tego, co w Anglii nazywamy *White Collar Workers*: gdyby wojna 1914 nie przerwała tej ewolucji, byłaby się może z nią złąła. Za Bugiem, w Rosji powstała polska inteligencja techniczna, wcale liczna, dobrze zarabiająca, często przypominająca urzędników i kupców brytyjskich, którzy kolonizowali Imperium: znowuż, gdyby nie cenzura 1914 roku, klasa ta odgrywałaby coraz większą rolę i mogłaby kiedyś pokusić się o rolę w carskiej Rosji, zbliżoną do tej, którą odgrywała od dwóch stuleci teutońska biurokracja z krajów bałtyckich. Ale rewolucja bolszewicka i wojna domowa podcięły grunt pod nogami tej interesującej klasy kolonizatorów, nowej wersji paniątek, którzy poszli eksploatować Ukrainę w 17-ym wieku: wielu zginęło w czasie zawieruchy, wielu zaginęło lub sproletaryzowało się i w końcu zruszczało, a część powróciła do Polski, zrzućnowana, wykorzeniona, niezadowolona.

W byłej Galicji, która obok kresowców i „ludzi z Rosji" najbardziej zaciążyła na ewolucji Polski międzywojennej, — inteligencja zaczęła odgrywać obok szlachty większą rolę, ale nie jako korepetytorzy, głodujący pisarze, czy malarze, nie jako „pracownicy społeczni" (nigdzie na świecie ta niesprecyzowana kategoria nie była tak liczna, jak w Królestwie), lecz jako biurokracja: w namiestnictwie, w Radzie Szkolnej Krajowej, w magistratach. W jednym tylko Poznańskim, pod wpływem pruskim, nastąpiła pewna symbioza szlachty z mieszczaństwem, z kupiectwem, której nie było w innych zaborach. Antypatia do Poznańczyków, nadal bardzo żywa wśród wielu Polaków, zwłaszcza z Kresów, bliższych i dalszych, jeszcze za czasów Niepodległości była głównie wynikiem tych naleciałości germańskich, tak obcych polskiej i kresowej tradycji.

Ale, oczywiście, opinia magnaterii czy „obywatelstwa", jak wówczas w Królestwie mówiono, była decydująca. Ona decydowała o polityce w trzech zaborach: personifikacja polityki polskiej przed rokiem 1914 w Piłsudskim i Dmowskim mogła nastąpić tylko w perspektywie późniejszych wypadków: gdyby wojna w 1914 roku nie wybuchła, rola Dmowskiego, a jeszcze bardziej Piłsudskiego byłaby drugoplanowa, tak samo jak znaczenie Lenina, za jego lat w Poroninie czy Zürichu, jest tylko projekcją *ex post*: znowuż bez wybuchu wojny nazwisko Lenina byłoby dzisiaj znane tylko kilku molom archiwalnym. Opinia magnaterii i szlachty była na pewno daleka od rewolucyjności, niepodległość wydawała się jej marzeniem w nieokreślonej przyszłości. Ale byłoby błędem oceniać rolę tej magnaterii wyłącznie ujemnie z punktu widzenia narodowego. W epoce, w której arystokracja nadal sprawowała rządy w całej Europie, na-

wet do pewnego stopnia we Francji, via snobizm, Quai d'Orsay, korpus oficerski etc., istnienie polskich wielkich rodów automatycznie umieszczało Polskę na mapie Europy, co nie miało miejsca w wypadku Czech (zniemczona arystokracja). Ukraińców i Bałtów, a nawet Serbów i Bułgarów, którzy wprawdzie mieli formalną niepodległość, ale jako narody byli uważani za coś sto razy gorszego od Polaków. Istnienie polskiej arystokracji i szlachty, o stopie życiowej zbliżonej do zachodniej, wytwarzało pomost pomiędzy Polską a Zachodem, którego dzisiaj zupełnie brak. W powieściach Prousta, który był najlepszym portrecistą society paryskiej na przełomie stulecia, roi się nie tylko od Radziwiłłów, ale od różnych „ski” i aluzji do podróży do Polski, podczas gdy biedni Anglicy wyliczyli tylko trzy angielskie *Ladies* wymienione w całej „A la recherche du Temps perdu”. Dzisiaj mapa Europy jest plutokratyczna, i w tej Europie, znaczonej wielkimi nazwiskami de Wendel, Michelin, Peugeot, Krupp, Thyssen, Agnelli, Guinness etc., ani jednego polskiego nazwiska nie ma. Promieniowanie kultury polskiej było też w tej Europie tradycyjnej, wciąż wyrosłej z baroku i kontr-reformacji, dużo większe, niż nie tylko w dzisiejszej, lecz także w międzywojennej: w Kijowie, w Witebsku, nawet w Tyflisie, Polacy byli potęgą ekonomiczną i towarzyską, a w *palace’ach* Paryża, Rivieri, Rzymu, Genewy, Wiednia i Karlsbadu należeli do międzynarodowej elity. Socjalista polski był na zebraniach Międzynarodówek takim samym gwiazdorem i poniekąd wodzirejem, co Potoccy w salonach paryskich.

Żadni Ukraińcy, żadni Litwini, żadni Białorusini nie konkurowali z nami na terenie międzynarodowym, gdy chodziło o reprezentowanie rozległych ziem Polski przedrozbiorowej. Nawet Żydzi z tych ziem uchodzili znacznie bardziej za element folkloru, za przedmiot ewentualnej życzliwości czysto humanitarnej, niż za konkurenta Polaków w zainteresowaniu świata tą częścią Europy. We Francji 1914 r. nikomu by nie przyszło do głowy utożsamiać Polaków z Żydami, polskich pisarzy z pisarzami żydowskimi, emigrantów polskich z emigrantami żydowskimi. Nazwiska na „ski” nie uchodziły za nazwiska typowo żydowskie.

Kto wie, czy nasza rola na świecie nie zmalała już od 1914 r., nie tylko od 1939?

Establishment międzywojenny.

Odbudowa państwa polskiego zbiegło się z **ABDYKACJĄ** polskiej klasy rządzącej, szlachty, która w ciągu tysiąca lat stworzyła Polskę, z jej wielkimi wadami i wielkimi atutami. Polska szlachecka potrafiła stworzyć na krańcach Europy kulturę, która wywodziła się z najlepszych wzorów i źródeł zachodnich, i nic nie zawdzięczała ani bizantyjskiej sklerozie, ani

mongolskiej barbarii. Polska szlachecka, zwłaszcza w epoce baroku, potrafiła stworzyć symbiozę pomiędzy rzymskim Kościołem, a sentymentalnym charakterem polskim, tak obcym wszelkim metafizycznym i teologicznym zainteresowaniom. Polska szlachecka stworzyła ustrój, polityczny i społeczny, który, przy wszystkich swych oczywistych i jaskrawych mankamentach, był nie tylko oryginalny, ale także atrakcyjny — znacznie bardziej niż ustrój i klimat duchowy Polski urzędniczej Międzywojnia. Polska szlachecka stworzyła literaturę, która jest powierzchowna, werbalna, gdy próbowała poruszać poważniejsze tematy, ale jednak o dużym poczuciu piękna języka i kultury słowa, póki — tutaj powrócę do mojej marotty — nie stała się niewolnicą zbrodniczych purystów, którzy nie rozumieją, że nacjonalizm językowy jest niemniej zgubny, niż w innych dziedzinach. Przesadzamy z naszym liberalizmem, ale na tle epoki znajdowaliśmy się w czołówce ruchów federacyjnych. Wreszcie Polska szlachecka dokonała zaiste dwóch wyczynów zupełnie zdumiewających: pobiła wszystkie rekordy *Drang nach Osten*, bo aż za Dniepr, i to kosztem minimalnych ofiar, i potrafiła w dużej mierze ten teren ekspansji utrzymać nawet po zagładzie państwowej: proszę sobie wyobrazić Anglię okupowaną i podzieloną między Francję a Niemcy, a jednocześnie Anglików, jako kastę panującą i uprzywilejowaną w Indiach! A drugi fenomenalny sukces — to kilkuletni polonofilizm Francji. Dzisiaj ten polonofilizm zamarł zupełnie, często się zamienił w antypatię; złożyło się na to wiele czynników, i trzeba by koniecznie napisać o tym obszernie, bez zakłamania i bez iluzji, i bez oszczędzania winnych, a tych jest wielu. Ale jeżeli pamiętamy, jak o względy Francji u szczytu potęgi, u szczytu promieniowania, nadającej ton całemu światu, starali się i Włosi, i Niemcy, i Szwajcarzy, i Hiszpanie, i Rosjanie, i nawet Szwedzi, a później i Grecy, i Turcy, i Rumuni — to zdumieniem musi każdego napawać, że Polska potrafiła tak długo zachować tak duże miejsce w jakże egoistycznych, sobkowskich i napełnionych bezbrzeżną pychą sercach francuskich. Jak to się stało, że pomimo odległości, która na owe czasy była olbrzymia, pomimo różnicy charakterów narodowych, temperamentów, zainteresowań, reakcji, wychowania, ci finezyjni, cyniczni, sceptyczni Francuzi upodobali sobie rubasznych, prostolinijnych, antyintelektualnych, rozwichrzonych Polusów — to jest jedna z wielkich zagadek historii.

Ale gdy Polska „wybuchła”, ta dawna polska kasta rządząca niemal z miejsca abdykowała. Wytrzymała, pomimo indywidualnych aktów renegactwa, nacisk trzech państw rozbiorczych, a zwłaszcza ucisk rosyjski, ale teraz sama, jakby milcząco, z miejsca uznała, że nie ma sił, by odrodzone państwo odbudować. W obu obozach prawicowych, Narodowej Demokracji a później BBWR, konserwatyści stali się tylko przyprządką, nie opanowali nigdzie maszyny partyjnej, ani *leviers de*

commande, oddali wszystkie pozycje kierownicze przedstawicielom „inteligencji pracującej”, ludziom przeważnie zdeklasowanym, rewolucjonistom, nie rozumiejącym ani znaczenia zasad konserwatywnych, ani ich potrzeby. Polskie klasy posiadające obsadziły pułki ułańskie, ale nie dały młodej armii ani korpusu oficerskiego, ani sztabowców, ani sił technicznych, których nade wszystko potrzebowała. W rezultacie podczas gdy w republikańskiej i masonskiej Francji korpus oficerski, a więc armia (bo w praktyce to to samo) uchodziła zawsze za fortecę katolicyzmu i sił konserwatywnych, w Polsce armia nabrała zamasków faszystowskich, ale pozostała radykalna, o ciekawych ciągotkach socjalistycznych i socjalizujących. Tak samo przedstawiciele arystokracji i szlachty zupełnie zbojkotowali powstającą polską administrację: nie było ich śladu w sprawach wewnętrznych, w sądownictwie i w prokuraturze, w tak ważnej administracji skarbowej i finansowej, w handlu zagranicznym, właściwie w żadnym dziale z wyjątkiem MSZ’etu. Tutaj znalazło się ich zbyt wielu, i wiele talentów zostało zmarnowanych w jałowych rozgrywkach personalnych. Zapewne w polityce zagranicznej ci przedstawiciele dawnej klasy rządzącej mieli znacznie więcej zdrowego rozsądku, poczucia miary i poczucia słabości Polski, niż przedstawiciele inteligencji polskiej, nie umiejącej operować żadną skalą porównawczą, biorącej marzenia za rzeczywistość, patriotyzm za rozum polityczny. Ale i w tej dziedzinie epigoni konserwatystów i Stańczyków byli ludźmi zbyt słabymi, zbyt bojaźliwymi: nie umieli otwarcie się przeciwstawić polityce zagranicznej, która od pierwszej chwili istnienia Polski była polityką nad stan, i która z upływem lat stawała się z konieczności coraz bardziej ryzykowna.

Do kompletnej abdykacji dawnej szlachty dodajmy inflację, która zniszczyła zupełnie i tak słabe zaczątki stanu średniego, uczciwej burżuazji, żyjącej nie z grynderki, lecz z pracy i oszczędności. Dodajmy do tego miliony Polaków z kresów za granicą ryską i z Rosji — bez wyjątku zdeklasowanych. Dodajmy groźny czynnik rewolucyjny w postaci nadmiernej na nasze mizerne środki stopy urodzeń, rozrodczości, która w roku 1925 przekroczyła 33 pro mille, i dała przyrost naturalny powyżej pół miliona. Dodajmy, że tak samo jak dzisiaj we Francji, wyższa rozrodczość Algierczyków niż Francuzów zaognia problem imigracji z Płn. Afryki, tak u nas znacznie wyższa rozrodczość prawosławnych czyniła problem Kresów Wschodnich co roku coraz bardziej nierozwiązalnym. Dodajmy wreszcie tragiczną sprawę żydowską. Póki istniał w Polsce oficjalny podział klasowy, istniały *eo ipso* pewne bariery przeciw „zalewowi” żydowskiemu, bez uciekania się do antysemityzmu, bo przecie te bariery utrudniały awans społeczny nie tylko Żydom, ale także chłopom, i to bardziej w praktyce chłopom niż Żydom. Zniknięcie prawne i faktyczne uprzywilejowanej warstwy szlacheckiej na dało sprawie żydowskiej zajętrzenie, którego przedtem nie by-

ło. Ta ropiejąca rana stała się jeszcze bardziej uciążliwa, na skutek zamknięcia emigracji z Polski, która od pół wieku czy więcej służyła za wentyl dla problemów socjalnych na ziemiach polskich: ze wsi odpływali chłopci, z miasteczek Żydzi, powstawał pewien luz, który pozwalał łatwiej absorbować przyrost naturalny, utrzymywany w jakich-takich granicach na skutek bardzo wysokiej śmiertelności noworodków. Teraz, na skutek ustawy imigracyjnej w Stanach z r. 1924, na skutek bezrobocia i zaryglowania dostępu dla Żydów w Niemczech i w Austrii, wszystkie bariery przeciw przeludnieniu pękały: a imigracja do Palestyny była hamowana sztucznie przez Anglików, którzy mieli nadzieję w ten sposób utrzymać swe wpływy w krajach arabskich. Gdyby nie ta opłakana polityka angielska, setki tysięcy, może miliony Żydów polskich wiodłoby dzisiaj szczęśliwy żywot w Izraelu, a w Polsce nigdy byśmy nie byli świadkami natężenia antysemityzmu lat trzydziestych: bo antysemityzm jest równie koszmarny dla Żydów, jak i dla „gojów”: tych ostatnich wyjawia, wpaja w nich obsesję.

Problem żydowski w Polsce związał się tragicznie z problemem awansu społecznego. Awans społeczny jest konieczny zawsze i wszędzie. W Polsce Międzywojnia był tym konieczniejszy, że byliśmy świadkami, na skalę normalnie niespotykaną w Europie zachodniej, wręcz odwrotnego procesu, mianowicie deklasaacji. Polska roiła się od ludzi, którzy mówili: „mój ojciec miał majątek, ja jestem Łazarzem; miałem fabrykę, teraz idę na żebrzy” itd. W kraju ubogim, o bardzo słabym wzroście dochodu społecznego, o silnej presji populacyjnej, awans społeczny stał się wyjątkiem, a nie regułą. Na nasze nieszczęście awans ten dotyczył w praktyce omal tych dwóch kategorii: z jednej strony pewna bardzo szczupła ilość zubożałej polskiej inteligencji robiła „kariery”, niemal wyłącznie na tle rzekomych zasług politycznych, a częściej w wyniku przynależności do ugrupowań bliskich ośrodków władzy, oraz niektórzy Żydzi. Kariery synów chłopskich były bodajże rzadsze w okresie międzywojennym, niż w ostatnich latach przed wojną w Galicji, gdzie dość dużo synów chłopskich dorwało się stanowisk urzędniczych.

Wreszcie — i to był na pewno jej błąd największy — dawna warstwa rządząca nie potrafiła w latach międzywojennych, jak zresztą nigdy w swych dziejach, zabrać się na serio do handlu, do przemysłu, do finansów, do tworzenia bogactwa. Trzymała się tylko kurczowo wielkiej własności, lasów i tartaków, opanowała tylko jeden większy przemysł, mianowicie cukrowniczy. Wielki kapitał stał się prawie bez wyjątku obcy lub żydowski. Cóż dziwnego, że w tych warunkach głęboko konserwatywne społeczeństwo polskie, tak skłonne do immobilizmu, do tradycji, do bezwładu, stało się nagle na poły socjalistyczne, radykalne, i że wobec rozbicia wszystkich tradycyjnych ośrodków wpływów i znaczenia, rozbicia klas posiadających na Żydów i „gojów”, władza przeszła niemal wyłącznie w ręce biu-

rokracji a zwłaszcza klasy oficerskiej. *Establishment* polski, chaotyczny do roku 1926, stał się po tej dacie *establishmentem* oficersko-policyjno-urzędniczym.

Establishment pomajowy operował na podstawie teorii — bo jakąś doktrynę każdy ustrój mieć musi, a własnej nie umiał i nie był intelektualnie w stanie jej stworzyć — Bobrzyńskiego, teorii, że brak „silnej władzy” zgubił Polskę. Ale doktryna Bobrzyńskiego, historyka ustroju i wybitnego prawnika, implikowała ścisłą praworządność i sprawną administrację, których Polska ani przed majem, ani po maju stworzyć nie potrafiła. Stąd „silna władza” w epoce pomajowej była potworkiem. Obok pozorów legalizmu, w postaci na poły monarchicznej władzy prezydenta, wyposażonego w prawo wyznaczania następcy, ustrój pomajowy uznawał rolę nadrzędną Wielkiego Hetmana — to znaczy Rydza — rolę magnatów, czyli Pułkowników, naród szlachecki czyli onnipotencję urzędników i oficerów, pozbawienie innych warstw wszelkiego wpływu na rządy. Obok pozorów reformy wszystkie złe duchy Polski przedrozbiorowej dalej nas nękały, przy czym w formie dużo bardziej drażniącej niż w Polsce szlacheckiej.

W tej zasadzie prymatu onnipotencji korpusu oficerskiego i biurokracji zrobiono jeden wyłom, zgodny z tradycją romantyczną: na rzecz inteligencji, w szczególności ludzi pióra. Wspomnienia Józefa Łobodowskiego w „Kulturze” są pod tym względem rewelacyjne: nie gdy chodzi o to, co się działo w „pokoju na Dobrej”, bo to ciekawostka, która może interesować tylko bardzo niewiele osób, ale gdy pisze, że pomimo aresztowań i procesów ośrodki dyspozycyjne reżymu Ozonowego miały czas na dysputy nie tylko z Jaraczem, ale i z „antypaństwowym warchołem”, wówczas prawie nieznanym, Łobodowskim. Pisze słusznie, że plus minus każdy jako tako obrotny inteligent mógł dawać sobie radę, oczywiście marnie, ale, w warunkach nieprawdopodobnej nędzy w ówczesnej Polsce, stosunkowo dobrze. Do tego samego wniosku doprowadza książka Ryszarda Kiersnowskiego „Młodość krwią serdeczną pisana”.

Establishment bezpośrednio po wojnie.

Państwo polskie poniosło w 1939 roku bezprzykładną klęskę, największą w naszych dziejach: żadne frazesy patriotyczne, żadne akty bohaterstwa, najbardziej autentyczne nie mogą zmienić tej ponurej prawdy. Fikcja państwa polskiego na emigracji nie mogła zastąpić państwa realnego, którego obywatele, choć bohaterscy, znaleźli się w niewoli i poddani najsroższemu uciemżeniu po obu stronach linii demarkacyjnej. Ale rząd w Londynie utrzymał trzy ważne atrybuty suwerenności, które reprezentowały realne walory: obrona tych walorów była i obowiązkiem i pierwszym zadaniem całej emigracji, a już **tym**

bardziej tych, co przemawiali w jej imieniu. Te atrybuty były następujące: uznanie prawa rządu w Londynie przemawiania w imieniu państwa polskiego, czyli uznanie go za podmiot a nie przedmiot prawa międzynarodowego. Że ten *principe* nie jest bez znaczenia, można się przekonać choćby z argumentacji de Gaulle'a, który dzisiaj twierdzi, że gdyby MLF miał wejść w życie, Francja z podmiotu stałaby się przedmiotem polityki międzynarodowej. Ramieniem tej suwerenności dyplomatycznej były siły zbrojne. Wreszcie rząd polski w Londynie rozporządzał dość obfitymi środkami finansowymi, dostarczonymi mu przez Anglików, które służyły do podtrzymywania oporu w kraju, aparatu dyplomatycznego na całym świecie, i prowadzenia propagandy, która okazała się zupełnie nieskuteczną, ale z którą Polacy, nie po raz pierwszy i na pewno nie po raz ostatni, wiąźali wielce przesadne nadzieje.

Za jednym zamachem, 5 lipca 1945, wszystkie te trzy filary runęły. De-uznanie pozbawiło rząd londyński prawa przemawiania w imieniu Polski: głos ten był w ostatnich latach zdławiony, ale się rozlegał — teraz miał na zawsze ustać. Siły zbrojne zostały zdemobilizowane. I wreszcie środki pieniężne ustały zupełnie: oznaczało to nie tylko koniec aparatu państwowego na obczyźnie, ale również koniec propagandy, z którą Polacy, w miarę, jak politycznie grunt im się usuwał pod nogami, wiąźali coraz większe nadzieje. Tonący brzytwy się chwyta.

Cóż dziwnego, że zaraz po katastrofie 5 lipca 1945, jak po pożarze, Polacy próbowali ratować co im się wydawało najcenniejsze: tytuł do zabierania głosu w imieniu Polski, to znaczy, jak się potocznie mówiło, legalizm? Cóż dziwnego, że każdy wyłom w tym wspólnym, instynktownym froncie, był uważany za akt zdrady? Że opinia emigracyjna okazała się szczególnie bezwzględna w stosunku do tych, którzy przedtem zajmowali czołowe miejsca w hierarchii emigracyjnej, a więc przede wszystkim w stosunku do Mikołajczyka? Do Polski wróciło sporo ministrów i dostojników emigracyjnych: biedny i naiwny X. Kaczyński, zamęczony na śmierć w więzieniach UB, Grosfeld, niejaki Banaczyk, figura spod ciemnej gwiazdy, Stańczyk, Tatar i Utnik, którzy zdaje się po okresie uwięzienia zdołali sobie wyżebrać teraz nowe posadki czy synekury i wielu innych. O tych mniejszych figurach zapomniano. Ale linia podziału między polskim Londynem a Mikołajczykiem była nie do odrobienia i jest nie do odrobienia. Nic tej fosy nie zasypie.

Establishment londyński, który stał się rzecznikiem i przewodnikiem polskiej dwustutysięcznej masy uchodźczej w Anglii skupił się z natury rzeczy dookoła symbolów polskiej niepodległości na obczyźnie i wodzów armii polskiej, otoczonych laurem wprawdzie nie zwycięstwa — bo wojna zakończyła się dla nas klęską — ale wygranych bitew. Z natury rzeczy ośrodek dyspozycyjny naszego londyńskiego *establishment* składał się początkowo niemal wyłącznie z dostojników wojskowych i

cywilnych ery emigracyjnej, z których omal wszyscy mieli już duże pozycje w Polsce przed wojną. A sam *establishment*, znowuż z natury rzeczy, składał się wyłącznie z urzędników i oficerów, oraz z maleńkiej domieszki ludzi pióra oraz działaczy partyjnych. W szeregach ludzi pióra i działaczy politycznych ilość defekcji, czyli powrotu do Polski, lub — co nierównie gorzej, — objęcia posad z łaski Bieruta zagranicą, była szczególnie wysoka: stąd wpływ tych czynników był na emigracji mniejszy, niż byłby normalnie. Wracając do podziału naszych *wowraszczeńców* na dwie kategorie — tych co wrócili do kraju, i tych, co wybrali posadki bierutowe zagranicą, trzeba powiedzieć, że Mikołajczyk był znienawidzony, ale dla Modelskiego, Strasburgera, etc. emigracja odczuwała tylko pogardę.

Żadne późniejsze konflikty emigracyjne nie miały już tego napięcia i tego znaczenia, co konflikt z 1945 roku: ten był głęboką rysą, tamte były zmarszczkami na spokojnej tafli nieruchomej wody. Tak zwany konflikt o „legalizm” z 1954 roku skończył się właściwie możliwie najszcześliwiej: spór o osoby pozwolił emigracji, nie tylko *establishment*’owi, pozbyć się form zbyt sztywnych, a zwłaszcza „dętych” w warunkach przedłużającego się uchodźstwa: pragmatyzm angielski swoje zrobił, i kauzyperdowskie trzymanie się litery prawa, tak popularne w Polsce przedrozbiorowej, kiedy to zależna zupełnie od carów Polska Sasów wzdragała się przez lat kilkadziesiąt uznać ich tytuł cesarski, wydało się ogółowi emigracji przesadą i nawet nietaktem. Pamiętam, jak w czasie sporów o o „legalną sukcesję” powiedziałem pół-serio, pół-żartem uroczej Cesi Raczyńskiej, która w politykę się nie bawiła, ale miała zdrowy rozsądek kobiet dobrych i szlachetnych, że jej mąż, Edward Raczyński, byłby najlepszym prezydentem. Na to Cesia Raczyńska (nazywam ją tak familiarnie, bo w całym Londynie nikt nigdy inaczej jej nie nazywał) zachnęła się: „Po co te ośmieszające tytuły? — zawołała. — Jakiś komitet, doskonale, ale po co utrzymywać fikcje?” Był to *vox populi*, który nieoczekiwanie zwyciężył. Przeobrażenie Prezydentury w Radę Trzech, Rady Ministrów w Egzekutywę, zostało przyjęte z westchnieniem ulgi przez ogół uchodźców, którzy od Anglików nauczyli się nieufności do patetycznych tonów i nazw; jeżeli król angielski mógł bez szkody dla Anglii zrezygnować z tytułu Imperatora Indii, dlaczego myśmy nie mieli przejść „z hymnu do prostej powieści”? Co ciekawsze, stabilizacja ośrodka dyspozycyjnego *establishment* i emigracji na tym zyskała. Przedtem liczne „kryzysy ministerialne” (z reguły burze w szklance wody) świadczyły o ciągłym kotłowaniu. Od 1955 roku ośrodek dyspozycyjny jest wyraźnie i w sposób naturalny, nawet jednomyślny, zredukowany do czterech osób, z których każda jest pewnym symbolem: generał Anders symbolizuje armię i żołnierza oraz braterstwo broni z Anglią, które stanowi naszą najlepszą legitymację i rację bytu naszego pojawienia się na Wyspie; Edward Raczyński symbolizuje trak-

tat przemierza anglo-polski i nasze prawa do reprezentowania Polski w świecie; Bielecki jest symbolem prawicy, jako dzie-dzic Dmowskiego, Ciołkosz symbolizuje lewicę, jako ten z ży-jących dawnych leaderów PPS, który ma najwyższy *standing*. I ta czwórka utrzymuje się u szczytu ośrodka dyspozycyjnego emigracji bez zmian już od 9 lat, czyli stabilizacja jest dużo większa, niż za czasów „legalizmu”. Dookoła tego stałego ośrodka zmieniają się doradcy, „szare eminencje”, osoby wpływowe: są to utarte formy każdego życia politycznego i społecznego, które jednak nie mają większego znaczenia. Ten szkieletowy i w dużej mierze symboliczny ośrodek wystarcza emigracji londyńskiej, i nie widzę, by mógł być inaczej niż przez śmierć pod-ważony.

Zwrócę uwagę na jeszcze jedną cechę naszego ośrodka dys-pozycyjnego w Londynie, która uchodzi uwagi naszego ogółu, zwłaszcza poza Wyspą. Pisałem kiedyś, że są cztery stolice ro-mantyzmu polskiego: Wilno, Krzemieniec, Paryż i Adampol. Otóż przy naszym talencie narodowym tworzenia mitów nie wyklu-czam, że do tych czterech stolic potomność doda może jeszcze dwie dalsze: Monte Cassino i polski Londyn. W mitach szu-kamy odtrutki na zbyt bolesną rzeczywistość, na przegrane bo-je, na bezowocne ofiary. Kto wie, czy w pamięci potomnych Anders i Raczyński nie wyrosną kiedyś do roli Xięcia Józefa i Xięcia Adama, nieco mniejszych, ale jednak podobnych, walecz-nych heroldów Przymierza Anglo-Polskiego, któremu pozostali wierni do ostatniego tchu? Zapewne, to zależy w dużej mierze od Anglików. Napoleon, który miał wyczucie teatru, nadał Xię-ciu Józefowi w przeddzień śmierci buławę marszałkowską, bez której Legenda zapewne by do tego stopnia nie opromieniła — dobrego dywizjonera. Gdyby Anglicy mianowali Andersa angielskim feldmarszałkiem *honoris causa* — a jest to możliwe, wszak był nim... cesarz Wilhelm! — mit byłby gotów. W każdym ra-zie jest możliwy. A cała nasza historia świadczy, jak bardzo mi-ty kochamy, jak się do nich przywiązujemy. Ci z nas, którzy dzisiaj widzą te rzeczy z bliska, zapominają, jak wygląda Koś-ciuszko, oglądany przez lupe, zapominają słowianofilstwo to-wiańczyka Mickiewicza i wiele innych rzeczy. Niech krytycy Polskiego Londynu nie zapominają, że walczą z mitem, a mity nawet Hallera, nawet księdza Skorupki okazały się potężne i trwałe. A *fortiori* realizm każe nie neglegować mitu Monte Cas-sino, i NIEZŁOMNEJ postawy. Już tam Słowacki nie był taki głupi, gdy wybierał tytuł swego hiszpańskiego poematu.

Z dalszych perypetii ośrodka londyńskiego właściwie nie ma co notować. Wyjazd Stanisława Mackiewicza do Polski był bardzo przykry dla jego przyjaciół, ale oczywiście nie zaważył na postawie emigracji w Anglii: był to akt rozpaczyny zaszczute-go pisarza, który nie mógł znaleźć trybuny, podczas gdy tą trybuną rozporządzały wybiórki z warszawskich Czerwoniaków.

Ale na to nie ma rady. W dziennikarstwie polskim panuje stale jedna tylko reguła: równanie w dół.

Właśnie jedynym ewenementem, który głęboko odbił się na życiu emigracji i jej *establishment* była zwycięska walka o „Dziennik Polski”, który przedtem był domeną inicjatywy prywatnej z funduszów publicznych. Gdybym miał wymienić postacie, które wywołały na emigracji prawdziwy szal nienawiści szerokich kół uchodźstwa londyńskiego, to bym mógł wymienić tylko trzy: naprzd Deutschera, potem Mikołajczyka, wreszcie Kirkiena. Nazwisko Deutschera jest nota bene doskonałą ilustracją, jak bardzo fałszywe są częste zarzuty antysemityzmu w stosunku do emigracji. Póki Izaak Deutscher pisywał do londyńskiego „Observera” pod pseudonimem „Special Polish Correspondent”, póty był najbardziej znienawidzonym przez Polaków osobnikiem w Anglii. Teraz gdy się od nas odczepił i pisze swe tasie mce w prasie angielskiej jako trockista, czy Izraelczyk, czy Anglik, nikt nie ma do niego żadnych pretensyj. Osobiście go nie czytam, bo uważam, że to strata czasu, ale cieszę się, że mu się dobrze powodzi, i jego żonę, a mą dawną koleżankę ze Strattonu, piękną, urodziwą Tamarę, zachowałem w miłej pamięci.

Wtrączę tu jeszcze jedną uwagę, która mi się nasunęła przy odczytywaniu tych notatek. Krytycy londyńskiego *establishment* i jego ośrodka dyspozycyjnego mogą mieć rację, gdy zarzucają mu immobilizm, niechęć do odwagi własnego zdania, niezdolność do *repenser les problèmes*, co jest warunkiem powodzenia wszelkiej polityki. Ale nie mają racji, gdy emigracji londyńskiej zarzucają „kult jednostki”, bałwochwalstwo wobec Andersa. To bałwochwalstwo, często szczere, istniało w stosunku do Piłsudskiego, było robione w stosunku do Rydza i Sikorskiego, ale go nie ma w stosunku do Andersa. Znowuż zagrał chyba wpływ angielski, głębokie psychiczne zangielszczenie Polonii angielskiej, choć często zupełnie nieświadome. Nasz *establishment* recypował reguły angielskiego klubu, a nie polskiej konspiracji: zarzuty dynozaury naszej publicystyki, Stanisława Mackiewicza w stosunku do Kajetana Morawskiego, *vide* że był ministrem przed majem i po maju w Polsce, i znowuż na emigracji, są dzisiaj dla przeciętnego emigranta zupełnie niepojęte, absurdalne: zdolność do kompromisów, brak zawziętości i zaciętości uważamy śladem Anglików za wielką cnotę polityczną, nie za haniebną przywarę. Dzisiaj polski *establishment* żąda od swych członków, tak samo jak oryginał angielski, naprzód by wszyscy byli *on speaking terms*, by zachowywali wobec siebie formy kurtuazyjne: ekskluzywy, wendetty są złe widziane, i „pływacy” uchodzą za wzór talentów taktycznych, a nawet za zadatki „mężów stanu”. Do Andersa członkowie *establishment* powinni się odnosić plus minus tak jak Anglicy do Królowej, z szacunkiem, z zachowaniem pewnego dystansu, nawet respektu, ale nic więcej. Nikt nie żąda, by królową uważano za geniusza, czy

za *leadera*: ale ma być symbolem. Anders — symbol, co do tego istnieje powszechna zgoda. Ale bajki o „Białym Koniu”, o „dyktaturze” są demagogią.

Zmiany socjologiczne.

Ale poza zmianami na wierzchu czy nawet na świeczniku, emigracja w Anglii przeszła przez ewolucję głębszą, bo socjologiczną, ewolucję w swym składzie i w swej mentalności. Lata 1945 i 1946 oznaczały zarówno olbrzymi przyływ Polaków na Wyspę — z Włoch, z Afryki, z Indii, z Bliskiego Wschodu, z Niemiec, i nawet z Polski — a jednocześnie silny odpływ do „kraju”. Większość wracała, powodowana tęsknotą do swoich, i brakiem wiary, bo mogła sobie w warunkach angielskich dać życiowo radę. Z tych ogromna większość zawiodła się w swych nadziejach i rachubach: ledwo wiwotuje, wielu zaznało więzienia. Niewielu z tych powracających próbowało ponownej emigracji: z jednej strony ryzyko było olbrzymie, z drugiej bali się, jak też będą przyjęci w środowisku, które dobrowolnie opuścili. Ale była i inna kategoria: karierowiczów. Ci wyszli na powrocie dużo gorzej: wielu zamordowała Bezpieka, prawie wszyscy przesiedzieli dłużej czy krócej po tiumach, upragnionej „kariery” nie zrobił prawie nikt. Ale znowuż niewielu z nich próbowało ponownie odskoczyć. Ci, co to zrobili, znaleźli się w Polonii angielskiej w kompletnej próżni, więc przeważnie szukali oparcia gdzie indziej: egzemplum losy Kota, Mikołajczyka, Popiela i innych.

Wyjazd tych *wozwraszczeńców* do Polski czy do innych krajów był dla Polonii w Anglii bardzo korzystny: oszczędził jej wielu sporów i kłótni równie błahych, jak zbytecznych, równie niesmacznych, jak jałowych. Inaczej wygląda ubytek ludzi w latach 1946-55 do innych kontynentów, w poszukiwaniu podstawy bytu. Prawie wszyscy Polacy w Australii, w Kanadzie, w Argentynie, w Afryce, znaczna część powojennej emigracji w Stanach — to ekspatrianci z Anglii, po dłuższym czy krótszym pobycie na Wyspie. To strata substancji, i to bardzo poważna. Wynosi ona zapewne około 150 tysięcy osób, czyli, gdyby jej nie było, to liczebność Polonii w Anglii byłaby dwa razy większa, zatem jej wpływ, jej możliwości byłyby dużo większe. Ale 20 i 15 lat temu perspektywy w Europie były ponure: wyjazd za morza wyglądał wówczas na akt pionierski. Dzisiaj wracamy do sytuacji, gdy zadowolenie się emigracji polskiej w Anglii, czy w ogóle w Europie Zachodniej staje się dużo ważniejszym atutem narodowym, niż obecność grupek Polaków na Antypodach, z konieczności skazanych na wynarodowienie w obcoplemiennym morzu. Strata ta jest tym boleśniejsza, że wye-migrowały z Anglii często elementy najbardziej dynamiczne. Wrażenie starości, nawet zgrzybiałości, które robi emigracja an-

gielska jest w dużej mierze skutkiem tego upływu świeżych sił na rzecz krajów zamorskich. Jesteśmy świadkami pewnej repatriacji z Australii czy częściej z Afryki: ale znowuż są to przeważnie emeryci, którzy zjeżdżają dożyć wśród rodaków w Anglii żywota.

Można sobie też zadać pytanie, co istnienie *establishment* polskiego w Londynie dało Polakom w Anglii? Istniały nadzieje akcji politycznej: te zawiodły. Istniała nadzieja oddziaływania na kraj: ta zawiodła, bo wszelkie wpływy, o ile nie są oparte na wyraźnej doktrynie i na wyraźnej wizji, okazują się w końcu złudne i słabe. Najwięcej nadziei wiązano z propagandą: Polacy tak chętnie wierzą, że propagandą można zastąpić brak trzeźwej i realnej myśli politycznej. Ta od dawna nakazywałaby przeniesienie się do Ameryki czy do Niemiec Zachodnich dwóch krajów które zadecydują o stosunku Wschód-Zachód, jeżeli chodzi o stronę zachodnią: jak zawsze woleliśmy escapizm, który jest wygodny, bezpieczny i pozwala na słodkie marzenia. Żadne rozczarowania nie osłabiają naszej wiary w przyjaźń Anglii względnie Francji wśród naszych polityków i przedstawicieli na zachodzie. Częściowo to samo okłamywanie, tak częste w naszym narodzie specjalistów od nieszczęśliwej miłości; ale częściowo to też wiara, że wierność, romantyczna wierność, *die polnische Treue*, w końcu opłaci się, że serce niewiernej na widok tylu dowodów przywiązania skruszeje. Ha, cóż, niedarmo Mickiewicz i Słowacki są naszymi największymi poetami, do czego mają wszystkie tytuły, ale także „wieszczami”, co chyba oznacza „nauczycielami, mistrzami, mężami stanu”, a co jest absurdem.

Mimo wszystko, widzę dwie realne korzyści istnienia *establishment* polskiego w Anglii. Jedna, oczywista, to większa odporność na przenikanie agentów reżymu warszawskiego w środowisku londyńskim. Bariera między reżymem a emigracją jest nieporównanie wyraźniejsza w polskim Londynie, niż w polskim Paryżu. Ma to wielką wartość profilaktyczną. Ocieranie się o szpiegów, prowokatorów, łapsów, donosicieli jest zawsze niezdrowe. Poza tym w oczach władz angielskich Polonia angielska jest nierównie bardziej godną zaufania, niż emigracja nasza we Francji w oczach władz francuskich. Wystarczy pomyśleć, ilu Polaków znalazło w Anglii stanowiska, nawet odpowiedzialne w armii, w urzędach brytyjskich, a ilu we Francji!

Drugi skutek jest ważniejszy. Polakom na obczyźnie grozi szalony *inferiority* kompleks. Nie mieli go nasi przodkowie, gdy zjechali dość tłumnie na Zachód po Trzecim Rozbiorze i po Powstaniu Listopadowym. Miała go w najwyższym stopniu nasza uboga niepiśmienna emigracja chłopska w Stanach, w Niemczech (na Saxach i Westfalacy), we Francji po roku 1920. Ten kompleks niższości wyczuwam boleśnie dzisiaj we Francji: w moim hoteliku mieszka młoda Polka, wcale przystojna, urodzona w Warszawie, która wita mnie zawsze głośnym *Ça va?* ale dosta-

je paniki, gdy próbuję ją zagadnąć po polsku. Otóż tego kompleksu niższości jest wśród Polaków w Anglii wśród emigracji powojennej niezmiernie mało, można powiedzieć, że nie ma go wcale. Polacy mają poczucie, nawet ci co przybyli jako cywile z obozów w Niemczech, czy z obozów rosyjskich, via cywilne miejsca postojów w Afryce czy w Indiach, że przybyli, jako alian-ci, jako żołnierze, że mają prawo tu być, że są sto razy lepsi od Włochów, od Pakistańczyków, od Żydów i wszystkich innych imigrantów, że ktoś ich reprezentuje, że mają swego wodza, który im przewodzi, że mają swą elitę, której nie potrzebują się wstydząć. To są wszystko duże i cenne atuty. Myślę, że bez *establishment*, bez polskiego ośrodka dyspozycyjnego byłoby przeciętnemu Polakowi na Wyspie ciężiej, bardziej obco, bardziej samotnie. Polak na Wyspie czuje się poniekąd starszym bratem całej Polonii rozrzuconej po świecie, czuje się, jakby Warszawiakiem wobec prowincji. I ta rola mu sprawia w głębi duszy głęboką radość. Bo to też jest jedna z żelaznych podstaw *establishment* londyńskiego — Centralą jest Londyn, politykę polską robi się w Londynie. Poza Londynem można mieć przyjaciół, niekiedy bardzo cennych, niekiedy nawet słuchanych: ale proszę bardzo — stołeczek Waszeci jest o oczko niżej.

A przyszłość? Pomówię o niej w następnym numerze. Lecz przedtem postaram się dać opis głębokich zmian, jakie 20 lat pobytu wywołały w mentalności samego środowiska emigracyjnego.

W.A. ZBYSZEWSKI

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł.

£ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Nowa koncepcja ideologii pomarksistowskiej (dok.)

„Żelazne Prawo” działa w dziedzinie zjawisk kulturalnych zarówno w skali mikro- jak makrokosmicznej, tj. w odniesieniu do stosunków indywidualnych, wewnętrznych czyli mikrokosmicznych czy też społecznych zewnętrznych czyli makrokosmicznych. Teza ta może stworzyć podstawy jednolitej interpretacji psychologicznego upadku natury w obu znaczeniach. W szczególności dotyczy to kultury współczesnej hiperkubistycznej a z kolei uzasadnia obie postawy konserwacjonistyczne: *roztropną* i *psychologiczną*: pierwszą wychodzącą z założenia iż ze względów natury technicznej człowiek *nie może* zwiększać do nieskończoności potencjału kulturalnego i rozmiarów spożycia kosztem rosnącym w skali makrokosmicznej i drugą, głoszącą, iż nawet gdyby mógł to osiągnąć *nie powinien* ze względu na korzyści wynikające z wartości natury psychologicznej i poczucia wolności opierającego się na zachowaniu pewnych terytoriów w stanie dziewiczym. Ale i bez oddziaływania obu postaw konserwacjonizmu w zakresie gospodarki bogactwami naturalnymi, istniałby jeszcze problem czynnika *represyjnego* tkwiącego w samej istocie kultury. I to jest w gruncie rzeczy zagadnienie kluczowe. Ochrona przyrody używana była nieraz nieświadomie jako analogia.

Obie postawy konserwacjonistyczne skonfrontować teraz należy wprost z „Żelaznym Prawem”, jeśli chcemy uświadomić sobie jasno realne jego możliwości. Jak już widzieliśmy, konserwacjoniści *roztropni* są zazwyczaj zapędzani w pułapkę, ilekroć na widowni pojawia się problem „wartości” w toku uzasadniania postulowanych *obecnie* metod ochronnych. Zwolenników postawy konserwacjonizmu *psychologicznego* stać będzie na interpretację i obronę tych wartości tylko w stosunku do zewnętrznej ich

natury i tylko na wąskim i niedostatecznym gruncie teoretycznym.

Możemy już teraz poddać bliższej analizie ogólniejsze oraz *antyrepresyjne* implikacje konserwacjonizmu. Każde najbardziej nawet umiarkowane ograniczenie postępów industrializacji lub zużycia zasobów naturalnych pociągnie siłą rzeczy za sobą odpowiednie redukcje w zakresie absolutnych lub względnych postępów kultury — a więc *represje*. Obniżka stopy przyrostu ludności oddziała podobnie, wpływając na absolutne lub względne obniżki ilości lub jakości dóbr kulturalnych produkowanych przez człowieka, co znów łączy się ze zjawiskiem *represji*; dopatrzyć się można i tu także pewnych pośrednich a dodatkowych jakościowych implikacji *antyrepresyjnych*. Zachowanie wartości bez przyniesienia im uszczerbku występujące w konserwacjonizmie *psychologicznym* ma wydźwięk *antyrepresyjny* zarówno w ściślejszym jak i ogólniejszym znaczeniu.

Obie odmiany konserwacjonizmu znajdują pełne uzasadnienie teoretyczne wtedy tylko, gdy ocenimy je z bardziej ogólnego punktu widzenia. Dlatego pod warunkiem, że wyznajemy pogląd, że tendencje represyjne są zjawiskiem niepożądanym i zbędnym w zakresie zjawisk kulturalnych — z podjęciem akcji wynikającej z założeń konserwacjonizmu *roztropnego* nie należy zwlekać do momentu gdy staniemy wobec muru konieczności technicznych. Dlatego także konserwacjonizm *psychologiczny* nie jest w gruncie rzeczy odosobnioną i pomniejszą sprawą, ale częścią zagadnienia, które przenika wszystkie zjawiska kultury i które dotyczy nadmiernego wyzysku mikrokosmosu wewnętrznego a nie wyłącznie makrokosmosu zewnętrznego.

Ten utajony aspekt postawy konserwacjonistycznej spotyka się właśnie najczęściej z oporami ze strony zwolenników wszelkich odcieni konwencjonalnych ideologii społeczno-ekonomicznych, dla których *jedynym* poważnym problemem jest rzekoma *niewystarczalność* kultury (*i zjawisko represji*). Konserwacjonizm w obu swych odmianach kryje w sobie groźbę rozwiązania złudzeń o wszechwładzy a nawet praktycznej skuteczności (adekwatności) zwykłych sformułowań poglądów społeczno-ekonomicznych. Konserwacjonizm jest więc na tym odcinku, co najmniej potencjalnie, poglądem o wiele bardziej nowatorskim i zakłócającym spokój od dowolnej reformy czy „rewolucji” postulowanej przez układy hiperkubistyczne, mające skłonność do wielorakich form identyfikacji „wolności” z „Postępem” albo dalszym rozwojem potęgi kultury (i towarzyszącym mu zjawiskiem *represji*).

„Żelazne Prawo” podważa niewątpliwie korzenie dostoj-

ných koncepcji „wolności” i „rewolucji” stojących u źródeł społeczno-politycznych wydarzeń od czasów Oświecenia.

Musimy ograniczyć się tu do scharakteryzowania w kilku wierszach trzech odmian pojęcia wolności:

1) wolność w *podstawowym* mikrokosmicznym znaczeniu zupełnego albo względnego braku zahamowań (represji) w zakresie naturalnych funkcji biologicznych i psychologicznych;

2) wolność we *wtórny* makrokosmicznym znaczeniu oficjalnych norm prawnych, politycznych i ekonomicznych, tj. najczęściej spotykanej zwyczajowej interpretacji tego pojęcia, a wreszcie

3) wolność w sensie *teologicznym*, oznaczającym rzeczywiste lub potencjalne bezpieczeństwo owego specyficznie pojętego i zagadkowego czynnika psychologicznego, który określamy mianem duszy i z którym wiążemy pojęcie tkwiącej w nim wszechmocy i nieśmiertelności. Oznacza to rzeczywistość tej samej kategorii, w jakiej serce jest rzeczywistością biologiczną, jeśli nawet *obiektywnie* rzecz biorąc uznamy ją za „irracjonalną” czy iluzoryczną (11).

Dusza może jednak identyfikować się z dowolnym racjonalnym czy też religijnym pojęciem sumienia czy ideologią i, co może najdobitniej znajdowało ongiś wyraz w powszechnym pojęciu związanych z praktykami religijnymi ofiar, jest także zdolna do negacji albo odrzucenia subiektywnego dowolnego obiektywnego czynnika mikro- albo makrokosmicznej represji czy straty.

W ramach obiektywnej oceny podstawowych zasad wolności, rozwój kultury oznacza nieodmiennie stopniową utratę dóbr naturalnych czy też wolności (i to zarówno w znaczeniu przyjętym przez teoretyków ochrony przyrody jak i w całkowitym oderwaniu od tego stanowiska). Świadomość stopniowej lub całkowitej utraty tej ostatniej i potencjalne istnienie czegoś, czego już nadal nie posiadamy lub co już nie istnieje, może niemal nie zakłócać kulturalnego *ego* zwykłego śmiertelnika — albo spotkać się może ze sprzeciwem ze strony wyznawców stanowiska teologicznego. „Żelazne Prawo” nie traci jednak w związku z tym swej użytkowej wartości. W odniesieniu do podstawowego pojęcia wolności wszelkie inne jego ujęcia czy idee wolności są zdecydowanie względne, — konwencjonalne społeczno-ekonomiczne dlatego, iż cechuje je wtórność i powierzchowność ujęcia, teologiczne — dlatego, iż mimo swej głębi są (z obiektywnego jednak a nie subiektywnego punktu widze-

(11) Problemem tym zajął się w sposób niezrównany Otto Rank ze stanowiska psychologii teoretycznej.

nia) czymś niepełnym, zwodniczym i iluzorycznym. Nie oznacza to bynajmniej próby odebrania im wartości subiektywnej, ważności i znaczenia zarówno w sensie religijnym czy rozumowym, niezależnie od tego czy ujawnia się jako „Bóg” czy „wolność”. Historia uczy jednak iż pojęcie to może we wszystkich odmianach przynosić rozczarowania i wprowadzać w błąd w odniesieniu do *obiektywnego* stanowiska innych odmian wolności.

Zarówno dawny jak i współczesny rozwój kultury, zgodnie z tym co powiedziano wyżej, nie wiódł i nie wiedzie nadal w kierunku pozyskania pierwotnej *funkcjonalnej* wolności. Prowadził i prowadzi natomiast w kierunku stałego wzrostu *potęgi* kultury, co niewątpliwie wiąże się z wieloma zbawiennymi aspektami, zdobytymi jednak kosztem ograniczeń pierwotnej wolności funkcjonalnej. Zjawiska te towarzyszyły na wszelkich stadiach (w sensie religijnym i rozumowym) okresowym, masowo doświadczanym zjawiskom z dziedziny wolności w znaczeniu teologicznym i zawsze miały charakter iluzoryczny.

Pesymizm Ricarda i Malthusa zatrzymywał się na przeświadczeniu, iż współczesne im warunki bytowania społecznego ulec mogą co najwyżej znikomej poprawie. Freud i Marx szli dalej: uznawali oni, każdy na swój sposób, iż podstawowe warunki egzystencji ulegają stałemu pogorszeniu.

Stwierdzenie sprzeczności tkwiących w łonie postępującej namiętności kultury było dokonaniem obu tych ludzi u początków ich kariery. Obaj zbliżali się do tego, co staramy się ukazać tutaj jako konkretny i prawdziwy stan rzeczy. W miarę upływu czasu pierwotne diagnozy ich obu skrytykowały się we wprowadzających w błąd kształtach a rozwój ich systemów uległ wypaczeniu.

Zasadniczym osiągnięciem Marxa było zekonomizowanie „Żelaznego Prawa” w jego aspekcie psychologicznym i z właściwymi temu ujęciu konsekwencjami, które już wcześniej wystąpiły u Hegla, między innymi pod postacią bardziej atrakcyjnej idei „alienacji” (wyobcowania).

W psychologicznej w zasadzie koncepcji alienacji, będącej w ostatecznym rezultacie zaprzeczeniem wolności, występują dwa czynniki, różniące się w teorii, choć zasadniczo jeden z nich implikuje drugi. Jeden z nich jest natury teologicznej i w tym znaczeniu alienacja oznacza po prostu utratę (z dowolnego powodu) teologicznej wolności identyfikowania się duszy (albo wiary) z jakimiś formami kultury (i związanymi z nimi formami *represji*). Wolność tę można odzyskać przez teologiczną re-identyfikację z tymi samymi co poprzednio lub innymi formami kultury (i

właściwymi im formami *represji*). W innym sensie pojęcie alienacji zapowiada jednak w bardziej abstrakcyjnej formie freudowską koncepcję obiektywnej funkcjonalnej represji.

W „Pismach ekonomicznych i filozoficznych z r. 1844”, które spoczywały w rękopisie do r. 1927 a w przekładzie na język angielski pojawiły się dopiero w r. 1959, by stać się w ostatnich latach przedmiotem wiele obiecującej dyskusji, Marx posługuje się stale pojęciem alienacji albo wyobcowania zarówno w teologicznym jak i protopsychoanalitycznym jego znaczeniu. Z dużą dozą intuicji psychologicznej, zniekształconej jednak usiłowaniami jej zekonomizowania, Marx mówi wielokrotnie o alienacji „robotnika”, pojmowanej tu zasadniczo w sensie zatraty własnego *funkcjonalnego* czy też „wewnętrznego świata”, zmysłów albo ciała, stosunku do przyrody itp. Komunizm — głosi Marx — musi stworzyć dla wszystkich możliwości żywiołowego „wybuchu zmysłów”.

Nie była to jednak wyłącznie czy w pierwszym rzędzie sprawa „robotnika” choć w innym wczesnym szkicu („Wstęp do Krytyki prawa Hegla”) Marx w sposób zdecydowany utożsamiał powszechnie odczuwaną alienację współczesnego człowieka, czy też „notoryczną zbrodnię popełnianą przez społeczeństwo jako takie” z warunkami bytowania rzekomo najbardziej wyobcowanych proletariuszy albo „robotników”. W rzeczywistości i tu i później za pośrednictwem anamorfozy („robotnik”) Marx dążył w pierwszym rzędzie do przedstawienia sytuacji wyobcowanego *filozofa* uosabiającego doświadczenia kultury racjonalistycznej w ogóle, form jej świadomości (i *represji*), z których w sposób tylko wtórny wywodzi się racjonalizm ekonomiczny.

W tych wczesnych rękopisach, w toku tropienia przyczyn alienacji Marx był na granicy uświadomienia tkwiącej w istocie zagadnienia sprzeczności między pierwotnym mikrokosmicznym pojęciem wolności a całokształtem zagadnień kultury. Tu jednak zbłądził (12). Zboczył od tematu, zwalając winę za wszystko złe na odcinku kulturalnym na demona w postaci kapitalistów i kapitału. Od tego też czasu „kapitał” (uosobiony w postaci kapitalisty lub pojęty abstrakcyjnie) staje się w marksizmie dodatkową i uzupełniającą anamorfozą hiperkubistycznej kultury. „Kapitał” ten związany został z obrazem nieustannego i co-

(12) Na s. 78-83 angielskiego przekładu wydanego w Moskwie, ujmując rzecz ściśle. Ze strony te utrwalają krytyczny zwrot w poglądach Marxa zauważyli już inni a między nimi Norman O. Brown i Robert C. Tucker. Książka tego ostatniego pt. „Philosophy and Myth in Karl Marx” (1961), mimo nieudolnego stosowania psychologicznych koncepcji Horney’a przynosi cenne przyczynki, na które nie zwrócono dotąd dostatecznej uwagi.

raz zachłanniego „wysysania krwi” robotnika (tj. *represji* jego możliwości). Można jednak otrząsnąć się spod władzy wampira przez unicestwienie kapitalizmu, co zdaniem Marxa mogłoby całkowicie wyzwolić „robotnika” z więzów alienacji w wielu jej znaczeniach.

Byłoby to, obiektywnie rzecz biorąc, niemożliwe w warunkach przyrodzonej *podstawowej* wolności, gdyby kultura czy nie miała stałe postępy. We właściwym czasie niewygodny naloł heglowskich koncepcji alienacji, datujących się z wcześniejszego okresu, został dyskretnie wyeliminowany przez marksistów. Gdyby zastosowano je w ogóle, koncepcja pierwotna oznaczała albo teologiczną niewiarę (oczywiście w racjonalistycznym przebraniu) albo stratę w sensie makrokosmicznym, zewnętrznym, prawnym czy materialnym. Odzyskanie wiary, podobnie jak przywłaszczenie czy też socjalizacja własności, godziło się, technicznie rzecz ujmując, z pojęciem Postępu. Głębokie ujęcie pojęcia wolności podstawowej (pierwotnej), cechujące początki marksizmu, zostało później albo zarzucone albo ukryte w ekonomicznym szyfrze. Są wśród tych zaszyfrowań dwa słynne prawa sformułowane przez Marxa: 1) o „stopniowej obniżce stopy dochodu” (dla kapitalistów) i 2) „wzroście nędzy” (u robotnika). (Warto je zestawić ze wspomnianymi wyżej hipotezami Freuda, dotyczącymi dynamiki winy i instynktu śmierci). Oba prawa Marxa okazały się dostatecznie wcześniej nietrafne w ich formalnym makrokosmicznym, prawnym czy ekonomicznym znaczeniu. Trwają one jednak nadal jako świadectwa wcześniejszej mikrokosmicznej głębi.

„Żelazne Prawo” przetrwało w rzeczywistości i działa może nawet w sposób bardziej dotkliwy po rewolucjach marksistowskich. Współczesna idea rewolucji, jako *modus operandi* osiągnięcia wolności zarówno w marksistowskiej jak i innych formach, opiera się na powszechnie panującym kompletnym niezrozumieniu prawdziwej istoty kultury i panujących w niej prądów.

Podczas gdy wiele rewolucji społecznych i przewrotów miało znikome znaczenie, rewolucja w pełnym tego słowa znaczeniu przynosi zasadnicze przemiany psychologiczne, religijne albo natury rozumowej, z gatunku tych, które zapowiadają przejście od jednego do drugiego okresu wielkich przemian ewolucyjnych w dziedzinie ideologicznej czy kulturalnej. Można uzyskać, to prawda, przy pomocy rewolucji pewne swobody drugorzędnej i/albo teologicznej natury na pewien przynajmniej okres, gdy jednak sprawa się toczy o wolność podstawową znaczenie ich leży gdzie indziej. Rewolucja jest w istocie swej owocem

techniki politycznej, za pośrednictwem której społeczeństwo wznosi się na wyższy poziom kultury (i *represji*). Rozlew krwi i ucisk towarzyszący wszystkim rewolucjom nie są sprawą wyboru, przypadku czy braku uzasadnienia, — wyrażają one to, czym w stosunku do podstawowego pojęcia wolności jest dana rewolucja, jakie innowacje kulturalne niesie z sobą i jakie wartości uosabia. Zabieg ten może być i jest zazwyczaj związany z *teologicznym* aspektem pojęcia wolności, które jak wskazaliśmy już wyżej, posiada osobliwą własność przekształcania, przynajmniej na pewien czas obiektywnie *wyższego* stopnia represji podstawowej w poczucie subiektywnej wolności, wszechmocy i nieśmiertelności. Na dodatek występuje tu także obiektywny wzrost znaczenia działalności kulturalnej w pewnych jej formach.

Właśnie dlatego ci, którzy nie mogą pojąć dwuznaczności pojęcia „wolność” byli od dawna, i prawdopodobnie będą nadal, wprowadzani w błąd, konfundowani i obezwładniani przez wydarzenia natury rewolucyjnej, jeśli, rzecz prosta, nie pójdą po linii świadomego identyfikowania samych siebie z represyjnymi aspektami rewolucji. Naiwniejsi mogą jednak wyobrażać sobie, że te lub inne rozczarowania związane z dowolną rewolucją były czymś całkowicie zbędnym, niekoniecznym. Mogą również myśleć, że winę za nie ponoszą zatruwające atmosferę resztki dawnych ideologii albo tłumaczyć sobie, że rewolucja została „zdradzona” przez wyłonienie się „nowej klasy”, którą z kolei należałoby ukrócić wywołaniem nowej rewolucji. Wtórne nieporozumienia tego typu utrwalają tylko inne, bardziej zasadnicze a dotyczące bezpośrednich związków zachodzących między zjawiskami kultury a wolnością. Mogą z tego wynikać wielkie szkody. Np. jako reakcja na sowiecką częściową i bardzo dotąd powierzchowną realizację niepokrywania się (nie-identyczności) tych pojęć, — co jest psychologiczną podbudową zbliżania się wszelkich Thermidorów. (13). Zwolennicy neo-Stalinizmu w Chinach i im podobni starają się odtąd wznowić pierwotny chaos;

(13) Za moment krytyczny uznać należy demaskującą Stalina mowę Chruszczowa z r. 1956, nasuwającą analogie z wystąpieniami, których ofiarą padł Robespierre w czasie Konwencji w dn. 8-9 Thermidora. (Doszukiwanie się wcześniejszych „Thermidorów” sowieckich przez Trockiego czy Crane Brinton’a wydaje się przedwczesne). Ani francuski ani sowiecki Thermidor nie był zasadniczym zwrotem w kierunku „reakcji” ani powrotem do pierwotnego stanu rzeczy, gdyż kultura wzniosła się w międzyczasie na wyższy stopień poczucia odpowiedzialności i mikrokosmicznej *represji* (w podtrzymywaniu których wszelkie nastąpić mające liberalizacje miały znaczenie względne i drugorzędne). Thermidor oznacza jedynie zelżenie zawsze iluzorycznych czynników natury *teologicznej*; nie towarzyszy mu negacja podstawowych *obiektywów* rewolucji.

wzywają przeto do dalszych czy nowych rewolucji, które zwłaszcza w obecnym układzie rzeczy mogą tylko przyspieszyć tempo i tak już szybkich postępów szaleństwa.

Zbliżamy się obecnie do zagadki totalitaryzmu, który uchodzi za „notoryczną zbrodnię popełnianą w naszej epoce przez społeczeństwo jako takie”. Problem ten uważano za niemożliwy do ogarnięcia tylko dlatego, że analizowano go w kontekście poglądu, iż wzrost kultury i wolności idzie ręką w rękę i wzajemnie się pokrywa. O ile zdołamy uchwycić prawdę, iż w rzeczywistości zachodzi stosunek *odwrotności* łatwiej będzie dostrzec dlaczego zjawisko totalitaryzmu nie da się „wyjaśnić” jako tylko i wyłącznie arbitralne, przypadkowe, bezcelowe czy chwilowe obchylenie od norm kulturalnych. Nie wyjaśnia go także domysł oparty na założeniu, że konwencjonalne motywy działania natury społeczno-ekonomicznej, logicznej czy wreszcie hedonistycznej, determinują postępowanie człowieka czy rozwój kultury. Zakrawałoby na ironię gdyby intelektualści sowieccy byli pierwszymi odwołującymi się z powodzeniem do Freuda w poszukiwaniu wyjaśnienia tego problemu — są pewne poszlaki, że niektórzy z nich idą tym torem myślenia (14). W totalitaryzmie obnaża się bez reszty podstawowa zasada współczesnej kultury hiperkubistycznej doprowadzona do jej „totalnej” czy też najdalej posuniętej ostateczności. Kryją się w niej dwa aspekty natury psychologicznej: jednym z nich jest powracający od najdawniejszych czasów element „tajemnicy”, kryjący się w teologicznym pojęciu wolności, którą totalitaryzm ma reprezentować we współczesnym nam ujęciu. Pewną nowością jest występujący w totalitaryzmie i bardzo dla niego typowy element mikrokosmicznego funkcjonalizmu, nadbudowa hiperracjonalnych metod represji uznawanych w danej chwili za ogólnie i przymusowo obowiązujące. Do długiego ciągu kulturalnej negacji natury dochodzi jeszcze jeden i to szczególnie dręczący obrót zaciskającej się śruby.

W toku totalistycznej rewolucji, dążącej do zniszczenia opartego na zasadach zdrowego sensu czy też mieszczańskiego (*bourgeois*) porządku rzeczy, wzrasta oczywiście znaczenie zjawisk natury teologicznej, które na przestrzeni dziejów towarzyszyły zawsze i subiektywnie hamowały podnoszenie się kultury na obiek-

(14) W bardzo interesującym artykule Lewis’a S. Feuer’a o kontaktach z intelektualistami sowieckimi czytamy: „Zapytałem go z kolei, jak on sam, badacz stosunków społecznych, mógłby wyjaśnić okres stalinowski. Po chwili zastanowienia powiedział bez ogródek: „Era stalinowska da się wyjaśnić, jeśli odwołamy się do kategorii Freuda”. Nie chciał rozводить się nad tym dalej...” („The New York Times Magazine”, z 18 sierpnia 1963).

tywnie wyższy stopień albo poziom represji. Dla osiągnięcia tego, przynajmniej w początkach, niezbędna jest, jak się zdaje, makrokosmiczna potęga polityczna i towarzyszące jej formy uciску. Dalszym ich następstwem są zazwyczaj zakrojone na szerszą lub węższą skalę mordy tych wszystkich, którzy obecnie, potencjalnie czy hipotetycznie reprezentują sprzeciw i oceniani są pod kątem *represji* a nadto uznawani za kulturalnie niedorośli i opornych. Drugorzędne znaczenie ma tu fakt, czy ideologia totalitarna przebiera się w formy rasowe, nacjonalistyczne czy marksistowskie ekonomiczno-klasowe. Te ostatnie zbliżają się jednak najbardziej do form obiektywnego rozwoju kulturalnego wytyczonych przez Oświecenie i dlatego, przynajmniej w stadiach początkowych mogą uchodzić za „normalny” i w pełni zasługujący na poparcie ich ciąg dalszy. We wszystkich tych wypadkach istota totalitaryzmu kryje się w teologicznym zabiegu przekształcania czynnika racjonalnego w hiperracjonalne formy potężnej władzy kultury (i jej *represji*).

Największą słabością Zachodu w jego ciągnącej się od dawna walce z totalitaryzmem była, i jest nadal, jego słabość teoretyczna i ideologiczna, a nie ekonomiczna, militarna lub polityczna, ale ta właśnie słabość powoli wyniszcza źródła siły Zachodu na innych polach. Marksizm choć jako teoria zwoźniczy jest sobą bez reszty, podczas gdy zachodnie ideologie pre-marksistowskie są bardziej realistyczne i opierają się na obiektywnie znacznie wyższym stopniu politycznej i funkcjonalnej wolności — ale i to jest w gruncie rzeczy powierzchowne (15). Należy przeto wzmocnić silne pozycje Zachodu nowym zastrzykiem argumentów teoretycznych.



W ostatnich czasach należało do dobrego tonu (dziś nie jest to już tak modne) mówić o „pokoju”, o „prawach oby-

(15) Wolfgang Leonhard, Niemiec z pochodzenia, wychowany i przeszkolony w Rosji z myślą o przygotowaniu go do przyszłej roli członka wschodnio-niemieckiego marionetkowego rządu, opisuje w „A Child of Revolution” (1955-1958) jak członkowie Partii nie byli ani poruszeni ani podnieceni, ale po prostu znudzeni słuchaniem zachodnich audycji radiowych na temat społeczno-ekonomicznych rygorów rządów komunistycznych i przeciwstawiających się im swobód i rosnącego dobrobytu Zachodu. Kontrasty te były bardziej doceniane raczej przez intelektualistów komunistycznych, którzy jednak uważali je za „nieistotne”. Gdzie kryje się w tym jakaś alternatywna możliwa do przyjęcia teoria historii czy społeczeństwa? „Wolność oznacza dla nas świadomość historycznej konieczności”. Zachód nie może w tym ujęciu dać nam nic, „co mogłoby pomóc... w tworzeniu czegoś, co można by przeciwstawić stalinizmowi” (s. 385).

watelskich" i o „nędzy" jako „podstawowych" zagadnieniach naszej epoki. Z wielu stron domagano się zrewolucjonowania sytuacji na jednym lub wszystkich trzech tych odcinkach. Stara marksistowska maksyma o walce klas, aczkolwiek zasadniczo zwodnicza, była i jest nią najmniej, gdy szło o sedno sprawy. Jeśli nawet przejdziemy do porządku nad niejasnością pojęcia rewolucji jako takiej, co rozważaliśmy już poprzednio, żadna z nowszych pomniejszych ideologii „rewolucyjnych" nie domaga się i nie zamierza wprowadzać zasadniczych zmian do kultury współczesnej. Co więcej, według wszelkiego prawdopodobieństwa najskuteczniejsze środki zaradcze, mające zapobiec drugorzędnym rozdzwiałom nie powinny wyprzedzać, ale być wynikiem naturalnego biegu rzeczy, pewną formą rozwiązania wskazanych wyżej problemów wielkiej wagi.

Tendencje aktualne kryjące się poza „ruchem pokoju", w całości lub częściowo nieuświadamiiane, idą w kierunku rezygnacji z kierowania sprawami kulturalnymi na rzecz totalitarystów i czekania na cud z założonymi rękami. Siłą rzeczy, strategia ta wymaga, i to w stopniu coraz wyższym, fałszowania autentycznych wyników obserwacji i osądów czynnikiem nieuzasadnionego optymizmu i odwodzi większość adherentów od znacznie trudniejszych poszukiwań nowych teoretycznych i praktycznych alternatyw.

Prawa obywatelskie — albo ujmując rzecz dokładniej — zagadnienie uprzedzeń rasowych — jest zawiłym problemem natury psychologicznej, niemożliwym do rozstrzygnięcia w ramach konwencjonalnego myślenia społeczno-ekonomicznego. Możemy wspomnieć tylko na marginesie, że w problemie uprzedzeń rasowych tkwią w sposób oczywisty różnicowania kulturalne (i związane z nimi *represje*) i towarzyszące im nieporozumienia natury teologicznej, zachodzące zawsze pomiędzy grupami społecznymi. „Uprzedzenia" społecznie górującej rasy skierowane przeciw innej opierają się zawsze na założeniu, iż cierpi ona na kulturalny (i *represyjny*) kompleks niższości.

Opary tych poglądów snują się dotąd w stosunkach pomiędzy białymi i czarnymi w przestarzałych i wypaczonych formach. Jedną z wielu dwuznaczności tkwiących w tym problemie jest ta, że „wolność", której domagają się czarni ma wyrażać się realną a nie po prostu formalną równością w sensie prawnym, co z kolei, siłą rzeczy, domaga się zaakceptowania przez czarnych brzemienia wyższej kultury białych (i związanych z tym *represji*) i porzucenia zazwyczaj dalej posuniętej mikrokosmicznej wolności pierwotnej (w dużym stopniu już uśmierczonej na skutek niewątpliwych nadużyć władzy

ze strony białych). Nie ulega wątpliwości, iż czarni musieli by zapłacić tę cenę za uzyskanie prawdziwej równości — sednem sprawy jest jednak inny aspekt dwuznaczności wszelkiego kulturalnego postępu w ramach oddziaływania „Żelaznego Prawa”. Społeczny problem uprzedzeń rasowych może być rozwiązany najskuteczniej przez stosowanie polityki opartej na zrozumieniu czynników psychologicznych i stosującej środki wpływające na zmniejszenie stopnia różnic kulturalnych między rasami. Jako cel ostateczny wysuwa się zazwyczaj podnoszenie poziomu kulturalnego Murzynów. Przyjmuje się, że biali muszą także „iść naprzód” — a cóż będzie jeśli czynić to będą w tempie szybszym od Murzynów? Przepaść kulturalna nie da się nigdy zamknąć w tych warunkach. Ale, jak wystąpi to wyraźniej w toku rozważań o problemie nędzy, zazębiającym się pod niektórymi względami z rasowym, może być, łatwiej będzie zatrzeć szybciej ów przedział między problemami kulturalnymi a rasowymi jeśli określi się *pułap* ogólnego *postępu* kulturalnego, pozostającego obecnie pod zdecydowanym wpływem białego człowieka.



Pośród trzech problemów skupiających obecnie uwagę publiczną najczęściej wysuwa się jako argument na rzecz niezbędności nie tylko kontynuowania ale nawet przyśpieszenia rozděcia Hiperkubu, problem nędzy szerzącej się zarówno w kraju jak i poza jego granicami. Ponieważ za tezę tą kryją się niewątpliwie argumenty przemawiające na jej korzyść wypada dłużej się nad nią zastanowić.

Definicja „nędzy” jest czymś wysoce problematycznym. Trzeba po pierwsze przyjąć, iż zarówno w stosunku do jednostek jak poszczególnych krajów wskaźnik materialnej obfitości nie może być utożsamiany ze wskaźnikiem *ogólnego* dobrobytu. Liczne aspekty ludzkiego bytowania wymykają się statystykom ubóstwa a, jak dowodziliśmy wyżej, pomiędzy dobrodziejstwami podstawowej wolności a postępek kulturalnym (z postępek materialnym włącznie) zachodzi stosunek odwrotności.

Nie wynika z tego bynajmniej, że nędza nie istnieje lub że powinniśmy przechodzić nad nią do porządku. Należy jednak bliżej zanalizować to zjawisko a najskuteczniej można to uczynić tylko w szerszym kulturalnym kontekście.

Czym jest „nędza”? W potocznym użyciu termin ten jest wysoce względny i w zasadzie oznacza położenie ekonomiczne poniżej poziomu dowolnych norm kulturalnych. W Ameryce

przeto określa się ostatnio jako nędzę sytuację wytworzoną przy zarobkach niższych od 3000 dolarów rocznie. W Europie jednak, nie mówiąc o innych częściach świata, większość amerykańskich biedaków byłaby uznana za ludzi całkiem zamożnych.

Przeocza się często pewną osobliwość wiążącą się z problemem względnego ubóstwa, to mianowicie, iż jest ono czymś stale *odmieniającym* się w miarę wzrostu *bogactwa*. Przy podnoszeniu się standardu życiowego czy też przeciętnych norm ekonomicznych podwyższa się automatycznie wskaźnik „nędzy”. Wynika stąd, iż ludzie których standardy życiowe nie ulegają proporcjonalnej zwwyżce stają się pozornie coraz ubożsi. W Ameryce w ciągu najbliższego dziesięciolecia czy dwudziestolecia jednostki nie mogące sobie pozwolić na kolorową telewizję czy więcej niż jeden samochód mogą być uznawane i prawie nieuchronnie same uważać się będą za biedaków.

Nie w tym jednym kierunku *wzrost* wskaźników ogólnych wiedzy za sobą ubóstwo. Wielu nędzarzy jest ofiarami postępu wiedzy technicznej, które sprawiły, iż posiadane przez nich zasoby, fach czy warunki życiowe uznawane są obecnie za przestarzałe, choć wystarczały najzupełniej na niższym poziomie kulturalnym. Typowych przykładów w tym względzie dostarczają małorolni farmerzy albo niewykwalifikowani (albo szkoleni według przestarzałych wymagań) robotnicy. Społeczne efekty cybernetyki są powszechnie znanym przykładem ze współczesności. Warunki egzystencji na niskim poziomie ekonomicznym także ulegają stale pogorszeniu lub zniszczeniu na skutek wzrostu poziomu kulturalnego a także wzrostu zaludnienia. Wszystkie te czynniki wpływają po swojemu na całokształt problemu nędzy *stworzonej* na skutek *postępu*. Rozwiązanie lub przynajmniej złagodzenie tych samorodnych problemów „nędzy” może wywołać potrzebę coraz kosztowniejszej pomocy.

Analogiczne uwagi dotyczą *mutatis mutandi* stosunku wskaźników ekonomicznych w odniesieniu do krajów przodujących gospodarczo i tzw. „zacofanych”. Wrócimy jeszcze do tego tematu.

Ze względu na zdecydowanie problematyczny charakter pojęcia względnej nędzy czyniono wiele wysiłków w kierunku wprowadzenia rozróżnienia pomiędzy podstawowymi i istotnie niezbędnymi potrzebami oraz potrzebami wtórnymi wynikającymi z wyrosłych poza nimi potrzeb kulturalnych.

Podstawowa (skrajna) nędza może więc znaczyć niedostatek żywności, odzieży i schronienia na poziomie koniecznym do utrzymania życia czy też uniknięcia cierpień fizycznych. Nędza tak pojęta praktycznie nie istnieje w Ameryce i krajach

zachodnich w ogólności i nawet w niezmodyfikowanych (16) częściach świata, aczkolwiek wielu ludzi może tam egzystować w stanie niepewności albo żyć w warunkach równających się w pewnych okresach skrajnej nędzy. Ale „trudno wykazać przy zbiorowej ocenie warunków życia by wskaźniki przeciętnego spożycia odbiegały [tam] w sposób uderzający od pewnego podstawowego minimum” (17). Śmiertelność i statystyki chorobowe są w tych regionach o wiele wyższe niż na Zachodzie, co jednak jest, jak się zdaje, nie tyle wynikiem wyniszczenia ubóstwem z dnia na dzień ale raczej braku nowoczesnej służby zdrowia i pomocy lekarskiej. Rozbudowa ich w tych pozbawionych nowoczesnych dobrodziejstw krajach jest niewątpliwie nad wyraz pożądana (a dodatkowe wynikające z tego koszty są względnie niskie). Ściśle rzecz biorąc brak ich nie wchodzi jednak formalnie do ram definicji podstawowej (skrajnej) nędzy.

W ramach tej definicji skrajna nędza nie występuje nigdzie jako problem masowy. Inaczej ma się jednak sprawa z problemem *względnej* ubóstwa, który występuje obecnie nawet w najzamożniejszych społeczeństwach. Wydaje się, że będzie on zawsze ich udziałem, bo „standardy życiowe” nie będą tam nigdy uznawane za dostatecznie wysokie czy nawet zbyt wysokie. W świetle ostatnich wypowiedzi na temat problemu wiecznej nędzy zarówno „burżuazyjni” jak socjalistyczni ideologowie zdają się wyznawać pogląd podobny. Ci ostatni akcentują jedynie mocniej istotę zjawiska, pragnąc pod egidą „wolności” przyspieszać jeszcze bardziej postępy kultury.

Do pomyślenia jest jednak spojrzenie z innego punktu widzenia a więc stwierdzenie, że *gdzieś* „dosyć” oznacza „dosyć” i że kładzie to kres problemowi „nędzy”, który może zniknąć bez reszty. Idea ta nie jest bez precedensu. Co moglibyśmy tu dodać jest dalszym jej uzasadnieniem w ramach ogólnej analizy stosunku kultury do pojęcia podstawowej wolności.

Przyjmijmy pośpiesznie założenie, iż jest rzeczą konieczną i pożądaną zaakceptowanie większości już istniejących a z takim trudem rozwiniętych dobrodziejstw rozwoju kultury. Istnieją jednak całkiem uzasadnione powody przeciwstawiania się powszechnemu ich rozszerzaniu w skali wyższej niż osiągnięta już na Zachodzie. Nie toczy się obecnie żadna „wojna z nędzą”, choć ten poniekąd paranoiálny slogan zdaje się być równie popularny zarówno u mieszczkańskich jak i socjalistycz-

(16) Używamy tu określenia „niezmodyfikowany” dla uniknięcia pejoratywnych implikacji określenia „niedorozwinięty” (*underdeveloped*).

(17) Simon Kuznets: „Regional Economic Trends and Levels of Living”, w PWP, s. 113.

nych Filistynów. Unika się tylko w ten sposób uczciwej konfrontacji i walki ze znacznie poważniejszymi trudnościami.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że podnoszenie się amerykańskich czy zachodnich dołów z niskiego czwartego czy piątego na nieco lepszy poziom nie jest czymś wysoce pożądanym. W krajach skandynawskich, gdzie zarobki *per capita* osiągają przeciętnie połowę dochodów Amerykanina jest to już sprawą dokonaną. Za cenę zaledwie ok. 11 miliardów dolarów tj. mniej niż 2% budżetu GNP możnaby „znieść z powierzchni ziemi nędzę” w Ameryce i podnieść do poziomu 3000 dolarów rocznie wszystkie niższe od tej sumy zarobki. (18). Można by to wprowadzić w życie z myślą o ostatecznym ustaleniu ogólnego ekonomicznego poziomu („podłogi”).

Sprawa to niewątpliwie ważna ale o wtórnym znaczeniu w stosunku do problemu ustalenia powszechnego ekonomicznego „pułapu”. W Ameryce przynajmniej powszechnie występujący czy przeciętny standard życia nie tylko nie narzuca konieczności szybkiego wzrostu ale może być nawet oceniony jako już *zbyt wysoki*.

Brane są tu pod uwagę różne kryteria: 1) zarysowująca się konieczność wprowadzenia zasad *roztropnego* konserwacjonizmu w skali domowej i światowej; 2) występująca już teraz dążność do wprowadzenia zasad konserwacjonizmu *psychologicznego* w dziedzinie gospodarki dobrami naturalnymi; 3) ponad wszystko występująca wyraźnie intencja unikania dalszej zwyczajki mikrokosmicznych kosztów na akcję związaną z tłumieniem (*represją*) przerostów hiperracjonalnej kultury zarysowujących się obecnie; 4) względ natury wewnątrzno-krajowej a także i w szczególności międzynarodowej etycznej i politycznej, gdyż staje się rzeczą wysoce niewłaściwą i nawet niemożliwością ignorowanie olbrzymiego zróżnicowania między rozpanoszonym przepychem i marnotrawstwem na jednej szali wagi a niedostatkiem na drugiej. Pozycja Ameryki sprzyja znakomicie temu, by dać światu wzór, iż zamiast odwiecznej „walki z” — zawrzeć można ostateczny i stały „rozejm z nędzą”.

Ameryka nie tylko nie ucierpiałaby, ale nawet zyskała fizycznie, intelektualnie i emocjonalnie zadowoliliwszy się nieco *zredukowanym* „standardem życia”. Każdy z Amerykanów mógłby np. spożywać o 10% mniej żywności (zalecenie takie skie-

(18) Zapewnienie tego dochodu tym wszystkim, dla których jest on niezbędnie potrzebny było ostatnio sugerowane przez grupę „Potrójnej Rewolucji”. Nie jest to, zasadniczo biorąc, zły pomysł, ale ogólne ich podejście do problemu jest b. powierzchowne i nacechowane brakiem krytycyzmu w stosunku do podstawowych prądów kulturalnych.

rowała ostatnio pod adresem przeciętnego Amerykanina Narodowa Akademia Nauk); można by ograniczyć o 20% zaludnienie; o 50% ilość samochodów; o 95% — odrzutowców i przystosowanych do ich lądowania lotnisk (reszta winna służyć tylko w razie konieczności), o 100% telewizorów itp.

Oceny te są oczywiście arbitralne i podlegające dyskusji. Możliwe są różne inne. Sprawą zasadniczą jest jednak to, że wszystkie one są możliwe do zrealizowania w innym kontekście ideologicznym. Trudności natury politycznej i technicznej związane z przejściem od ekonomii rozrostu do stabilizacji muszą tu być także brane pod uwagę i nie mogą być niedoceniane.

W krajach niezmodyfikowanych problem nędzy ma zupełnie inny charakter, gdyż są one nadal dalekie od hipotetycznego poziomu zadawalającego i znajdują się nadal w bliskim sąsiedztwie a nawet są często narażone na niebezpieczeństwo stoczenia się na niziny skrajnego ubóstwa. Co więcej częściowa tylko modernizacja (np. stosowanie zachodnich metod lekarskich) pogarsza jeszcze problem jako taki przez obniżenie śmiertelności i przyczynianie się do gwałtownego wzrostu ludności nie nadążającego za postępem kultury. Niezależnie od tego *względna* nędza (w zestawieniu z zachodnimi wskaźnikami stopy życiowej) utrzymywać się będzie na tym samym poziomie a nawet zdradzać tendencję zwyżkową.

Powstaje przeto problem ustalenia najlepszych metod rozwoju krajów niezmodyfikowanych, jeśli istotnie kuszą je normy życia przyjęte na Zachodzie. Choć zakrawa to na paradoks będzie to łatwiejsze do osiągnięcia i wprowadzane w życie mniej boleśnie w kontekście ewentualnej stabilizacji kulturalnej Zachodu.

Żle się stało, że zachodni zwyczaj stawiania znaku równania między zdobyczami kultury a wolnością, przyswojony został przez elity państw niezmodyfikowanych. Utrudnia to albo uniemożliwia zainteresowanym rozważanie różnych rozwiązań, w których problem nędzy występuje jako następstwo nie tylko *niedostatecznego* zaopatrzenia w dobra kulturalne ale także jako skutek ich *nadmiaru*.

Zastosowanie zdobyczy zachodniej wiedzy lekarskiej sprawiło, że uznawane dotychczas za „normalne” stopy śmiertelności w krajach niezmodyfikowanych spadły raptownie podczas gdy stopa przyrostu ludności nie uległa większym zmianom. Następstwem tego jest olbrzymi wzrost zaludnienia, któremu towarzyszy zwyżka zużycia bogactw naturalnych, (których zasoby różnią się w sposób b. znamieny w różnych kulturach). Bez proporcjonalnego wzrostu potęgi ekonomicznej następstwem tego była-

by ogólna (choć oczywiście nie *per capita*) względna nadkonsumpcja i katastrofalny spadek ekonomiczny w kierunku podstawowej (skrajnej) nędzy. Aby utrzymać się w ramach dawnych standardów życiowych ów wzrost zaludnienia narzucił konieczność postępu kulturalnego. Aby osiągnąć konkretne wyniki w tej dziedzinie kraje niezmmodernizowane musiałyby zdobyć się na wzrost w skali wyższej niż czynił to Zachód. Z najwyższym jednak trudem zdołały one utrzymać się na jakim takim poziomie zarówno we własnej ich skali jak i w porównaniu z Zachodem, mimo olbrzymich dawek ekonomicznej, technicznej i edukacyjnej pomocy Zachodu i drastycznych nacisków społecznych w kierunku zwiększenia produkcji (niszczących nieuchronnie stare kultury i niższe stopnie ich mikrokosmicznego zahamowania). Niektóre z tych krajów cofnęły się, inne poczyniły skromne postępy. Wszystkie jednak w związku z brakiem dostatecznej pomocy Zachodu są obecnie smakowitym celem ofensywy argumentacji totalistycznej głoszącej, iż bicz hiperracjonalnej ideologii musi bezlitośnie karcieć opieszałe kultury. (Może to przybierać formy oświadczeń bezpośrednich albo nawoływania do użytkowania „wolności”).

Gdyby wzrost ludności ulec mógł stabilizacji umożliwiłoby to przyspieszenie tempa postępu kultury w niezmmodernizowanych krajach *bez* narażania ich na dodatkowe niedomagania totalitaryzmu. W tym właśnie szczególnym znaczeniu uważać je należy za „przeludnione”, ponieważ można utrzymywać, że nie byłyby nimi, gdyby modernizacja ich uległa przyspieszeniu. Rozwiązanie to uważa się za pożądane i o wiele bardziej wskazane od zmniejszania przyrostu ludności.

Przeświadczenie o wszechmocy produkcji sprawia, że konwencjonalny sposób myślenia na Zachodzie wyklucza zazwyczaj możliwość takiej redukcji i przekłada nad nią składanie dalszych (choć może skromniejszych od totalistycznych) oblat na ołtarzu Hiperkubu. Ewentualność ta zarysowała się jednak jasno przed co najmniej 12 laty — i gdyby w owym czasie sformułowano i wprowadzono w życie wytyczne stabilizacji, zbieralibyśmy już dziś ich owoce. Zainwestowanie sumy plus-minus miliarda dolarów w badania nad środkami antykonceptyjnymi i szersze uświadomienie mieszkańców globu zmniejszyłoby prawdopodobnie o dziesiątki milionów ludność krajów niezmmodernizowanych, w których oznaczałoby to wyraźną poprawę *per capita* w obecnym stanie pogranicza nędzy. Ponieważ nie uczyniono tego, ewentualność takiej poprawy uległa co najmniej całkowitemu wchłonięciu przez dalszy przyrost ludności. Poczynione dotąd skromne próby pomocy w związku z tym problemem

a także pewne wysiłki w ramach działalności Narodów Zjednoczonych spotykały się z poważnymi oporami ze strony odwiecznych ideologii *Zachodu* (19).

Aczkolwiek sytuacja uległa ostatnio dalszemu pogorszeniu istnieje nadal możliwość odwołania się do stabilizacji zaludnienia jako środka poprawy. Do wprowadzenia jej w życie konieczne jest zrozumienie uniwersalności problemu. Wszelka akcja w tej dziedzinie w wyniku ostatecznym opierać się musi na powszechnie odczuwanym pragnieniu ustabilizowania stosunku odwrotności zachodzącego pomiędzy Przyrodą a postępami kultury. Szersze i głębsze spojrzenie na zarówno nasz własny, zachodni, jak i światowy problem „przeludnienia” jest koniecznym warunkiem przyjścia ze skuteczną pomocą krajom niezmodyfikowanym.



W ciągu minionego dziesięciolecia mogliśmy stopniowo dojść, startując ze stanowiska konserwacjonizmu i wielu innych, do podstawowych założeń po-marksizmu opierających się na przeświadczeniu iż stoimy wobec *stosunku odwrotności* pomiędzy Przyrodą (albo podstawową wolnością) a postępami kultury. Nie możemy ich zidentyfikować ani odrzucić przy pomocy rozumowania hiperkubistycznego czy też pojęcia klasy rzekomych „wyzyskiwaczy”. Dylemat zasadniczy nie ulegnie złagodzeniu, a nawet jak wykazaliśmy, może się tylko pogorszyć przy zastosowaniu zwodniczego lekarstwa „rewolucji”. A także, że pod auspicjami marksistowskimi w stopniu może nawet wyższym od poprzednich, kultura odrywa się coraz bardziej od Przyrody zarówno w mikro- jak i makrokosmicznym sensie, sprawiając, iż coraz więcej dających się poprzednio uprawiać dziedzin doświadczeń ludzkich traci grunt i chyli się ku upadkowi.

Oficjalnym zawołaniem Hiperkubistów jest „wolność”. Nieoficjalnym ich mottem mogłyby być słowa Dostojewskiego: „Człowiek jest zwierzęciem, które może się przyzwyczaić do wszystkiego”. *Może* — kto wie (choć nie jest to tak całkiem pewne) — ale czy *musi*?

Pytanie to należy stawiać i rozpatrywać głębiej, dokładniej i natarczywiej niż dotychczas. Aby ująć je właściwie trzeba nam nowych ogólnych założeń filozoficznych, dających się

(19) Indie, Egipt i Japonia poczyniły na własną rękę duże postępy w tej dziedzinie ale tylko w Japonii mówić można o poważnym sukcesie.

określić w braku lepszego terminu jako *konserwacjonizm dogłębny* (*depth conservationism*). Przedmiotem ochrony będą — w granicach możliwości — wszystkie zarówno mikro- jak makrokosmiczne wartości kulturalne, które już padły ofiarą lub stają się łupem — *kultury*.

Ta alternatywa ideologiczna obejmować może przyjmowany powszechnie w sposób może raczej powierzchowny ideał ochrony *politycznych* organizacji społeczeństw zachodnich i niezachodnich przed dalszą erozją ze strony totalitaryzmu, Wchłonię także i będzie niewątpliwie wzmacniać i pogłębiać działalność z zakresu ochrony przyrody, leżącą w zakresie zarówno *roztropnego* jak i *psychologicznego* konserwacjonizmu.

Potencjonalnie mieści się także w owym konserwacjonizmie *dogłębnym* i może być przezeń wyzyskane to wszystko, co w historii myśli i wrażliwości ludzkiej uchodzi za głębokie, za próbę dociekania sensu „Żelaznego Prawa” albo doszukiwania się stłumionych treści pod skorupą normalnego albo pogańskiego kulturalnego egotyzmu — to znaczy ogólnie mówiąc to wszystko, co uważamy za „głębokie”. W pewnych formach konserwacjonizmu *dogłębnego* może on w ostatecznym swym kształcie stać się ośrodkiem skutecznego *antyrepresyjnego* działania politycznego.

Tak sformułowane nowe podejście do zrozumienia prawdziwego stosunku do przyrody (przy ujęciu zewnętrznym i wewnętrznym) i kultury zdaje się być warunkiem wstępnym do podjęcia mającej realne szanse kampanii politycznej zmierzającej do zahamowania przekraczającej wszelkie granice ekspansji przerostów kulturalnych — a także, ponieważ dominującą nutą naszej kultury jest racjonalizm — w wyniku ostatecznym nasuwającej także możliwości zahamowania przerostów racjonalizmu.

Nie wymyka się myśli konserwacjonistycznej, choć może nie jest uświadamiane dostatecznie, iż stosunek współzależności cechuje większość przerostów kulturalnych. To znaczy, że nie można np. ograniczyć postępów industrializacji czy spożycia, bez ograniczenia przyrostu zaludnienia (jeśli wskaźnik poziomu życia ma nie ulec zmianie). Nie da się ograniczyć przerostów w dziedzinie życia politycznego czy szkolnictwa bez ograniczenia industrializacji itp.

Oznacza to dążenie do zachowania tych podstawowych swobód i naturalnych zasobów Przyrody, które dziś są w naszym zasięgu bez zbytniego zwiększania (a nawet z możliwością zrezygnowania z niektórych form) ciężkiego brzemienia kultury; i przez zmiany w podziale energii i zasobów *w obrębie*

utrzymującego się obecnie poziomu *represji*, by niejako zatrzymać wyciekanie Przyrody do kultury. Można by zapewne odzyskać to i owo ze strat związanych z działaniem „Żelaznego Prawa” zarówno w literalnym jak i mikrokosmicznym sensie. Nie oznaczałoby to dosłownego zahamowania czy ograniczenia wysiłków ludzkich ale selektywne ich skierowanie w dziedziny o charakterze mniej destruktywnym w stosunku do Przyrody a nawet całokształtu przedsięwzięć kulturalnych. Wiele może nawet bardziej twórczych możliwości kryłoby się w *obrębie* nowego kontekstu.

Ujmując rzecz obiektywnie człowiekowi grożą nieuchronnie dalsze ograniczenia swobód podstawowych. Jeśli jednak wydostaniemy się z zaczarowanego kręgu Hiperkubu w zasadzie przynajmniej otworzy się możliwość *obiektywnego wzrostu*.

W jakim jednak momencie i dlaczego właśnie w tym punkcie należałoby utrwalić stan pewnej ogólnej równowagi? Rozwiązanie tego zagadnienia nasuwa zawiłe i fascynujące problemy mogące stać się głównym przedmiotem dyskusji politycznych w przyszłości. Bezpośrednio dotyczy nas teraz jednak problem uznania słuszności *zasady stabilizacji* (— wydaje się, iż zależy on z kolei od teoretycznego uznania „Żelaznego Prawa”), a następnie ustalenia samej możliwości wyboru. Nie mamy jej obecnie mimo mnóstwa powierzchownych dyskusji na temat poprawienia „jakości” naszej kultury. Jesteśmy ciągle w szponach ideologicznego automatu, który zmusza nas stale do przystosowywania się do wymagań pozornie wszechmocnego i nieodpartego Hiperkubu.

Jest jednak do pomyślenia, że punkt wyjściowy przyszłej stabilizacji nie będzie mógł być określony poniżej osiągniętego już poziomu kulturalnego choćby dlatego, iż nawykliśmy do wielu rzeczy i byłoby praktycznie biorąc operacją zbyt gwałtowną i bolesną by obyć się bez nich a także dlatego, że opłaciwszy raz ich mikrokosmiczną cenę chcemy utrzymać nadal wszystkie lub przynajmniej większość. Z drugiej strony wydaje się oczywiste, że nie chcemy posuwać dalej wytworzonego już na Zachodzie stanu sprzeczności.

Można oceniać, że co najmniej w Ameryce a może także w zachodnich krajach zindustrializowanych przeciętny wskaźnik poziomu życia jest *już zbyt wysoki* w świetle wielu kryteriów, a więc np.:

1) ewentualności wprowadzenia w życie metod konserwacjonizmu *roztropnego* w skali domowej i światowej;

2) zarysowującej się obecnie tendencji przyjmowania zasad psychologicznej ochrony zasobów naturalnych;

3) ponad wszystko troski o uniknięcie dalszego wzrostu mikrokosmicznych kosztów *represji* w postępującej naprzód hiperkubizacji kultury;

4) z punktu widzenia odczuwanych zarówno w kraju jak na terenie międzynarodowym względów natury etycznej i politycznej. Staje się bowiem czymś wysoce niewłaściwym i niemożliwym by przechodzić do porządku nad olbrzymimi różnicami między panoszącym się coraz szerzej luksusem i marnotrawstwem z jednej strony wachlarza warunków ekonomicznych (20) a rzeczywistą udręką z drugiej. Ameryka jest obecnie w doskonałej pozycji, by stwierdzić, iż „dosyc” jest „dosyc” i dać przykład światu, nie podejmując odwiecznej „walki z —” ale zamiast niej podejmując kroki zmierzające do zawarcia ostatecznego i trwałego „rozejmu z nędzą” (21).



Oczywiście, gdyby nawet tylko pewne formy konserwacjonizmu *dogłębnego* przyjęte były przez Zachód, swoboda naszego działania będzie z konieczności ograniczona przez fakt dalszego występowania totalitaryzmu, którego siła teologiczna i obiektywna opiera się *au fond* na całkowitej identyfikacji wolności i kultury (i związanych z nimi zjawisk *represji*). Mus tej rywalizacji będzie w niedającym się bliżej ująć okresie dyktował Zachodowi konieczność dalszego rozwoju potęgi kulturalnej na wielu jej odcinkach.

Ale nawet, przy uwzględnieniu tych przymusowych wyborów i labiryntów posunięć dyktowanych potrzebami chwili należy stale dążyć do celu jakim jest stabilizacja stosunku między przyrodą a kulturą. Teoretyczna i ideologiczna walka o to winna rozpocząć się natychmiast na forum międzynarodowym — na pewnych odcinkach można mówić, że się już zaczęła. W miarę postępów dialogu balast prowadzącej na manowce i niezyciowej paplaniny społeczno-ekonomicznej opartej na złudzeniu tożsamości kultury i wolności będzie niewątpliwie odrzucony jak „para trzewików dziecinnych”, używając słów Hegla, które jak całość jego poglądów filozoficznych potwierdza-

(20) Najlepsza forma sprzeciwu wyrasta raczej z pobudek hedonistycznych niż ascetycznych, moralnych czy estetycznych. Za luksus i marnotrawstwo płaci się cenę wyrzeczeń funkcjonalnych.

(21) Kraje nie należące do Zachodu nasuwają specjalny (ale nie zasadniczy) problem o którym da się tu powiedzieć tyle tylko że choć zakrawa to na paradoks, zahamowanie wzrostu krajów przodujących ułatwi im z wielu względów rozwój ponad poziom przetrwania i pomoże do zlikwidowania nędzy.

ją się na pewnych odcinkach a na innych zwracają przeciw niemu, podczas gdy punkt zainteresowania przesuwa się na twardą rzeczywistość, trudności i nowe możliwości, mogące się wyłaniać jedynie na gruncie po-marksistowskiego rozeznania całości sytuacji i jej zrozumienia.

Jack JONES

(Przekład Marii Danilewiczowej)

Copyright powyższej pracy, wchodzącej w skład książki, która ukaże się w przyszłym roku nakładem Horizon Press w New York, należy do autora. W wypadku cytowania wyjątków z tej pracy należy to uprzednio uzgodnić z Horizon Press (Redakcja „Kultury”).



TRAF W SEDNO!

**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB 22, ROLAND GARDENS • LONDON S.W.7

TEL. FRE - 3175

Drugie zabicie psa

Julowi Godlewskiemu

Jazda z Haify trwała ponad dwie godziny i gdzieś w połowie drogi, zobaczyliśmy, że z nim jest całkiem źle. Szofer powiedział, że już nie daleko do Tel-Awivu i gnał tą swoją starą taksówką z piskiem kół po zakrętach, tak, że czuliśmy się trochę niby aktorzy w gangsterskim filmie. Raz nawet chciał nas zatrzymać policjant; podniósł rękę ale szofer pojechał dalej. W lusterku widzieliśmy, że policjant zawraca do swego „Harley’a”, który stał w cieniu, a potem machnął ręką; było za gorąco. Stał tam na środku drogi zdjawszy hełm i ocierał dłonią spoconą twarz.

— Jak z nim? — zapytał szofer nie odwracając głowy.

— Kończy — powiedział Robert. Odwrócił się do mnie.

— Teraz będzie miał ciszę i ciemność. Czy będzie się znów czuł rozzarowany?

— Znaliście go? — zapytał szofer.

— Nie — powiedziałem. Musiałem trzymać naszego psa za obrozę: rwał się i warczał już od dłuższego czasu. To pewnie ten konający nie dawał mu spokoju.

Ale w Tel-Awivie ten człowiek umarł zaraz potem jak wynieśliśmy go z taksówki; Robert, szofer i ja. Leżał na ławce oczekując ambulansu, a ktoś litościwy przykrył mu głowę gazetą; było to ilustrowane pismo z podobizną jakiegoś aktora, patrzącego teraz na nas swymi kolorowymi oczami. Robert uniósł gazetę i popatrzył jeszcze raz na twarz umarłego.

— Zdaje się, że to Rumun — powiedział. — Musiał niedawno przyjechać z Europy. Nie umiał jeszcze ani słowa po hebrajsku.

— Nie nauczy się już, co najśmieszniejsze — powiedziałem.

— Nie jest dobrze.

— Myślisz o nim?

— Właśnie o nim — powiedział — Jestem przesądny. Ten gość popsuje nam cały interes. Powinniśmy pojechać pociągiem.

— Jeszcze nie ostygł w grobie, a ma nowego wroga — powiedziałem.

— Jasne — powiedział Robert. — Do trumny ze skurwysynem. — Patrzył na szofera, który pochylił się nad tamtym usiłując odczytać nazwisko aktora. — Pójdziemy już, szefie — powiedział. — Nie możemy czekać.

— To John Wayne — powiedział szofer i odwrócił się do nas. — Nie możecie jeszcze trochę poczekać? Wiecie jak to jest z policją. Oni zawsze myślą, że było inaczej od tego, co człowiek im powie. Tak będzie lepiej dla mnie.

— Mamy interes do załatwienia — powiedziałem. — Mieszkamy na Allenby pod pięćdziesiątym szóstym. Powiedz to policji, gdyby o nas pytali.

— Na pewno będą pytać — powiedział szofer. Znowu pochylił się nad tamtym. — Ale to nie John Wayne. Wayne'a widziałem w „Pościgu”. To ktoś inny.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i weszliśmy do hotelu. Portier siedział w fotelu czytając jakąś książkę. Pomyślałem sobie o tamtym i spojrzałem na okładkę: był to jakiś cacus mordujący kobietę. Być może zresztą, że działo się odwrotnie.

— Długo jechaliście? — zapytał portier.

— Dwie godziny. Jakiś człowiek umarł w taksówce — powiedziałem. — Leżał cały czas na Robertcie.

— Skurwysyn — powiedział Robert. — Nie przyniesie nam szczęścia. Masz dla nas dwa łóżka, Harry? — Portier nie odzywał się: czytał dalej książkę, a ja znowu popatrzyłem na kolorową okładkę. — Za żywy grosz — powiedział Robert.

Teraz dopiero odłożył książkę i odwrócił się.

— Długo zostanieicie?

— Nie wiem tego — powiedziałem. — Przyjechaliśmy wyjąć parę groszy. To dlatego on jest taki wściekły. Myśli, że truposz popsuje mu ten cały pomysł.

— Będiesz go znowu żenić? — zapytał portier Roberta.

— Czy źle go żeniłem do tego czasu?

Portier patrzył teraz na mnie.

— Jest stary — powiedział po chwili. — I wygląda na cholernie zmęczonego.

— Nie martw się o mnie, Harry — powiedziałem. — Zostaw to Robertowi. On już wie jak wyjąć tę forszę.

— Pewnie, że wiem — powiedział Robert. — To tak samo jak z rysunkami. W rysunku najważniejszy jest pomysł. A ja mam dla niego jeszcze całą kupę pomysłów.

— Jest stary — powtórzył portier.

— Zostaw to mnie. Ja już wiem co mam z nim zrobić. Ja za ten jego smutny pysk wyciągnę całą loterię pieniędzy. Masz dla nas te łóżka, czy nie?

— Za psa musicie też zapłacić — powiedział portier. — Takie są przepisy.

— Już zapłaciliśmy za niego. Przy kupowaniu.

— Ile?

— Prawie sto funtów. To rasowy pies. A może myślisz, że nam go dali za darmo? I jeszcze niańkę do niego. Nie myślisz tak, nie?

— Płacicie z góry — powiedział portier. — Cztery funty. A pies niech się nie pęta po hotelu.

— Jest cały czas z nami — powiedziałem. — Chodzi tam gdzie i my chodzimy. Nie mamy przed nim tajemnic.

Portier znów popatrzył na mnie. Widziałem, że bardzo chciał uśmiechnąć się nieprzyjemnie. Ale nic z tego nie wyszło: jego twarz drgnęła tylko; na wszystko było zbyt gorąco.

— Pewnego dnia weźmiesz za dużo i będzie koniec — powiedział do mnie portier. — Już ostatnim razem było z tobą źle. Musieli ci dawać maskę tlenową. Myślałem, że to już ostatni raz.

— To dlatego, że nie zjadłem przedtem porządnej kolacji — powiedziałem. — Każdy może zrobić błąd, Harry.

— Ale ty już zrobiłeś to przedtem w Jerozolimie — powiedział. — A potem musieli cię trzymać na psychiatrii. Pokój czternaście.

Podszedłem do tablicy i zdjąłem klucz.

— Wyjąłem wtedy całą kupę pieniędzy — powiedziałem. — Właśnie wtedy w Jerozolimie.

— Jesteś stary — powiedział. Wziął książkę do ręki i odwrócił się. Pieniądze wzięte od nas schował do biurka; nie chciało mu się nawet porządnie zamknąć szuflady. — Wróćcie wcześniej?

— Wrócimy przed dwunastą — powiedziałem. — Teraz idziemy się trochę umyć i już nas nie ma.

— Macie własny ręcznik? — zapytał Harry.

— Nie — powiedziałem.

— Dwa ręczniki... to będzie pół funta.

— Nie pękniemy bez tego pół funta — powiedziałem.

Harry wyciągnął dwa ręczniki z szuflady a ja je wziąłem.

Robert wyrwał mi jeden ręcznik i podał Harry'emu z powrotem.

— Wystarczy nam jeden — powiedział.

— Jeśli mam być szczerzy to wolałbym mieć ręcznik dla samego siebie — powiedziałem.

— Naucz się oszczędności w małych rzeczach — powiedział Robert. — Inaczej nigdy nie dojdiesz do forsy. Czytałem niedawno, że kanclerz Adenauer kazał sobie zapłacić za wywiad telewizyjny, wziął forszę od tego reportera i schował ją do kieszeni a osiem milionów Niemców patrzyło na to. Tak trzeba żyć.

Weszliśmy w ciemny korytarz, na którego końcu siedział garbus i czytał. W słabym świetle żarówki padającym z boku spojrzałem na jego twarz; miała fałszywy, bolesno-słodki wyraz, jaki często spotykamy u kalek. Potem spojrzałem na książkę którą czytał: był to żywot Świętego Pawła z Tarsu.

— Jeszcze jeden katolik — powiedziałem. — I to nie z idealizmu. A w dodatku garbus.

— Dlatego przeszedłem na katolicyzm, że księża obiecali mi pomoc przy uzyskaniu wizy kanadyjskiej — powiedział garbus. — I co u ciebie słychać? Żyjesz jeszcze?

— Nie bój się o mnie — rzekłem. — A ty siedzisz w dalszym ciągu przed sraczem, nie? Nic się nie zmieniło?

— Tu mam bliżej — powiedział wskazując na drzwi toalety, przed którą siedział. — Jak mnie przycisnie to mam tylko jeden krok. O co ci chodzi?

— Znam go już trzy lata — powiedziałem do Roberta. — I przez cały czas siedzi przed sraczem. Dobry jest, nie?

— Może by go można jakoś wykorzystać — powiedział Robert.

— Masz jakiś pomysł?

— Może coś wymyślę. Garbus nie jest zły — powiedział Robert. — Teraz idziemy się umyć.

— Ty, *blondie* — powiedział do mnie garbus. — W końcu tygodnia dostanę forszę od moich księży. Skombinuj mi jakąś dziewczynę.

— To będzie cię kosztować trzydzieści, może czterdzieści funtów — powiedziałem.

— A dlaczego od innych biorą tylko po dwadzieścia?

— Jesteś w końcu garbus, nie?

— Moi księża obiecali mi forszę jak skończę naukę katechizmu. Przykazania wykułem już na gładko. A teraz czytam żywot Świętego Pawła. — Podniósł się nagle; przez twarz je-

go przeszedł jakby skurcz bólu. — Przepraszam — powiedział. — Znowu się zaczyna.

Wszedł do toalety i zatrzasnął drzwi za sobą.

— Co z nim jest? — rzekł Robert.

— Nie mógł wytrzymać upałów i pił surową wodę — powiedziałem. — To było w czasie takiego chamsinu, który trwał osiem dni. W ten sposób przeziębził sobie żołądek. Lekarze dają mu węgiel i jeszcze inne medykamenty ale to nic nie pomaga. A teraz jeszcze chce dziewczyny.

— Jasne — rzekł Robert. — Jego życie erotyczne to nieśmiałe próby onanizmu zakończone fiaskiem. A teraz idziemy się myć.

Zeszliśmy potem na ulicę i weszliśmy do pierwszej z brzegu kawiarni. Było tu trochę chłodniej; gumowe skrzydła wentylatora chęptały cicho powietrze. Można było patrzeć na nie i to dawało złudzenie chłodu. Ale złudzenie też jest coś warte po dniu który spalał się czerwonym blaskiem przez szesnaście godzin. Robert zamówił dwa piwa i kelner przyniósł je po chwili.

— Denerwuje mnie — powiedziałem.

— Kelner?

— Nie. Harry. Nasz portier. Co on wie? Ile wyjąłem w zeszłym roku?

— Nie musisz o nim wcale myśleć. Myśl o narzeczonej.

Popatrzyłem na naszego psa, który leżał nieruchomo wyciągnąwszy przed siebie grube łapy.

— Może miał i rację — powiedziałem. — Jestem już stary. Nie bardzo wierzę, żeby nam się udało tym razem, Bobby. Pewnego dnia zauważą mnie zbyt późno i będzie spokój.

— Nie.

— Wierz przecież, że może tak się zdarzyć.

— Nic ci nie będzie. Musisz jeść. Zawsze przedtem musisz zjeść porządną kolację. A poza tym twój organizm przyzwyczaił się już.

— Boję się, czy już nie za bardzo — powiedziałem. — Z tymi co są niby przyzwyczajeni jest właśnie najgorzej. Pewnego dnia może być całkiem kiepsko. Wiesz przecież o tym.

— Pewnie, że może być źle — powiedział. — Ale ja nie jestem na tyle mądry, żeby cię ubezpieczyć z polisą i tymi całymi historiami. Nie jesteś amantem filmowym a ja nie jestem twoją wdową.

— Nie — powiedziałem. — Jak Boga kocham, że nic takiego nie przyszło mi nigdy do głowy.

— Zresztą nie robisz tego dla przyjemności — powiedział.

— I ja też nie. Nigdy nie myślałem, że wpadnę na ten pomysł. Moja specjalność to Szekspir. Po to chodziłem na anglistykę, żeby go czytać w oryginale. I to jest właśnie to, co bym chciał robić.

— Nie mów o tym, Bobby.

— Mogę o tym śmiało mówić. Czy mówiłem ci już jaki mam pomysł na Mackbetha?

Nie odpowiedziałem mu. Mówił mi o tym ze sto razy; mówił mi o tym w Jerozolimie, w Haifie i w czasie tych wszystkich dróg, które zrobiliśmy razem; i w czasie tych wszystkich nocy, w ciągu których nie można było spać. To właśnie wtedy kiedy o tym mówił jego brzydka twarz poczyniała życie. Pomyślałem sobie, że teraz przyjdzie to najgorsze.

— Czy mówiłem ci już o tym? — powtórzył. Był natarczywy jak każdy maniak.

— Znam tę sprawę — powiedziałem i było mi go trochę żal. — Jesteś dobry, Robert. Przykro mi, że twój cały teatr to ja. A teraz jestem już do niczego. Wyglądam kiepsko. Nie wiem, żeby ta dziewczyna na to poszła. Przykro mi, ale nie.

— Pójdzie na to — powiedział. — Bądź spokojny. To już ja od tego, że ona na to pójdzie. A po drugie, to ona była dziewczyną w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. I nie myśl więcej o swojej twarzy. To po prostu tak samo jak z Szekspirem. Jego nie wolno grać. Trzeba tylko umieć powiedzieć tekst. Najgorsze jest właśnie to, że ludzie uparli się go grać, a to jest straszne. Jak można zagrać tę scenę kiedy Hamlet choleruje się z bratem Ofelii nad jej otwartym grobem? Olivier chciał grać Szekspira i zrobił z niego teatr. A Szekspir nigdy nie był teatrem.

— Nie mów tego głośno.

— Tobie to mówię — powiedział. — Ty po prostu wyszczekasz swój tekst i zejdziesz ze sceny. Nie potrzebujesz wcale grać. Zresztą przejdziemy tę całą sprawę od początku.

— Teraz?

— Nie. Odpocznijmy trochę. Wypijemy to piwo i pójdziemy szukać forsy. Teraz jest już trochę chłodniej. — Umilkł na chwilę a potem zapytał: — Co ten gość powiedział?

Nie zrozumiałem.

— Kto?

— Ten w taksówce. Zrozumiałeś jego ostatnie słowa?

— Nie bardzo. Zdaje się, że „módlcie się za moją duszę” czy coś w tym rodzaju.

— On to powiedział po niemiecku?

— Tak.

— To proste — powiedział. — Za proste. Chyba wielu w ten sposób mówi. Ale zawsze warto zapamiętać. Zawsze zresztą można coś dodać albo ująć. Z tymi ostatnimi słowami to bujda. Podobno kiedy Goethe umierał, nie mogli od niego nic wyciągnąć dla potomności i zaczęli go drażnić światłem, aż wreszcie powiedział to swoje. Cwaniaki, nie?

— Ja bym tam nic nie mówił — powiedziałem. — Po prostu bym się bał i to wszystko.

— A twoje dzieci klęczące półkołem przy łóżku? A żona bijąca z rozpaczy głową o podłogę?

— Chodź — powiedziałem. — Jestem zmęczony. Załatwimy tę sprawę i idziemy spać. Spójrz na tego psa. On też ma dosyć.

Robert zapłacił i poszliśmy wolno w kierunku morza. Było już ciemno. Przypomniałem sobie, że przeczytałem kiedyś w jakiejś książce, że człowiek jest tylko snem cienia, ale nie mogłem sobie przypomnieć kto to powiedział i jaki był tytuł tej książki. I kto mu kazał być aż tak mądrym, i w jakiej chwili swego życia to powiedział: czy patrząc na gasnącą świecę, czy też widząc psa biegnącego z kością w pysku z oczami pełnymi trwożnego zachwyty? A może to głos Boga odezwał się nagle w nim i wybełkotał te słowa wlepiając oczy w siedzących przed nim i będąc pewnym, że nie przepadnie już teraz bez śladu na swojej drodze, a tym którzy go słyszeli i którzy go widzieli wydawało się, że ujrzeli jakieś światło które już nigdy nie spłonie. To musiała być piękna chwila i dziękowałem Bogu, że mnie przy tym nie było: pewnie dodałbym jeszcze jedno słowo od siebie i zepsułbym wszystko. Ze mną już tak jest; i co by się wtedy stało z tym światłem? A ja nie lubię światła; lubię ciemność, która uwalnia nas od naszych twarzy i od naszych cieni.

— Źle się czujesz? — zapytał Robert.

— Nie. Chciałem sobie coś przypomnieć.

— No i co?

— Nic — powiedziałem. — Ale nie przejmuj się. To właśnie dlatego tak bardzo lubię myślenie, że nie prowadzi do niczego. Powinieneś mnie już znać, Robert. Pracujemy ze sobą przeszło od roku.

— Spokojnie — powiedział. — Zaraz będziemy rozmawiać o pieniądzach i poczujesz się jeszcze gorzej.

— To ty będziesz mówił — powiedziałem.

— Ale nie miej takiej cholernej twarzy — powiedział. — Ty po prostu sobie siedź i możesz nawet nie słuchać. Możesz nawet czyścić paznokcie, albo wziąć książkę do ręki. Nie zwracaj

caj na nic uwagi. Dla ciebie to jest sprawa oczywista, że on da forszę. Cały czas walcz z uczuciem nudy i niesmaku, które cię będzie ogarniać. Tak?

— Tak — powiedziałem.

Szedłem obok niego, było ciemno, ale to nie ta ciemność, która przychodzi nad miasto jak sen. Nie uwalniała też nas od naszych zmęczonych, gorących ciał. Ta ciemność była szorstka i sztywna niby kurz; i jak kurz lepiła się do naszych ciał.

— No więc? Jak to będzie? — zapytał.

— Po prostu nie będę zwracał na was uwagi — powiedziałem. — Po prostu nie będzie mnie to interesować. Będę siedzieć, i patrzeć na ogród a gwar waszych plugawych rozmów będzie nierealny, bez znaczenia.

— O to właśnie chodzi — powiedział on. — To już tutaj.

Weszliśmy do bramy i schodami pełnymi kotów poszliśmy w górę. Była to pora odpoczynku; tu ludzie spali na dwie raty. Raz po przyjsciu z pracy a potem, po raz drugi kładli się spać dość późno. Wiezorami siedzieli po kawiarniach lub odwiedzali się wzajemnie. Kiedy wchodziłeś do jakiegoś domu, ludzie pytali najpierw czy może chciałbyś wziąć prysznic przed kawą. Robert nie lubił się kąpać twierdząc, że tylko brudni ludzie muszą się myć. Można było i tak.

Ten człowiek siedział na tarasie czytając gazetę. Ta jego dziewczyna siedziała przy nim, a kiedy nas zobaczyła poprawiła się na leżaku i wlepiła oczy w podłogę. Oznaczało to pogardę w stosunku do mnie i do Roberta. Już zaczynała grać; w ich życiu musi się ciągle coś dziać, coś kołować; to nie to co mężczyzna, który szuka spokoju lub ucieczki. One wszystko robią na serio i wszystko jest u nich na całe życie; to co biorą za gniew, miłość lub pogardę.

— To my, panie Azderbal — powiedział Robert.

— Znowu? — powiedział tamten.

— Czy było źle ostatnim razem?

— Było bardzo dobrze. Dwóch najlepszych adwokatów musiało mnie z tego wyciągać. I do tego jeszcze lekarz, który stwierdził, że bywam od czasu do czasu niepoczytalny. Nie przyszedł tu chyba po to, żeby mi powiedzieć coś o interesie, który mógłbyś ze mną zrobić.

— To był przypadek — powiedział Robert. — Ktoś nas strefnił.

— Nie — powiedział tamten. — Do cholery z takimi interesami, w które biją przypadki.

Odszedłem od nich i usiadłem na leżaku obok niej. Spoj-

rzała na mnie krótko i bez zainteresowania; przysięgłbym, że ćwiczyła to przed lustrem w ciągu ostatnich trzech miesięcy myśląc o tym, że przyjdę. Ale nie przychodziłem; zjawiłem się dopiero teraz kiedy Robertowi było potrzeba forsy; siedziałem patrząc na ciemny ogród a oni dwaj krzyczeli tam w tyle.

— Muszę mieć trochę forsy — powiedział Robert. — On musi mieć na hotel, na jedzenie i tak dalej.

— I na doktora — powiedział tamten.

— Pewno, że tak. Ale on musi mieć dwa, trzy tygodnie czasu. To jest robota. On musi spać i jeść, i jeszcze do tego mówić teksty. Hotel musi kosztować pięć funtów dziennie, śniadanie dwa, obiad trzy, kolacja trzy. Papierosy, kawa, leżak na plaży. Fryzjer, żeby chłopak dobrze wyglądał. A psu też nie dadzą zjeść za darmo.

— Co ten pies je?

— Musi mieć kilo świniny dziennie. A może mam dla niego gotować kaszę w pokoju hotelowym i przyprowadzić ją koszer-nym sosem z puszkii? Nie chce pan tego? Pan by to jadł, ale nie mój pies.

— Pies jest za duży — powiedział tamten. — Trzeba było wziąć mniejszego psa. Japończyk, pudel — a ten tu, to nie jest pies, to olbrzym, wariat. Pewnie, że cię musi kosztować.

— A pan by chciał, żebym ja przyszedł z trupem psa, nie? To by było najtańiej. Pan dlatego nie umie zarobić, że pan nie umie inwestować. Pan zawsze musi mieć sto procent z każdego interesu, a w prawdziwym interesie pracuje się na promille procentu. Ale pan masz mentalność handlarza śledzi, który musi mieć sto procent z interesu albo umrze z głodu.

— Trzeba było wziąć mniejszego psa — powtórzył tamten.

— Nie ucz mnie pan. Pies musi być duży, wesóły, żywy. Muszą go wszyscy naokoło kochać i rozpieszczać. Muszą mu dawać czekoladki, a on nie ma prawa zjeść ani jednej. Nawet nie ma prawa ich powąchać. Wtedy jest pies. Wtedy jest zagadnienie. I wtedy jest tragedia. Nie rozumie pan tego? Ten pies musi mieć miodowe gwiazdy w oczach. — Robert odwrócił się do mnie; był wściekły, tragiczny. — Ja muszę trzymać swoją duszę za skrzydła a on mi żałuje te trochę mięsa dla psa.

— Skurwysyn — powiedziałem spokojnie nie odwracając głowy. Tak było umówione; chodziło o to, aby pogardzać nim i jego pieniędzmi. Aby myślał, że mamy wybór i tylko dlatego przyszliśmy do niego, że najbliższymi były właśnie jego drzwi.

Azderbal i ta dziewczyna poruszyli się niespokojnie. Ja dalej patrzyłem w ciemność.

— Spróbuj pan tego raz — powiedział Robert. — Zobaczysz pan czy to łatwo, czy nie. Zobaczysz pan wtedy jakie one naprawdę są. Te wszystkie stare suki, które chcą ratować swoje życie. A on właśnie jest tym człowiekiem który z nimi cierpi, wyciąga do nich dłoń i tak dalej, dwa samotne serca które życie pokryło bliznami i tak dalej. Spróbuj pan tego. Nie, nie chcesz pan? Ja bym chciał zobaczyć kobietę, która da panu czterdzieści piastrow na bilet autobusowy. Chciałbym to zobaczyć, a potem mogę się położyć do grobu. Wiedziałbym, że nie zmarnowałem życia.

Tamten popatrzył na mnie.

— Jest za stary — powiedział. — To najsmutniejsza twarz na świecie od czasu tego świętego, który stał na słupie. Jak on się nazywał?

— Święty Szymon Słupnik — powiedziałem. Zrobiłem błąd; powinienem przecież nie odzywać się ani jednym słowem.

— Właśnie — powiedział Azderbal. — I co on z nimi robi w łóżku? Płaczecie na dwa głosy, czy jak?

— Forse dzielimy na trzy części — powiedział Robert. — Tak jak ostatnim razem.

— Ile tego może być?

— Nie wiem. Może sześćset, może osiemset.

— On tego nie wyjmie — powiedział Azderbal patrząc na mnie. — On ma twarz dobrą do gry w pokera ale nie do tego. Ty tego nie widzisz, Robert. Albo nie chcesz tego zobaczyć. Może ci go nawet żal i sam o tym nie wiesz. Ale ja nie umiem ci pomóc.

— On już wyjął całą kupę forsy w ten sposób — powiedział Robert.

— Jest skończony, a ty tego nie widzisz — powtórzył tamten. — Robił to za często i wszyscy o tym wiedzą. Przyjdź z młodym, ładnym chłopakiem a wtedy możemy porozmawiać. Tylko nie każ mi wierzyć w niego. — Odwrócił się do dziewczyny. — I co ty o nim powiesz?

— Jest stary — powiedziała. — Skończył się. Która kobieta chce gościa który ma po trzydzieście, a wygląda dziesięć lat starzej. Kobiety wiedzą, że takiego nie da się już wychować. A każda z nich o tym myśli.

To była jej sprawa ze mną; dwa lata temu zostawiłem ją. Czekala przez ten cały czas i teraz pewnie było jej przykro, że nie potrafiła powiedzieć niczego więcej.

— Dobrze — powiedziałem. — Idziemy. — Wstałem z

leżaka; podałem rękę Azderbalowi a potem jej. — Może zrobimy jakiś inny interes, Azderbal — powiedziałem przyjaznym tonem.

— Zawsze możemy zrobić jeśli tylko będzie w tym coś mądrego — powiedział.

— A jak panu żyje się z nią? — zapytałem głaszcząc dziewczynę po twarzy. — Czy nauczyła się już udawać orgazm? Zawsze wychodziło jej to fatalnie. To chyba dlatego, że nie ma wyzucia rytmu. Wiele kobiet na to cierpi. Dobranoc.

Wyszliśmy.

— Azderbal to złodziej — powiedział do mnie Robert.

— Wszyscy Azderbale to złodzieje — powiedziałem.

— Najbardziej złodziejska rodzina Azderbalów jest we Wrocławiu — powiedział Robert. — Jeśli nie uda im się zrobić jakiegoś dobrego kantu przynajmniej raz na miesiąc, trzeba do nich wzywać psychiatrę. Popadają w depresję. Bywały już próby samobójstwa.

Nie odpowiedziałem mu. Znów szliśmy tą samą ulicą milcząc przez cały czas. Dopiero w hotelu na górze, Robert powiedział do mnie:

— To nic. Jutro znajdę innego. Nie trzeba wcale dużo forsy. Tylko na parę dni. — Popatrzył chwilę na psa, który leżał wyciągnawszy czerwony ozór. — Nic się nie da oszczędzić — powiedział. — Nie można zredukować kosztów w tym wypadku. Nikt nie płacze przecież po pekińczyku. Albo po ratlerku. Ten pies musi porwać wyobraźnię wszystkich, którzy tam będą się kręcić. Inaczej nie będzie tragedii.

— Widziałeś ją już — zapytałem.

— Nie muszę jej wcale widzieć — powiedział. — One się nie różnią wcale od siebie. — Podeszedł do okna i stał tam; patrzyłem na jego białe ciało pokryte potem i nie było mi wcale przyjemnie. Pomyślałem sobie, że dobrze by było gdyby w tym pokoju wisiał jakiś obraz, lub choćby fotografia. Coś na co można by było popatrzeć. Ale nie było tu niczego takiego. Tylko gołe ściany, Robert i pies. A na psa nie mogłem patrzeć. — Nie — powiedział Robert. — One nie mogą się różnić. Te wszystkie starzejące się kobiety które chcą wyjść za mąż jeszcze raz. I te ich pieniądze, które odkładały przez całe życie.

— Mężczyzna by tego nie potrafił — powiedziałem. — Pokaż mi gościa który by przez piętnaście lat odkładał forse tylko po to, aby się ożenić z kimś o kim nawet nie wie jak będzie wyglądać. Robert, czy nie mógłbyś włożyć koszuli?

— Dlaczego?

— Jesteś wstrętny — powiedziałem. — A ja muszę na ciebie patrzeć. Nie wiem dlaczego tak jest.

Odwrócił się do mnie.

— To dobre, co powiedziałeś. Bardzo dobre. Będiesz to mógł powiedzieć jej w jakiejś chwili. Ja odejdę na bok a ty powiesz: „Z tym człowiekiem przyżyłem najlepsze lata mojego życia. Nocami patrzyłem na jego wstrętne ciało i myślałem o tym, że już nigdy nie będę miał kobiety”. W tym momencie weź ją za rękę i wasze oczy powinny się spotkać. To dobre, bardzo dobre. Nie zapomnisz tego?

— Nie — powiedziałem.

— Możesz nawet przesunąć ręką po jej ciele w tym momencie — powiedział. — Zresztą lepiej nie. Nie trzeba przegrywać. Tylko sam dialog.

Portier wszedł do pokoju.

— Wiedziałem, że tak będzie... — zaczął.

— Pukanie się zepsuło? — zapytał Robert.

— Oni tam są — powiedział portier. — Zejdź do nich. Wiedziałem, że tak będzie.

Musiałem znów włożyć spodnie; były szorstkie, gorące i pełne kurzu który drażnił. Zszedłem na dół ale nie chciało mi się schodzić na ulicę. Stałem na schodach a oni siedzieli w samochodzie i patrzyli na mnie.

— Znów to samo? — zapytał jeden z nich.

— Dobry wieczór, sierżancie — powiedziałem. — Co się stało, że pan mówi do mnie w ten sposób?

— Jeszcze się nic nie stało — powiedział. — Pewnie się dopiero stanie, nie?

— Nie mów pan do mnie w ten sposób — powiedziałem. — Jestem sentymentalny.

— Zamkniemy cię, jeśli to zrobisz jeszcze raz.

— Nie — powiedziałem. — Nie macie takiego paragrafu. Każdemu wolno kochać.

— I kim będzie ta kobieta? — zapytał.

— Nie wiem tego — powiedziałem. — Wiem tylko, że ją kocham. Ja kocham je wszystkie, sierżancie. Mój ojciec mi mówił, że w młodości był zazdrosny o wszystkie kobiety. A ja jestem tylko jego krwią i kością. Nie słyszał pan nigdy o czymś takim?

— Macie już psa?

— Chce pan go zobaczyć?

— Dawaj go.

Zawołałem na psa i pies zszedł po chwili. Ułożył się u

moich nóg i wyglądaliśmy jak fotografia: pan i jego najlepszy przyjaciel.

— Boże Jedyny — powiedział sierżant. — To koń a nie pies. Skąd go macie?

— Kupiliśmy.

Sierżant odwrócił się do drugiego policjanta.

— Nikt nie meldował o skradzionym psie? Sprawdź przez radio.

Tamten włączył radio-telefon a ja powiedziałem do sierżanta:

— Zapłaciliśmy za niego sto funtów. Nie bądź pan dziecinny.

— Dużo żre?

— Kupujemy dla niego flaki i takie różne rzeczy.

— Są takie specjalne puszki z żarciem dla psów — powiedział sierżant. — Próbowaliście?

— Tak — powiedziałem. — Ale nie chce tego żreć. Jest rozpieszczony jak gwiazda filmowa. Sami musimy oszczędzać na żarciu, żeby mieć dla niego. Robert schudł o dwa funty.

— Pies jest O.K. — powiedział drugi policjant i odłożył słuchawkę.

— Jedź — powiedział sierżant. Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę. — Tylko spokojnie — powiedział. — Uważaj. Wierzę w to z całego serca, że pewnego dnia pójdziesz razem ze swoim kumplem na długą dietę.

— Ale ja w to nie wierzę — powiedziałem. — To by było wbrew praworządności. A poza tym Robert nie jest moim kumplem. Jest moim menagerem. Zechce pan zwrócić uwagę na tę różnicę.

— A kim ty jesteś?

— Ja jestem jego klientem — powiedziałem. — Dobranoc.

— Dobranoc.

Odjechali. Odwróciłem się i poszedłem do pokoju. Robert już spał; leżąc już w łóżku patrzyłem znów na jego białe ciało i nie było mi wcale dobrze. Pomyślałem sobie, że za ileś tam dni będę leżeć w szpitalu a lekarze będą walczyć o moje życie, jak to formułują gazety. Czy też będę taki biały i spocony? Nie było mi wcale wszystko jedno. Zrzuciłem z siebie prześcieradło, czułem teraz trochę chłodu ale nie wystarczało mi to. Pochyliłem się i dotknąłem ręką kamiennej posadzki; potem położyłem prześcieradło na ziemi i leżałem bez ruchu czując już własny pot. Wtedy zasnąłem.

Obudziłem się po jakimś czasie. Robert siedział na łóżku i palił papierosa.

— Nie mogę spać — powiedziałem.

— Obaj nie możemy spać.

— Martwisz się skąd wziąć tę forszę?

— Nie. Jutro będzie forsa. Ale martwię się skąd wziąć dziecko. Dlatego nie mogę spać.

— I co będzie z dzieckiem? — powiedziałem. — Mam go karmić własnym mięsem, nie? Tak jak pelikany.

— Dziecko jest potrzebne, żeby cię wyeksponować — powiedział. Czułem jego rozdrażnienie; był zły, że nie odgadłem od razu jego myśli. — Ona już na to pójdzie. Brutalny człowiek krzywdzący dziecko — a wtedy ty wkraczasz. Nie ma idiotki, która by na to nie poszła.

— Ty będziesz tym brutalem.

— Jasne. Może mam jeszcze wydawać forszę na kogoś trzeciego? Już ja to zagram, nie bój się. To bardzo ważne. To cię eksponuje. Ale od tej chwili sytuacja zacznie dla ciebie pracować.

— Może się obędzie bez dziecka.

— Nie wiem — powiedział. — Najlepiej by było, żeby ona miała własne dziecko. Dziecko kalekę, czy coś w tym rodzaju. Jedna nóżka krótsza, jąkała, albo garbus. Mały garbus by nam ułatwił całą sprawę. Ktoś daje garbusowi kopa w tyłek a wtedy ty się zjawiasz. Taki mały, słodki kaleka. Albo żeby miał przynajmniej Heine-Medina. Chryste Panie, ile forsy można by oszczędzić!

— To zbyt piękne, żeby było prawdziwe — powiedziałem. — Zresztą kto chodzi z garbusami na plażę.

— Już ty się nie bój. Dla nas to może być garbus, ale dla własnej matki on jest prosty jak żołdacki... Co ty wiesz o kobietach? Jeśli one już kogoś kochają to nie ma na nie siły.

Wstałem z łóżka i podszedłem do niego. Leżał przy oknie. Ulica była ciemna ale mrok nie dawał chłodu; i znów pomyślałem, że ten mrok jest sztywny i pełen kurzu niby zapomniana dekoracja w teatrze. Robert dał mi papierosa a w świetle zapałki zobaczyłem, że jego twarz jest sucha i napięta i pomyślałem sobie, że ręcznik którym otarł swoje ciało leży gdzieś teraz i przeszkadza mi.

— Co jest z tobą?

— Boję się, że wrócimy z niczym — powiedziałem.

— Nie. Dopóki jesteś ze mną nie wrócisz z niczym. Ja jestem trwały jak królestwo papieskie.

— Co będzie potem? — powiedziałem. — Pewnego dnia

to się skończy. Któregoś dnia nam wyjmą forszę. I co będzie wtedy?

— Wymyślimy coś nowego.

— Co?

— Byle co. Nie jesteśmy głupszy od innych. Trzeba tylko uwierzyć, że tak jest.

— Robert — powiedziałem. — Wiesz co to znaczy *loser*? *Loser*, to taki facet który ciągle przegrywa. Ja jestem *loser*, Robert. Słyszałeś co tamten powiedział: przyjdź z jakimś chłopakiem. Pewnego dnia będziesz musiał znaleźć jakiegoś chłopaka jeśli chcesz ciągnąć ten numer.

— To jest dobre — powiedział. — To właśnie, co powiedziałeś. Z tym co przegrywa. To jej właśnie powiesz. Że ją kochasz i tak dalej, ale zbyt wiele nieszczęść w twoim życiu i tak dalej, ale pewnego dnia ciepła dłoń kobieca i tak dalej. To bardzo dobre.

— Robert — powiedziałem. — Nie robi się sztuki w dwóch, czy w pięciu. Sztukę robi się w pojedynkę. To dlatego tak właśnie lubiłem literaturę, że tam się liczą tylko ci, którzy idą w pojedynkę i nie wierzą w to, że ktoś im kiedyś wytłumaczy, o co im właściwie chodziło przez cały czas.

— Nie lubisz już literatury?

— Nie. To nie takie proste. Nie chciałem właściwie nigdy pisać.

— Nie myśl o tym. Myśl teraz tylko o tym skąd wziąć dziecko chwytające za serce. Oczy musi mieć jak diamenty. A my mu potem damy na lody i niech dostanie dezynтерии. Całą noc przez niego nie śpię. Jeszcze skurwysyn nie potrafi dobrze ukroić kawałka chleba, a już się inni przez niego męczą.

Położyłem się koło niego; posunął się do ściany. Leżeliśmy cicho przez chwilę i nasze oddechy przeszkadzały nam. Teraz już widziałem, że nie uda nam się zasnąć, ale byłem spokojny. Patrzyłem na niego i widziałem, że myśli tylko o tym dziecku i że wyobrażnia jego pracuje; przywołuje myśli i odrzuca je. Jedno było ważne i dobre; nie będzie mnie męczyć swoim gadaniem o teatrze który chciałby robić.

— Robert — powiedziałem. — Ty też jesteś *loser*.

— Jeszcze nie — powiedział. — Na razie to ja właśnie jestem taki, co to w ogóle wykombinował. I to ja ciebie znalazłem i to właśnie mnie powiedziałeś, że chciałeś być kiedyś aktorem i że ci to nie wyszło. I ta cała historia to mój szmonces.

— Historia jest twoja.

— Jedno jest tylko śmieszne — powiedział. — Czasami

budzę się w nocy i duszę się ze śmiechu kiedy pomyślę o tych wszystkich, którym mówisz o miłości, i o tym życiu, które razem zaczniecie. I żadna z nich się nigdy nie dowie, że te wszystkie teksty wymyślił stary, gruby Żyd, który ma obustronną przepuklinę i któremu niedobrze jest nawet po poziomkach ze śmianą. A tym starym Żydem jestem ja. Ty to wszystko robisz, a ja leżę sobie spokojnie w łóżku i czekam tego momentu kiedy zainkasujesz forszę i szepcząc najświętsze słowa oddalisz się w sobie tylko wiadomym kierunku. Nie, synu. Nie jestem żaden *loser*. To ja wymyśliłem ciebie i ten cały teatr.

— Pewnego dnia będziesz musiał wymyślić coś innego — powiedziałem. — Przykro mi, ale tak jest.

— Wymyślę cię jeszcze raz od początku — powiedział. — Nie ma powodu do strachu.

— Napiłbym się czegoś — powiedziałem.

— Wszystkie bary są już zamknięte. Myśl o dziecku.

— Nie cierpię dzieci.

— I ja też nie — powiedział. — Z wyjątkiem tego jednego. Od tego się wszystko zacznie. Popatrzycie na dziecko, potem popatrzycie na siebie i myśli wasze pobiegną razem aż pod wrota Niebios..

— Nie używałbym tutaj słowa: pobiegną — powiedziałem.

— Wydaje mi się, że lepiej brzmi: poszybują.

— Dobrze.

— Jak to powiedzieć po angielsku?

— Nie wiem. *Let me flay away with you...* Nie bój się o to. W dialogu nie trzeba perfekcji. Musisz podawać dialog chropowato, powoli. Trzeba zapomnieć, że to dialog. Trzeba wierzyć, że to twoje własne słowa. I trzeba czuć, że męczysz cię to co mówisz, że szukasz tych słów i składasz je z trudem. Tak trzeba powiedzieć Szekspira.

— Ale to nie jest z Szekspira — powiedziałem. — To jest z piosenki.

— Co?

— *Let me flay away with you.*

— To co z tego? Najważniejsze, żebyś nie zapomniał o tym co przeżywasz. To jest dobre.

— To przyjdzie już po dziecku?

— Tak. Dziecko jest najważniejsze.

— A kiedy zrobimy ...tamto?

— Już ty się nie bój. Już ja ci powiem.

— Zrobmy próbę — powiedziałem. — I tak nie można spać.

— Dobrze.

Wstał z łóżka i naciągnął na siebie prześcieradło. Ja wciąż jeszcze siedziałem paląc.

— Skąd chcesz zacząć?

— Wszystko mi jedno — powiedziałem. — Zaczniemy z tego miejsca z którego chcesz.

— W porządku. To wobec tego zaczniemy od tego momentu, kiedy ona ci powie, że po urlopie musi wracać do Stanów.

— Zaczynaj.

— Nie chciałem mówić wcześniej na ten temat — powiedział Robert. — Ale wiesz przecież, że będę musiała wyjechać.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

— Jestem kobietą — powiedział Robert.. — Próbowałam być szczęśliwą tak długo jak tylko można. To wszystko.

— Nie myślałem o tym, że to lato tak szybko przeminie — powiedziałem.

— Muszę cię o coś zapytać.

— Nie — powiedziałem. — Nie mówmy o tym. Wcale mnie nie musisz o to pytać. Nie pojedę z tobą.

— Dlaczego?

— Nie przyniosę ci szczęścia. Wiesz, ja jestem *loser*. Dla takich jak ja nic się nie zmienia. Po tej czy po tamtej stronie morza będę przegrywać tak samo.

— Tym razem spróbujemy przegrać obydwoje.

— Ty jesteś tylko kobietą — powiedziałem. — Lepiej jest przegrywać w pojedynkę. To mniej boli.

— Pomyliłeś się — powiedział Robert. — To powinno być tak: ty jesteś tylko kobietą i nie wierzysz w klęskę, ale ja wiem jak to wygląda. Lepiej jest przegrywać w pojedynkę. Mniej boli. Rozumiesz? Nie mów od razu, że mniej boli po słowach: lepiej jest przegrywać w pojedynkę. Zrób pauzę. Ty myślisz, walczysz ze sobą, nienawidzisz własnych słów i samego siebie. To jest dialog a nie litania do Matki Boskiej Loretańskiej. Słowa cię bolą. Mówisz: lepiej jest przegrać w pojedynkę, potem uśmiechasz się jak ktoś, kto musiał pożyczać własnej teściowej swój sportowy samochód, a potem dopiero: Mniej boli. Rozumiesz?

— Tak — powiedziałem. — Teraz rób na wysoko.

— Zaczynaj ty.

— Kiedy ma się dwadzieścia lat, nie robi się kompromisów jeśli chodzi o kobiety — powiedziałem trzymając Roberta za rękę. — Potem jest się już dojrzałym do tego, aby je robić. Ale pewnego dnia uczysz się kochać kobietę, która...

— Głośniej — powiedział Robert. — Teraz nie chcesz wierzyć we własne słowa. Pogardzasz sobą.

— ...która jest daleko stąd i żyje z innym mężczyzną, a ty jesteś szczęśliwy, że ona gdzieś tam jest, że oddycha i nie przeszkadza ci nawet, że jest z kim innym. Po prostu dziękujesz Bogu, że dał jej życie i że wolno ci o tym myśleć. — Umilkłem; patrzyłem chwilę w jego twarz a potem odwróciłem wzrok i spojrzałem na ręcznik, który musiał odrzucić Robert. — I to jest po prostu starość która przyszła zbyt szybko — powiedziałem.

— Spotkajmy ją obydwójce — powiedział Robert.

— Pewnego dnia przestają cię ludzie odwiedzać, a wtedy ty idziesz odwiedzić kogoś. I to jest właśnie starość.

— Dobrze — powiedział Robert. — Skąd to?

— Był taki film. Zdaje się, że grał Frederic March. Tam było jeszcze coś o dzieciach. Że to właśnie idzie się odwiedzić własne dzieci, które zapomniały o tobie, i że to jest właśnie starość.

Zerwał prześcieradło i położył się na łóżku.

— Tak by to było w ogólnych zarysach — powiedział. — Nie jest źle. Nie mów tylko tego wszystkiego za szybko. Staraj się tekst powiedzieć źle. To musi wyglądać na twoje własne słowa.

— Robert.

— No?

— Nie przychodzi ci czasem na myśl, że to mogą być moje własne słowa?

— Nie myśl o tym — powiedział. — Niech ci się wydaje, że wymyśliłem ciebie ze wszystkim. Disney też wymyślił kaczo-
ra Donalda, ale chyba dzisiaj sam w to nie wierzy. I psa Goofy też. Ale Goofy żyje swoim własnym życiem. Tak właśnie myśl.

Rano zbudziły mnie jakieś hałasy. Wciągnęłem spodnie i wyszedłem na korytarz. Dwóch ludzi biło się tam na dobre; jeden leżał na ziemi a drugi kopął go szpicem buta w twarz. Działo się to przed toaletą. Mój znajomy garbus siedział wciśnięty w kąt i wyglądał jak ponury pajak. Ci dwaj walczący wtoczyli się teraz na mnie; kopnąłem jednego a potem drugiego. Ich wrzaski pobudziły innych ludzi; zaczęto ich teraz rozdzielać i obaj walczący domagali się policji.

— O co im idzie? — zapytałem garbusa.

— O mnie — powiedział.

— Co oni chcą od ciebie?

— Chcą mnie dotknąć.

— To daj im się dotknąć.

— Kiedy to nie jest takie proste. Oni obaj robią interesy na mieście, rozumiesz?

— Nie. Nic nie rozumiem.

— Oni robią interesy i wierzą, że jak dotkniesz garbusa to przynosi szczęście. Ale ten tylko ma to szczęście, który dotknie pierwszy. To dlatego się pobili. Oni się tak biją już dwa lata.

— A co ty?

— Cóż ja mogę zrobić. Jak się bardzo biją, to zamykam się do sracza i czekam aż policja przyjdzie. Nic więcej nie mogę zrobić. Zresztą oni nie wiedzą prawdy. Ja jestem zarezerwowany. Azderbal, ten oszust, przychodzi tu codziennie rano zanim zaczyna coś kręcić na mieście i dotyka mnie na fart. Ja za to dostaję od niego dziesięć funtów miesięcznie. A dzisiaj nawet przed nim ktoś był i dał mi funta, żebym mu się pozwolił zafartować.

Popatrzyłem na niego.

— To był chyba Robert, nie?

— Tak — powiedział garbus. — On mi mówił, że idziecie rwać forszę w miasto. Dałem mu się dotknąć.

— Ale o tym zapomniałeś powiedzieć Azderbalowi, prawda?

— Rzeczywiście — powiedział garbus. — Zapomniałem.

Poszliśmy potem do małej kawiarni nad morze. Robert, ja i ten trzeci gość który miał dać pieniądze, a którego Robert znalazł dzisiaj rano kiedy ja jeszcze spałem. Ten gość był trochę starszy ode mnie, spokojny i wyglądał na siłacza.

— Wszystko jest jasne, nie? — powiedział Robert.

— Jasne.

— No to dawaj forszę. Szkoda czasu.

— Ja powiedziałem tylko, że wszystko jest jasne — rzekł siłacz. — Nie powiedziałem jeszcze, że daję pieniądze.

— Nie — rzekł Robert. — Nie powiedziałeś tego?

— Daj mi jeszcze trochę pomyśleć — powiedział siłacz. — Słuchaj, czy ten wasz przekłety pies...

— Powiedziałem ci już pięć razy, że nie gryzie — rzekł Robert. — Taki silny chłop i boi się psa.

— Ten pies może wcale nie wiedzieć czy ja jestem silny, czy nie — powiedział tamten. — A jeżeli by nawet wiedział, to by go mogło tylko rozezłościć. Słuchajcie, czytałem artykuł, że pszczoły mogą się porozumiewać. Mogą mówić jedna z drugą. — Znów spojrzał na psa. — Czy byliście z nim u doktora? Ma przekrwione oczy.

— Dawaj forszę — powiedział Robert. — Tu nie można czekać.

— Muszę jeszcze trochę pomyśleć.

— Nie rób kawałów, człowieku — powiedziałem. — Ta kobieta jest już w hotelu i już się na pewno kręca koło niej. W tym mieście dużo jest takich co potrzebują forsy.

Jakiś człowiek podszedł do naszego stolika. Widziałem, że jest po nocy. Miał bladą twarz i podpuchnięte oczy; widziałem, że latają mu ręce. Był chudy i wyglądał nędznie; sprana koszula, którą musiał mu dać ktoś wyższy od niego, wisiała na nim jak na psie siodło. Pomyślałem sobie, że musiał się kiepsko czuć: teraz o godzinie dziewiątej rano, kiedy białe słońce wyjadało nam oczy.

— Postawcie piwo — powiedział. — Zrewanżuję się kiedyś.

— Odejdź — powiedział Robert. — Nie przeszkadzaj nam.

— Postaw piwo — powiedział tamten. Widziałem już, że to histeryk: głos mu podskoczył. To jeden z tych co płaczą już po odrobinie alkoholu. Wyjąłem trzydzieści piastrow i podałem mu.

— Masz — powiedziałem. — Kup sobie butelkę.

— Nie mówiłem do ciebie — powiedział. — Mówiłem do niego — i wskazał ręką na Roberta.

— Bierz forszę i zniknij — powiedziałem. Podałem mu trzydzieści piastrow na otwartej dłoni, ale on odtrącił moją rękę i piastry rozsypały się po podłodze.

— To nie było mądre — powiedziałem łagodnie. — Daj nam spokój, człowieku. — To go pewnie rozżłościło. Uderzył palcem w moją pierś.

— Ty pewnie myślisz, że jesteś lepszy ode mnie, nie? — powiedział.

— Nie — powiedziałem. — Wcale tak nie myślę. — Wstałem: złapałem go za łokieć i powlokłem w stronę drzwi. Stawiał opór, ale był tak słaby, że nie czułem tego prawie wcale. Stojący przy dzwiach kelnerzy przejęli go ode mnie i wywlekli na ulicę; ten biedak upadł tam i nie mógł się podnieść. Kelnerzy czekali tylko na to, aby się podniósł i widziałem ich oczy pełne zachwyty kiedy patrzyli jak tamten wstawał powoli.

— Tylko go uderz jeden z drugim — powiedziałem.

— Tu jest lokal dla porządných gości — powiedział jeden z nich.

— Nie całkiem tak, jeśli ja tu siedzę — powiedziałem. Odwróciłem się do siłacza. — Co jest z tymi kelnerami? Dlaczego wszyscy kelnerzy tak lubią się bić?

— Powinieneś to wiedzieć — powiedział siłacz. — Sam byłeś przecież kelnerem.

— Ty wiesz o mnie wszystko, nie?

— Tylko to, czego się mogłem dowiedzieć — powiedział.

— To ja daję forszę na ten interes. Muszę wiedzieć kto dla mnie pracuje.

— On nie jest twoim pracownikiem — powiedział Robert.

— On jest artystą.

— A ty? Też jesteś artystą.

— Jasne. Jestem nim i zawsze byłem.

— Ty — powiedziałem do siłacza — jeśli tak dużo wiesz, to będziesz pewnie znał tego gościa co chciał na piwo. Znasz go, prawda?

— Znałem go.

— I kto to taki?

— Byłem z nim w Armii — powiedział. — Ale żona od niego odeszła i rozpił się. Był żonaty z jakąś nietutejszą kobietą. Teraz amen z nim. Nawet mnie nie poznał.

— Jeszcze jeden wariat — powiedział Robert.

— W Izraelu masz co dwa kilometry domy dla wariatów — powiedział siłacz. Rozmawiali dalej z Robertem; kłócili się właściwie, ale nie słuchałem ich. Patrzyłem na ciemnowłosą dziewczynę w mundurze, siedzącą przy oknie i przypomniałem sobie, że kiedyś jedna taka dziewczyna zaprosiła mnie do domu a kiedy tam poszedłem wieczorem, matka jej, zobaczywszy mnie zemdląła nagle i dopiero potem ta dziewczyna powiedziała mi, że okazałem się podobny do jakiegoś wesołka z SS, który zabił brata matki i jego dzieci a ona na to patrzyła. Ciemnowłosa dziewczyna w mundurze zapłacała i odeszła a ja myślałem o jednym takim z którym mieszkalem przez pewien czas w hotelu dzieląc z nim jeden pokój; on fabrykował bombę, którą chciał rzucić w ministra skarbu i nikt nie chciał z nim mieszkać w jednym pokoju: bomba była produkcji domowej. I jeszcze myślałem o jednym takim który był szwagrem naszego portiera z hotelu, a który podpalił dom wariatów do którego go zamknęła rodzina — tak, że wariaci rozbiegli się radośnie po gajach pomarańczowych płasząc i nucąc a policja musiała ich potem wyczesywać przez dwa dni i rozwozić po całym kraju. Robert wstał od stołka, poszedł zatelefonować i wrócił po chwili rozradowany: wyglądał jak dupa w zenicie.

— Dobrze jest — powiedział. — Mamy szczeniaka.

— Skąd go wzięłeś?

— Nie musiałem go wcale brać. To szczeniak tej naszej narzeczonej. Okazuje się, że to rozwódka. — Uderzył siłacza w ramię. — To jest więcej jak sto procent pewności — powiedział. — Rozwódka, nie ma męża, dziecko które potrzebuje mę-

skiej ręki, ona już też nie młoda, próchno się sypie — wszystko będzie dobrze. Dawaj forszę.

— Tak — zgodził się nagle tamten. — Napisz mi pokwitowanie.

— To potem. Nie mam papieru.

— Napisz na serwetce — powiedział silny. Robert pisał pokwitowanie; widziałem jak pot wystąpił na jego czole; on był zawsze drażliwy jak przychodziło do płacenia a ten silny patrzył na mnie z pełnym życzliwości zainteresowaniem jakie ludzie poświęcają zazwyczaj jaszczurom lub pająkom.

— Nie patrz tak na mnie, człowieku — powiedziałem do niego.

— Nie natniecie mnie? — zapytał. Wciąż jeszcze patrzył na mnie ale wyglądał już teraz bezradnie. Widziałem, że dziwiła go kartka papieru, którą trzymał ostrożnie między wskazującym a dużym palcem lewej dłoni, a którą dostał od Roberta w zamian za pieniądze.

— Nie — powiedziałem. — Nie nacinamy nigdy kogoś kto idzie z nami. Możesz zapytać każdego kto tylko nas zna.

Wciąż jeszcze nie chował kartki do kieszeni. Patrzył na nią a potem spojrzał na mnie.

— I nie żal ci ich? — zapytał.

— Niektórych mi żal — powiedziałem. — A niektórych wcale nie. Jednej było mi żal naprawdę. To była taka jedna nauczycielka z Bostonu.

— Z Bostonu?

— Z Bostonu — powiedziałem. — Nazywała się Luisa. Dostałem od niej potem list.

— I co ci napisała?

— Napisała tylko jedno słowo: dlaczego. Nie odpisałem jej nigdy.

— Powinieneś jej odpisać — powiedział. — Na twoim miejscu odpisałbym jej.

— Nie umiem odpisywać na takie listy — powiedziałem. — Schowaj tę kartkę do kieszeni. Może się i tak zdarzyć, że wpadnie przez okno jakiś ptak i wyrwie ci ją z ręki a Robert nie da ci drugiego pokwitowania. Ja go znam.

— Tak — powiedział. Rozpiął grubymi palcami kieszeń od koszuli i wsunął tam kartkę. Patrzył wciąż na mnie i przedstawiało mi się to już podobać.

— Nie chciałbyś żyć inaczej? — powiedział.

— Nikt mnie o to nigdy nie pytał poważnie — rzekłem. Wciąż patrzył na mnie z wyrazem zakłopotania i bezradności.

— Nie podoba ci się moja twarz? — powiedziałem. — Mnie

też nie. Pomyśl jakby to było pięknie, żebym mógł wyglądać tak samo jak ty. Nie potrzebowalibyśmy lusterka do golenia.

— Dobrze — powiedział Robert. — Idziemy kupić naboje a potem po rzeczy.

— Jaki macie rewolwer? — zapytał silny.

— Nie rewolwer — powiedziałem. — Pistolet. Dziewiątkę.

— Ja też mam dziewiątkę — powiedział. — Nie potrzebujecie kupować pestek. Ja wam dam. W razie czego nie mówcie tylko, że to ode mnie.

— Nic się nie bój — powiedział Robert. — Mamy pozwolenie. A teraz idziemy po rzeczy.

— Gdzie macie rzeczy?

— Wcale ich nie mamy — powiedział Robert. — Ty nam pożyczysz. Walizkę, parę koszul i tak dalej. Przecież nie może pójść do hotelu nagi i bosi.

— Nie mówiłeś mi wcale, że mam ci jeszcze dać rzeczy — powiedział siłacz.

— Zapomniałem. Teraz ci to mówię. Nie ma żadnej różnicy, grunt że wiesz. Nie trzeba wcale dużo. Wręcz przeciwnie. Wszystko co ten chłopak musi mieć to serce i duszę. Chodź. Dasz mu parę skromnych rzeczy. Masz matkę?

— Tak — powiedział silny.

— Ile ma lat?

— Przeszło sześćdziesiąt.

— Masz jej zdjęcie?

— Znajdzie się.

— To będzie jego matka-staruszka — powiedział Robert.

— Umarła przed rokiem. Była chora na raka a on zadłużył się niemożliwie, żeby ją wysłać do szwajcarskiej kliniki, gdzie operuje znakomity profesor. Cóż jednak z tego, kiedy w trzy tygodnie po operacji matka umarła. Jej wycieńczony organizm nie wytrzymał tego. Teraz leży na małym zielonym cmentarzu, a on musi płacić długi. Rozumiesz? Żeby wyjechać z Izraela potrzebny jest paszport a jego paszport leży u adwokata, który wystąpił przeciwko niemu z ramienia tych ludzi od których wziął forszę. Tak?

— Tak — powiedział siłacz. — Ale moja matka nie podobna jest wcale do niego.

— To bardzo dobrze. Ciężkie przejścia zmieniły jego twarz. To już nasza sprawa. Niech ciebie o to głowa nie boli.

Poszliśmy do domu gdzie mieszkał siłacz i tam odpoczęliśmy trochę. Mieszkał ładnie: okna jego mieszkania wychodziły na Jaffę i widzieliśmy stąd białą wieżę starego minaretu i kręte ulice, których dziwny zapach znałem tak dobrze; ryby, prażone mięso i za-

pach rozgrzanej miedzi. Siłacz pakował coś do walizki oglądając każdą sztukę z osobna i składając je starannie niby zakochana żona a ja powiedziałem do Roberta:

— Ty musisz ze mną zostać Robert.

— Zostać z tobą. Gdzie?

— Będziemy razem mieszkać w hotelu — powiedziałem.

— Zwariowałaś. Ta kobieta będzie się mnie krępować.

— Nic się nie będzie krępować — powiedziałem. Wręcz przeciwnie. Teraz ja ci wymyśliłem rolę: ty jesteś mój najbliższy przyjaciel który nie chce mnie opuścić w depresji. I tak dalej.

— Co i tak dalej?

— Ty już wiesz co tam dalej.

— To nie będzie dobrze.

— Będzie bardzo dobrze — powiedziałem. — A zresztą jest mi wszystko jedno. Po prostu nie chcę być sam. Nie powiedziałem ci tym razem, że wierzę w tę całą historię. Bo i nie wierzę w nią. Chcę, żebyś był ze mną.

— A koszty?

— Weźmiemy najtańszy pokój — powiedziałem. — Nie będzie dużej różnicy. Zresztą ten portier z hotelu, który ci zawsze wyszukuje moje narzeczone, może dla nas załatwić trochę rabatu. W końcu on też dostaje coś z tego całego interesu. Nie chcę być sam i koniec.

— Przestałeś wierzyć w siebie?

— Nigdy w siebie nie wierzyłem — powiedziałem. — To ty jesteś ten gość który mnie wymyślił. Tak jak Disney kaczora Donald.

— Nie.

— W porządku — powiedziałem. — Ale ja wysiadam z tego szmoncesu. Rób wszystko sam od początku do końca. Ty przecież wiesz jak to idzie. A ja przyjdę ci odwiedzić do szpitala. Przyniosę ci coś do czytania. Jeżeli będziesz mógł jeszcze czytać.

— To jest szantaż.

— I ja tak myślę — powiedziałem. Siłacz skończył pakowanie, zdjął koszulę i teraz stał przed nami ocierając się nią, a ja patrzyłem na jego mięśnie pracujące wolno: jego ramię wyglądało jak wąż boa. Zacząłem się śmiać a ci dwaj patrzyli na mnie.

— I z czego się tak śmiesz? — powiedział po chwili Robert.

— Z ciebie się śmieję — powiedziałem. — Bo jak się ta cała sprawa nie uda, to się będziesz musiał wyliczyć przed nim z jego forsy, Robert. Boże, jakie to będzie dla ciebie zabawne.

— Wstałem i podszedłem do drzwi. — Zanieś tę walizkę do hotelu — powiedziałem. — Idę do fryzjera. — I do siłacza: — Serwus, Boa. Jak ten cały numer nie daj Boże pęknie, to pamiętaj, że on to wymyślił a nie ja. Żebyś potem nie latał za mną po mieście z rewolwerem. Dajcie psu jeść. Jeszcze nic dzisiaj nie jadł. O drugiej będę na miejscu. Spróbuj dostać pokój od strony morza. Ja to lubię.

Wyszedłem. Oni znów się kłócili: siłacz chciał mu dać fotografię matki ale wyjął ją ze srebrnych ramek które miały pozostać u niego. Robert mówił, że ramki są konieczne bo będą świadczyć na moją korzyść: nędzarz który nie ma niczego prócz fotografii swojej matki, oprawionej w cienkie, srebrne ramki.

— On mógł te ramki sprzedać tysiąc razy — powiedział Robert. — Wtedy jak był głodny i chory. A jednak nie zrobił tego. Że też ty nie rozumiesz najprostszych rzeczy.

Paląc papierosa stałem przy stercie leżaków, których pilnował jakiś mały chłopiec i patrzyłem na nią. Mój pokój był na tym samym korytarzu co i jej, ale ona jeszcze tego nie wiedziała; zaraz po obiedzie zeszła na plażę i siedziała obłożona ilustrowanymi tygodnikami a ten jej chłopiec, który miał nie więcej jak dziesięć lat, latał jak szatan po plaży i zatruchiwał wszystkim życie. Ona sama nie wyglądała jeszcze źle; jedna z tych co późno zaczęła i twarz jej była młoda jeszcze i jasna. Lubię te jasne i czyste twarze, te wszystkie kobiety, które wyglądają trochę jak mniszki, bo tylko one potrafią dać emocję i zdumienie, bez którego by to wszystko było nie do zniesienia. No i ta właśnie tak wyglądała. Kiedy się budzisz w środku nocy i mózg twój poczyną pracować i dławić twoje serce, kiedy jest już prawie jasno i wiesz że nie będziesz już więcej spał tej nocy, to możesz się obrazem takiej twarzy odgrodzić od smutku i złości, tak jak dziecko odgradza się ruchem ręki od tego czego nie chcą zobaczyć jego oczy. Ten chłopiec pilnujący leżaków zapytał mnie po raz trzeci czy życzę sobie wypożyczyć leżak; zapłaciłem mu i zszedłem na plażę.

Poszedłem prosto ku niej i postawiłem swój leżak obok jej leżaka.

— To miejsce jest chyba wolne, prawda — powiedziałem. Wziąłem jeden z jej ilustrowanych tygodników do ręki; popatrzyłem przez chwilę na kolorową twarz jakiegoś cymbała i odłożyłem pismo z powrotem. — Chciałbym wiedzieć, czy to miejsce jest wolne — powtórzyłem.

Popatrzyła na mnie i wskazała ręką plażę, na której nie było prawie nikogo prócz jej samej i mnie.

— Cała plaża jest wolna — powiedziała.

— Nie chodzi mi o plażę — powiedziałem. — Chodzi mi o to miejsce. Czy jest wolne?

— Już nie — powiedziała. — Niestety.

— Nie pytam wcale dlatego aby dać pani okazję do obrażenia mnie — powiedziałem. — Ale tu wiele ludzi idzie na obiad i rezerwuje sobie miejsce na potem. Po prostu jedni proszą innych, aby wyświadczyli im grzeczność. Dlatego pytałem. Powinna pani wywiesić tablicę, aby się do pani nie odzywano. Albo przyprowadzić z sobą policjanta i postawić go w tym słońcu.

— Myślałem, że wyczerpaliśmy już ten temat — powiedziała.

— Nie. Jeszcze nie. To ja powiem kiedy będziemy tak daleko.

Rozstawiłem leżak, potem wziąłem do ręki książkę i otworzyłem ją na którejś tam stronie. Nie czytałem jej; nie wiem o co tam chodziło; myślałem tylko o tym, czy Robert byłby ze mnie zadowolony. Chyba tak. Chodziło o to, aby być agresywnym. Może nawet więcej; aby być wściekłym i aby moja wściekłość skierowana była przeciwko wszystkiemu i wszystkim. One nie bardzo wierzą tym, co siadają koło nich i od razu mają miód na ustach; to przyjdzie potem, niespodziewanie, w którymś tam momencie kiedy Robert da mi cynk, ale najpierw musi być gorycz i wściekłość biedaka, któremu niebo nie oszczędziło żadnego z doświadczeń. A wtedy dopiero one, każda z nich, podejmują funkcję rozjemcy pomiędzy niebem a tym którego wybierają na swojego mężczyznę który z nimi będzie szedł przez ogień, wodę i miedziane trąby. Ale nie wolno było się spieszyć; ta wściekłość nie powinna mijać — musi się uciszać, uspokajać, gasnąć niby płomień w duszy tego, który poprzez dotyk ich rąk szuka schodów do nieba; a tym szukającym byłem ja.

Przewróciłem nie czytając kartkę i odwróciłem się do tyłu. Robert nadchodził niosąc w ręku leżak a twarz jego pełna była goryczy w stosunku do podjętego trudu; ten leżak ważył może z siedem funtów, ale nie więcej. Biedny ten Robert; wyglądał zawsze jak robak, który wyszedł pierwszy raz na światło spod kamienia którym był przywalony. Był tak biały, iż z trudem się w to wierzyło i zaraz sobie pomyślałem o tym siłaczku i jego brązowej, suchej skórze. Rozstawił swój leżak i upadł ciężko oddychając otwartymi ustami, potem wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i podał mi: nabazgrany napis na paczce brzmiał: Amerykan-ka? Podałem mu ognia i skinałem głową. On także; znaczyło to, że od tej chwili będziemy mówić po angielsku.

— Gorąco dzisiaj — powiedział Robert.

— Tak — powiedziałem. — Bystro to zauważyłeś.

— Dawno tu już jesteś?

— Byłem w konsulacie i przyszedłem prosto tutaj — powiedziałem. — W konsulacie było ludzi do cholery i trochę.

— Więc jednak byłeś tam?

— Byłem, powiedziałem ci przecież, że tam pójde.

— Gdybyś mnie pytał jeszcze raz o radę... — zaczął.

Przerwałem mu:

— Ale nie pytałem cię o nią.

Milczeliśmy przez chwilę paląc. Jakiś staruch wszedł do wody i opryskiwał się tam ze swoją staruchą; oboje udawali dzieciaków.

— Dobrze, co?

— Tylko mu jaja ogolić i puścić go między dzieci — powiedziałem.

— Na litość Boską, ciszej — powiedział Robert. — To tylko starzy ludzie którzy chcą mieć trochę przyjemności.

— Nie — powiedziałem. — To tylko lustro, którego nie można rozbić. Nie można rozbić wszystkich lusterek.

— Nie lubię cię kiedy mówisz coś w co nie wierzysz — powiedział. — A to zdanie o lustrach jest okropne. To mi kogoś przypomina. A on wcale nie był takim wielkim pisarzem jak myślisz. Sam o tym najlepiej wiedział. Ktoś kto poluje przez czterdzieści pięć lat nie zabija się przypadkiem podczas czyszczenia broni.

— Ale znał jadłospisy wszystkich restauracji na świecie — powiedziałem. — I ceny wszystkich drinków. To też coś warte. A ty, czy wiesz ile kosztuje piwo „Gold Star” na stojąco przy barze.

— Spokojnie. Wiem, że miałeś ciężki dzień.

— Masz do mnie jeszcze trochę cierpliwości?

— Yep — powiedział. On zawsze lubił Gary Coopera i był naprawdę przejęty kiedy ten stary, piękny pan odszedł. Pamiętam ten dzień; poszliśmy potem do kina, na ulicę Ben Jehuda i ciężko było myśleć, że ta twarz zgasła już naprawdę. Wszyscy ludzie na sali byli milczący i smutni a ja miałem wrażenie, że za chwilę ktoś powie do mnie: To nieprawda. To tylko któryś z tych cholernych dziennikarzy upił się przy swojej maszynie do pisanie. — O co chodzi? — zapytał Robert.

— Będziesz mnie teraz trochę uczył angielskiego, przyjacielu — powiedziałem. — Zdaje się, że dostałem pracę.

— Dostałeś pracę? — zapytał; w jego głosie była najwyższa radość. — To znaczy, że nie musisz już jechać do...

— Właśnie, że muszę tam jechać — powiedziałem. — Do-
stałem list od kolegi z Australii.

— I co?

— Jadę do niego.

— Mój Boże — powiedział Robert.

— Właśnie. Załatwił mi pracę w takiej jednej firmie. W
drodze wyjątku zgodzili się opłacić mój przejazd. On oczywiście
gwarantuje za mnie. Sam nie wiem jak to zrobił. Pewnie
wykombinował jakieś weksle. Ale muszę podpisać kontrakt na
pięć lat.

— Co to za praca?

— Kiedy byłem dzisiaj w konsulacie — powiedziałem —
urzędnik który załatwia moje podanie...

Przerwał mi:

— Pytałem co to za praca.

— Kopalnia — krzyknąłem ze wściekłością. — Nie myś-
lisz chyba, że zostałem głową kościoła Baptistów w Melbourn
albo czymś w tym rodzaju.

— Tak — powiedział. — Nie myślałem tego. Myślałem
o kimś, kto będąc specjalistą od literatury oświecenia idzie pra-
cować w kopalni. — Milczał; patrzyłem teraz na jego twarz obra-
cającą się powoli ku niej. Boże jak on to pięknie robił: te
przerażenie i zdziwienie, któremu potrzebny był świadek i ta
jego wspaniała pewność przy tym. Powiedział patrząc prosto
w jej oczy i pełen osłupienia: — I ty, specjalista od literatury
wieku... oświecenia wybierasz — zaciął się, tak jakby wszystko
wydało mu się nagle beznadziejne i nie warte słowa.

Teraz ja milczałem. Potem odwróciłem się ku niemu pamię-
tając o spokoju i o czasie, który powinien dzielić moją odpowiedź
od jego nieskończonego pytania.

— Jesteś pewien, że miałem wybór? — powiedziałem.

Odwrócił się nagle ku niej z chyżością, o którą nie można
by podejrzewać jego tłustego ciała. Otworzył przed jej oczami spo-
coną dłoń na której leżały mokre, zmięte zapalniczki. Zapalniczki gniecie
się w chwili wewnętrznej furii nie czując tego.

— Czy mógłbym prosić... — wybełkotał i urwał nagle.

— *The light* — powiedziała.

— Tak — powiedział. Przyjął podaną zapalniczkę i zapalił
papierosa. Ale dłoń jego nie powróciła ku jej ręce; zacisnął za-
palniczkę w swojej mokrej dłoni i patrzył przed siebie, jego oczy
jakby oślepyły nagle. To znaczy, że ogłuszony był tym co usłyszał
ode mnie, a co wymyślił poprzednio.

— Zwróć pani zapalniczkę — powiedziałem. Wtedy dopiero

ożył; oddał jej zapalniczkę, a jego twarz której teraz nie widziałem była pełna wstydu i zażenowania.

— Przepraszam — powiedział.

Spojrzałem na nią krótko; również i ona zawstydzona była tym co usłyszała mimo woli; i widziałem już żal, który pojawił się w jej oczach.

— *Don't be sorry* — powiedziała. Uśmiechnęła się do niego i chyba nastąpiło to, co Robert nazywał nieuchwytną więzią przyjaźni, zadzierzgającą się pomiędzy dwoma sercami.

Odwrocił się do mnie z furiackim wyrazem twarzy. Furiacki wyraz twarzy następuje drogą naturalnej reakcji na widok łagodnej i smutnej twarzy kobiecej.

— Teraz chcesz ode mnie abym cię uczył angielskiego — powiedział wysokim, kocim głosem. — Ja, który przeszedłem z tobą całą literaturę elżbietańską. Ja, który specjalnie dla ciebie przetłumaczyłem monolog Mackbetha...

— Nie będzie mi już do niczego potrzebny — powiedziałem. — I nie krzycz tak z łaski swojej. Nie będą mi płacić za Szekspira tylko za te wózki z węglem które będę taszczył. Zresztą diabli wiedzą co tam będę musiał robić.

— A twoja przyszłość?

— Przyszłość — powiedziałem. — Zdaje się, że tego słowa również nie będę potrzebował.

Zeskoczył nagle z leżaka i stanął przede mną.

— Dlaczego się nie zabijesz po prostu — powiedział, a jego pulchne usta drgnęły żałościwie. — Czy nie myślisz, że to by było lepsze dla ciebie?

Teraz i ja stanąłem naprzeciw niego.

— Nie prosiłem cię o twoje rady — powiedziałem. — Sam będę wiedział, kiedy mam to zrobić. Na razie chodzi mi tylko o te kilkaset słów, które będą mi potrzebne.

Pchnąłem go brutalnie i odszedłem; plecy moje i ramiona dygotały z pasji. Wskoczyłem do wody i odpłynąłem kawałek. Morze było jeszcze ciepłe ale czuło się już, że chłód przyjdzie za godzinę i da miastu trochę wytchnienia. Myślałem o tym co robi teraz Robert pozbierawszy się z ziemi ale nie musiałem odwracać głowy: wierzyłem mu.

„Przepraszam panią” mówił Robert. „Nie widziałem go jeszcze w takim stanie”.

„Czy stało się coś?”

Jego martwe oczy patrzą teraz na nią. Nie rozumie pytania.

„Czy stało się coś?” powtarza niepewnie ona.

„Słyszała pani przecież” mówi Robert.

„Przyjaciół pana zamierza wyjechać?”

„On już niczego nie zamierza” mówi Robert. „On już zdecydował. To jest właśnie to najgorsze. Wie pani, to ginący rodzaj. Słowo i czyn, nigdy inaczej. Biedny kretyń. On tego nie wie jak bardzo nie pasuje do świata”.

„Czy nie przesadza pan czasem?” mówi ona. „Praca w kopalni to jeszcze nie jest koniec życia. Mój brat stryjeczny...”

„On nie jest pani bratem stryjcznym” grubiańsko przerwa Robert. Ogarnia go wściekłość na nią, że nie umie pojąć najprostszych rzeczy. „Pani nie zna tego idioty. Przez pięć lat studiów pracował jako nocny kierowca taksówki, aby zarobić na życie. Studiował wtedy literaturę. Miał ojca który był despotą i nie godził się na jego studia i nie pomógł mu przez cały czas ani jednym groszem. A po pięciu latach studiów on przyszedł do domu i mówi do ojca — wie pani co?”

„Nie” powiada ona.

„No więc” mówi Robert. „On powiada do swojego ojca: No, tato...” Robert milknie nagle i macha ręką. Ale to nawet nie machnięcie: to nawet nie gest; to tylko resztką gestu oznaczającego przygnębienie.

„Więc co on powiedział swemu ojcu” powiada ona.

„Ach” mówi Robert. „Nie mówmy więcej o tym. Słyszała pani co on powiedział o przyszłości?” Robert przedrzeźnia mnie teraz, ale w ten sposób w jaki przedrzeźnia się kochanego człowieka: „Nie będę potrzebował twego słowa więcej. Do cholery z tym. A najgorsze jest to, że ja mu wierzę. Wierzę mu, bo go znam”.

Tak więc ta biedna stara kurwa nie dowie się nigdy co takiego powiedziałem do swojego ojca despoty, który był czasem lekarzem a czasem adwokatem: dla kurew z Nowego Jorku adwokatem a dla tych z Kalifornii lekarzem. Może zresztą odwrotnie. Nie w tym rzecz. Ważne jest, że ona się tego nie dowie. Robert też tego nie wie, ale wie za to bardzo dobrze, jaką wartość ma niedokończona rozmowa, do której zawsze można wrócić tak samo naturalnie i swobodnie po godzinach jak i po dniach. Mój prawdziwy ojciec był pięknym, dobrym człowiekiem i umarł kiedy miałem niecałe sześć lat. Ale taki ojciec jest do niczego, powiedział kiedyś do mnie Robert. Zapomnij o nim. Twój ojciec musi być facetem z Dickensa. Może nawet z lekką manią religijną, która twojej matce skróciła życie. Twoi rodzice to moja sprawa. Potem dowiadywałem się, że miałem wuja-wariata który zamordował swoją żonę w przystępie szału zazdrości; że pochodzę z rodziny nałogowych alkoholików, a kiedyś, kiedyśmy wyjmowali forszę od takiej jednej dziewczyny z Bostonu — nie miałem w ogóle ojca; byłem nieślubnym

dzieckiem biednej praczki a o moim ojcu było wiadomo tylko tyle, że był zawodowym kapralem i szedł ze swoim pułkiem na letnie manewry. To nieszczęśliwe dziecko rosło jak chwast przeszkadzający wszystkim oczom, powiedział Robert tej kurwie wskazując na mnie. I oboje mieli przy tym łzy w oczach.

Skoczyłem jeszcze raz i drugi do wody a potem powróciłem na plażę.

— Przepraszam cię — powiedziałem do Roberta. — Nie powinienem był tego powiedzieć.

— W porządku — rzekł. — Nie musisz mnie przepraszać. — A po chwili dodał: — Tak długo jak jestem twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się żałośnie; to wtedy, jak człowiekowi naprawdę chce się płakać i przemocą wtłacza uśmiech na twarz a Robert odpowiedział mi takim samym uśmiechem, w którym nie było już siły ale tylko wierność jednego pobitego człowieka w stosunku do drugiego. To jedna z tych chwil w której ludzie czują iż stało się pomiędzy nimi coś co ich przerasta i czego jeszcze nie potrafią nazwać. Bywają takie chwile. Nasza chwila była z filmu CASABLANCA który oglądaliśmy od czasu do czasu: Buggy i Claude Rains odchodzą powoli w mgłę lotniska.

Usłyszeliśmy nagły wrzask, który poraził nas jak prąd. To jej synek rzucił piłkę w samotnego pana siedzącego obok nas na leżaku. Ten człowiek siedział nieruchomo ubrany w spodnie khaki i koszulę z krótkimi rękawami i patrzył na kąpiące się dzieci z pełnym pobłażenia uśmiechem, jaki może mieć tylko człowiek, który nie zaznał nigdy rozkoszy ojcostwa. Ale uśmiech ten należał teraz do przeszłości: piłka małego zdarła mu z głowy perukę i dygotał teraz z wściekłości. Swoje szpakowate włosy trzymał w lewej ręce podczas gdy prawą wczepił w ramię tego małego, a ludzie stojący dookoła wyli z radości.

— Gdzie twój ojciec — wrzeszczał były szpakowaty.

— Nie powiem ci — mówił chłopiec. Widziałem, że stara się być dzielny chociaż ramię musiało go boleć.

— Powiesz, powiesz.

— Nie.

— Nie?

— Nie.

Przełożył go przez kolano, a wtedy ja podniosłem się i podszedłem do niego.

— Puść go pan — powiedziałem. — Nie wstydzi się pan bić dzieciaka?

— To pana syn?

— Puść go pan — powiedziałem i wyrwałem chłopca.

— Ładnie go pan wychował.

— Wcale go nie wychowałem — powiedziałem. — To nie mój chłopiec. Tak jak i te włosy nie są pańskie. Wstydzilibyś się pan.

— To nie pański syn?

— Chyba nie — powiedziałem. — Wie pan, chciałbym mieć córki. I to takie jak stary Król Lear.

Coś strasznego wgrzyzło mi się w rękę; i to był właśnie ten chłopiec. Stał na szeroko rozstawionych nogach, patrzył mi w oczy i szykował się do uderzenia.

— Weź swoją smutną mordę i zniknij stąd — powiedział. — Sam potrafię się bronić.

— A widzi pan — powiedział z triumfem były szpakowaty. — To te amerykańskie wychowanie.

— Spokojnie, synu — powiedziałem do małego. Ręka pa-liła mnie jak żywy ogień. — Bierz swoją piłkę i idź trochę dalej.

Ten mały miał włosy przycięte na jeża ale przysiągłbym, że stały mu na głowie z wściekłości.

— Nie mieszaj się na drugi raz w moje sprawy — powiedział.

— Dobrze. Nie będę.

Patrzył wciąż na mnie i widziałem, że ocenia swoje szansę przewrócenia mnie. Pewnie wybierał pomiędzy mistrzowskim kopnięciem w piszczel a gwałtownym uderzeniem głową w brzuch, o którym Polacy mówią: baran.

— Mój ojciec by cię pobił gdyby chciał — powiedział wreszcie.

— Może by i tak było.

— Mój ojciec jest bardzo silny, wiesz? Kiedyś pobił w Neapolu dwóch marynarzy. Pod mostem: nie, pod wiaduktem. Czy to twój pies?

— Tak — powiedziałem.

— Jak się nazywa?

— Kleks.

— To z Londona?

— Tak.

— No dobrze — powiedział i pogroził mi pięścią. — I na drugi raz nie mieszaj się w moje sprawy.

Odszedł niosąc swoją piłkę.

— Ładny gagatek z niego — powiedział ten łysy. Wciąż

jeszcze trzymał swoją czuprynę w ręku. — Powinienem mu przetrząść skórę.

— Przetrzep pan lepiej swoje włosy — powiedziałem. — Nie nosiłbym tego na pańskim miejscu. To niepotrzebne. W ten sposób pozbawia się pan atrakcyjności. Przeczytałem właśnie w piśmie TWEN, że jajogłowi są lepszymi kochankami. Mają więcej miejsca w czaszce na tę historię z hormonami.

Wróciłem na swoje miejsce.

— Dziękuję — powiedziała ona.

— Nie ma za co.

— Lubi pan dzieci?

— Nie — powiedziałem. — Ale lubię jego. To wojownik. Mam takiego siostrzeńca.

— Niełatwo jest wychować syna — powiedziała ona. Wstała już i poczęła zbierać te swoje tygodniki ilustrowane.

— Idzie pani już? — zapytałem.

— Już prawie szósta — powiedziała.

Wstałem i wyjąłem torbę z jej ręki.

— Byłem zdaje się niegrzeczny — powiedziałem. — Przepraszam, że tak wrzeszczałem. — Patrzyłem na jej twarz młodą i jasną jeszcze, i pomyślałem sobie, że za trzy czy cztery lata nikt się za nią nie obróci już kiedy będzie iść ulicą czy też siedzieć w kinie. To dziwne jak one szybko znikają, przepadają właściwie na dobre wtedy właśnie kiedy mężczyzna staje się prawdziwie piękny i dojrzały. To wtedy twarze ich stają się zimne i szare; i mówią ostrymi, wysokimi głosami, w których nie ma już ani miłości ani rozpacz, tylko ta ich nędzna mądrość, która już nie umie pomóc im w robieniu szaleństw.

— Wszystko już jest w porządku — powiedziała. Oddałem jej torbę a ona uśmiechnęła się do mnie. — Ma pan zmartwienia? — zapytała.

— Już ich nie mam — powiedziałem. — Już jestem zdecydowany.

Odeszła, a ja wróciłem do Roberta. Skóra jego była zaczerwieniona ale wiedziałem, że jutro będzie z powrotem biały.

— I co jej powiedziałeś?

— Już ty się o mnie nie bój. Byłem zły?

— Byłeś dobry — powiedział.

— Żal mi tego psa — powiedziałem.

— Nie myśl o tym.

— I jej mi też żal — powiedziałem. — Wszystkich mi ich żal. Powiedz temu psu, żeby odszedł ode mnie.

— Odejdź od niego — powiedział Robert do psa. I pies odszedł.

— Wszystkich ich mi żal — powtórzyłem. — One mają już tylko jedno lato. Wtedy właśnie próbują ostatni raz. I zabierają z sobą tę całą forszę którą ciułały przez ileś tam lat. A potem przepadają i już ich nie ma. I to nie to, że odchodzą albo wyjeżdżają. Już ich po prostu nie ma. I nikt ich nie żałuje. Tak jakby ich nigdy i nigdzie nie było.

— Nie powiedz jej tylko czasem tego wszystkiego, jak ci przyjdzie ochota. Ładnie byśmy wyglądali.

— Ty się już nie bój.

— Ty jesteś nieobliczalny.

— Robert — powiedziałem. — Czy jakbym miał swoją kobietę, to też musiałbym do niej mówić?

— Już coś by ci przyszło do głowy.

— Wcale nie. Powiedziałbym tylko: zaklinam cię, nie mów do mnie. Nie mów do mnie w ogóle nic, jak długo będziesz ze mną. I nie powiedz nic aż do tego dnia kiedy zachcesz odejść.

— Dobrze — powiedział. — To się czuje, że naprawdę przeżyte. Powinieneś tylko mówić wolniej. Zawsze cię o to proszę. A teraz pójdziemy zjeść.

— Czy byłem zły?

— Byłeś dobry. Zawsze ci mówiłem, że jesteś dobry. To tylko ty nie chciałeś wierzyć.

— To ten pies — powiedziałem. — Nie mogę na niego patrzeć. Chciałbym, żeby już było po wszystkim.

— Już jest po wszystkim — powiedział. — Ta forsa jest już w kieszeni. Ja ją już czuję. Tylko przyszła mi jedna myśl do głowy. Musisz krzyczeć.

— Kiedy?

— Kiedy nie będziesz chciał wyjechać razem z nią. Rozumiesz? Musisz krzyczeć. Wszyscy ludzie którzy nie mają racji, krzyczą. Wtedy właśnie człowiek pragnie się sam ogłuszyć. Kiedy czuje, że nie ma racji, że musi uczynić coś wbrew sobie. Nie zapomnij o tym. To bardzo ważne. Prosty chwyt psychologiczny. Nie zapomnisz?

— Nie. — powiedziałem. — Nie zapomnę.

Wróciliśmy do hotelu. Robert poszedł od razu spać a ja wyszedłem na balkon. Nie chciało mi się jeść ani czytać; przechylony przez poręcz patrzyłem na morze. Było ciemno i spokojnie. Nasz hotel leżał już poza miastem i teraz było już zupełnie cicho; słyszałem fale nadchodzące z daleka i gasnące na gorącym piasku. Dziwne jak bardzo można się przyzwyczaić do morza i jak bardzo staje się ono potrzebne. Pomyślałem sobie nagle, że strasznie byłoby wyjechać stąd i nie widzieć nigdy już

morza. Daleko zapalały się i gasły światła, a ja stałem nieruchomo i słuchałem wciąż szumu. Nie myślałem teraz ani o niej, ani o naszym psie, ani o tym co przyjdzie mi uczynić i wiedziałem, że to morze uwalnia mnie od myśli i uczuć tak, jak alkohol uwalnia innych ludzi. Długo trwało zanim się tego nauczyłem ale nauczyłem się tego sam i dlatego było to coś warte. Ile jest rzeczy w życiu których można się samemu nauczyć, pomyślałem. Chyba niewiele; to ten wrzask, o którym mówił Robert, zagłuszał nas wciąż i wszystko co naprawdę nasze. Niewiele naprawdę wszyscy mamy, ale dobrze że istnieje ta woda, na którą można patrzeć i której można słuchać. Nikt tego nigdy nie zmieni i nie udoskonali; żaden mądry skurwysyn; i to było to dobre.

— Nie śpisz? — zapytał Robert.

— Nie — powiedziałem. — Oddaję się myślom o charakterze patetycznym. Śpij.

— Właśnie, że nie mogę.

— Masz tremę?

— Nie — powiedział. — Myślałem teraz o teatrze. Potem jeszcze tam o czymś. Potem zacząłem myśleć o naszym psie. Ten pies kosztuje nas do cholery i trochę.

— Dużo dzisiaj pożarł?

— Dwa funty — powiedział Robert. — I widziałem, że jeszcze by przekąsił gdyby mu tylko dać. Ten gość w koszernej jacie popatrzył na mnie jak na szalonego, kiedy mu powiedziałem że to wszystko dla psa. A co ty dzisiaj jadłeś?

— Tylko zupę i kawałek mięsa. Wszystko razem półtora funta.

— Ten pies kosztuje więcej jak my dwaj. Myślę o tym, czy by nie zrezygnować z psa.

— Nie wiem — powiedziałem. — To twoja reżyseria. Ja tylko markuję tę rolę. Nie umiem jej wcale.

— Kiedyś jeszcze zagraś naprawdę.

— Nie radziłbym ci w to wierzyć — powiedziałem. — Ale jak chcesz.

— Byłbyś nie złym aktorem.

— Mam zły głos.

— Masz dobre oczy — powiedział Robert. — Kto ci powiedział, że masz złe oczy? Co za skurwysyn?

— Nikt mi tego nie powiedział. To ja sam o sobie powiedziałem, że mam zły głos.

— Musisz pracować nad głosem. To jest sprawa pracy. Ale nigdy byś nie umiał zagrać komedii. Tego się boję. Twój słaby punkt.

— Chcesz mi powiedzieć, że to co teraz robię nie jest zabawne?

— Rozmaicie by to można nazwać.

— Robert — powiedziałem. — Zrezygnujmy z psa.

— Nie. On jest aktorem a nie rekwizytem. Przemyślałem to teraz. To jest aktor. Z nim musisz rozegrać swoją sprawę. On jest potrzebny po to, żeby wyeksponować twoją furię.

— Nakładę komuś po głowie — powiedziałem. — Może być nawet polynder. Zrezygnujmy z tego psa.

— Nie. Musisz uczynić coś ohydneho. Coś czego będziesz się musiał wstydzić. Przez całe twoje życie.

— Cała bieda w tym, że ja się muszę wstydzić dwa razy — powiedziałem. — Przedtem i potem.

— Nie masz wyboru — powiedział Robert. — Dlatego właśnie jesteś tragiczny. Król Edyp wyrwał sobie oczy aby nie patrzeć na świat. Myśl tymi kategoriami. Dobranoc.

O siódmej rano ten siłacz wszedł do naszego pokoju. Leżeliśmy jeszcze w łóżkach.

— Słuchajcie — powiedział. — Chciałbym z wami pogadać.

— O czym chcesz mówić? — zapytał go Robert.

— O tym interesie. Pomyślałem sobie...

— Dobrze — przerwał mu Robert. — Ale to nie tutaj. Na drugim rogu jest kawiarnia. Idź tam i poczekaj na nas. Ta kobieta mieszka na tym samym piętrze co i my. Nie daj Boże dla nas wszystkich, gdyby coś usłyszała. Tu zresztą jest fatalna kawa. Idź. Zaraz przychodzimy.

Siłacz wyszedł zerkając bojaźliwie w stronę psa. Ubraliśmy się i wyszliśmy na korytarz. Zamykałem właśnie drzwi na klucz a wtedy rozległ się huk; to ten jej synek strzelił Robertowi prosto w ucho.

— To straszak — powiedział ten mały. — Nie masz się czego bać, frajerze. Jesteś kurczak, nie?

Trwało to chwilę zanim Robert odzyskał mowę.

— Jesteś kurczak? — powtórzył ten mały błyskawicznie ładując swój pistolet.

— Jak się nazywasz, kochanie — zapytał słodko Robert.

— John — powiedział ten mały; tym razem strzelił w jakąś staruchę która osunęła się na ścianę upiornie biała. — Tak jak Johnny Guitare.

— Lekarza — powiedziała starucha tracąc oddech. — Szybko.

— Nic pani nie będzie — powiedział Robert. — Parę głę-

bokich oddechów, odrobina życzliwości w stosunku do świata i wszystko będzie cacy-cacy. — Tym razem mały John strzelił w kelnera niosącego tacę z kawą tak, że huk strzału złączył się harmonijnie z brzękiem tłuczonej porcelany. — Pani nie ma po prostu podejścia do dzieci — powiedział Robert ocierając twarz. — On mówi, że nazywa się Johnny — powiedział do mnie. — Ale kiedy patrzę na niego to wydaje mi się, że narysował go Charles Addams. To właśnie ten chłopczyk który hoduje pelikana w butelce.

— Skończy na krześle elektrycznym tak czy owak — powiedziałem.

— Będzie jeszcze gorzej — powiedział Robert. — Zamordują go w celi współwięźniowie a ciało jego rozszarpią na kawałki. Dopiero wtedy Ameryka odetchnie z ulgą. Ale co ci ludzie przeżyją do tego czasu, to aż strach o tym myśleć.

Weszliśmy do kawiarni; siłacz siedział już tam pijąc kawę i był wyraźnie zakłopotany.

— Słuchajcie — powiedział kiedy usiedliśmy już przy stole. — Namysliłem się. Wysiadam z tego całego interesu.

— Tak? — powiedział Robert. — A to dlaczego?

— Mam inny interes — powiedział siłacz. — Będziemy razem z bratem robić kurniki dla kibuców. Mamy jeden znajomy warsztat i tam powiedzieli nam, że możemy z nimi zrobić spółkę. Już kiedyś razem robiliśmy wieże chłodnicze. To porządne chłopaki.

Popatrzyłem na Roberta i myślałem że pęknie.

— Kurniki — powiedział. — On ma interes. Kurniki. Ja się męczę, on się męczy, jej szczeniak strzelał do mnie dzisiaj rano i myślałem, że serce mi pęknie a ty mi mówisz o kurnikach. Powinniście razem z bratem wysiadywać kurczęta i nawracać je na grecki katolicyzm przed zarżnięciem.

— Nie wiem czy ten wasz interes jest pewny — powiedział siłacz.

— Pewniejszy jak twoje kury. Nie rób z siebie dziecka. Porozmawialiśmy, załatwiliśmy a resztę zostaw nam. Już ty się nic nie bój. Cała twoja robota to przyjść i zabrać forszę wtedy kiedy ja ci powiem. Potem możesz nawet otworzyć własną fermę kurzą. Twoja rzecz.

— Całą noc nie spałem — powiedział płaczliwie tamten.

— Wierzę ci. On też nie sypia. Ale na to nie ma rady. Kup sobie jakieś proszki i daj nam spokojnie pracować. Tu nie ma cudów. Trzeba tylko spokoju. Trud i cierpliwość zawsze zostają nagrodzone. Nie chodziłeś do szkoły, czy jak? Znasz historię irlandzkiego rewolucjonisty imieniem Bruce?

— Nie.

— Bruce był wojownikiem podziemia i walczył przeciw Anglikom. Pewnego dnia został ciężko ranny i schował się do grotu. Będąc już zupełnie pewny, że śmierć nadchodzi...

Nasz pies zawarczał nagle i odwróciliśmy się wszyscy trochę. Ten człowiek który chciał od nas wczoraj na piwo nie zapomniał o nas i dzisiaj. Widziałem, że znowu jest po dużym piciu.

— Postawcie jeden GOLD STAR i pójdę sobie — powiedział. — Wcale nie jestem nachalny. Ale muszę się napić.

— Co jest z tobą, człowieku — powiedział Robert. — Nie ma w tym mieście bogatych Amerykanów, czy jak?

— Muszę się napić — powiedział tamten patrząc na mnie. Widziałem, że mnie pamięta.

— Nie napijesz się — powiedziałem. — Nie szukaj awantury. Nie było ci wczoraj dosyć?

— Nie do ciebie mówię — powiedział. Nie wiem dlaczego mnie właśnie tak nie cierpiał, ale nie usiłował tego wcale ukryć. A mnie było go żal: pewnie zauważył to i tego właśnie nie mógł ścierpieć. — Przymknąłbyś się — powiedział. — Tak by było lepiej.

— Nic nie dostaniesz — powiedział Robert. — Jesteś bezczelny.

— Daj na piwo.

— Nic. Daj nam pracować.

Zatoczył się jakoś niezdarnie i widziałem, że go chce uderzyć. Nic by mu i tak nie zrobił i niepotrzebnie stanąłem między nimi. Trafił mnie w ramię; uderzenie było słabe, jak uderzenie dziecka. A ten człowiek miał czterdzieści lat, był wysoki i kiedyś musiał wyglądać nieźle.

— No i co teraz będzie? — powiedziałem.

Znów jacyś dwaj kelnerzy chwycili go chociaż gryzł i pluł; już ja tam zresztą nie patrzyłem co będzie dalej. Jeden z tych kelnerów był młodym chłopakiem i na pewno każdego wieczoru chodził do kina na ulicę Ben Jehuda gdzie bilet kosztował tylko sześćdziesiąt piastrow i teraz przeżywał swoją wielką chwilę; słyszałem to uderzenie w szczękę i był już spokojny.

— Mamy szczęście — powiedział Robert. — Można powiedzieć, że mamy takie powodzenie jak sracz w okresie epidemii tyfusu. — Zwrócił się do siłacza. — Ty go znasz?

— Mówiłem ci już, że byłem z nim w armii. Ale nic więcej o nim nie wiem. On mnie zresztą nie poznaje.

— Sprawa jest załatwiona — powiedział Robert. — Wracaj spokojnie do domu i czekaj na blit.

— Nie natniecie mnie? — zapytał znowu siłacz. — Bo widzicie, ja was w ogóle nie znam. Natniecie mnie, czy nie?

— Nie — powiedział Robert. — Na litość Boską, nie. Od czasów Abrahama Lincolna nie było tak porządných ludzi jak oni i ja. — Teraz Robert odwrócił się do mnie. — I ja chcę robić teatr dla tych ludzi — powiedział. — Wszystko bzdura. W ogóle nie istnieją już żadne wartości. Dlatego nie może być tragedii. Rozumiesz?

— Nie — powiedział siłacz.

— Sto lat temu — powiedział Robert — sztuka była własnością arystokracji i ludzi bogatych. I oni już wiedzieli jak jej pilnować. Gdyby aktor taki jak Belmondo wszedł na scenę w Paryżu albo w Petersburgu przed osiemdziesięcioma laty, to następnego dnia dyrektor teatru poszedłby na żebry. A dzisiaj sztuka stała się własnością wszystkich. To jest koniec. Jestem reakcjonistą. A teraz reakcja straciła swoją społeczną siłę i nie ma już sztuki. Mamy telewizję, samochody i pralki, które można kupić na raty, ale nie ma już sztuki. Już jej w ogóle nie będzie. Jest tylko Henry Miller i Sartre. Sartre dokonał przeżywanego odkrycia, że męskie kalesony bywają czasem nieczyste i pewnie dlatego przejdzie do wieczności. Pewnie mu dadzą Nobla. Może mu już dali. — Znów zwrócił się do siłacza. — Czytałeś dzisiejszą gazetę? Dali już Nobla temu wszarzowi, czy nie? Powinni mu dawać co tydzień. Taki zarzygany ... który przeczytał zbyt wcześnie Kirkegaarda. Co? Jeszcze nie dostał? Proszę, odpowiedz mi.

— Nie wiem — powiedział siłacz. — W końcu lutego Liston będzie walczył z Clay'em. Ja nie wiem, Robert.

— Ty i twoje cholerne kurniki — powiedział Robert. — Czytaj koniecznie Sartre'a. To ci pomoże zrozumieć twoje kury. A ja chcę dla was robić teatr. Gównu będziecie mieli a nie teatr. Popsułeś mi cały dzień. Czytaj Sartre'a, rób co chcesz, ale nie przeszkadzaj nam w pracy. Tak, tak. Koniecznie go przeczytaj. Dwa razy. Trzy razy.

— Ostatnim razem kiedy byłeś w Tel-Awivie też mówiłeś że masz pewny interes. I co z tego wyszło?

— To nie moja wina. Ja ci powiedziałem żebyś poszedł do „Wu”. A ty poszedłeś do „F”.

— „F” w ogóle nie znał tego interesu — powiedział siłacz.

— Pewno, że nie mógł nic wiedzieć. Ja ci od razu powiedziałem, żebyś poszedł do „Wu”. Wszystko gównu co ty załatwiłeś.

— Gówno — oburzył się siłacz. — To ja cię zapoznałem z tym portierem w hotelu. Portier też gówno?

— Wszystko gówno co ty załatwiłeś — powiedział Robert.

— Ja bym ci radził, żeby ten interes wyszedł — powiedział siłacz. — Ty mnie rolować nie będziesz.

Tak sobie rozmawiali jeszcze przez jakiś czas. Kiedy Robert załatwiał jakiś interes, wszystko było w maksymalnym stopniu tajemnicze. Nie mówił nigdy nazwiska tylko pierwszą literę — W albo F. Wszyscy wiedzieli kim jest F i Wu i jak się naprawdę nazywają; mimo to Robert nie rezygnował ze swojej etyki. Taki już był.

— „F” winien mi do dzisiaj dnia forszę — powiedział siłacz.

— Czytaj Sartre’a.

— „Wu” też jest złodziejem. Teraz go zamknęli i co z tego mam? Pójdę za nim do więzienia żeby wydostać swoją forszę, czy jak?

— Czytaj Sartre’a — mówił Robert. — Zaczniij już dzisiaj. A teraz idź już.

Zapłaciliśmy i poszliśmy na plażę. Ona tam już siedziała. Wzięliśmy leżaki i usiedliśmy jak wczoraj.

— Dzień dobry — powiedziała.

— Dobrze pani spała? — zapytał Robert.

— Słyszałem, że John pana przestraszył.

— Ależ skąd — powiedział Robert. — Kochane dziecko. Iskra. Sam byłem taki.

Mówił o małym Johnnym i o sobie, a ja tymczasem patrzyłem co mały robił. Miał pełne ręce roboty. Najpierw przyczepił sznur do leżaka i kiedy jakiś stary człowiek chciał właśnie usiąść mały Johnny wystąpił czynnie. „On ma ten zdrowy, ludowy humor” powiedział Robert patrząc jak starzec usiłuje powstać. Potem mały zajmował się przez długi czas lepieniem kul z piasku i rzucał nimi właśnie w te kobiety, które nie chciały zamoczyć włosów. Jednym uderzeniem sprawiał, że ondulacja za dziesięć dolarów zamieniała się w ruinę a jego oko i ręka nie zawodziły nigdy. Trwało to przez długi czas i obliczyłem sobie, że fryzjerzy w hotelu DAN zarobią dzisiaj ponad sto pięćdziesiąt dolarów nie licząc napiwków. Ale znudziło mu się to. Zniknął nagle, a potem wrócił z powrotem niosąc pełną garść klamer jakimi przyczepia się bieliznę do sznura. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że cała bielizna hotelowa, którą prano w nocy, legła na piasku. Johnny pozatykał te klamry za pas swoich kąpielówek i wypłynął. Nie wiedziałem właściwie

po co je wziął ze sobą, ale za chwilę miałem się zawstydzić własnej głupoty. Johnny'ego natura obdarzyła darem prostego myślenia i pomysł jego był wielki; wyszukiwał ludzi pływających w maskach i zamykał im dopływ powietrza w ten sposób iż mistrzowskim ruchem przyszczepiał swoją klamrę do gumowej rurki i nieszczęśnicy poczynali się dusić: trwało to chwilę a potem zdzierali maski z głów; dwóch zgubiło przy tym maski i nie udało się już ich nigdy odnaleźć. Jeden z tych w maskach był kiepskim pływakiem i musiał go wyciągać ratownik. Zewsząd wołano policjanta i przysięgłbym, że słyszałem głosy domagające się lynchu. Wyciągnięty człowiek dostał teraz ataku histerycznego i stała nad nim cała grupa ludzi dających ratownikowi dobre rady jak go przyprowadzić do przytomności. Ratownik stracił głowę: dał histerykowi dwa razy w mordę i atak hysterii przeszedł. Ale histeryk się obraził i zażądał od ratownika jego personaliów; sprawa miała się zakończyć w sądzie.

— Ja pana wykończę — mówił histeryk.

— To było moim obowiązkiem — twierdził ratownik. — We wszystkich książkach o ratownictwie jest mowa o tym, jak postępować w wypadku ataku histerycznego.

— Pan mnie uderzył w twarz.

— Pan miał atak. Ja musiałem. Na kursach nam to tłumaczono.

— Jak wam tłumaczono? Co pan ma robić? — zainteresował się nagle ktoś trzeci: mówił bardzo dystygowanie po angielsku; idę o zakład, że był z Kalifornii. — Co pan ma robić?

— Uderzyć w twarz otwartą dłonią — powiedział ratownik. — Właśnie tak.

Uderzył gentlemana z Kalifornii w mordę ale źle obliczył swoje siły i gentleman padł na piasek wyrzuciwszy szeroko ramiona, niby ptak trafiony w locie. Leżał bez ruchu na piasku a ratownik pochylił się nad nim i wrzeszczał:

— Tak nam tłumaczono na kursach. Ja panu pokażę swoje książki. To są naukowe metody i ten pan nie może mieć do mnie pretensji. — Nikt go nie rozumiał, bo ratownik mówił po hebrajsku. Mały Johnny pomógł mu. Powiedział:

— *He's right. It's his duty.*

— *Duty* — wrzeszczał ratownik uczepiwszy się tego słowa. — *Duty. Duty.*

Wreszcie przyszedł policjant, spisał protokół i wszystko po mału uciechło.

— Johnny, kochanie — powiedziała ona kiedy tłum się

rozszedł a my z Robertem wyrwaliśmy małego ze szponów ratownika. — Może byś poczytał trochę. Nie masz ochoty?

— Dam ci swoją książkę — powiedział Robert.

— Idź do piekła razem ze swoją książką — powiedział serdecznie mały John. — Chcę się bawić z twoim psem.

— Ależ oczywiście, kochanie — powiedział Robert. — Na pewno się zaprzyjaźnicie. — I do mnie: — Zamorduje nam psa. Już trzeba szukać nowego.

— Coś ty powiedział? — spytał podejrzliwie mały.

— Powiedziałem, że trzeba nakarmić psa.

Mały nie odchodził jeszcze. Stał jak to zwykle on: na szeroko rozstawionych nogach a krótko ostrzyżony łebek pochylił do uderzenia. Jego piegowaty nos zmarszczył się ze złości.

— Powiem mojemu ojcu, żeby ci rozwalił pysk — powiedział wreszcie. — On cię już urządzi. Twój doktor zarobi całe piekło pieniędzy.

— Opowiedz coś o twoim tatusiu — powiedział Robert.

— Jest wielki — powiedział John. Określił rękami wzrost a potem szerokość barów swojego ojca; coś jak Sonny Listen. — Wielki i silny — powiedział. — Nie boi się nikogo. Potrafi wykopać piekło z każdego. Kiedyś zaczęło go trzech pijanych marynarzy a on każdemu dał radę.

— Naprawdę — powiedział Robert.

— Naprawdę. Mój ojciec to silny gość. Nie zaczepia nikogo, ale jeśli ktoś go zaczepi. — Przerwał, po chwili powiedział: — Dobrze, że są na świecie te wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe.

— Z tymi marynarzami to było w Neapolu — powiedziałem. — W Neapolu pod mostem.

— W Neapolu to innym razem — rzekł Johnny. — To o czym teraz mówią zdarzyło się gdzie indziej. Już nie pamiętam jak się to przekłęte miasto nazywa.

Zawołał na naszego psa i odszedł. Robert poszedł kupić papierosy; paliłem właśnie ostatniego a ona powiedziała nagle do mnie:

— Proszę mi dać tego papierosa.

Podałem jej; nie usiłowała nawet ukryć swoich łez. Płakała ciężko i bezradnie; ludzie przechodzący koło nas zatrzymywali się i patrzyli na nią uśmiechając się głupio, a potem odchodzili niechętnie. Jakichś dwóch o nalanych twarzach i wiszących brzuchach zatrzymało się na dobre i szeptali coś między sobą.

— Przejdź — powiedziałem. — Jeden z drugim.

— Co pan powiedział? — zdziwił się jeden brzuch.

— W pańskim interesie powiedziałem, żeby pan odszedł — rzekłem. Oni odeszli a ja wyciągnąłem do niej rękę.

— Proszę pójść za mną — powiedziałem. — Wypłyniemy kawałek. Nie wszyscy muszą widzieć, że pani ma kłopoty.

Poszła za mną; trzymając się za ręce weszliśmy do wody i wypłynęliśmy. W odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od brzegu były resztki mola; ktoś zaczął budować to molo i nie starczyło mu pieniędzy. Usiedliśmy tam wdrapawszy się po sliskich deskach.

— Mogę jakoś pomóc? — zapytałem.

— Już jest dobrze.

— Chodzi o jego ojca, prawda?

— Tak.

— Nie widział go nigdy przedtem?

— Tak. Nie może go w każdym razie pamiętać. Ale zobaczy go teraz.

— Jest pani pewna, że to dobre dla niego?

— Po to tu przyjechałam — powiedziała. — Mały prosił mnie tak długo, aż zrobiłam coś co zupełnie nie ma sensu. Lepiej by było dla niego, aby myślał o nim dalej, tak jak myśli teraz. Ale to nie będzie możliwe. Tego się boję.

— Zdaje się, że to rozumiem — powiedziałem. — Ja miałem takiego wuja który był niebieskim ptakiem. Boże, czego ten człowiek nie wyrabiał. Pił, grał w karty a pewnego dnia przegrał nawet dom, w którym wszyscy mieszkaliśmy. Ale był bardzo piękny. Kochałem go więcej od matki. Mój tata umarł kiedy miałem pięć lat.

— Był chory?

— Nie — powiedziałem. — Źle się po prostu wyraziłem. Został zabity. Słyszała pani kiedy wyrażenie: naród myślicieli i poetów?

— Nie — powiedziała.

— To Niemcy tak mówili o sobie. Skromność jest piękną rzeczą. Teraz zresztą budują milion Volkswagenów rocznie i nie myślą już o tamtym. Na pewno zresztą jest im przykro. Niemcom po każdej wojnie jest przykro.

— Szkoda, że nie mamy już papierosów — powiedziała.

— Proszę poczekać tutaj — powiedziałem. — Popłynę na brzeg i przyniosę. Robert już pewno kupił.

— Nie. Proszę zostać ze mną jeszcze przez chwilę. Boję się, że ci dwaj z brzuchami przyplyną tutaj tylko po to, aby na mnie jeszcze trochę popatrzeć.

— Nie daliby rady — powiedziałem. — Każdy z nich ma przepuklinę i chore serce. Nie stać ich na żaden wysiłek fizycz-

ny. Z najwyższym trudem podnoszą papierosa do ust. Czy jego ojciec jest tutaj?

— Tak — powiedziała. — Ale nie zjawił się dotychczas. Powinien być już przedwczoraj. Pisałam do niego, ale nie wiem co się stało.

— Nie chciałbym pytać o nic — powiedziałem. — Proszę mówić tylko wtedy kiedy ma pani ochotę.

— Jego ojciec urodził się tutaj — powiedziała. — Poznaaliśmy się przed jedenastoma laty. Wtedy właśnie przyjechałam pierwszy raz do Izraela. Więc jego ojciec pojechał ze mną do Ameryki i tam przekonał się, że nie potrafi żyć poza Izraelem. Potem wrócił do Izraela i wtedy zaczęło mu się wszystko podobać w Ameryce. Wrócił do Ameryki i znów zaczął tęsknić do Izraela. I tak w kółko. Pewnego dnia wyjechał i zniknął na dobre.

— Ameryka musi być ciężkim krajem — powiedziałem. — Zresztą nigdzie nie łatwo być obcym.

— Tak — powiedziała. — Może to i nie jego вина.

Pomyślałem sobie, że to na pewno nie jego вина. Ja też tęskniłem za Polską i wiem jak to jest. Nic tak nie potęguje uczuć patriotycznych jak brak gotówki.

— Chce pani już wracać? — zapytałem po jakimś czasie.

— Nie — powiedziała. — Tak przyjemnie siedzieć tutaj. Co to miało właściwie być? Most czy jak?

— Molo — powiedziałem. — Tu miało być molo, bar, muzyka i w ogóle rozkosze nocnego życia. Ale ten gość, który to wymyślił zbankrutował. Okradł go współnik. Potem żona od niego odeszła. Jedno z jego dzieci zostało pokąsane przez wściekłego psa i będzie miało do końca życia feler wymowy. Potem upił się z rozpacz i jechał samochodem w stanie nietrzeźwym. Potrafił jakąś kobietę i ta zrobiła mu proces a jej adwokat powiedział przed sądem, że od tego czasu jego klientka nie może żyć ze swoim mężem, bo ją to boli. Tak więc musiał płacić odszkodowanie, żeby jej mąż mógł chodzić na dziewczynki. Prawo jazdy odebrano mu dożywotnio. Chciał się utopić z rozpacz, ale wyciągnięto go, odratowano a potem musiał płacić za szpital ponieważ był nieubezpieczony. Potem truł się gazem, podcinał sobie żyły, pożerał proszki nasenne ale go zawsze odratowywano. Na podstawie jego szaleństwa żona otrzymała rozwód, wyszła po raz drugi za mąż i zrobiła świetną partię. Wreszcie wbił sobie nóż w serce i po długich cierpieniach skonał w szpitalu dla nędzarzy.

— Skąd pan to wszystko wie, człowieku?

— Wcale tego nie wiem — powiedziałem. — Ale wystarczy przymknąć oczy a życie wydaje się nam przyjemne. Ale

mogę dla pani wymyśleć inne zakończenie: popadł w nałóg palenia haszyszu i teraz go można od czasu do czasu zobaczyć w towarzystwie trędowatych żebraków. Tak jak w waszych filmach.

— Co on robi? Nie zrozumiałam tego.

— Ma małą na plecach — powiedziałem.

— Rozumiem. Był pan w Stanach?

— Nie.

— Pan mówi z amerykańskim akcentem. Nie nauczył się pan chyba tego w szkole.

— Ja się w szkole w ogóle niczego nie nauczyłem — powiedziałem. — Byłem bardzo niegrzecznym uczniem i przez te wszystkie lata stałem cały czas w kącie twarzą do ściany. To za karę. Przyzna pani, że w tych warunkach ciężko nauczyć się czegokolwiek. Nawet na lekcjach gimnastyki wyrzucano mnie za drzwi.

Uśmiechnęła się.

— O to właśnie chodziło — powiedziałem.

— O co?

— O to aby się pani uśmiechnęła.

— Już jest lepiej — powiedziała. — No więc gdzie się pan nauczył angielskiego?

— Pracowałem przez jakiś czas na pustyni w takiej jednej mierniczej firmie. Wie pani: to tacy faceci którzy latają z tyczkami po polach, obliczają a potem nic im się nie zgadza. Mój szef był Amerykaninem i każdego dnia przez czternaście godzin słuchałem jego klątw. Po jakimś czasie przywyczailiśmy się do siebie.

— Pracował pan na pustyni... — zaczęła.

— Tak — powiedziałem. — Ale błagam panią, proszę tylko nie mówić, że to bardzo romantyczne. Nie było wcale romantycznie. Mnóstwo skorpionów i tak dalej. Były jeszcze węże tak, że musiało się chodzić w długich butach. A wieczorem mój szef zanudzał mnie opowieściami z życia rodzinnego. Jego teściowa była aniołem, jego żona była aniołem, jego teść był także aniołem. Na całe szczęście wszyscy umarli. Zostałem mu tylko ja i jego wspomnienia. Teściowa anioł dostała ataku serca, anioł żona miała katastrofę smochodową, anioł teść zapił się na śmierć. Wszyscy odfrunęli.

— Boję się o Johnny'ego — powiedziała.

Znów rozpląkała się nagle i pogłaskałem ją pamiętając o tym, aby wyszło mi to niezręcznie i szorstko. Wiecie — szorstki człowiek, ale serce ma złote. Położyła głowę na moim ra-

mieniu i płakała dalej. Widziałem, że starała się być dzielna, ale nie dawała sobie rady.

— Czy z jego ojcem dzieje się źle?

— Mój Boże — powiedziała wreszcie. — To wstrętne co powiem, ale dla tego dziecka byłoby lepiej gdyby ten człowiek nie żył.

— Bóg już będzie jakoś tam wiedział co jest dla niego lepsze — powiedziałem. — Proszę nie robić roboty za niego.

— Tak — powiedziała. — Przepraszam.

— Gdyby pani miała kłopoty to ja już powiem Johnny'emu co i jak. Znajdę jakiś pomysł, żeby ocalić glorię.

— Znajdzie pan?

— Oczywiście. Lubię małego.

— Lubi pan go?

— Jasne, że go lubię. To że mam mu ochotę czasami wyrwać nogę z tyłka to inna sprawa. Lubię na niego patrzeć.

— On też pana lubi. I ja wiem dlaczego. On by chciał, żeby jego ojciec był taki. — Przerwała nagle i popatrzyła na mnie. — A może właśnie dlatego pana nie lubi — rzekła. — Rozumie pan?

— Nie — powiedziałem.

— Nie powiedziała panu tego żadna kobieta — zapytała. Ton jej głosu nie był wcale miły.

— O to właśnie chodzi, że nie — powiedziałem.

— No to marne miał pan kobiety — powiedziała ona.

Nie odpowiedziałem; nie miałem zresztą czasu bo ona powiedziała szybko:

— Proszę się nie gniewać. Ja jestem prosta. Kiedy mi się coś podoba, lubię to nazwać. A w końcu przyjmuję odpowiedzialność za swoje słowa.

Dotknąłem jej ramienia.

— Czy jest pani pewna, że daje pani ludziom te same prawa, których udzieliła pani sobie?

— To jasne.

— No więc — powiedziałem. — Pani mi się podoba. Zdaje się w ogóle, że jest pani bardzo ładna.

— Ou, ou — powiedziała.

— Ou, ou — potwierdziłem.

— Czy to prawda?

— Prawda — powiedziałem. — Nie siedziałbym z panią tutaj inaczej. Dramaty brzydkich kobiet mało kogo obchodzą. Kiedy brzydka kobieta zaczyna rozpaczać mówi jej się, że ma ładne oczy i idzie się dalej. Niestety. Ludzie nie są inni. Nie

mogę przed paną tego dłużej ukrywać. Jak się pani właściwie nazywa?

— Mary. To by było chyba po hebrajsku Miriam. Tak jak Maria.

— Wolę Mary — powiedziałem.

— A pan?

— Naprawdę nazywam się Jakub.

— Jak to będzie po hebrajsku?

— Jakow — powiedziałem. — Ale cała bieda w tym, że jestem katolikiem.

— Czy tu źle katolikom? — zapytała szybko.

— Nie — powiedziałem. — Jeśli cię ludzie lubią, to wszędzie można dać sobie radę. Tutejsi ludzie są bardzo dumni z tego, że mogą dać pracę i dom ludziom innej religii. Przynajmniej niektórzy z nich. Ale są i tacy którzy nas nie lubią i nie bardzo jest się czemu dziwić. Może wrócimy już? Bardzo bym chciał zapalić.

— Dobrze — powiedziała.

Kiedy wróciliśmy spojrzałem na zegarek: była godzina szósta. Robert już odszedł: zostawił mi papierosy i karteczkę: „Spokojnie i nie za szybko. Nie zapominać o rozdrażnieniu wewnętrznym. Mały John wpuścił psa do koszernej jatki. Duże straty. Jutro mamy się stawić na policję. Działać spokojnie i pamiętać o tym, że cierpliwość przynosi róże jak to się mówi po niemiecku. Jestem w hotelu. Robert”. Okryłem się ręcznikiem i zapaliłem papierosa. Zacząłem się rozbierać; okręciłem się ręcznikiem i położyłem swoje mokre kąpielówki na dachu. Chciałem właśnie sięgnąć po spodnie kiedy jakaś mała i szybka dłoń nagle je pochwyciła. Nie potrzebowałem się nawet wychylać; wiedziałem, że kąpielówki i koszula zniknęły również. Trzymając rozpaczliwie ręcznik okręcony wokół bioder, wychyliłem nieco głowę i powiedziałem:

— Słyszysz mnie pani?

— Tak.

— Jestem zupełnie nagi. Johnny zlikwidował moją garderobę.

— Nagi?

— Tak — powiedziałem. — Mam oczywiście papierosa w ustach. Ale to wszystko.

— Stłukę go dzisiaj — powiedziała.

— To potem. Czy może mi pani pożyczyć swój kostium kąpielowy? Muszę jakoś wrócić do hotelu.

— W damskim kostiumie?

— Powiem, że wyrosły mi piersi — oświadczyłem pogo-

dnie. — Będzie bardzo wesoło. Mogę także powiedzieć, że jestem hermafrodytą. Wszystko mi jedno. Najważniejsze, żeby mieć cokolwiek na sobie.

Włożyłem szybko jej kostium. Jakichś dwóch mężczyzn przeszło koło nas i słyszałem jak jeden powiedział do drugiego, że w Kalifornii jest bardzo dużo mężczyzn którzy interesują się drugimi mężczyznami a tamten odpowiedział mu, że był kiedyś w Los Angeles w męskim *beauty-shop* i że to jest odrażające. Potem wyrazili troskę o przyszłość narodu amerykańskiego, który w tak krótkim czasie przestał być narodem pionierskim i zdegenerował się zupełnie. Pierwszy odpowiedział mu na to, że na pewno nie czytał Pisma Świętego bo powinien wiedzieć, że już w Sodomie i Gomorze działy się podobne rzeczy. A także w starożytnej Grecji. Drugi uczuł się dotknięty zarzutem nieuctwa; powiedział mu parę ostrych słów i rozeszli się pokłóceni.

— No, Johnny — powiedziałem do siebie. — Zdaje się, że przeżyjesz coś dzisiaj. Wcale nie jestem pewien, czy ci się to będzie podobało.

— Hej — powiedziała ona. — Ubrał się już pan?

— Jestem najbardziej czarującą kobietką na wybrzeżu — powiedziałem. — Coś w rodzaju Debby Reynolds czy jak ona się tam nazywa.

— Pójdę i poszukam małego.

— Proszę się nie trudzić. Nie znajdzie go pani. Nie po to ściągnął moje rzeczy aby je pani znalazła. Zresztą przerobił je w międzyczasie na żagiel do łódki albo coś w tym rodzaju.

— John to potwór — powiedziała. — Ale stłukę go dzisiaj. Na swoje ostatnie urodziny podpalił dom i trzeba było wołać straż pożarną. Moja matka rozchorowała się na serce. — Podeszła nagle do mnie i pocałowała mnie w policzek. Zrobiła to tak ładnie i naturalnie, jak by była moją siostrą. — Nie bądź zły na niego — powiedziała. Zobaczyłem znów łzy napływające do jej oczu. — Nie umiałam go wychować.

— Nie jestem wcale zły — powiedziałem. — Nigdy nie myślałem, że będzie mi tak dobrze w tym kostiumie. Kwiatki są urocze. Robertowi też się będzie podobać.

— Jesteś bardzo miły, wiesz? Lubię cię, wiesz?

No więc, tak się to zaczęło. Ona stała o krok ode mnie i wyciągnąłem rękę. Pocałowaliśmy się nieśmiało; raz i drugi. W międzyczasie tamci dwaj od Sodomy i Gomory pogodzili się i teraz patrząc na nas, zaczęli mówić o jakimś filmie Ingmara Bergmana w którym dwie siostry okazują sobie zbyt dużo względów.

— Spokojnie, panowie — powiedziałem. — Ingmar Berg-

man to gówniarz. Tak o nim powiedział Orson Welles a ja jemu wierzę. A zresztą ta pani jest moją nieślubną córką.

— W starożytnej Grecji były znane takie rzeczy — powiedział jeden z nich; oddalili się już.

Tamten drugi przystanął, jak by go piorun trafił.

— Niech pan przestanie imponować mi swoim klasycznym wykształceniem — krzyknął. — Ja mam tego dosyć. Pan mówi o Grecji, o Piśmie Świętym i myśli pan, że ja nie wiem kto mnie podesrał w interesie.

— A pan płacił fałszywymi czekami — rozszlochał się ten drugi. — Gdybym pana zaskarżył dostałby pan ładny kawałek czasu. To wcale nie jest śmieszne.

Rozeszli się znowu.

Robert poszedł spać do siłacza wzięwszy ze sobą psa a ja usiadłem sobie na balkonie i czytałem Czechowa. Czytałem go zresztą zawsze, wożąc ze sobą te parę tomów; Robert kupił je kiedyś dla mnie i zrobił mi wykład na temat wielkości Czechowa. Miał rację: jest wielu wielkich ale Czechow to przyjaciel. To dziwne jak czasami potrafił być okrutny. Myślę, że nie zdawał sobie sprawy z własnego okrucieństwa, nie chodziło mu o to i dlatego jego okrucieństwo jest straszne. Jego wyobraźnia pozbawiona była złości — powiedział Robert. Robert miał pomysł jak wystawić Czechowa i mówił na ten temat często i długo. Ostatni raz tłumaczył to jakiemuś nędzarzowi który znęcał się nad własnymi dziećmi bijąc je żelaznym prętem — Robert tłumaczył mu to w areszcie miasta Jaffa. Zdaje się, że tamten zrozumiał go; rozplakał się nawet kiedy Robert odegrał mu kawałek Wiśniowego Sadu. Bywa i tak.

Robert to maniak teatru. W więzieniu zawsze odgrywał dla kiblujących co tylko chcieli, w zamian za papierosy. Ustalił nawet własną taryfę za usługi natury artystycznej; monolog Mackbetha zaczynający się od słów: „To-morrow, tomorrow and to-morrow” w języku polskim odwał za jednego papierosa. Po angielsku — dwa papierosy. Scena balkonowa należała do taniego repertuaru: jednego papierosa którego dzieliliśmy na dwójkę bo to ja byłem Julią. To były najdroższe kawałki. Repertuar nowoczesny odwalałem sam i tanio. Robert nie brał się nigdy do nowoczesnego repertuaru; był kapłanem sztuki; pamiętam, że z jednym przemytnikiem, który był niegdyś w młodości członkiem teatru amatorskiego w Kairze, odwalili Fausta a potem pobili się a właściwie pobił go Robert za szarżę i teatralność. Kiedy ich wreszcie rozdzieliliśmy, wymyślał mu jeszcze długo mówiąc, że w czasie gry aktor musi trzymać swoją duszę za

skrzydła. Ja sam byłem skromniejszy od niego; odwalałem im przeważnie filmy, a największy mój sukces to pies Goofy. Oczywiście, że miałem więcej papierosów od Roberta a potem on palił moje papierosy i narzekał na schamienie publiczności i na kretynizm filmów.

Robert przyjechał do Izraela z Polski i chciał robić teatr. Zaczął pracować w teatrze w Tel-Avivie, ale szybko go stamtąd wylali bo robił stale awantury że grają tak jak tego chciał Stanisławski, a on, Robert, Stanisławskiego nie uznawał; było to dziwne, bo kochał jednocześnie Kazana i Lee Strasberga. Tak długo im w tym teatrze przeszkadzał i nudził, aż się go pozbyli pod jakimś nikczemnym pretekstem. Potem założył razem z jakimś dwoma cwaniakami kabaret literacki i udało mu się już po pierwszym występie obrazić wszystkich; wierzących i niewierzących, świeżo przybyłych emigrantów i ludzi urodzonych tutaj; prasę, wojsko i Bóg wie jeszcze kogo. Cwaniacy uciekli taksówką z Tel-Awivu zaraz po występie i nie zapomnieli o kasie a Robert został sam mając na karku ze trzy albo i więcej procesów: między innymi i za to, że nie zapłacił za salę i wtedy go właśnie posadzili. Napisał błagalny list do swoich wspólników, żeby go wyciągnęli, ale nie wyciągnęli go. Wobec tego zaczął udzielać rad prawnych innym więźniom i wtedy go poznałem. Siedział na pryczy: gruby, niechlujny, a jakiś ślepy człowiek stał przed nim.

— Więc jak to było? — powiedział Robert.

— Tak mnie jakoś naszło — mówił ślepiec.

— Naszło cię, żeby chędożyć własną córkę?

— Chciałem jej tylko zapiąć stanik, bo sama o to poprosiła.

— To było wiele razy?

— Można powiedzieć.

— Nic ci nie będzie — oświadczył pogodnie Robert. — Powiesz po prostu prokuratorowi, że nie widziałeś kogo chędożysz. Jesteś w końcu całkiem ślepy gość, nie?

Więźniowie zaśmieli się uradowani a ślepy wybuchnął płaczem. Potem Robert poznał jakiegoś gościa, który mu powiedział, że potrafi robić kukielki i jeszcze w kryminale założyli teatr lalek. Wreszcie Roberta wypuścili a on jakoś wykombinował kaucję za tamtego od lalek; a potem przyszedł do mnie do hotelu razem z tamtym wszarzem i otworzyli warsztat. Zmusili nawet mnie, żebym robił z nimi lalki. Robiliśmy te lalki przez trzy tygodnie jedząc tylko raz dziennie humus, który tamten od lalek przynosił z narożnej arabskiej restauracji, a kiedy byli już gotowi — Robert namówił jakiegoś właściciela pół-ciężarówki

aby ich powoził: i to był ich nowy współnik. Dali dwa przedstawienia w kibucach gdzieś koło syryjskiej granicy, a w czasie trzeciego pobożni Żydzi rozpieprzyli ich ten cały teatr a lalki zostały spalone; pobożni biegli za nimi jeszcze z kilometr plując i złorzecząc a Roberta zaskarżył właściciel ciężarówki i Robert znów usiadł — tym razem z oskarżenia prywatnego.

Ze mną było wtedy całkiem kiepsko. Nie mogłem dostać pozwolenia na pracę ale zaczęłem się przy budowie bloków mieszkalnych w Bat-Yamie i tam pracowałem przez jakiś czas. Pośliznąłem się kiedyś i fatalnie zламаłem rękę: dwukrotne złamanie kości z przemieszczeniem. Lekarz złożył mi rękę i powiedział, że jestem unieruchomiony na sześć tygodni. Nie miałem co jeść i było ze mną tak kiepsko jak jeszcze nigdy. W tym hotelu, w którym mieszkałem, poznałem pewnego włamywacza, chorego na astmę i on pożyczył mi forsy na hotel i żarcie. Był to miły gość; pochodził z jednego z krajów arabskich, a mówił po francusku jak paryżanin i był z tego bardzo dumny. Nie cierpiał generała de Gaulle; mówił, że de Gaulle wygląda jak dyrektor cyrku i że doprowadzi Francję do ruiny. Pienię się twierdząc, że de Gaulle nigdy nie był oficerem frontowym, że swoją książkę o potrzebie motoryzacji armii francuskiej ściągnął od generała Guderiana; i że przez cały czas wojny siedział w Londynie i bredził do Francuzów przez radio a powinien być na froncie. Włamywacz ten był ogólnie znany pod przezwiskiem de Gaulle.

Tymczasem jednak prawdziwy de Gaulle rozprawił się zwycięsko ze spiskiem spadochroniarzy a tego drugiego „de Gaulle’a” wzięła policja, udowodniwszy mu otwarcie kasy w jakiejś koszernej spółdzielni. Po paru dniach wzięli i mnie, bo ktoś musiał donieść, że brałem od niego forszę i w jaffskim więzieniu spotkaliśmy się wszyscy trzej: „de Gaulle”, Robert i ja. Któregoś dnia wzięli mnie do sędziego śledczego a policjant chciał mnie skuć.

— Ale — powiedziałem. — Nic z tego nie będzie. Pójdę grzecznie bez biżuterii.

— To jest rozkaz — powiedział policjant.

— Nic z tego nie będzie — powtórzyłem. — Tym razem obędzie się bez rozkazu.

Chciał mi wykręcić rękę ale odepchnąłem go. Wrócił na wartownię i słyszałem jak pyta swojego sierżanta, co ma ze mną zrobić.

— Na przemoc trzeba odpowiedzieć przemocą — powiedział sierżant, chociaż do dzisiaj nie wiem kogo to w ogóle dotyczyło i gdzie zachodziła przemoc. Stłukli mnie wtedy do nie-

przytomności a kiedy otworzyłem oczy Robert powiedział do mnie:

— Mam pomysł.

— Nie może być — powiedziałem. — Każdy z tych cwa-
niaków, którzy tutaj siedzą miał jakiś pomysł.

— Mam pomysł na ciebie.

— Jaki pomysł?

— Wiem jak można zrobić forszę — powiedział Robert.

— Jeszcze ze mną nikt nie zrobił forsy — rzekłem. —
Chociaż owszem. Kiedyś potrącił mnie samochód a potem na-
leżne mnie odszkodowanie przekazano jakiemuś Węgrowi, który
się jakoś tam podobnie nazywał. To wszystko. Potem już tego
Węgra nigdy nie znaleziono.

— Przepadł w wirze życia — powiedział Robert. — Ale
te pieniądze nie przyniosą mu szczęścia. Pewnego dnia pośliz-
nie się przy schodzeniu ze schodów na skórcie od pomarańczy
i dokończy życia jako wzruszający inwalida. Będzie śpiewał na
rogu którejś z ulic a ty tam przejdiesz i rzucisz mu miedziaka.
On ciebie pozna, a ty jego nie. Potem dola jego stanie się jesz-
cze twardsza.

— Chyba tak.

— Dobrze się trzymałeś — powiedział Robert — kiedy
ciebie bili.

— Mówisz o tym? — rzekłem podnosząc skute dłonie.

— Miałeś pięknie uniesione czoło — powiedział. — Przy-
puszczam, że tak wyglądał Fabrycy del Dongo kiedy siedł za-
znajomić się z katem.

— Niedługo je trzymałem uniesione. Jak widziałeś zresztą,
kopali mnie głównie w dupę.

— I to Żydzi — powiedział gorzko jakiś alfons, który sku-
ty był razem z Robertem; rozmowa toczyła się w samochodzie,
który wiozł nas do sędziego śledczego. — Żydzi, którzy sami
byli tak bici. Człowiek przyjeżdża tutaj z idealizmu, z entuzjaz-
mu, a pierwsza rzecz, to policja zanim się człowiek zdąży rozgła-
dnąć za tym czy za owym. I to jest to państwo żydowskie, na
które czekaliśmy dwa tysiące lat.

— No więc — powiedział Robert. — Jak będzie?

— Czego chcesz?

— Tego, czego i ty chciałeś. Chciałeś zostać aktorem, nie?

— Jak to złapałeś?

— To już moja sprawa.

— Rozumiem — powiedziałem. — Nie powinienem wie-
dzieć za dużo. Tak jak w książkach tego faceta który napisał
GUYS AND DOLL'S. Ty się pewnie nazywaś Hiszpański John?

— Nie. Mały Izydorek. A ten skurwysyn tam — powiedział wskazując na policjanta — to naprawdę Harry the Horse.

— Przylepią ci jeszcze za obrazę władzy — powiedział policjant.

— Więc i ty to czytałeś? — powiedziałem.

— Jasne — powiedział policjant. — Ja właśnie czytałem niedawno jak Harry Koń razem z rzeźnikiem poszli otworzyć kasę w jakiejś firmie, a rzeźnik wziął ze sobą na tę robotę swoje jednoroczne dziecko, bo nie miał go z kim zostawić.

— Chcesz ze mną robić teatr? — powiedziałem do Roberta.

— Bardzo kameralny.

— A kto będzie płacił?

— Wszystko będzie zapłacone. Już ty się o to nie bój. Załatwię wszystko i wszystko będzie zapłacone. Masz coś przeciw walucie amerykańskiej?

— Nie — powiedziałem szczerze.

Potem „de Gaulle’a” przetransportowano do długoterminowego więzienia w Akko a my z Robertem zrobiliśmy nasz pierwszy występ. Wszystko poszło dobrze: to była taka dziewczyna z Ameryki, którą potem przewieźli do kliniki chorób nerwowych. To było przeszło rok temu; myślałem o tym teraz, przechylony przez poręcz balkonu a morze w oddali podę mną było zamglone i martwe. Wiedziałem już, że zbliża się ten przekłęty wiatr; że nie ominie tego miasta i że będzie kiepsko z nami.

Spojrzałem na zegarek; była godzina wpół do jedenastej i pomyślałem sobie, że niedługo będę już sam. Nie chciało mi się już czytać; nie chciało mi się nawet ruszyć z balkonu, kiedy myślałem o tym jutrzejszym wietrze który przyjdzie z pustyni i zdławi nas wszystkich. Myślałem o rzeczach nędznych i nieważnych; mieszało się wszystko w mojej głowie i wiedziałem, że nic na to nie można poradzić. Ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie dzień, w którym umarł Stalin; potem myślałem o tym, że Patterson rozwalił Johannsona i że wygrałem parę funtów od kogoś kto mi ich nigdy nie oddał; a potem przypomniałem sobie, że jakichś zamożny i skąpy człowiek zaangażował mnie jako nauczyciela jazdy do swojej żony, chociaż wiedział, że nauczyciel jazdy musi mieć specjalną licencję i że nie dostanie ani grosza od towarzystwa ubezpieczeniowego jeśli jego żona rozwali wóz. Taki był skąpy.

— Umie pan jeździć? — zapytał mnie pierwszego dnia, poczęstowawszy mnie uprzednio szklanką ciepłej wody sodowej, w której nie było już gazu.

- Umieć.
- Dobrze?
- Dobrze.
- Jakim wozem jeździł pan ostatnio?
- Wrightem.
- Co to za samochód?
- Diesel. Piętnaście ton. Pięć biegów i reduktor.
- Miał pan wypadki?
- Jeden.

Był cały pokryty potem: drżał o ten swój przeklęty samochód — starą Chevroletę 59 — a jednocześnie żał mu było tych paru funtów więcej na zawodowego nauczyciela. Patrzyłem na niego uważnie trzymając w ręku niedopitą szklankę ciepłej wody sodowej, a on drżał i pocił się.

- A będzie pan uważać?
- Pyta pan jak kobieta — powiedziałem. — Jasne, że będę.
- Pan wygląda na takiego co lubi ostro jeździć.
- Tylko tak wyglądam.
- A dobrze pan jeździ?
- Przecież jechał pan ze mną.
- Po jednej jeździe nic nie wiadomo.
- To przejeżdżmy się jeszcze raz.
- Szkoda benzyny — powiedział. — Po dwóch jazdach też nie wiadomo. W ogóle nic nie wiadomo. Mój wspólnik był najlepszym człowiekiem, a nagle zaczął grać w karty i nie skończył dopóki wszystkiego nie przegrał. Boże, co ja przez niego straciłem. W ogóle nic nie wiadomo.

Potem zacząłem uczyć jego żonę i ona uczyła się nawet wcale nieźle ale każdego dnia przychodziła zapłakana. Powiedziała mi w końcu co jest: on ją począł podejrzewać, że kocha się we mnie i robił jej straszne sceny po których dostawał ataku serca. Ani ona mi się nie podobała ani ja jej. Kiedy jej w czasie jazdy zwracałem na coś uwagę odpowiadała mi: Proszę mnie nie uczyć — chociaż przecież właśnie za to mieli mi płacić. Mieli. Kiedy przychodziłem do niego po pieniądze wykrywał się brakiem drobnych, a kiedy przypominałem mu to następnego dnia — skarżył się, że jest chory na serce i że lekarze nie ukrywają już przed nim jego ciężkiego stanu a ja mu zawracam głowę drobiazgami. No i męczył ją ciągle tak strasznie, że pewnego dnia przemogliśmy z nią nasz wzajemny wstręt, a ja już nigdy tam nie poszedłem, bo przerażenie mnie ogarniało na myśl, że mógłbym ją zobaczyć raz jeszcze. W dodatku żarła ciągle słodycze, nawet za kierownicą samochodu; łamała pół ta-

bliczki czekolady, i wzdychając ciężko pakowała ją sobie do ust. Potem dowiedziałem się, że zaangażował do niej wreszcie zawodowego nauczyciela jazdy z licencją opłaconą z góry za trzy lata i ze znakomitymi referencjami i dopiero ten zawodowy nauczyciel rozwalił jego wóz a potem leżał w jednym szpitalu z jego żoną. Ciemne siły życia sprzysięgły się przeciwko temu kupcowi, jak to powiedział potem Robert.

Była już godzina jedenasta i otworzyłem drzwi od balkonu aby wejść do pokoju. Tu w czasie chamsinu zamyka się okna i drzwi; tak, że otworzyłem drzwi balkonu w tym samym momencie, w którym ona otworzyła drzwi od pokoju.

Staliśmy tak każde w swoich drzwiach i patrzyliśmy na siebie.

— Zamknij drzwi — powiedziałem wreszcie. — Ten przekłety wiatr już się zaczął.

— Nie mogę spać — powiedziała. — Pukałam do drzwi, ale nie słyszałeś. Pomyślałam sobie, że siedzisz na balkonie.

— Nie będziesz mogła spać — powiedziałem. — Tu mało kto śpi kiedy przychodzi chamsin.

— A gdzie jest Robert?

— Nie ma go dzisiaj.

— Tak — powiedziała. Lubiła się uśmiechać a ja lubiłem to w niej. — Rozumiem. Dostał depezę od swojej matki-starszki że jej stan uległ gwałtownemu pogorszeniu.

— Nie. Powiedziałem mu żeby się wyniósł do wszystkich diabłów dziś wieczorem, bo czekam na ciebie.

— Nie sprawiłam ci niespodzianki?

— Nie. Nie cierpię niespodzianek. Boję się ich bardziej od piekła. Tylko to sprawia radość na co człowiek czekał i czego chciał.

— To tak jakby filozofia.

— Ależ skąd. To tylko dlatego, że ty tego chciałaś i że ja tego chciałem.

— To wielkie co powiedziałeś. Powinieneś jeszcze dodać, że w życiu jest mało szczęścia i że trzeba przeżyć coś, jeśli się wie-
rzy, że to będzie coś dobrego.

— Właśnie chciałem to powiedzieć, ale już ty to powiedziałaś. Mogę najwyżej powtórzyć to jeszcze raz.

— Słuchaj — powiedziała. — Dlaczego ja cię tak lubię? Może ty to przynajmniej wiesz.

— To pewnie dlatego tu przyszedł.

— Czy nie powinnam cię czasem trzasnąć i wyjść stąd?

— Stracilibyśmy jedną noc — powiedziałem. — A ja mam

pieniędzy tylko na parę dni. Potem będę musiał wynieść się z tego hotelu. A propos: stłukłaś Johnny'ego?

— Tak. Twoje spodnie wymienił na scyzoryk z korkociągami. Johnny mówi, że to bardzo dobry scyzoryk. Przyniosłam ci go. Uważam, że należy się tobie.

Podawała mi scyzoryk.

— Dziękuję — powiedziałem. — Właściwie już dawno chciałem mieć coś takiego. A co z moją koszulą?

— Wymienił na jakiegoś jaszczura.

— Może mój pies się z nim zaprzyjaźni — rzekłem.

— Nie. Jaszczur jest wypchany. Johnny wymienił go następnie na paczkę papierosów. Przyniosłam ci również i to.

Papierosy które mi podała były rosyjskie: grube na palec i z ustnikiem.

— Nie paliłem tego od lat — powiedziałem. — To tylko Johnny mógł wykombinować coś takiego.

— Cieszę się, że tak myślisz o moim synu.

— Chcesz spróbować?

— Bardzo. A co będzie dalej?

— Najpierw zapalimy — powiedziałem. — To uspokoi nasze napięte nerwy.

— To właściwie ja powinnam być rozdygotana a nie ty.

— Ależ skąd. To właśnie ja się boję.

— Czego się boisz?

— Żeby ciebie nie rozczarować — powiedziałem. — Tego się boję. I pojęcia nawet nie masz jak. Słuchaj, ja nie mam osiemnastu lat. Ten kraj i ten klimat zrobiły swoje.

— Słuchaj — powiedziała. Co drugie zdanie mówiła do mnie: *listen to me, listen to me*. — Jeśli chcesz, to ja stąd pójde. To już mój pech, że akurat ty mi się spodobałeś w tym kraju, gdzie wszyscy są tacy cholernie dziarscy.

— Zostań, błagam cię. Może odwaga przyjdzie. Dobre papierosy, prawda?

— Znakomite — powiedziała. — Nigdy nie przypuszczałam, że smoła może tak smakować.

— Tak — powiedziałem. — Rosjanie mają dużo dobrych rzeczy. W Polsce nam ciągle kładli do głowy, co potrafią radzieccy uczeni.

— A co będzie jak skończymy palić?

— Opowiem ci coś ze swojego dzieciństwa. Miałem kiedyś przyjaciela który robił doświadczenia na żabach. Żaby tego strasznie nie lubiły. To było w Polsce.

Umilkłem.

— Czy to już wszystko co pamiętasz z Polski — powiedzia-

ła po strasznie długiej chwili kiedy już musiała stracić nadzieję na dalszą konwersację.

— Właściwie jedyną rzeczą z Polski, którą pamiętam na prawdę, jest twarz Chruszczowa — powiedziałem.

— Jesteś bardzo dziwnym kochankiem.

— Ja wiem. Kiedyś jednej dziewczynie tłumaczyłem przez trzy noce z rzędu na czym polega konstrukcja lokomotywy i do niczego nie doszło. A podobno jako dziecko byłem szalenie bezczelny. Muszę cię na chwilę przeprosić. Nie mamy łazienki.

— Dobrze — powiedziała.

Wyszedłem na korytarz; w głowie mi szumiało i czułem rozpaczliwą pustkę. Zszedłem na dół, do portierni i stamtąd zadzwoniłem do Roberta. Usłyszałem jego głos: rzeński i pełen za-
pału i było mi trochę lepiej.

— Szybko, Bobby — powiedziałem. — Zapomniałem jak idzie dalej po tych wstępnych wygłupach. To ten chamsin robi swoje. Może odłożyć to na parę dni?

— Zwariowałeś? Pomyśl o tym co ten cholerny pokój kosztuje. Odłożyć. Niech cię szlag trafi.

— Więc jak to idzie?

— Nie dotykaj jej teraz. Opowiedz jej o tym co będziesz z nią robić, ale nie zbliżaj się nawet do niej. Czekaj, aż się załamie.

— A jak się nie załamie?

— Musi się załamać. Każda kobieta załamie się jak jej tylko dobrze opowiesz o tym co masz z nią zamiar robić. Święta Teresa od Dzieciątka Jezus też by się załamała. Czy ciebie naprawdę nie można zostawić samego? Dzieciak jesteś, nie?

— Dobra — powiedziałem. Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do baru. Wypiłem łyk piwa i przysłuchiwałem się rozmowie jakichś dwóch niemieckich Żydów, którzy rozmawiali o Goethem.

— To był wielki człowiek — powiedział jeden.

— Co znaczy wielki? Największy.

— I taki pogodny przy tym — rozczulił się ten pierwszy.

— To był nasz największy pisarz — powiedział ten drugi.

Byli obaj dobrze odżywieni i schludni, a wojnę przeczekali na pewno w Szwajcarii albo w Stanach. Popatrzyłem w lustro za barem na swoją chudą twarz i wyblakłe włosy. Dopiłem piwa, odstawiłem szklankę i powiedziałem do nich:

— *Das beste was Goethe geschrieben hat ist: An American in Paris, meine Herren.*

Ukloniłem się im i poszedłem na górę. Ona stała obok okna, które było zamknięte i oddychała ciężko. Czoło jej pokryte

było potem ale to jakoś nie szpeciło jej. Być może zresztą, że mi się tylko tak zdawało.

— To ten wiatr — powiedziałem. — Opowiem ci co się stało kiedyś w Haifie kiedy po czterech dniach chamsinu...

— Dobrze by było, żebyś się przymknął — powiedziała.

— Nie — powiedziałem. — Wszystko stanie się tak jak ja chcę i to czego chcę nie ominie mnie. Ale chcę, żeby to trwało bardzo powoli. Tak, żebym niczego nie mógł zapomnieć. Chcę o tym najpierw myśleć a potem mówić, a potem to wziąć.

— Niczego jeszcze nie powiedziałeś.

— Teraz będę mówić — powiedziałem. — Myślę teraz o tym, że za chwilę cię rozbiore i na pewno coś się przy tym podrze. I myślę o tym, że twoje piersi są małe a nogi mocne. I na pewno brzuch twój jest twardy i mocny. A potem będziemy leżeć i palić te papierosy, które dla nas zdobył John. I będziemy na pewno mówić do siebie cicho chociaż moglibyśmy mówić głośno. I na pewno będzie nam trochę niewygodnie a twoje włosy będę czuł na moich ustach.

— Teraz już nie mów nic.

— Nie. Teraz właśnie będę mówić dalej. Będę mówić dopóki oboje nie zwariujemy. Myślę o tym czy brzuch twój jest mocny i czy nie zniszczył go Johnny. Może będą tam takie małe, jasne blizny, które można wyczuć ręką. Chciałbym, żeby tam były. Może mógłbym je całować, kiedy już przestaniesz się wstydzić. A potem ja się przestanę wstydzić i ty mnie będziesz mogła całować. A potem znów będziemy razem. I cały pokój, łóżko, wszystko będzie pachnieć tobą. Nie mną a tobą. To wszystko zanim powiem to jedno ważne słowo.

— Ja muszę stąd wyjechać — powiedziała.

— Więc wyjedziesz. Jedź gdzie chcesz, a pamiętaj mnie tylko tak długo, jak długo będzie ci to sprawiać radość.

— A jeśli potem nic już nie będzie sprawiać radości?

— Żaden mężczyzna nie powinien być zarozumiały i myśleć, że nie potrafi go zastąpić drugi.

— Wierzysz w to co mówisz?

— Nie.

— I ja w to nie wierzę.

— Nie myśl teraz o tym — powiedziałem. — Myśl o tym, o czym mówiłem przedtem. Myśl o tym, że teraz zdejmuję z ciebie sukienkę i że jeszcze chwilę potrwa zanim zdejmę z ciebie wszystko. Myśl tylko o tym.

— Kocham cię, wiesz — powiedziała. — To dobrze, że ja

to pierwsza powiedziałam. Tak to dobrze. Słyszysz? Ja to powiedziałam. Czy będziesz o tym pamiętać?

— Tak — powiedziałem. — Będę pamiętać.

Robert przyszedł na plażę około dziesiątej. Wyglądał kieszko. Okazuje się, że musieli spać w jednym łóżku z siłaczem, do którego w dodatku przysła wieczorem narzeczona i zrobiła mu awanturę, zobaczywszy, że w łóżku leży Robert. Skończyło się na tym, iż musieli spać wszyscy troje na tym łóżku a pies ułożył im się w nogach.

— Siłacz boi się o swoją forszę — powiedział Robert. — Nie spał przez pół nocy i mówił tylko o pieniądzach.

— Dostanie je — powiedziałem.

— Mam dla ciebie nową narzeczoną.

— Tak? Od kiedy?

— Jak tylko skończymy z tą. Ta druga przyjeżdża ze Stanów piętnastego i jedzie prosto do Twerii. Powiedział mi to znajomy portier z hotelu.

— On ci to powiedział dlatego, że naprzód ty do niego zadzwoniłeś — powiedziałem.

— Co za różnica. Skończymy z tą i jedziemy do Twerii.

— Nie — powiedziałem. — Teraz w Twerii za gorąco. Tam będzie około pięćdziesięciu stopni w słońcu. Uduśzę się.

— Nic ci nie będzie. To podobno bardzo miła dziewczyna. Trzeba się zacząć rozglądać za jakimś psem. Mam na widoku buldoga ale chcą za niego osiemdziesiąt funtów. To za dużo.

— Rasowego psa nie kupisz taniej.

— Spróbuję w każdym razie.

— Kleks też kosztował do cholery i trochę pieniędzy.

— Ale popatrz na tego psa — powiedział Robert. — To jest ogień, to jest można powiedzieć, żywioł.

Popatrzyłem na naszego Kleksa, za którym uganiał się mały John.

— Nie mogę o tym myśleć — powiedziałem. — Ile razy popatrzę na tego psa ciemno mi się robi przed oczami. Takiego psa nie mieliśmy jeszcze nigdy.

— Wyjątkowo miły drań. Ale co zrobić.

— Zrezygnujmy z niego.

— To niemożliwe. Dlaczego od razu nie spakować gratów i nie wynieść się stąd do wszystkich diabłów? Pamiętaj, że ja odpowiadam za tę całą imprezę. Nie przejmuj się. W Genezarret odpoczniesz trochę. Wszystko pójdzie dobrze. Pomyśl — ty, twoja histeria, kobieta którą kochasz, jezioro które przeszedł Chrystus... Mój Boże, to nie żadna praca, to wypoczynek. Bę-

dziesz mógł rzucić jakiś kawałek z Nowego Testamentu... na przykład trzynasty list Świętego Pawła do Koryntian, to o miłości i miłosierdziu. Historyczne miejsce, miłość, nocami strzelają Arabowie, twoja histeria, huragan zmysłów — dziecinnie łatwe.

— Przymknąłbyś się — powiedziałem. — Na razie nie ma czym oddychać. Myśleć nie mogę o Twerii.

— Spokojnie. Ty nie umiesz wypoczywać i to jest złe. Czy wszystko jest w porządku?

— Tak.

— Mówiłem ci.

— Miałeś rację — powiedziałem. — Przekonałem się do czego zdolny jest geniusz ludzki.

— Dobrze — powiedział. — Pójdę teraz do siłacza i pokręcę się trochę koło forsy. Boję się, że siłacz nie będzie chciał robić dalej.

— Nie potrzebujemy jego forsy. Jak tę załatwimy powinniśmy mieć dosyć forsy na Twerię.

— Ja bym nie chciał tego sam finansować. Wszystko na pewno pójdzie dobrze, ale nie można zupełnie wykluczyć ryzyka. Wolałbym, żeby w razie czego ktoś inny wpadł. To tak jak z produkcją filmu.

— Tylko że nam nikt nie da Oscara jak się film uda — powiedziałem. — I to jest gorzkie.

— Ty jesteś aktorem a nie gwiazdą — powiedział Robert. — I tę różnicę musisz zrozumieć. Zresztą Chaplin też nie ma Oscara.

— Ma za to walutę amerykańską włączoną w szwajcarskie banki. A w dodatku płaci tylko cztery procent od dochodów.

— Ty też się dorwiesz do forsy któregoś dnia, co daj ci Boże. Dobra, pójdę już. A ty pomyśl o jeziorze Genezaret. Pamiętaj, że ty musisz mieć w sobie dużo hysterii. One to lubią. Histeria przede wszystkim. Pomyśl o tym.

— Wystarczy jak ty o tym myślisz — powiedziałem.

Robert poszedł. Po jakiejś chwili rozległ się straszny krzyk, który musiano słyszeć chyba aż pod Tronem Niebieskim. Zdało się że tym razem poczucie humoru zawiodło małego Johnny'ego zbyt daleko; oto jakaś pani wypłynęła na gumowej łódce na morze ale celny cios noża zamienił piękną łódkę w nędzny pęcherz. Widziałem jak ratownik niesie małego Johnny'ego pod pachą podczas gdy grupa lekarzy-amatorów zabrała się do cucenia nieszczęsnej. I wiedziałem już, że ratownik idzie ku mnie nieubłaganie, jak przeznaczenie; i tak się też stało.

— Czy to pański syn? — zapytał ratownik i widziałem, że trzęsie się przy tym.

— Tak strasznie gorąco — powiedziałem. — Zostaw pan to trudne pytanie na potem.

— A wie pan co ja teraz zrobię?

— Zupełnie nie.

— Wlepię mu w tyłek tak dokładnie, że będzie tydzień pełzać na brzuchu. Wszyscy ludzie mają go dosyć.

— To całkiem miłe dziecko — powiedziałem. — I w ogóle puść go pan natychmiast. Krew mu może uderzyć do główki.

— Pan odpowiada za niego?

— Jasne.

— Jest pan tego zupełnie pewien?

— Najzupełniej.

Puścił małego Johnny'ego który zdążył jeszcze wgrzyźć mu się gdzieś w okolice wątroby. Ratownik zerwał z głowy piękną czapkę ozdobioną miedzianą kotwicą i napisem: „Life guard” i odrzucił ją.

— Jestem teraz prywatnie — powiedział. — Wstawaj pan z tego leżaka. I pośpiesz się pan.

— Gorąco — powiedziałem. — Przyjdź pan jak ten cham-sin się skończy.

— Bądź pan u mnie mężczyzną — powiedział ratownik.

W jego głosie było tyle prośby iż musiałem wstać. Rąbnął mnie w szczękę z taką siłą iż poleciałem z powrotem na leżak, który rozleciał się w kawałki. Ale i on stracił równowagę: podniosłem go za włosy i kopnąłem w brzuch. Skurczył się ale zdążył mnie rąbnąć raz jeszcze, a ja ostatkiem sił lunąłem go na odlew. Siedzieliśmy na piasku oddychając ciężko.

— Zdaje się, że dalszego ciągu nie będzie — powiedziałem. — Zabrakło mi tchu. To ten przekłety wiatr.

— Ma pan rację — powiedział. — Ja też jestem dzisiaj do niczego. Trzeba by napić się dobrej kawy.

— Bijąc, zapomina pan o pracy nóg. Dlatego stracił pan równowagę.

— Pan też mógłby lepiej kopać. Chciał mnie pan kopnąć w brzuch a dostałem w pachwinę.

— Najlepiej byłoby nauczyć się karato — powiedziałem. — Wtedy mógłbym pana zabić za pomocą uderzenia kantem dłoni w jabłko Adama.

— Jeśli by się panu udało — powiedział ratownik masując sobie brzuch. — Mógłbym zrobić unik i wtedy uderzyłbym pana w nasadę kości nosowej. Wtedy kość wchodzi do mózgu i śmierć następuje momentalnie.

— Karata to mądra rzecz.

— Ale trzeba to dobrze znać. Jest poza tym bardzo dobry cios czubkami palców w splot. Trzeba tylko uważać, aby nie złamać ręki. Najlepiej dłoń owinąć chustką. Bardzo ciasno.

Umilkliśmy na chwilę. Wciąż jeszcze oddychaliśmy ciężko; on masował brzuch a ja szcękę.

— Straciłem pracę przez tego szczeniaka — powiedział ratownik po chwili. — Ale już nie mogłem dać sobie rady. Przez ostatnie trzy dni chodzę tylko za nim a nim go zdążę upilnować to i tak zrobi swoje. Wczoraj zdobył gdzieś szkło powiększające i przepalał słońcem kieszenie tych gości w których były pieniądze. Niosłem go teraz i coś pękało we mnie ze złości. Straciłem pracę ale niech to cholera weźmie.

— Znajdzie pan coś innego — powiedziałem.

— Nie bardzo. Teraz już prawie po sezonie. Wszystkie hotele mają ratowników. Nic już nie znajde.

— Jedź pan do Ejlatu — powiedziałem.

— I co tam będę robić?

— Mam tam znajomych chłopaków. Urządzą pana w kopalni Salomona. Może w porcie.

— Wolałbym w porcie.

— To się chyba da załatwić.

— Myśl nie jest zła — powiedział. — W Ejlacie nie trzeba płacić podatków. Pan to mówi na serio?

— Jasne. Niech pan tam zapyta o Abrama Szafira. To swój chłopak. Mieszkałem u niego dwa lata temu. On już pana urządzi. Umie pan grać w karty?

— Ma się rozumieć.

— Jedź pan śmiało. Tam każdy dobry gracz jest na wagę złota. W Ejlacie chłopaki nudzą się jak nieszczęście.

— Może mi pan dać jakąś kartkę do niego?

Napisałem mu kartkę i były ratownik wstał. Podniósł z ziemi swoją piękną czapkę i podał mi ją.

— Daj pan to temu małemu ode mnie — powiedział. — Właściwie to nigdy nie chciałem być ratownikiem.

Poszedł. Wstałem i odszukałem małego. Był zajęty budowaniem fortecy na ciele jakiegoś starszego pana, który obserwował go z życzliwością.

— Powinien mu pan kupić jakąś zabawkę — powiedział starszy pan do mnie. — Może jakiś harpun albo coś w tym rodzaju.

— Pan go nie zna — rzekłem. — Jediną zabawką jaka sprawiłaby mu odrobinę satysfakcji jest miotacz ognia. No, John-

ny. Chodź ze mną kochanie. Zdaje się, że mamy sobie coś do powiedzenia.

Wstał i poszedł ze mną.

— Wczoraj sprzedałeś moje spodnie i koszulę — powiedziałem. — Wpuściłeś naszego psa do koszernej jatki i nażarł się tak, że jeszcze dzisiaj nie ma apetytu. Ten leżak, który połamiał ratownik za pomocą mojej osoby też będzie kosztował ze trzydzieści funtów. Chciałem cię tylko zawiadomić, że Święci Pańscy nie zrzucają mi forsy z nieba i nie liczę się z tą możliwością w przyszłości. — Przytrzymałem go mocno za ramiona i obróciłem ku sobie. — Ja jestem po prostu biednym facetem, John — powiedziałem. — Przykro mi, że muszę ci o tym mówić.

— Nie masz pieniędzy?

— Nie, John. Nigdy ich nie miałem.

— Spróbuj je robić.

— To jest dobra rada, John. Ale nie mam ich teraz.

Wyciągnął do mnie rękę.

— Przykro mi — powiedział.

— Już jest w porządku — powiedziałem.

— Chcesz może sprzedać twojego psa?

— Nie, Johnny. Pies nie jest do sprzedania.

— Chciałbym go mieć — powiedział. — To dobry pies.

Wszyscy Amerykanie lubią psy.

— Tak. Ja to wiem. Najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie, Amerykanie lubią psy. Ale nie mogę sprzedać Kleksa.

— Kleks by się czuł dobrze w Ameryce.

— Wiem, John. Ale nie mogę ci go sprzedać. Teraz jest już za późno i nie potrafię tego zmienić.

— Za późno?

— Źle się wyraziłem. Kleks zostanie tutaj i koniec. To mój jedyny przyjaciel.

— A Robert?

— Słuchaj, John. Pies nie pojedzie do Ameryki. Koniec.

— Jest jedna rada — powiedział John. — Zdaje się, że wiem jak tego psa wziąć do Ameryki.

— O czy myślisz?

— Czy mogę mówić do ciebie jak do mężczyzny?

— Możesz spróbować.

— Zdaje się, że matka cię kocha, wiesz?

— Wiem — powiedziałem.

— A ty ją kochasz?

— I ja ją kocham, John.

— Słuchaj — powiedział. — Czy wyście pomyśleli co to

będzie, jak przyjdzie ojciec? Człowieku, on wykopie piekło z ciebie.

— Będę się bronić. Nie umiem inaczej.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się krzywo.

— Nie masz szans — powiedział.

— Nawet jeśli nie mam szans. Muszę się bronić tak, czy owak. A co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Też bym się bronił. Ale mi ciebie żal. Ja znam swojego ojca. Czy pocałowałeś mamę?

— Pocałowałem ją.

— A ona?

— I ona mnie pocałowała.

— To nie wygląda dobrze dla ciebie. Słuchaj, nie powiedz tego tylko czasem mojemu ojcu. Ja wiem, że to nie jest O.K. z mojej strony, ale ja się o ciebie boję. Byłoby całkiem źle z tobą. I tak jest już kiepsko. Czy opowiadałem ci, jak ojca za-czepili w barze na Russian Hill w San Francisco?

— Nie.

— Właściwie to nie ma o czym dużo mówić. Skończył tych gości tak jak chciał. W każdym razie pamiętaj o tym, co ci powiedziałem.

— Dobrze. Będę pamiętać.

Chciał już odejść ale wciąż jeszcze patrzył na mnie.

— Właściwie to jesteś całkiem porządny gość — powiedział. — Z tym ratownikiem nie byłeś zły. Masz świetny re-fleks.

Poszedł wzięwszy ze sobą psa. Taki kochany mały. Jękną-łem cicho, poruszywszy się nieostrożnie; ten ratownik dołożył mi jednak zdrowo. Było mi całkiem kiepsko i postanowiłem się upić dzisiaj wieczorem. Pomyślałem sobie, że ten łotr wiszący na krzyżu obok Chrystusa, to łagodny baranek w porównaniu z Johnny'm. I była to chyba prawda. A potem, po jakimś czasie pomyślałem o tym jego ojcu i zrobiło mi się jeszcze gorzej.

Ale nie upiłem się wieczorem. Leżałem trzymając jej głowę na ramieniu a uprzednio otworzyłem drzwi balkonu i patrzyliś-my na morze: nieruchome i nieme. Księżyc czepiał się nieba zdławionego mgłami; świat był pusty i ciemny.

— Przejdzie ten cholerny wiatr i znowu zaczniesz gadać — powiedziałem.

— Myślisz o morzu?

— Tak.

— Dlaczego myślisz, że morze jest rodzaju męskiego? Gra-matyka angielska jest na ten temat innego zdania.

- Do cholery z tym. Chcę żeby zaczęło gadać. To wszystko.
- W Kalifornii też jest wybrzeże — powiedziała cicho.
- Nie zaczynaj z tym.
- Nie chciałbyś tam pojechać?
- Nie.
- Kiedy patrzę na ciebie i na Johnny'ego...

Przerwałem jej.

- To nie patrz na nas. Nie pojedą tam.

- Ale chcesz pojechać do Australii.

- Mam tam pracę.

- Myślisz, że w Ameryce nie dostaniesz pracy? Wesoły jesteś.

— Jestem za stary na Amerykę. Boję się jej. Zbyt bardzo kocham Amerykę, aby tam przeżyć rozczarowanie. Dziwne, ale tak jest. Ja jestem Polak. Wszyscy Polacy to kaleki. Ameryce nie trzeba kalek.

- Dlaczego tak o sobie myślisz?

— Bo to jest prawda — powiedziałem. — Tego nie można zmienić. Najpierw chciałem być aktorem, ale nic z tego nie wyszło. Nie przyjęli mnie do szkoły aktorskiej, bo nie miałem matury. Potem nawet mogłem spróbować, ale nie miałem odwagi. Potem zacząłem pisać i to również zdało się diabłu na pamiątkę. Do cholery z tym. A potem przyjechałem tutaj, bo chciałem zobaczyć kraj Biblii. Siedzę tu bez prawa pracy, a co dwa tygodnie muszę chodzić na policję i mówić skąd biorę pieniądze. Ale teraz dosyć już z tym wszystkim.

- Spokojnie — powiedziała. — Uspokój się. To tylko ten wiatr, który robi z ludzi wariatów. Przyjedziesz do mnie.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Powiesz to jutro.

— Słuchaj — powiedziałem. Ja też zacząłem mówić: *listen to me, listen to me*. Ona i mały John zrobili swoje. — To nie chodzi o to. Ja jestem przegrywacz. Będę przegrywał po tej i po tamtej stronie morza. Ja lubię jasne sytuacje. Australia to dla mnie koniec drogi i ja wiem o tym. A w Ameryce potrwa jeszcze jakiś czas zanim pozbędę się złudzeń.

- To nie chodzi o Amerykę czy o Australię, tylko o mnie i o ciebie.

— I na to nie ma rady — powiedziałem. — Słuchaj, kiedy się ma dwadzieścia lat, to człowiek gardzi kompromisem. Później robi się kompromisy, bo inaczej nie można. Ale pewnego dnia człowiek jest szczęśliwy, że ta kobieta którą kocha po prostu żyje i że gdzieś jest. I to nie ważne z jakim mężczyzną ona jest. Po prostu jest się szczęśliwym, że gdzieś żyje, że istnieje,

że porusza się. — Umilkłem; po długiej chwili powiedziałem: — I to jest właśnie starość, która przyszła zbyt szybko.

— Miałeś aż tak dużo miłości w życiu, że możesz z tą skończyć?

— Nie skończę z nią. Właśnie to powiedziałem. Będę istnieć dalej. I moja miłość będzie istnieć dalej. Coś ładnego co się przeżyło i o czym chce się pamiętać. Bez tego przekłętego latania za pieniędzmi i tłumaczenia wszystkim jak to się stało, że przez te wszystkie lata nie zdobyłem porządnego zawodu.

— Nie mam dużo pieniędzy — powiedziała. — Ojciec zostawił mi trochę umierając. Weź je i spróbuj z nimi coś zrobić.

— Z pieniędzmi również nie umiem niczego zrobić.

— Już znajdziemy jakiś sposób, żeby zrobić porządek z tą forszą. Spróbujemy być tak długo szczęśliwi, jak tylko można.

— Wcale nie można — powiedziałem. Bolała mnie wciąż szczeka od uderzenia ratownika. W głowie mi huczało i czułem przeraźliwą pustkę. Nie mogłem sobie przypomnieć co takiego miałem jej odpowiedzieć, a nie chciało mi się schodzić do hallu i stamtąd telefonować do Roberta. Przypomniałem sobie nagle, że widziałem dzisiaj rano potężnego mężczyznę o szczęce goryla leżącego na plaży i obserwującego małego Johnny'ego. I pomyślałem, że John zrobi jutro coś strasznego a wtedy goryl wstanie z piasku i podejdzie do mnie. Zrobiło mi się zimno z przerażenia. Słyszałem w ciemności swój chrapliwy oddech; wstałem, zapaliłem światło i podeszedłem do lustra. Oparłem czoło o szkło ale i to nie pomogło: szkło było ciepłe i śliskie.

— Idź spać — powiedziałem.

— Nie zostawię cię teraz samego.

— Idź teraz stąd i daj mi spać. To wszystko zbyt głupie i ten wiatr mnie dręczy. Idź do cholery razem z tym co ci zostawił twój ojciec. To właśnie po to przyszedłem do tego hotelu, aby wyłudzić od ciebie trochę pieniędzy a Robert miał mi w tym pomagać. Miało być jeszcze wiele innych rzeczy, ale dobrze, że to się skończyło. — Odwróciłem się od lustra i spróbowałem przymknąć oczy a wtedy znów zobaczyłem tego olbrzymiego mężczyznę, który zbliżał się ku mnie powoli a jego goryla szczeka drgała złowieszczo. Otworzyłem oczy i napotkałem jej spojrzenie; rozbawione i czujne zarazem. — Przedtem wyłudzałem od innych — powiedziałem. — A teraz mam dosyć. Nie dlatego, że stałem się lepszy. Nie dlatego, że chcę zacząć nowe życie. Chcę tak żyć tysiąc lat, ale źle się dzisiaj czuję. Potem pojedę do Twerii a Robert pojedzie ze mną i tam spróbujemy

złapać jakąś dziewczynę z forszą. Nie jadę do żadnej Australii. Nawet nie wiem gdzie to jest.

Roześmiała się.

— Dlaczego mi nie powiesz, że masz jeszcze dziewczynę i dziecko, na które musisz zarabiać?

— Nie mam żadnego dziecka. Wydałem w swoim życiu więcej na skrobanki niż wynosi budżet państwa Watykańskiego. Uważam zresztą. Powinnaś to zauważyć.

— Spokojnie — powiedziała. — Spokojnie. To minie. To tylko ten wiatr. Nie mów nic. Nie musisz mówić. Ja jestem z tobą.

Objęła mnie tak mocno, że nie mogłem się ruszyć. Było zupełnie cicho; słyszałem tylko powolne i bolesne bicie własnego serca i jej cichy szept. Pewno tak samo mówiła do Johnny'ego kiedy był zupełnie mały i nie chciał zasnąć. Przypuszczam, że Bóg ją po to stworzył aby dawała mężczyznom miłość, spokój i sen. Aby ich męczyła i usypiała; i myślę, że Bóg jej wszystko wybacał.

— Jestem tylko małym alfonsem — powiedziałem. — To nie moja wina, że nie chcesz mi uwierzyć.

— Jesteś dużym chłopcem — powiedziała. — Pewnie za wcześnie zacząłeś się golić. W Ameryce kupisz sobie samochód i rozbijesz go. Sama ci w tym pomogę. A teraz śpij. Bądź spokojny i śpij. To tylko ten wiatr.

Nic nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem zresztą co mam powiedzieć; wygłosiłem jej własny tekst nie uzgodniwszy tego uprzednio z Robertem, a teraz zabrakło mi dalszego ciągu. Robert by wiedział co powinienem powiedzieć ale nie było go tutaj. Leżałem obok niej i domyślałem się jej twarzy w ciemności. I to było przyjemne: właśnie leżeć obok niej bez ruchu i domyslać się jej twarzy; jej dobrej, ładnej twarzy, którą mogłem ujrzeć po włączeniu światła. Ale nie włączyłem światła; leżałem obok niej bez ruchu, myślałem o jej twarzy; potem myślałem o jej brzuchu łagodnie płaskim i o tym, że widziałem tam małe, jasne blizny, które pojawiły się po urodzeniu Johnny'ego. I myślałem jeszcze o tym, że pachniała tak jak powinna pachnać kobieta i że ten zapach ma w sobie coś z zapachu dojrzałego zboża, bo jest łagodny a jednak mocny i nie da go się z niczym porównać; a teraz łóżko i ten mały, ciemny pokój przejęły jej zapach. Powoli przesunąłem ręką po płaskim i ciepłym brzuchu a potem ona uwięziła moją dłoń między udami i czułem teraz, po odrzuceniu prześcieradła, że zapach staje się ostrzejszy. Pomyślałem sobie, że kiedy pójdzie stąd rano zapach ten zniknie po jakimś czasie, a przecież dobrze by było gdyby

ten pokój i to miasto zachowało ten zapach na zawsze; wtedy mógłbym zawsze myśleć o tym, że była ze mną i byłoby mi łatwiej; może mógłbym o tym myśleć w Twerii dokąd pojedziemy z Robertem; i jeszcze potem kiedyś, kiedy będę z innymi kobietami.

Powinienem jej tyle powiedzieć. I nie potrzeba by mi było do tego Roberta i jego przeklętych dobrych rad. Mógłbym jej tyle opowiedzieć o sobie i o swoim życiu ale nie uwierzyłaby mi chyba. Mógłbym jej opowiedzieć o tym, że mając lat piętnaście dokonałem napadu rabunkowego i nigdy mnie nie złapano. I o tym, że w trzy miesiące później okradliśmy kasę kolejową z kolegą; jego złapano a ja dobrowolnie poszedłem za nim do więzienia bo mi się bez niego nudziło. Ale nie uwierzyłaby mi. Nie uwierzyłaby mi również, gdybym jej opowiedział, że mając lat dwanaście straciłem cnotę za sprawą pewnej Niemki, która była już dorosłą kobietą a stało się to na jej własnych zaręczynach z pewnym porucznikiem. Nie uwierzyłaby mi również, gdybym jej opowiedział o pewnym niemieckim żołnierzu, który poszczuł mnie psem a potem skopał mnie i złamał mi nos tylko dlatego, że chciałem pobawić się z jego psem — miałem wtedy siedem lat. I nie uwierzyłaby chyba również i w to, że widziałem w czterdziestym czwartym roku w Warszawie, jak sześciu Ukraińców zgwałciło jedną dziewczynę z naszego domu a potem wyjęli jej oczy łyżką do herbaty; i śmieli się przy tym i dowcipkowali. Być może, że ja już sam w to wszystko nie wierzyłem. I powinienem jej jeszcze o tym powiedzieć, że nie czuję żalu do Niemców za to, że wybili mi rodzinę i jeszcze parę milionów innych Polaków, bo żyłem potem w komunizmie i wiem dobrze, że głodem, strachem i terrorem można ludzi zmusić do wszystkiego na świecie i że jedni ludzie nie są ani odrobinę lepsi od drugich, a każdy kto twierdzi coś podobnego należy do najgorszej kategorii żyjących i powinno mu się odebrać prawo do życia.

Powinienem jej powiedzieć: *Listen, I'm just a fucking Polack*; i powinienem jej powiedzieć, że moje doświadczenie życiowe nie pasuje do żadnego innego; i że nigdy w życiu na nic mi się nie przyda, tak jak i ja sam na nic nie przydam się nikomu; i że nigdy nie uda mi się uczynić czegoś dobrego i wartościowego dla innych ludzi, bo nikt mi nigdy nie uwierzy w to co miałbym do powiedzenia. I to by była ta prawda. Ale nie powiedziałem nic. Leżałem obok niej i ciepło jej ciała ogarniało mnie i usypiało; i to było to, o czym chciałem teraz jedynie myśleć i co chciałem czuć.

Dobrze by było powiedzieć jej to wszystko. Dobrze by było powiedzieć jej o tej rodzinie żydowskiej, która ukrywała się podczas wojny w naszym sąsiedztwie, a którą wybili Niemcy. Był to mężczyzna, kobieta i troje dzieci; wszyscy leżeli już na ziemi a potem Niemcy zwołali paru przechodniów i kazali szczać na te trupy; jeden z nich zawołał mnie i ja także szczałem trzęsąc się ze strachu podczas gdy oni fotografowali tych szczających i tych nieżywych. I dobrze byłoby opowiedzieć jej o tym, jak pewnego dnia szedłem do szkoły w Warszawie a Niemcy zamknęli ulicę i patrzyliśmy wszyscy jak wieszają ludzi na balkonach i nikt się nawet nie ruszył ani nie krzyknął; nikt z wieszanych i nikt z patrzących. Ale jak o tym wszystkim opowiedzieć? Nie wiedziałem. I jak opowiedzieć o dziewczynie, która zakochała się w niemieckim żołnierzu, nie uczyniła nikomu nic złego a pewnego dnia nasi ludzie z podziemia wtoczyli jej do pochwy półlitrową butelkę po wódce i rozgnietli ją tak, że dziewczyna umarła po paru dniach. I mógłbym jeszcze trochę pogłędzić na temat żydowskich matek, które w roku czterdziestym trzecim wrzucały swoje dzieci do ognia, unosząc je przedtem wysoko nad głowę, niby w wyrazie triumfu, podczas gdy Polacy stojący po drugiej stronie muru getta czynili wiele zabawnych uwag. Ale przypuszczam, że kazałaby mi zamknąć pysk zaraz po kilku słowach. Próbowałem już o tym wszystkim mówić wielu różnym ludziom, ale nie myślę, aby chociaż jeden z nich wziął to na serio.

Zgarnąłem z niej prześcieradło i ostrożnie zapaliłem lampę. Spała cicho i spokojnie jak dziecko. Brzuch jej był brązowy i nitka włosów biegnących od łona w górę wydawała się złota. Nogi miała trochę ciężkie a piersi małe; można ją było ubrać w koronki i zabawić się w fałszowanie renesansowych portretów. Te małe, jasne blizny były prawie niewidoczne; wyczuwałem je czubkami palców a potem ona otworzyła oczy i ucułem jej ręce spokojnie i wolno przywołujące moją chęć. A potem powiedziała cicho:

— Pojedziesz ze mną, prawda?

— Nie — powiedziałem.

Obudziłem się po jakichś dwóch godzinach. Jej już nie było. Znow zacząłem myśleć o tym gorylu i o tym, co on ze mną zrobi. W dodatku wyczułem językiem, że część mojego podniebienia jest spuchnięta. Dobrze mi ten ratownik dołożył. Pomyślałem sobie, że jutro będę zupełnie spuchnięty i trzeba będzie pójść do dentysty aby to przeciął. W poczekalni dentysty będę siedzieć pewnie godzinę albo i dłużej, a każdy z ludzi

którzy tam będą czekać razem ze mną, opowie coś na temat spuchnięć i strasznych tego skutków.

Wszystko wydało mi się przerażające i nie do zniesienia. Świat był ciemnym, plugawym zaułkiem, po którym będę się pętać bez końca. Jak w koszmarze pijaka lub idioty. Powtarzałem sobie, że to tylko ten wiatr i brak powietrza, ale nie pomagało mi to. Ogarnęło mnie przeczucie jakiegoś nieszczęścia, które ma nastąpić i nie wiedziałem dokąd się schronić i uciec.

Ubrałem się i zeszedłem na dół. Portier spał przykrywszy głowę gazetą i musiałem nim długo potrząsać zanim się obudził.

— Chcę wiedzieć, ile jesteśmy winni — powiedziałem.

— Odjeżdża pan już teraz?

— Jutro. Więc ile?

— Panowie płacicie razem, czy osobno?

— Razem.

Poszperał w swoich rachunkach; nie zgadzało mu się, dodawał i odejmował, wreszcie powiedział:

— Sto trzydzieści funtów. Czy panowie będą jedli śniadanie?

— Tak.

— To będzie sto trzydzieści pięć.

— Dobrze.

— Pański kolega zapłacił już sto. To będzie tylko trzydzieści pięć.

Pomyślałem sobie, że teraz już nie można wyrwać się z hotelu. Nie było po co: Robert zapłacił forszę którą dostał od siłacza i teraz już trzeba będzie sprawę ciągnąć do końca. Siłacz znalazłby nas nawet w piekle i wiedziałby jak wydusić tę forszę z powrotem.

Spojrzałem na zegar; była pierwsza. Wyszedłem na dwór i zacząłem iść w stronę miasta. Wiedziałem, że niczego nie uda mi się dokonać, że wszystko co uczynię będzie głupie i bezsensowne, ale mimo to szedłem ciemnymi ulicami a jakiś kot biegł za mną uniósłszy prawie pionowo swój ogon. Potem wszedłem do domu, w którym mieszkał Azderbał. Zapukałem w drzwi, ale nikt nie otwierał. Z ciemności patrzył na mnie kot swymi miodowobrazowymi oczyma.

Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Przeszedłem przez pusty pokój stołowy a kot siedł za mną. Potem wszedłem do sypialni i zapaliłem światło. Azderbala nie było; była tylko ta dziewczyna, która spała mocno. Usiadłem na łóżku koło niej i usiłowałem myśleć i przypomnieć sobie po co tu przyszedłem. Potem przypominałem sobie siłacza, który już zainwes-

tował we mnie forszę; przypomniałem sobie również goryla czekającego na mnie na plaży i ojca Johnny'ego, który mnie załatwi jednym uderzeniem. Potem spojrzałem na kota, który wier nie usadowił się u moich stóp.

— Chodź do mnie, Stanisławie — powiedziałem do kota i kot wskoczył mi na kolana. I wtedy ta dziewczyna obudziła się. Patrzyła na mnie i na kota.

— Kot nazywa się Stanisław — powiedziałem po chwili.

— Czego chcesz?

— Forsy — powiedziałem. — Chcę sprzedać Stanisława. Gdzie jest ten twój samczyk?

— Pojechał do Haify.

— Kiedy wróci?

— Za dwa dni.

— Nie mogę czekać — powiedziałem. — Musisz mi dać dwieście trzydzieści funtów. Stanisław jest twój.

— Dlaczego przyszedłeś do mnie?

— Bo jesteś wariatką. Ja też jestem wariatem. Do kogo miałem pójść?

— A jeśli nie kupię Stanisława?

— Kupisz go — powiedziałem. — Potrafię cię zmusić.

Wstała z łóżka i podeszła do lustra. Poprawiła sobie włosy wiedząc, że patrzę na nią i przysięgłbym, że chciała się podobać nie tylko mnie ale i Stanisławowi.

— Chcesz się czegoś napić?

— Chciałbym napić się koniaku — powiedziałem. — Masz coś w lodówce?

— Możesz sprawdzić.

Podszedłem do lodówki; wyjąłem stamtąd butelkę koniaku i rybę dla Stanisława. Potem wróciłem do pokoju; podałem jej szklankę i sam sobie też nalałem.

— Więc ile ci potrzeba? — zapytała po chwili.

— Dwieście trzydzieści funtów — powiedziałem. — To już z jutrzejszym śniadaniem. Muszę zapłacić za hotel.

— Do tego czasu wyprowadzałeś się zawsze ze wszystkich hoteli bez płacenia i było dobrze. Kiedyś zostawiłeś w hotelu dziewczynę, która musiała za ciebie płacić. A tą dziewczyną byłam ja.

— Racja — powiedziałem. — Nie przyszło mi to do głowy tym razem. Zrobię jak mówisz.

— Potrzeba ci pieniędzy na kobietę. Tam jest kobieta, prawda?

— Tak.

— A ty nie chcesz jej zrobić jakiegoś świństwa.

— Nie mogę się wyprowadzić — powiedziałem. — Zapomniałem, że Robert zapłacił już te pieniądze. Musimy komuś oddać. Inaczej będzie źle.

— Z tobą nigdy nie będzie źle. Jeśli nie da ci jedna kobieta, to pójdziesz do drugiej i któraś ci w końcu da.

Kot zjadł rybę i miauknął. Wstałem, wyjąłem z lodówki następną rybę i dałem mu.

— Biedna, stara męska kurwa — powiedziała ona patrząc na mnie. — Tyle musi się nalatać po nocy kiedy inni ludzie śpią i nikt mu nie chce dać forsy.

— Ty mi dasz — powiedziałem. — Chcesz jeszcze brandy?

— Proszę.

Wypiliśmy, a ja zagapiłem się na jej nogi. Była właściwie ładna i powiedziałem do niej:

— Pięć lat temu musiałaś wyglądać jak młode drzewo. Czy nosiłaś kiedyś białe sukienki?

— Tak.

— Masz jeszcze jedną taką?

Podeszła do szafy i wyjęła stamtąd sukienkę.

— Już nikt takich nie nosi — powiedziała. — Wtedy była moda na długie sukienki.

— Włóż ją na siebie — powiedziałem.

Popatrzyła chwilę na sukienkę a potem odrzuciła ją na łóżko. Usiadła przy stole i nalała sobie pół szklanki.

— Ciągłe tak dużo pijesz? — zapytałem.

— A ty?

— Nie mam forsy. Robert nie cierpi alkoholu.

— To co robicie z forszą, która wam wpadnie?

— Nic. Chodzimy do kina. Robert dużo je. Wysokie koszty własne.

— Mam tylko sto funtów — powiedziała. — Mogę ci je dać.

Wyjęła z torebki pięć dwudziestek i podała mi. Wsadziłem pieniądze do kieszeni.

— Nie — powiedziała. — Zapomniałam czegoś.

Wyciągnęła rękę i podałem jej z powrotem pieniądze. Położyła je na podłodze i potem pochyliła się i plunęła na nie.

— Teraz możesz je wziąć — powiedziała. — Teraz są już twoje.

Pochyliłem się i wziąłem pieniądze. Popatrzyłem na nią; wybuchnęła płaczem i rzuciła się na łóżko.

— Wyjdź stąd — powiedziała po chwili.

I wyszedłem.

Czułem już, idąc pustymi ulicami, że wiatr nadchodzi z

innej strony. Niebo nad morzem poczęło jaśnieć i poczułem się odrobinę lepiej. Wiedziałem, że przechodzi chamsin. Chciałem skrócić do swojego hotelu ale przypominałem sobie nagle, że w hotelu na Allenby siedzi przed klozetem mój znajomy garbus, który też nie sypiał po nocach i zachciało mi się z nim pogadać. Poszedłem schodami na górę i przeszedłem na palcach obok portiera Harry'ego, który spał trzymając w rękę, jak zwykle, powieść kryminalną. Spojrzałem z ciekawości na okładkę: to była historia o tym jak Mike Hammer zabił swoją kochankę strzelając jej w brzuch z czterdziestki piątki. Znałem już tę historię. W więzieniu nie wolno było czytać Mike Spillane'a i książki jego cieszyły się największym powodzeniem. Pamiętam, że za przeczytanie tej książki zapłaciłem trzy czy cztery papierosy.

Garbus siedział jak zwykle na swoim miejscu.

— Nie mogę spać — powiedziałem.

— Mnie to mówisz, człowieku?

— Może masz coś na spanie?

Popatrzył na mnie.

— To ty powinieneś mieć — powiedział. — Zmieniłeś zawód.

Spojrzałem na zegarek.

— Teraz już czwarta — powiedziałem. — Nie opłaca się brać żadnych proszków. Trzeba przynajmniej sześciu godzin, aby je odespać.

— Jak sprawy

— Dobrze. A jak twoi księża? Dali ci trochę forsy?

— Tak. Dostałem dzisiaj wieczorem razem z książką o misjonarzach. Właśnie ją czytam. Okazuje się, że najbardziej mordowali misjonarzy w Chinach.

— Słuchaj. Chcesz jeszcze iść na dziewczyny? Coś mi przyszło do głowy.

— Co?

— Chodź ze mną — powiedziałem. — Nic cię nie będzie kosztować.

Popatrzył na mnie niepewnie.

— Ty to mówisz poważnie?

— Jasne. Zrobimy wykwintny żart towarzyski.

— Poczekaj — powiedział. — Wezmę tylko trochę węgla.

Ten mój nieszczęsny żołądek.

Kiedy przyszliśmy pod dom Azderbala światło było zgaszone. Ten garbus wpakował się szybko do jej łóżka a ja odszedłem. Obudziłem się gdzieś koło jedenastej i czułem się całkiem nieźle. Pomyślałem sobie o tej dziewczynie; o tym, że musi mieć potwornego katza i o tym, że garbus to właściwie

wszystko co jej potrzebne przy czterdziestu stopniach upału. A potem pomyślałem, że nie podzielę tej forsy, którą od niej dostałem, z Robertem i poczułem się jeszcze lepiej. Zawsze ogarnia mnie jakiś podniosły nastrój kiedy już wiem jak wyrolować współnika. To jakiś stan błogości i spokoju, którego nie można zupełnie z niczym porównać. Wziąłem prysznic i zeszedłem na śniadanie kłaniając się wszystkim paniom spotkanym po drodze i zamówiłem jajecznicę z czterech jajek. Robert był niewyspany i blady; pod oczyma miał wielkie kręgi; im tam nie zbyt wygodnie z siłaczem do spółki. A potem poszliśmy na plażę. O tej godzinie ta dziewczyna od oszusta-Azderbala musiała się już chyba obudzić i spostrzec, że to jednak nie ja wróciłem do niej po nocy aby ją obsypać piśszczotami. Kto wie, co jest naprawdę zabawne.

Po południu autobusem pojechaliśmy do Jaffy. Robert miał tam jednego gościa który obiecał sprzedać mu psa, ale nie mogliśmy go jakoś znaleźć. Weszliśmy do kawiarni gdzie on przychodził i zamówiliśmy kawę. Potem przyszedł ten gość i powiedział, że zaraz przyprowadzi psa.

— Wiesz, Robert — powiedziałem. — Wczoraj nie było ciebie i zapomniałem tekstu tak, że musiałem powiedzieć własny.

— I co jej powiedziałeś?

— Powiedziałem jej, że to wszystko teatr i że chcemy wyrolować ją na forszę.

— Powiedziałeś jej to? — zapytał straszliwie blady.

— Powiedziałem. Ale nie bój się, nie uwierzyła w to. To zagrało wspaniale. Teraz będę to zawsze robić.

Robert siedział nieruchomy i milczący.

— Nie podoba ci się — powiedziałem. — Dlatego, że ja to sam wymyśliłem. Powiedz szczerze, że jesteś zazdrosny. No, Bobby. Śmiało.

— To nas mogło dużo kosztować.

— Nic nas nie kosztowało. A ja zyskałem na tak zwanym wewnętrznym wizerunku. Jestem człowiekiem psychicznie skomplikowanym, o podrażnionej ambicji, nieszczęsnym — czego ty jeszcze chcesz?

— Czy powiedziałeś jej wszystko?

— Powiedziałem jej co trzeba.

— Czy powiedziałeś jej o dziewczynie z Bostonu?

— Nie.

— Nie powiedziałeś jej, że popełniła samobójstwo?

— Nie.

— Powinieneś jej powiedzieć o wszystkim. O tym, że ta dziewczyna była w klinice dla nerwowo chorych, i o tym, że w rok potem...

— Nie lubię o tym mówić.

— No więc nie mów tego nigdy. Nie bój się, ja o tym nie zapomniałem. Ty jesteś człowiekiem skłóconym ze sobą, nie-zrównoważonym, ale sama myśl, że mógłbyś wziąć forszę od kobiety wydaje ci się niemożliwa. To ci nawet nie przychodzi do głowy. Ja cię eksponuję inaczej i nowocześniej. Nie powinieneś zapominać o czasie. Ja pokazuje cię tylko w zasadniczych sytuacjach dla twojego charakteru — kiedy jesteś zrozpaczony, kiedy jesteś wściekły, kiedy jesteś zakochany a resztę niech ona sobie sama odtworzy. Zobacz jak Amerykanie robią filmy. Oni pokazują tylko sytuacje kluczowe, najważniejsze, popychające akcję i dlatego się im wierzy.

— Więc wymyśl coś innego na to miejsce. Tam jest jakaś luka, Robert, i ja to wczoraj czułem. Jest puste miejsce i ja nie wiem jak to zagrać. Po tym miejscu kiedy odrzucam jej ofertę na temat wyjazdu — Robert, to jest puste miejsce.

— Po tym miejscu powinieneś być spokojny. Już jesteś zdecydowany. Jesteś jak skazaniec, którego prowadzą na rozwałkę i którego inteligencja pracuje w porządku i facet wie, że to już koniec. Taki masz być. Każ sobie opowiedzieć coś o Ameryce, pytaj o małe rzeczy o ceny lodów, o to z jaką szybkością można jeździć w stanie Kalifornia — musi nastąpić między wami moment spokoju, moment ciszy bo potem idzie ta najważniejsza scena i w tej najważniejszej scenie nie masz już słów, sama akcja i ty musisz wypaść wspaniale.

Spuściłem wzrok.

— W porządku — powiedziałem.

Sam wywołałem diabła z ciemności mówiąc mu o tym wszystkim. A teraz on wsiadł na swojego konia i już się nie mógł przymknąć.

— Nie masz wycucia czasu i to jest źle. Nie myślisz o całości; myślisz tylko o pojedynczych scenach. Czytałem gdzieś jak Marlon Brando powiedział, że aktor musi być trochę poetą. I to jest wielka prawda. Brando zawsze panuje nad całością materiału i to się widzi. Zasada jest zresztą bardzo prosta; jeśli zamknę się w ciemnym pokoju po jakimś czasie przyzwyczaisz się do ciemności. Ale jeśli od czasu do czasu będę zapalać i gasić światło, to męka twoja stanie się nie do zniesienia, bo za każdym razem będziesz musiał przyzwyczajać się do światła i do zmroku. Dlatego właśnie po twoich krzykach, że nie pojedziesz z nią do Ameryki — przyjdzie długi okres

spokoju i ciszy między wami. Wiecie, że czeka was jeszcze wiele trudu ale boicie się rozpocząć rozmowę na ten temat ponieważ boicie się skaleczyć psychicznie... jedno drugie. I to jest właśnie ten moment ciszy przed burzą, który jest bardzo straszny. Nie czytałeś nigdy książki o -morzu, o żeglarzach?

— Nie — powiedziałem. — Jako dziecko czytałem tylko przygody Ken Maynarda. To były takie małe cienkie zeszytiki, które czytało się pod ławką w szkole.

— Gdzie zacząłeś chodzić do szkoły?

— W Warszawie u sióstr zakonnych — powiedziałem szybko, aby zmienić temat. — Byłem fatalnym uczniem. Kiedyś któraś z sióstr wpadła na pomysł, aby zrobić z papieru wielkie ośle uszy i ja te uszy nosiłem przez prawie cztery lata.

— Sadystyczny pomysł.

— To były sadystki. Któryś dnia umarł biskup diecezji warszawskiej i wszystkie szkoły zakonne chodziły modlić się za niego. Biskup leżał w kaplicy, jedna ręka w rękawiczce zwiisała mu bezwładnie, a wszystkie dzieci klękały koło niego i całowały tę zimną, sztywną rękę. Kiedy przyszła moja kolej powiedziałem, że nie chcę go pocałować, ale te zakonnice wypchnęły mnie jakoś siłą a ja dostałem furii i wgryzłem się temu martwemu w rękę, tak, że mnie tam w parę osób odciągałi a nawet trumna poruszyła się trochę.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Nie pamiętam. Może dziewięć.

— To dobre — powiedział Robert. — Opowiedz to tej swojej kurwie. Amerykanie uwielbiają analizowanie tego rodzaju faktów. Będzie miała jakieś zajęcie umysłowe na najbliższe parę minut. Mała rzecz a cieszy. Tak jak k...

Wszedł ten człowiek z psem. I on, i jego pies; obaj wyglądali na podleców. Pies był bokserem; podczas gdy Robert rozpoczął targowanie, ja zacząłem bawić się z psem. Był trochę chudawy i jasne było dla mnie i dla Roberta, że musimy go fest podkarmić zanim pojedziemy do Twerii. Najgorsze było to, że nie mieliśmy gdzie dla niego gotować. Pomyślałem sobie, że trzeba będzie przeprowadzić się z tego hotelu z powrotem do hotelu Harry'ego i pożyczyć skądś maszynkę do gotowania. Może nawet Harry będzie mu gotował za niewielką opłatą.

— Jak się pies nazywa? — zapytałem.

— Nazwijcie go jak chcecie — powiedział handlarz. — To przecież wasz pies.

— Jeszcze nie — rzekł Robert. — Jeszcześmy go nie ku-

pili. To w ogóle nie jest pies, to jest wspomnienie psa. Co ty mu dawałeś do żarcia? Chyba tylko barbituraty.

— To jest rasowy pies. Nie ma prawa być tłusty. Dobry kogut też nie może być gruby.

— Damy ci za tego psa osiemdziesiąt funtów ale musisz go potrzymać jeszcze ze trzy, cztery dni. Masz tu pięćdziesiąt funtów zaliczki i bądź dla niego dobry.

— Ja wcale nie powiedziałem, że sprzedaję tego psa za osiemdziesiąt funtów.

— To ja ci to mówię.

Kłócili się znowu. Odwróciłem się od nich i popatrzyłem na Jaffę. Na tej ulicy było wszystko, czego tylko człowiek mógł zapragnąć: wojskowe Willys'y i muły, dziewczyny i żołnierze, Arabowie i biali; ulica pachniała rozgrzaną miedzią i ostrym jedzeniem, mułami i kremem do włosów, morskim wiatrem i benzyną; a teraz, o godzinie szóstej po południu kładł się na to wszystko cień dwóch smukłych wież. Pomyślałem sobie z żalem, że Robert kończy już swoje pertraktacje handlowe i że trzeba będzie wracać do Tel-Aviv'u zatłoczonym autobusem — a przecież najlepsze co można by uczynić, to pozostać na tej ulicy, zamówić piwo i tak doczekać zmierzchu kiedy rozplynie się już cień tych smukłych wież i popioły nieba zejść nad miasto.

Wbrew temu co pomyślałem, autobus nie był zatłoczony; my z Robertem i jeszcze jakichś kilku robotników, którzy spali. Kierowca jechał szybko przez wąskie ulice; skręcił w kierunku morza i czuliśmy teraz chłodny, świeży wiatr, zaczynający się jeszcze przed porą przypływu. Gdzieś odplynał zapach miedzi, i mułów, i kremu do włosów; z okna autobusu morze wydawało się chłodne i jasne. Podnosiły się już gwiazdy i teraz dopiero przypomniałem sobie, że w Polsce ludzie modlą się do Matki Boskiej używają określenia „gwiazdo zrana”. Zapytałem Roberta czy to dlatego, iż najdłużej świecącą gwiazdę nazywają gwiazdą nadziei; Robert odpowiedział mi, że bym lepiej pomyślał o Twerii i o tym jak nazwać psa.

— To musi być imię jak piorun — powiedział Robert. — Pies wchodzi na scenę, zaszczeka dwa razy, my znamy jego imię i już dzieje się jakaś sprawa. Zobacz jak Dostojewski nazywał swoich bohaterów — Dymitr Karamazow. W tym imieniu jest dynamit. Siła, prawda o ludzkim charakterze — wszystko co chcesz.

— Co wiesz o tej dziewczynie z Twerii?

— To rozwódka. Wszystko pójdzie dobrze. Mąż nie spełnił jej pragnień o człowieku czystym a silnym. Nie potrafił wejść

w świat jej marzeń i nie umiał dostrzec jej wrażliwości moralnej. Dlatego zaczęła się puszczać z własnym szoferem szantażując go w dodatku tym, że straci pracę, a zanim straci pracę to ona porozmawia z jego żoną jak kobieta z kobietą. Szofer wyładował w klinice psychiatrycznej na koszt jej męża. Teraz na scenę wchodzisz ty.

— Wszystko brednia — powiedziałem. — Kto może sobie w Ameryce pozwolić na własnego szofera.

— Mąż jej był krótkowidzem. Nie chciało mu się chodzić ani do kina, ani czytać książek. Szoferowi oczywiście nie płaćli pełnej stawki. Możesz być o niego spokojny.

— Chciałbym, żeby to wszystko kiedyś się wreszcie skończyło — powiedziałem. — Dlaczego musiałem się urodzić taki cholernie biedny?

— A ja?

— Nawet gdyby mi wpadła jakaś gruba forsa to i tak nie potrafiłbym już nic z tym zacząć — powiedziałem. — A teraz za późno jest aby się tego nauczyć. Pewnie bym to stracił na głupstwa a potem znów zacząłbym od nowa.

Szofer zatrzymał wóz.

— Wy dwaj — powiedział.

Wysiedliśmy.

— Już wiem jak nazwać tego psa — powiedziałem do Roberta.

— No?

— *Loser*. To na zasadzie reakcji paradoksalnej. Jak byłem ostatnio w szpitalu to siedziałem z takimi których odzwyczajano od prosków nasennych. Ci ludzie strasznie cierpieli. Niektórym z nim dawano przed pójściem spać olbrzymią filiżankę czarnej, mocnej kawy i ci faceci zasypiali. To właśnie lekarze nazywali reakcją paradoksalną. Tak będzie z naszym psem. Pies jest ładny, mocny, będzie żał za trzech, i to powinno zagrać. Co myślisz?

— Dobrze. Będiesz mógł nawiązać w dialogach do tego psa, ale bardzo delikatnie, nie na chama. Zresztą sam ci powiem co i jak.

— Oczywiście — rzekłem. — Ty już będziesz wiedział co i jak.

Wieczorem siedzieliśmy przy kolacji; Robert, ja i mały John. W tym hotelu było wszystko jakoś obrzydliwie familijnie; musiałem się kłaniać tym wszystkim leniom i brać udział w rozmowach na temat jedzenia, piękności kraju i pogody. To

było straszne; Robertowi wychodziło to lepiej. Robert mógł godzinami rozmawiać o czym tylko ludzie chcieli.

— Gdzie mama? — zapytałem małego.

— Idź do piekła — powiedział. — Robi się na piękną. Pytasz tak, jakbyś nie wiedział. — Odwrócił się do Roberta: — Czy on zawsze był takim kretyńcem?

Robert przerwał na chwilę rozmowę z jakimś człowiekiem który, sądząc z wyglądu, dawno powinien był być w grobie i powiedział:

— Słucham cię, kochanie?

— Nic — powiedział John. — Ty też nie jesteś lepszy.

Jakieś towarzystwo przy sąsiednim stoliku wybuchnęło śmiechem. Zacerwieniłem się i wstałem dość gwałtownie. Poszedłem do windy i czekałem tam nacisnąwszy guzik. Ktoś należący do tego towarzystwa siedzącego obok nas — jakiś mężczyzna koło pięćdziesiątki o zadowolonej z siebie twarzy bandyty, który ma już dosyć forsy i wstąpił na uczciwą drogę — podszedł do windy i tam chwilę patrzył na mnie.

— Ale pana ten mały zrobił — powiedział.

— Tak myślisz? — powiedziałem.

Wepchnąłem go do windy i zatrzęsnałem drzwi. Sam poszedłem schodami w górę. Otworzyłem drzwi do jej pokoju; siedziała na łóżku obracając w rękę niezapalonego papierosa.

— Źle się czujesz? — zapytałem mądrze,

— Niebardzo.

— Co ci jest?

— Właściwie nic. Ojciec Johnny'ego przyjdzie dziś wieczór.

— Skąd wiesz?

— Dzwonił tutaj do mnie i pytał czy może przyjść. Powiedziałem, że tak.

— Wszystko będzie dobrze. Zapal tego papierosa i chodź ze mną.

— Myślisz, że będzie dobrze?

— Dlaczego miałoby być źle?

— Ty nie wiesz czym dla tego małego jest ojciec — powiedziała. — I to niestety moja wina. To ja mówiłam mu ciągle, że jego ojciec jest silny, i mądry i wszystko co tylko chciał o nim słyszeć. A teraz on wierzy w to wszystko i czeka na swego wspaniałego ojca.

— Nie bardzo wiem, co tu by można zmienić.

— Nic. Ale on jest za mały aby to zrozumiał. On wierzy w to, że za chwilę wejdzie silny, wspaniały facet i powie mu: John, to ja, twój papa.

— Czy on wygląda źle?

— Sama już nie wiem — powiedziała. — Ale na pewno nie tak, jak mały by tego chciał. — Rozpłakała się nagle i znowu tak jak za pierwszym razem: bezradnie i nienatoczywie, jak dziecko. — Ale nie chciałam, żeby on cierpiał — powiedziała. — Żeby się czuł niekochany. Nic innego nie umiałam wyśnić.

— Chodź — powiedziałem. — Nic złego nie może się stać.

Podniosła na mnie oczy; uśmiechnęła się.

— Tak myślisz?

— Jeszcze ja tam jestem — powiedziałem. — I wuj Robert. I pies.

Zeszliśmy na dół. Ten bandyta który zagadnął mnie koło windy patrzył na mnie napuszony i zły. Usiadłem.

Ogarnął mnie jakiś dziwny spokój; to zawsze ze mną tak. I kiedy ten człowiek wszedł na salę, wiedziałem już prawie wszystko co się stanie. Poznał mnie od razu; to był ten niešťczęśny pijaczek który prosił Roberta o forszę na piwo i którego ja odpędziłem. Był teraz bardziej pijany niż zazwyczaj: na twarzy jego błakał się idiotyczny uśmiesz; chciał dodać sobie pewności siebie. A potem zobaczył mnie: i teraz, patrząc na niego, wiedziałem już co się stanie. W jego pijanym, niešťczęśliwym mózgu odżyło wspomnienie; uśmiesz jego znikł. Podeszedł ku nam; zatoczył się przy tym na kelnera, który podawał supę i kelner wylał wszystko na nogi tamtych pań i panów.

— Ty kurwo — powiedział do niej.

Wstałem.

— To zamiast przywitania, nie? — powiedziałem.

— Ty kurwo — powtórzył.

Ona złapała moją rękę.

Popatrzyliśmy na siebie i widocznie zrozumieliśmy wszystko. Zrobiło się cicho. Uderzył mnie w twarz z taką siłą, że aż dwie siedzące z boku kobiety krzyknęły. Chwyciłem go za gardło ale wtedy napotkałem spojrzenie tego małego. Patrzył na mnie błądy i przerażony; jego zadarty nos skurczył się niby u psa i górna warga odsłoniła zęby.

Nie powiedziałem nic. Odepchnąłem go a raczej tylko puściłem i zatoczył się odrobinę. W ciszy poszedłem na górę; po drodze jeszcze odrzuciłem serwetkę, którą machinalnie wziąłem ze stołu. Kiedy wyszedłem już z jadalni, wszyscy wybuchnęli wrzaskiem.

Na schodach dogonił mnie Robert. Był blady, pokryty potem.

— Teraz — powiedział. — Nie czekaj. Teraz, od razu. Wszystko się nam zgodziło, teraz wszystko zagra.

— Nie dzisiaj — powiedziałem. — Jutro.

Pocałował mnie w rękę i czułem drżenie jego warg.

— Byłeś wielki, wspaniały — powiedział. — Teraz, teraz. Jutro już nie będzie to samo. Nie czekaj.

— Dobrze — powiedziałem.

Weszliśmy do pokoju. Robert wyciągnął z walizki pistolet i ładował go trzęsącymi się rękami. Podszedłem do okna i patrzyłem na morze. On mówił coś tam za moimi plecami, ale nie słyszałem go. Patrzyłem na naszego psa, który biegał po plaży; uganiały się za nim dzieci a pies szczekał głośno.

— Już — powiedział Robert.

Odwróciłem się i wziąłem od niego pistolet.

— Tylko nie uderz mnie za mocno — powiedział.

— Czy uderzyłem cię kiedy za mocno?

— Nie. Jesteś wielki, wielki.

— Chodźmy już.

— Jeszcze raz chcę spojrzeć.

— Nie ma czasu.

Zeszliśmy; od połowy schodów zacząłem biec a on szedł za mną długimi krokami.

— To szaleństwo — krzyczał. — Zatrzymajcie go.

Miałem go uderzyć, ale odepchnąłem go tylko. W milczeniu przeszedłem przez salę i zszedłem w dół, na plażę. O tej porze wiatr był już silny i prawie nikogo na plaży. Zawołałem Kleksa i pies biegł ku mnie długimi susami; strzelałem raz po raz, ale nie udało mi się wystrzelać całego magazynka. Przypuszczam, że już po dwóch albo trzech strzałach był martwy a teraz leżał u moich nóg. Rzuciłem koło niego pistolet i wróciłem na górę.

Te trzy tubki Nembutalu leżały już na stole. Wziąłem szklankę wody, przygotowaną przez Roberta i zacząłem połykać te pastylki. Robert pisał list a krople potu spływały na papier.

— Co tam piszesz? — zapytałem.

— Módlcie się za moją duszę — powiedział.

— Napisz: wybaczcie mi wszystko i módlcie się za moją nieszczęśliwą duszę. I napisz jeszcze: nikt z was nie lubił mnie nigdy naprawdę i ja nikogo nie lubiłem z was naprawdę.

— Nie. Tylko raz: módlcie się za moją duszę. To silniejsze.

Położyłem się na łóżku.

— Idź już — powiedziałem.

— Już czujesz?

— Nie. Ale wiem, że zaraz będę to czuć. Idź już.

Stał niezdecydowanie.

— Idź już — powtórzyłem.

— Dobrze — rzekł. — Trzymaj się stary. Za dwa dni będzie po wszystkim. Nie będziesz nawet czuć.

Wyszedł. Wiedziałem, że teraz przez parę chwil będę czuł kołysanie i tak rzeczywiście było. Płynąłem na jakiejś ciemnej i łagodnej fali, ale nie usnąłem jeszcze. Wiedziałem, że to co przyjdzie teraz będzie najgorsze ze wszystkiego i tego jednego bałem się naprawdę.

Bo już teraz nie leżałem w tym tanim i kiepskim pokoju hotelowym. I już nie było pode mną tej łagodnej fali. Teraz już szedłem po jakiejś drodze i widziałem z daleka na polu dziewczynę odwróconą do mnie tyłem; widziałem jej długie włosy, piękne i smukłe nogi i opaleniznę jej ramion. Była pochylona nad czymś czego nie widziałem i wiedziałem już, że nigdy tego nie zobaczę. I potem znowu znalazłem się na tym łóżku i w tym pokoju z pretensjami do banalnej elegancji a za chwilę już patrzyłem znów na jej piękną postać i wiedziałem, że teraz ujrzę jej twarz.

— Nie wstydź się — powiedziałem głośno. — Ja już tam idę.

I wtedy odwróciła się do mnie; dojrzałem jej twarz starą i wstrętną i uśmiechnęła się do mnie ukazując popsute zęby. I czułem nawet jej straszny oddech. A wtedy wiedziałem już, że jestem poza wzgórzem.

Trzeciego dnia było już po wszystkim. Leżałem na tarasie małego, luksusowego hotelu i udawałem, że śpię. Było bardzo spokojnie, gdyż wszyscy ludzie poszli spać po obiedzie i dlatego słyszałem o czym Robert z nią mówi. Znałem to już na pamięć, ale lubiłem słuchać o czym on mówi.

— Nareszcie się wyśpi — powiedział Robert. — On nigdy nie sypiał dobrze.

— Jak myślisz? Może lepiej, żebym stąd poszła — powiedziała ona. — Boję się, że jak się obudzi to będzie mu głupio.

— Powinno mu być głupio — powiedział Robert, a ja przysiągłbym, że twarz jego była w tej chwili surowa i że wyglądał jak aktor w amerykańskim filmie, który gra Indianina posyłającego kogoś tam na śmierć. — Ja nie myślę, żeby to

było śmieszne. Jeśli już to robi, powinien starać się tak, żeby mu to wyszło.

— Nie bądź okrutny.

— Biedny, głupi *loser*. — powiedział Robert. — Nawet nie potrafił się skończyć.

— Skończyłby się gdybyś nie wrócił — powiedziała.

— Tak. To był przypadek. Zapomniałem paszportu, a rano miałem coś do załatwienia. Nie chciałem was rano budzić.

Chwilę milczeli oboje.

— Ten biedny pies, to było wszystko co on miał — powiedział Robert. — Nie wiem dlaczego go zastrzelił. Przypuszczam, że po tym jak dostał po pysku od twego męża nie wiedział po prostu co zrobić ze swoją furią. No i zabił tego psa.

— Nie powinien tego zrobić.

— Całe szczęście, że to zrobił.

— Dlaczego?

— Bo wywalił w niego wszystkie kule, jakie miał. Tak, że nie mógł zastrzelić samego siebie. Zostały mu tylko te głupie proszki.

— I to wszystko przez tego małego pijaczynę.

— Nie. To dlatego, że twój mały tam siedział. Ten mały uratował swojego ojca. On nie chciał go uderzyć ze względu na dziecko.

— Wiem o tym. Któregoś dnia Johnny zrozumie to także.

— Napiszcie do niego — powiedział Robert. — On będzie się cieszył.

— Gdzie mamy do niego napisać?

— Napiszcie na mój adres a ja mu to już jakoś prześlę.

— On pojedzie ze mną — powiedziała.

— Boję się, że go nie znasz — rzekł Robert.

— W tej historii jest coś, co się nie zgadza. Coś, czego nie rozumiem. Dlaczego on ma jechać do Australii i tam pracować? Dlaczego nie miałby pojechać do Ameryki i tam zacząć, skoro już ja tam jestem. Tu się coś nie zgadza, Bobby.

— Wszystko się zgadza. On się boi.

— Czego się boi?

— Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć.

— Bobby, ty jesteś jedynym jego przyjacielem. Jeśli ty tego nie zrobisz, to kto to robi za ciebie? Dlaczego nie chcesz mi pomóc?

— Jego historia nie jest romantyczna — powiedział Robert. — Czy widziałas tam u niego w pokoju takie zdjęcie starej pani?

— Mówisz o jego matce?

— Tak — powiedział Robert, a ja przypomniałem sobie zdjęcie matki siłacza. — Widzisz jego matka była bardzo chora i on zapożyczył się tutaj, żeby wysłać jej pieniądze na operację i na szpital. Niestety, nie na wiele się to przydało.

— Biedny — powiedziała ona, a ja pomyślałem o swojej matce która jest zdrowa, a wódkę pije jak huzar.

— Żeby opuścić Izrael musi mieć paszport. A jego paszport leży u adwokata tych ludzi, którzy pożyczili mu na zapłacenie kosztów operacji. On poszedł tam i powiedział im, że jedzie do Australii i pokazał im kontrakt pracy; oni zgodzili się wypuścić go pod tym warunkiem, że jego firma będzie mu po-tręcać i im przysyłać. Rozumiesz?

— A dlaczego nie może im przysyłać z Ameryki?

— Bo jest Polakiem, kochanie — powiedział Robert. — I na wizę emigracyjną będzie musiał czekać może osiem lat, może sześć, ale nie mniej. Tak, że do Ameryki może pojechać tylko jako turysta. Zdawałoby się, że komu jak komu, ale turyscie trzeba forsy.

— Ile on jest winien tym ludziom?

— Dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt dolarów.

— I ty chcesz mi powiedzieć, że on chciał się zabić dla dwóch tysięcy dolarów?

— Ja tego wcale nie powiedziałem. Ja mogę tylko domyślać się co się działo w jego głowie, ale ja tam przecież nie mieszkam. Dostał wreszcie tę pracę i poznał ciebie. Potem już nie chciało mu się jechać do Australii a chciał pojechać z tobą do Ameryki. Ten cholerny adwokat nie chciał mu oddać paszportu. Potem zjawił się twój mąż i dał mu po pysku a on nie chciał go uderzyć ze względu na twoje dziecko. Potem roz-walił swojego psa i wszystko mu się na koniec pomieszało. Nie wiem jak było. To ty powinnaś lepiej wiedzieć.

Głos jego był teraz szorstki i surowy. Po chwili ona za-pytała cicho:

— Dlaczego przypuszczasz, że ja powinnam o tym lepiej wiedzieć, Bobby?

— Bo on cię kocha — powiedział tym samym surowym głosem Robert. — I ty go kochasz.

— Czy bardzo będziesz mnie przeklinać, jeśli on stąd wy-jedzie?

— Nie. To ja jestem *loser*. Nie przeklinam nikogo. — Mil-czał przez chwilę a potem powtórzył: — To ja jestem *loser*.

— Wiesz jak to załatwić z tym jego adwokatem?

— Trzeba żeby tam poszedł i zapłacił.

— Przecież on sam nie pójdzie. Nie weźmie ode mnie tych pieniędzy.

Robert milczał przez chwilę a potem roześmiał się.

— Czego się śmiesz, Bobby? — zapytała po chwili ona.

— Z tego, że znam go tyle lat — powiedział on. — Z tego, że przeszedłem z nim przez tyle. I z tego, że wszystko co mogę dla niego zrobić, to pomóc mu stąd wyjechać i rozłączyć się z nim. Dobrze. Zrobię to dla niego.

Znowu milczeli. Z okna mego pokoju nie widać było morza, ale słyszałem jego szum. Z tamtego hotelu wyrzucili nas wszystkich natychmiast i teraz mieszkaliśmy wszyscy czworo w tym małym luksusowym hotelu, którego właściciel był niemieckim Żydem; spokojnym, starszym panem o wypielegnowanych rękach. Robert dopiero dzisiaj wziął mnie ze szpitala i musiał podpisać lekarzom, iż chory opuszcza szpital wbrew radom lekarskim. A teraz leżałem tutaj, koło mojego łóżka stał bukiet kwiatów i przyjemnie było myśleć o twarzy Roberta w chwili, kiedy kupował te róże.

— Zrobisz trochę kawy, Bobby?

— Dobrze — powiedział. — Ale możemy zejść na dół, na kawę jeśli tylko chcesz.

— Bobby — powiedziała. — Ja ciągle nie rozumiem dlaczego on zastrzelił tego psa.

— Nie wiem — powiedział. — Przypuszczam, że chciał zniszczyć wszystko co tylko miał. Może chciał sobie ułatwić rozstanie z tobą? Nie wiem. W każdym razie pies był jego. To wszystko co miał.

— Nie wiem jak to powiedzieć Johnny'emu. Ty wiesz Bobby, że Amerykanie lubią psy.

— Będziesz mu musiała powiedzieć, że pies był chory i musiał go zastrzelić. Powiesz mu, że w westernach *cowboy'e* zabijają swoje konie i wszyscy się cieszą. A kiedy będzie starszy, powiesz mu, że zastrzelił psa, bo się zakochał w tobie i myślał, że będzie musiał się z tobą rozstać. Więc zastrzelił tego psa, aby się wydać okrutnym i głupim. Po prostu dlatego, abyś nie cierpiała.

— Więc to tak było, Bob?

— Idziemy teraz na kawę — powiedział.

— Dlaczego ja jestem taka głupia — powiedziała. — Dlaczego sama nie potrafiłam do tego dojść. On zabił, bo chciał abym go przestała kochać, tak, Bobby?

— Idziemy teraz na kawę — powiedział Robert.

— Powinnam była sama o tym pomyśleć.

— Będziesz miała czas o tym pomyśleć — powiedział. —

Przyrzekam ci to. A teraz chodź. Ja też chcę się napić kawy. Odwróciłem się i usnąłem.

Następnego dnia oni odjeżdżali. Po śniadaniu zawołałem taksówkę i chciałem znieść jej walizkę na dół.

— Nie — powiedziała wyjmując mi walizkę z ręki. — Jeszcze jesteś za słaby.

— Nie będę się z tobą żegnać — powiedziałem.

— Dlaczego?

— U nas ludzie mówią, że lepiej jest witać się jak żegnać.

Stała przede mną uśmiechając się a potem odwróciła się i weszła do taksówki. Już siedząc tam powiedziała do mnie:

— John chce mówić z tobą.

— Czy to będzie bardzo bolesne?

— To tylko on wie.

Odwróciłem się: mały stał za mną twardo, jak głaz. Robert kłócił się z taksówkarzem o cenę.

— Chcesz ze mną mówić? — zapytałem go.

— Tak — powiedział. — Ale nie tutaj. Odejdźmy gdzieś na bok.

Odeszliśmy na bok tak jak chciał. Ale nie mówił nic; stał nieruchomy i zasępiony patrząc chyba na własne buty.

— O co ci chodzi, John?

— Słuchaj — powiedział poderwawszy nagle głowę. — Ja wiem, że ty mogłeś zrobić z moim ojcem co tylko chciałeś.

— Zrobiłem z nim przecież to co chciałem.

— Ja wiem, że mogłeś z niego wykopać piekło — powiedział. — I wiem dlaczego tego nie zrobiłeś.

— Czy mama ci to powiedziała?

— Nikt mi nie musiał mówić. Ja to sam skapowałem. A jeśli ci o to chodzi, to matka mi nic nie powiedziała.

— W porządku — powiedziałem. — Nie musimy nic mówić na ten temat. Dziękuję ci, John.

Ale nie odchodził jeszcze. Zobaczyłem nagle jego łzy; przyklęknąłem przy nim i objąłem go a on zarzucił mi ręce na szyję.

— Chcę cię o coś spytać — powiedział.

— Możesz mnie spytać o wszystko co tylko chcesz — powiedziałem.

— Czy jak przyjedziesz do Stanów, będę mógł do ciebie mówić „tato”?

— Jasne — powiedziałem. — Możesz tak do mnie mówić już teraz.

Odszedł; wsiadł do taksówki i taksówka odjechała. W tej chwili, jak spod ziemi zjawiał się siłacz. Nigdy już nie do-
wiem się, gdzie stał tak cwanie, że nikt go nie dojrzał; ani
Robert, ani oni, ani ja. Siłacz promieniał; wyglądał teraz jak
inteligentny kartofel.

— Dobra — powiedział. — Teraz załatwiamy sprawę.

Usiedli; ja z nimi. Nie słuchałem ich; ulicą Yaarkon prze-
chodziła grupa umundurowanych dziewcząt i śpiewała. Patrzy-
łem chwilę za nimi a potem odwróciłem się. Moja część for-
sy leżała już przede mną i nie sprawdzając włożyłem pienią-
dze do kieszeni. Robert i siłacz kłócili się już. Normalnie byli
z sobą na ty ale kiedy zaczynali mówić o pieniądzach prze-
chodzili na formę „pan”. Tak im było wygodniej.

— Gdzie pan był? — mówił Robert.

— Byłem u Wu.

— Wu w ogóle nie znał tego interesu. Ja panu mówi-
łem, żeby poszedł do Ef.

— Pan mi nie będzie rozkazywać.

— A pan mnie nie będzie rolować.

Przypomniałem sobie, że muszę pojechać do Jaffy po te-
go psa, a poza tym nie chciało mi się słuchać ich kłótni. Wsta-
łem od stolika ale nawet nie zauważyli tego; i zacząłem iść
przed siebie ulicą Yaarkon. Znałem Roberta i jego kłótnie;
teraz znałem już i siłacza. Idąc wolno przed siebie myślałem,
że właściwie znam całe miasto i cały kraj. Przechodziłem te-
raz obok nocnego klubu, który był zamknięty; znałem i ten
klub i znałem Murzyna grającego tam na bębnie; tak więc;
przechodząc tu teraz pomyślałem sobie, że skóra bębna po-
kryta jest kurzem i pokryta będzie kurzem aż do wieczora kie-
dy to śmigłe palce Murzyna wzniecą z niej rytm pieśni. A
potem przechodziłem koło małego hotelu, którego portier był
pederastą i kochał mnie, a ja wyciągałem z niego forszę w
ten sposób, iż krajałem sobie twarz maszynką do golenia i
zmuszałem go do patrzenia na to. To wtedy kiedy było bardzo
źle.

Znałem tu wiele miejsc i wielu ludzi. Ale dlaczego nie
potrafiłem o tym pisać? Dlaczego potrafiłem to czuć, a nie
umiałem o tym mówić — nie wiem. Dlaczego nie powiedzia-
łem i nie napisałem nigdy, iż nie ma większego nieszczęścia
jak życie w nieświadomości Boga; jak życie wbrew Jego przy-
kazaniom — nie wiem. Dlaczego nie umiałem nigdy powie-
dzieć, że największym grzechem jest stracenie miłości drugie-
go człowieka — nie wiem. Może było za gorąco, a może po
prostu zapomniałem. Miałem teraz w kieszeni siedemset do-

larów amerykańskich i jeszcze trochę funtów. Siedemset dolarów to nie mało jak na Izrael. Będę mógł wynająć sobie pokój dla siebie samego a może jeszcze coś poderwiemy w Twerii. I będę mógł sobie kupić dużo książek i czytać je; będę wieczorami chodził do taniego kina na ulicę Ben-Jehuda, a nocami będę słuchał deszczu spadającego na miasto. I tak będzie aż do wiosny. I aż do wiosny nie będę do nikogo mówił o miłości; aż do wiosny nie pójdę nigdy za żadną z nich. Ale dlaczego nie miałem więcej pieniędzy; dlaczego nie urodziłem się w łóżku jednego z tych skurwysyńskich bogaczy; mógłbym wtedy żyć jak na pustyni między milionem ludzi; mógłbym brać udział w radościach ludzkich zamiast dzielić ich zmęczenie. No już inaczej nie będzie.

Więc szedłem teraz po tego cholernego buldoga. Na rogu ulicy Yaarkon siedział taki jeden biedny facet, który innym ludziom czyścił buty. Podeszedłem tam, usiadłem i patrzyłem na jego stare ręce czyszczące mi buty. Potem skończył; wyciągnąłem z kieszeni funta, zgmiotłem go w kulkę i rzuciłem mu.

— Dziękuję ci, panie — powiedział. — Bóg zawsze nagradza dobre uczynki.

— Dobrze — powiedziałem.

Wyciągnąłem z kieszeni drugiego funta; znów zgmiotłem go w kulkę i rzuciłem mu. Patrzył na mnie pełen oczekiwania.

— To dobre, co mówisz — powiedziałem. — Ja tu będę wracał za godzinę z takim jednym psem. Wtedy powiesz mi to jeszcze raz.

Marek HŁASKO

Wiersze Josifa Brodskiego

KOMENTARZ TŁUMACZA

Czytając zeznania świadków obrony w skandalicznym procesie Josifa Brodskiego, trzeba było przyjmować na wiarę ich zapewnienia, że chodzi o prawdziwego poetę. Zresztą, pokreślano głównie jego wartość jako tłumacza poezji, także polskiej. A wiadomo, że bywają doskonali tłumacze, którzy jako poeci nie reprezentują większej pozycji. I odwrotnie — nawet wybitny poeta nie musi być dobrym tłumaczem.

I oto dostaliśmy do rąk sporą garść wierszy Brodskiego. Pisane już w łagrze pod Archangielskim gdzie nadal przebywa. Przeważnie drobiazgi, ale jest także dłuższy, bardzo ambitny w zamierzeniu utwór „Wielka elegia na Johna Donne’a”. Teraz już wiemy z kim mamy do czynienia. I wiemy również dlaczego go skazano na dłuższy pobyt w okolicach podbiegunowych. Bo nie ulega wątpliwości, że oskarżenie o antyspołeczną postawę i systematyczne unikanie pracy było tylko pretekstem. W istocie skazano go za wiersze, wyglądające wręcz skandalicznie w zestawieniu z „polityką kulturalną”, uprawianą w Sowietach.

Brodskij jest autentycznym poetą, chociaż bardzo jeszcze niedojrzałym, dopiero poszukującym właściwego wyrazu. Przyjdzie to z czasem, jak wolno sądzić, bardzo niedługim. Często staje się mętny, ciągnie za włosy metafory, wysiłone w swej oryginalności, a pozbawione czytelnego klucza, wpada w pseudopoetyckie niezrozumiałstwo: druty są zanadto od siebie oddalone i elektryczna iskra nie może przeskoczyć. Ale jest w tym wszystkim autentyczne wnętrze, jest silny ładunek, tyle że autor nie zawsze potrafi go właściwie wykorzystać. Trafiają się

przecież zwroty bez zastrzeżeń świetne, jak choćby owe „Pan Bóg — światło z oddalonych okien, co w mglistą noc podróżnym czasem mignie...”

Poziom zaprezentowanych tu wierszy jest nierówny, skala bardzo szeroka. Od błahych wierszyków, zwykłych notatek lirycznych, domagających się bardziej precyzyjnego opracowania, do utworów o szerokim oddechu, jak wspomniana już „Elegia”. Psuje ją nazbyt rozgadana pierwsza część, w której młody poeta niemal z obsesją przeciąga w nieskończoność listę rzeczy i przedmiotów, wyglądających jak spis inwentarza, jak sklepowy remanent. Kto wie, czy nie chodzi o obsesję, usprawiedliwioną warunkami życiowymi: autor z prawdziwą lubością smakuje w wyobraźni te wszystkie meble i przedmioty codziennego użytku, jakich w szarej sowieckiej rzeczywistości nigdy zapewne nie widział.

Poezja Brodskiego wychyla się zdecydowanie ku sprawom ostatecznym, a tym samym ma ambicje na najwyższą miarę. I tu właśnie śpi pogrzebany pies. Jest to autor bardzo nie sowiecki, sprawiający wrażenie na tle typowej liryki rosyjskiej dnia dzisiejszego wrażenie wręcz egzotyczne. Z lekka przyćmiony, a jednak widoczny wpływ Borysa Pasternaka dotyczy tu nie tylko strony formalnej.

Nie należy się dziwić, że zbiurokratyzowane czynniki, kierujące życiem literackim, zareagowały na wiersze młodego debiutanta ze skrajną niechęcią. Cóż to za sowiecki pisarz, biorący na warsztat takie tematy i taką problematykę! Elegia to prawdziwe wyzwanie pod adresem wciąż jeszcze obowiązującego socrealizmu. Już sama postać takiego poety, jak John Donne, wybrana do udziału w rozmowie, wygląda bardziej niż podejrzenie. A do tego cheruby, szatan, Pan Bóg, święty Paweł, trąba archanielska, Jeźdźcy z Apokalipsy — zaiste, trzeba wariata, żeby z takim bagażem pchać się do literatury sowieckiej. Toteż normalnym trybem rzeczy wysłano zuchwałego młodzika do „niezbyt oddalonych stron”, aby mu zdrożne myśli wywietrzały z głowy przy rozrzucaniu gnoju na polach, lub obijaniu klepek. Wariat jest jednak niepoprawny i nie tylko nie zrezygnował z archanielskich trąb, ale w płochych wierszykach daje upust brzydkim myślom pod adresem sędziego Saweljewej.

Nie piszę tu recenzji z przełożonych wierszy. Niech same się bronią przed trybunałem polskiego czytelnika. Jedno tylko: przy wszystkich wadach i niedociągnięciach, zrozumiałych u poety w tak młodym wieku, Brodskij jest k i m s i jeżeli jego rozwój nie zostanie zahamowany lub wykrzywiony przez wiadome środki administracyjne, poezja rosyjska (wyraźnie — r o s y j s k a n i e s o w i e c k a) uzyska tęgą pozycję. To nie jest nawet najdalszy

krewny różnych jewtuszenków — siódmej wody po kisielu majakowszczyzny w gorszym wydaniu.

Przekłady szły niżej podpisanemu bardzo opornie, gdyż komplikacje były wyjątkowo duże. Kosztem tego oporu, a więc podwójonego wysiłku udało się zachować daleko posuniętą wierność oryginałowi niemal wszędzie. Liczne chropowatości, które czytelnik bez trudu zauważy, należy złożyć na karb właśnie wierności tłumacza. Brodskij raz po raz łamie się z formą i trzeba to było uwydatnić.

Józef ŁOBODOWSKI

ZE SMUTKIEM I CZUŁOŚCIĄ

A. Gorbunowowi

*I znowu dali kluski. A Mickiewicz,
z niechęcią odsunąwszy misę,
że dziś wieczerzać nie chce, wyrzekł w gniewie,
Więc bez obawy, że się po tym wszystkim
mogę narazić opiece medycznej,
za tobą do ustępu-m wyszedł,
nim sygnał nocną zapowiedział ciszę.
„Zawsze nadchodzi luty w ślad za styczniem.
A potem marzec”. Krótki strzęp rozmowy.
Błyszczące kafle, blask porcelanowy,
woda dźwięczała krystalicznie.*

*Mickiewicz leżał. Niewidzące oczy
wlepił w żarówkę. (Może los swój mroczny
ujrzał tej chwili). A właśnie Babanow
wywołał pielęgniarza na korytarz.
Huczała telewizja gdzieś za ścianą,
od okna wiała noc niesamowita.
„Spójrz, przyjacielu, jakie tam poczwary...”
„A jakie ślepia!” „A czy widzisz narośl
przy pletwie?” „Widzę — wrzód jak gdyby”.
Tak w lutym, przez okienne szyby
gapiliśmy się na gwiaździste Ryby,
tby tysięcące zsunąwszy po społu.*

Gdzie brud, plwociny i zdechlacy wszelcy;
gdzie czasem rybę podają do stołu,
ale nie dają noży ni widelcy.

★ ★

Do Archangielska, do żony
bednarz pojechał, zmarł kołodziej,
a styczeń jak byk rozjuszony
hałasuje na codzień.
Stoi ratownik cebrzyków,
w krąg obcych ludzi bez liku,
i w nagłej ciszy
jak trzęsą się portki, słyszy.

Tu od spojrzeń spodełba,
kłujących, rzucanych z boku,
rosyjszczyzna się zmełła
na urzędowy protokół.
A nieznany Hefajstos
patrzy jak w dal wichrzastą,
poprzez śniegi i lody
idzie konwój z Wołogdy.

Bo z więzienia, bez winy,
w lesie pilnie się zwiija
i w tylnej straży zimy
wciąż obręcze nabija,
a kiedy oczy dostrzega
w cebrzyku twarz sędziego
Sawieljewej, to potajemnie
młotkiem wali ją w ciemię.

OKNA

Dom na odludziu powstrzymuje błoto,
rosnące w przestrzeń. Ta leży samotna.
I dom z przestrzenią łączność ma, jak dotąd,
tylko przez dym z komina i przez okna.
Szafy na mglistą spoglądają pluchę,
w myśli zwięzając drzwi, i lęk w nich tętni.
Trzy czujne lampy z wyteżonym słuchem.
Jedynie szyby patrzą obojętnie.

Chociaż, być może, przyznać by wypadło,
że szkło przmiotom współczuć też potrafi,
lecz szyby nie są po prostu zwierciadłem
przywidzeń, śniących się krzestom czy szafie.
Tylko gdy mrok wszystko wokół ogarnie,
szyby wołają — i to nie bez racji —
do wód złoczonych w szturmującą armię,
że dom nie myśli o kapitulacji.
Zdaje się mówić: zwycięstwo nie twoje,
choćby pod ganek szły rozlewy katusz;
dopóki światło pali się w pokojach,
nic, że na zewnątrz ciemności nastały.
Nawet nie wtedy, gdy uśpiony staruch
widzi, choć światło zgaśło, świat daleki,
co w owej chwili jak przelotna mara
wpływa pod jego spuszczone powieki.

★ ★

Palono w piecu. Nikt światła isker
wśród opalonych głowni w mroku drżały.
Myśli o zimie z każdym mżącym błyskiem
w jakiś dziwny sposób powracały.
Z jakichż-to smutków rodzi się przyczyna,
że zamiast parku, co twoim sąsiadem,
mglisty krajobraz musisz przypominać
i wiesz, że nie ma, że zginął bez śladu.
Tak — to po wszystkim, to już kres i spokój
— od stu, od dwustu lat, czy też od wczoraj —,
lecz myślą ciągle błądzisz w leśnym mroku
i wciąż nie słyszysz uderzeń topora.
Drzewa i krzaki przystały blisko,
posępne wzgórza, czarna przepaść lasu.
A księżyc płonie — ogień w palenisku —
i pnie przepala. Ale bez hałasu.

1964

Josif BRODSKI

Ponieważ przekłady otrzymaliśmy już po zamknięciu numeru — reszta wierszy J. Brodskiego ukaże się w nrze marcowym „Kultury”. — (Redakcja).

Trzy zagadki sprawy Wańkowicza

Dziś, 9 października (1964 r.) w XVI sali sądu wojewódzkiego na Lesznie w Warszawie, ogłoszony został wyrok na znanego, zasłużonego i starego pisarza polskiego Melchiora Wańkowicza. Proces ten organicznie się łączy ze sprawą 34 intelektualistów polskich, czyli, że to, co poniżej napiszę, stanowi dalszy ciąg mego o tym artykułu, ogłoszonego w październikowym numerze „Kultury”.

Jak wiadomo, we wrześniu odbył się walny zjazd delegatów Związku Literatów w Lublinie na który przyjechał sam Gomułka. Najbardziej polityczną mowę na tym zjeździe wygłosił znany pisarz Stefan Kisielewski, który w naszym kraju uprawia zawód Stańczyka — mówi prawdę ubraną w formę żartu. Ale w Lublinie Kisielewski mówił poważnie, odważnie i opozycyjnie, natomiast kunsztem Stańczyka popisał się Alfred Łaszowski z PAX'u, z przemówienia którego dobrotliwie zaśmiewał się Gomułka, a Kisielewski widział z nim poparcie swoich tez.

Wańkowicz nie był delegatem i stąd nie chciał do Lublina przyjeżdżać — co zresztą zrobiło szereg innych literatów nie będących delegatami — zjawiając się w Lublinie na własny koszt i bez prawa głosowania, lecz z prawem przemawiania. Natomiast Wańkowicz przygotował referat dla jakiegoś kolegi X. który by chciał go wygłosić. Przygotował on argumenty przeciwko panującej w kraju cenzurze, argumenty trzeba przyznać wypowiedziane bez obwijania samej rzeczy w bawelnę. Wiadomo było nawet, kogo sobie Wańkowicz upatrzył na tego, który by jego myśli powtórzył, ale ten upatrzony w ogóle do Lublina nie pojechał.

Teraz przystępuję do tego co nazwę pierwszą zagadką sprawy Wańkowicza. Oto po swoim powrocie do kraju był tu wyraźnie faworyzowany. Ogłaszał swe artykuły we wszystkich najpoczytniejszych w kraju pismach. Wygłaszał odczyty organizowane przez instytucje jak najbardziej państwowe i komunis-

tyczne. Wydawano mu książki, — wydano, ze skreśleniami co prawda, same „Monte Cassino”, wznowiano inne jego prace, jeszcze przedwojenne, nawet „Szczenięce Lata”, które tak łatwo jest zaliczyć do kategorii wspomnień kresowo-ziemiańskich, w których zazwyczaj nie gustują obecne wydawnictwa, będące instytucjami państwowymi, pochłoniętymi troską o propagowanie słuszności oddania ziem jagiellońskich. Radio i telewizja wyrywały sobie Wańkowicza. Jednym słowem pływał jak pączek w maśle. I oto raptem latem r. 1963 to wszystko się zmieniło, i to zmieniło zupełnie raptownie. Wańkowicz pisze książkę o Kennedym, jak najbardziej cenzuralną z punktu widzenia komunistycznych zasad i polityki, i książka ta zostaje odwalona przez wydawców i nie wydana nawet wtedy, kiedy tragiczna śmierć Prezydenta Kennedy’ego uczyniła ją specjalnie aktualną. Wszystkie czasopisma po kolei zrzekają się współpracownictwa z tym pisarzem, telewizja mu wymawia, o wznowianiu książek nie ma mowy; wydawnictwa, które uprzednio zawarły z nim kontrakty, nie honorują własnych obietnic.

Skąd to wszystko? Trzeba pokreślić, że Wańkowicz był pisarzem najpopularniejszym w kraju, że jego książki były wprost rozchwytywane w księgarniach i wypożyczalniach. Skąd więc to prześladowanie, ten ostracyzm? — Co to za dziwna tajemnica, która eksplodowała latem 1963? Czy też może zagrały tu względy konkurencyjne? — Pisarstwo w Polsce jest jednym z zawodów, z którego można się utrzymać nie dopomagając sobie kradzieżami, łapownictwem, czy innymi nadużyciami. Toteż pisarstwo w dzisiejszej Polsce wygląda jak tramwaj warszawski. Jedzie z mnóstwem ludzi uczepionych na schodkach. Nazywa się ich winogronami i te winogrona bardzo deklasują wygląd stołecznego miasta. Otóż ludzie i ludzietta składający się na winogrona robią wszystko co mogą, aby się nawzajem pozbyć, aby siebie nawzajem wypchać, sobie nawzajem dalszą jazdę uniemożliwić. Podobnie pisarstwo składa się z pisarzy prawdziwych i utalentowanych i z grafomanów w stosunku mniej więcej jeden do dziesięciu. Toteż ścisk i robienie łokciami jest tu bardzo intensywne.

— Czy więc Wańkowicz padł ofiarą jakiejś zmywy grafomanów na tle konkurencyjnym?

...— Nie przypuszczam.

Sądzę, że przyczyny są... jak tu powiedzieć... jeśli nie głębsze, to bardziej tajemnicze.

Po zjeździe lubelskim, dnia 5 Października, miało miejsce w Warszawie, w Związku Literatów, wielkie zebranie już na Zjeździe Lubelskim zapowiedziane. Odczytano stenogram przemówienia pani Dąbrowskiej o którym obszernie pisałem w swoim poprzednim artykule. Przemówienie to — powtarzam raz jeszcze — było wspaniałą obroną postępowania „34”, silnym atakiem na cenzurę i mistrzowskim, choć spokojnym wyśmianiem, wyszydzeniem akcji spędu literatów do podpisywania protestu

przeciwko wystąpieniu „34”. Jednak pani Maria Dąbrowska, już po wygłoszeniu tego przemówienia, otrzymała gratulacje jubileuszowe od ministra kultury i innych dygnitarzy. Teraz, po przeczytaniu jej przemówienia, bo pani Dąbrowska jest chora i znajdowała się wtedy w szpitalu, zabrał głos sam Kliszko, — druga po Gomułce osoba w partii— i polemizował z tym przemówieniem, ale spokojnie i kurtuazyjnie, natomiast atakował dwóch ludzi: Słonimskiego i Wańkowicza przy tym padły z ust jego wyrazy, które wtedy jeszcze należytego wrażenia na słuchaczach nie wywarły. Kliszko wtedy powiedział: a co do sprawy Wańkowicza, to dziwię się, że nią się nie zajął prokurator.

Potem były inne przemówienia. Słonimski bronił się w sposób bardzo ostry. Fiderkiewicz, jak zawsze, atakował Stanisława Mackiewicza. Zebrani jednak rozeszli się pod wrażeniem, że następuje odprężenie, zapowiadane, jak się zdawało, na zjeździe lubelskim.

Wrażenie to było całkowicie mylne. Jeszcze zebrani nie wrócili do domów, kiedy przed dom Wańkowicza zajechał prokurator i urzędnicy bezpieczeństwa. Państwo Wańkowiczowie powrócili właśnie z Krakowa swoim mercedesem. Nigdy się niczego podobnego nie spodziewali. O 10 wieczór Wańkowicz został zaaresztowany i przewieziony do gmachu prokuratury. Z początku zdawało się, że chodzi tu o przetrzymanie tylko przez 24 godziny, jak to było z Lipskim zatrzymanym zaraz po zacytowaniu listu „34” przez Wolną Europę w marcu. Ale później Wańkowicz przewieziony został do pałacu Mostowskich, siedziby głównej Milicji Obywatelskiej.

Został oskarżony, że przekazał zagranicę ten właśnie swój memoriał, napisany przed zjazdem Lubelskim. Jak się okazało ustęp tego memoriału znalazł się w audycji Wolnej Europy, czy też w piśmie: „Na Antenie” i tu znowu przychodzą dwie zagadki nie wyjaśnione aż do końca rozprawy.

Oskarżenie twierdziło, że Wańkowicz nie tylko dał do przesłania zagranicę swój memoriał, ale dołączył do tego kawałek papieru na którym napisał: „proszę tego nie publikować pod moim nazwiskiem”, czy też: „jeśli będziecie publikować, to nie pod moim nazwiskiem”. Powtarzam te wiadomości tylko z plotek krążących, ponieważ, choć rozprawa odbyła się przy drzwiach otwartych, to jednak jedyny świadek oskarżenia, jakiś Cibor, zeznawał dlaczegoś przy drzwiach zamkniętych.

Zagadka pierwsza polega na tym, że tego karteluska ze słowami rzekomo przez Wańkowicza napisanymi nie było w aktach sądu. Ulotnił się on, nie wiadomo, czy w kraju, czy zagranicą. Sam Wańkowicz twierdził, że na kawałku papieru napisał: „proszę tego nie publikować”.

Zagadka druga to fakt iż w ogóle memoriał Wańkowicza, o który został oskarżony, nie znajdował się w aktach sądu. Była tylko jego fotokopia. Otóż nasuwają się pytania dlaczego jeśli urząd bezpieczeństwa mógł sfotografować wysyłany zagra-

nić dokument, nie przeszkodził jego wysłaniu, do czego był uprawniony? A może sfotografowanie dokumentu nastąpiło dopiero zagranicą?

Do końca rozprawy nie zostało to wyjaśnione. To są te stronice powieści kryminalnej, wetknięte w historię o aresztowaniu i skazaniu 73 letniego starca, jednego z najpoczytniejszych pisarzy polskich.

Wańkowicz został oskarżony z 23 artykułu małego kodeksu karnego, przewidującego rozpowszechnianie wiadomości fałszywych lub ubliżających powadze państwa. Artykuł ten przewiduje karę od trzech do piętnastu lat więzienia i nie można, w razie skazania, zastosować zawieszenia kary, ponieważ przestępcy skazani z artykułów przewidujących jako dolną granicę kary trzy lata więzienia nie korzystają z instytucji zawieszenia.

Rozprawa w sądzie wojewódzkim zaczęła się w poniedziałek 26 października. Odbывała się przy drzwiach otwartych, ale sala mieściła tylko czterdzieści osób więc wpuszczano za przepustkami. Zwróciło uwagę, że na sali byli obecnie dyrektorowie głównych wydawnictw, jak PIWu, Czytelnika, Książki i Wiedzy itp. jakby chciano im powiedzieć: Patrzcie co to za rodzaj człowieka. Poza tym nie można byłoby zarzucić nic niestosownego postępowaniu sądu, czy prokuratora. Ten ostatni, nazwiskiem Sanecki, był nawet bardzo kurtuazyjny wobec oskarżonego, mówił: „dzieła Wańkowicza należą do całego narodu polskiego” i wygłaszał inne podobne zdania, unikając jakiegokolwiek brutalności.

Poza salą sądową popularność Wańkowicza wzrosła ogromnie. O niczym innym tylko o sprawie Wańkowicza rozmawiała Polska w miastach, miasteczkach i wsiach. Ktoś żartobliwie wygłosił zdanie, że gdyby teraz były wybory Prezydenta na sposób amerykański, to obrano by Wańkowicza. W kraju pozbawionym normalnego życia politycznego tego rodzaju wydarzenia organizują pseudo-opinię publiczną.

Na pierwszej rozprawie załatwiono czynności wstępne. Następne posiedzenie sądu odbyło się we wtorek 3 listopada. Oskarżony wygłosił długą mowę obrończą. Miejscami szczęśliwa nie była. Powiedział dwie rzeczy, których niech mu Pan Bóg nie pamięta, tym bardziej, że nie były potrzebne i mogły do niego zrazić tych właśnie, którzy go bronią i nim się zachwycają. Ale poza tymi potknięciami, które mogły wpływać z przemęczenia nerwowego, z owych nocy przy zapalanej w celi żarówce, na które się uskarżał, obrona była zręczna, zbudowana na twierdzeniu: oto przyjechałem do kraju, myślałem że będę mógł pracować jak każdy pisarz, tymczasem znalazłem się w więzieniu.

We środę 4 listopada zeznawał przy drzwiach zamkniętych ów zagadkowy Cibor, o zagadkowej fizjonomii, oraz świadkowie powołani przez oskarżonego: Czeszko, Koźniewski, Kozicki, Ne-

werly. Wszystko to są literaci, którzy nie podpisali listu „34”, a natomiast wszyscy uczestniczyli w spędzie 600. Ich zeznania nic specjalnie ciekawego nie wniosły. Oczywiście miały miejsce przemówienia stron, to jest prokuratora i obrony składającej się z trzech adwokatów: Rutkowskiej, Pocięja i Domańskiego.

We czwartek poza dyskusją prokuratora i obrońców ogłoszone zostało ostatnie słowo oskarżonego. Przypadło ono bardziej do serca słuchaczom niż główna mowa obrończa Wańkowicza. Teraz oświadczył, że jego proces to dalszy ciąg nie tylko listu „34”, ale i zachowania się tych 57 pisarzy partyjnych, którzy w spędzie 600 nie uczestniczyli. Powiedział także iż za komunę się nie uważa. Prosił o wyrok uniewinniający, ale dodawał, że prosi także o uzasadnienie tego uniewinnienia. Przedtem prokurator wnosił o zastosowanie art. 23 z tym, iż sam wymiar kary pozostawiał uznaniu sądu, czym pośrednio żądał się apelacji o ile artykuł 23 będzie zastosowany. Obrona, przeciwnie, prosiła o zastosowanie innego artykułu kodeksu, ponieważ art. 23 mówi o wiadomościach fałszywych, a w memoriale Wańkowicza nie było żadnych wiadomości, a tylko wyrażał on poglądy.

Wyrok został ogłoszony w poniedziałek o 2-giej po południu. Jak wiadomo, Wańkowicz skazany został z art. 23 na trzy lata więzienia, przy tym półtora roku mu zdjęto na mocy jakiejś amnestii. Wyrok nie jest pełnomocny i obrona zapowiedziała odwołanie się do Sądu Najwyższego. Wreszcie Sąd pod przewodnictwem p. Sikorskiego przychylił się do wniosku obrony i zmienił dotychczasowy środek zapobiegawczy. Sędziwy pisarz został z miejsca wypuszczony i w towarzystwie swej żony, pani Zofii z Małagowskich, bohaterki z czasów okupacji niemieckiej, odjechał do domu.

Jeśli sala była zbyt ciasna, żeby pomieścić sprawozdawców prasowych, którym i tak zresztą nie wolno byłoby pisać o tej rozprawie, to jednak nie można zbyt narzekać. Nie pokazano i nie powiedziano nam wszystkiego, ale uchylono trochę okna. Gorzej będzie w innych wypadkach. Oto przechodzi teraz fala procesów o wielkie nadużycia sięgające kroci milionów. Prasa już wie o tym, że nie wolno jej będzie wdawać się w szczegóły rozprawy. Jak wiadomo w procesie mięsnym figuruje ten Titkow, który na CK nazywał Słowackiego „piłą”. Na mięsie zna się on, jak widać, lepiej niż na Słowackim.

A teraz chcę zakończyć te ponure relacje pewną krotoczwiałą. Zresztą krotoczwila to będzie dla czytelników, natomiast dla poszkodowanego starca było wielką tragedią. Ponieważ wygląda to jak farsa, więc zastrzegam się, że wiadomość jest arcyprawdziwa. Oto trzeba się cofnąć do czasów „kultu jednostki”, dziś rzekomo niemodnego, do roku 1948, ale nie wychodzić poza obręb wiadomości z sali sądowej. W tym 1948 r. odbywał się w Warszawie jakiś międzynarodowy zjazd partyjny. W imię-

niu kolejarzy z Kędzierzyna brał w nim udział staruszek, p. Stanisław Bolenbach, urodzony w Galicji, który przez całe życie miał zamiłowanie do nauk humanistycznych, do łaciny i greki. Na tym zjeździe międzynarodowym przemawia delegat komunistów greckich opowiadający o zmaganiach się narodu greckiego z terrorem monarcho-faszystów. Mówi oczywiście po rosyjsku. Pan Bolenbach ucieszony, że ma okazję do spożytkowania swej znajomości greczyzny podchodzi do tego greckiego komunisty i odzywa się do niego przepięknym zdaniem: „Azali Ateńczyku długo barbarzyńcy będą się znęcać nad Ojczyzną twoją”. Komunista grecki wytrzeszcza oczy i wreszcie powiada: *ni czierta nie ponimaju*”.

Po powrocie do Kędzierzyna pan Stanisław Bolenbach opowiada na zebraniu relacyjnym o tym incydencie. Obecni na zebraniu kolejarze ślącscy wybuchają śmiechem i wołają: „a to pieron, greka udawał”. Ale UB ma inny humor. Proces karny — i p. Bolenbach zostaje skazany na trzy lata więzienia, przepadek mienia i pozbawienia praw obywatelskich. Staruszek siedział dwanaście i pół miesiąca w więzieniu, ale na szczęście nadeszły inne czasy i został zwolniony, a także zwrócono mu prawa obywatelskie.

Et voila!

Gaston de CERIZAY

P. S. — Poprzedni mój artykuł w „Kulturze” ucierpiał od błędów korektorskich. Przede wszystkim zniekształcony został podpis. Po drugie dowcip Słonimskiego, który na zalecenie, aby „pisał, jak Mickiewicz” odpowiedział: „Próbowałem, trudno” a nie „trudne”, jak zostało wydrukowane.

EDWARD RACZYŃSKI

ROGALIN I JEGO MIESZKAŃCY

w oprawie graficznej i drukiem Oficyny Stanisława Gliwy
Tom obejmuje 260 stron formatu 9" × 5 3/4" w tym 232 + 8
stron tekstu i 33 ilustracje na 20 stronach pięknego papieru
„Vellum Art Matt”.

Cena za egzemplarz £ 2.10, Fr. Fr. 37.50, U.S.A. \$ 7.50
Ograniczona ilość egzemplarzy edycji bibliofilskiej, oprawnych w skórę,
jest do nabycia w cenie £ 5.0.0, Fr. Fr. 75.00, U.S.A. \$ 15.00
Ceny obejmują kosztą przesyłki.

Zamówienia i należność należy przysyłać czekiem lub M.O. na adres:
THE POLISH RESEARCH CENTRE
26 PONT STREET — LONDON, S.W.1.

Ideologia samobójstwa

Ci, którzy uważają, że komunizm i Związek Sowiecki nie podlegają wpływom zewnętrznym i nie ewoluują — często sami stanowią przykład ewolucji, choć nie zawsze w pożądanym kierunku. Na emigracji znam ludzi, którzy dziesiątkami lat przynależeli do lewicy, lecz z artykułów tych panów dziś nikt by się tego nie domyślił. Ludzie ci — skąd inąd światli i wykształceni — ulegli w ogniu ideologicznego konfliktu znamiennej ewolucji. Gdyby trzeba ich ewolucję określić jednym zdaniem należałoby stwierdzić, że zwątpili w liberalizm.

W umysłach tych panów — *appeasement*, ustępliwość, gotowość do kompromisu — kojarzy się nierozzerwalnie z liberalizmem. Gdyby tych starszych panów przycisnąć do muru prawdopodobnie przyznaliby — że w oparciu o wieloletnie obserwacje doszli do przekonania, że w stosunku do Sowietów liberalizm prowadzi do katastrofy. Innymi słowy albo musimy porzucić „ideologię” liberalizmu albo zrezygnować ze zwycięstwa.

Tak oto dokonuje się na naszych oczach ewolucja lecz nie w pożądanym kierunku. Zamiast by liberałów przybywało w Sowietach — ubywa ich na Zachodzie. To nie my wpływamy na ewolucję poglądów obywateli sowieckich — lecz odwrotnie, Sowiety wpływają na rewizję naszej tradycyjnej, europejskiej postawy kulturalnej.

To odstępstwo od liberalizmu można wytłumaczyć, a nawet częściowo usprawiedliwić u starszych wiekiem emigrantów, których gorycz i zwątpienie mają niezmiennie konkretne przyczyny. Przedmiotem naszych rozważań nie są jednak emigranci lecz przemiany w społeczeństwie amerykańskim, które musimy śledzić z nie mniejszą uwagą jak śledzimy przemiany w społeczeństwie sowieckim.

Mówiąc o ewolucji mamy zawsze na myśli blok państw komunistycznych. Lecz nie tylko my wpływamy na świat komunistyczny — lecz i świat komunistyczny wpływa na nas.

Ewolucję powodowaną ciśnieniem komunizmu można mierzyć rozmaicie. Dla jednych miernikiem wpływów komunistycznych będzie wzrost liberalizmu o zabarwieniu lewicowym. Inny obserwator napór komunizmu mierzyć będzie nasileniem reakcji prawicowej.

Założmy, że w Sowietach pojawia się nowy Stalin. Zmarłychwstają ucisk, terror, zbrojenia i widmo wojny atomowej. W takiej sytuacji w Stanach Zjednoczonych konserwatyści, anty-liberałowie, skrajni prawicowcy podnieśli by głowę i — być może — doszliby do władzy. Sytuacja uległaby skonstrastowaniu: po jednej stronie skrajna prawica — po drugiej stronie skrajny komunizm.

W mojej opinii obie metody mierzenia reakcji na komunizm są błędne. Ani wzrost lewicowego liberalizmu ani nasilenie nastrojów skrajnie prawicowych nie mogą stanowić wskaźnika ewolucji, która dokonuje się na Zachodzie pod wpływem ciśnienia komunizmu. Jedynym obiektywnym wskaźnikiem w tej sprawie będzie odpowiedź na pytanie czy ewolucja o której mówimy jest zgodna czy nie zgodna z założeniami zachodniej cywilizacji?

Prawicowe, reakcyjne, stotalizowane Stany Zjednoczone z całą pewnością łatwiej pobiłyby Sowiety niż Stany Zjednoczone tradycyjnie liberalne i pokój miłujące.

Lecz co jest naszym celem — pobicie Związku Sowieckiego czy uratowanie cywilizacji Zachodniej?

Bronimy zachodniej cywilizacji ponieważ uważamy, że stanowi najwyższe zbiorowe ludzkie osiągnięcie na tym globie. Gdyby jednak nacisk komunizmu miał kiedyś spowodować zwyrodnienie podstawowych założeń naszej cywilizacji — nie byłoby czego bronić.

Z tych powodów w analizie przemian jakie zarysowują się w świecie zachodnim pod naciskiem zagrożenia komunistycznego — musimy odróżnić pozytywne zmiany ewolucyjne od negatywnych oznak zwyrodnienia. Za negatywne oznaki zwyrodnienia uznać należy przemiany, które są sprzeczne z zasadniczą linią rozwojową naszej cywilizacji.

Uwagi powyższe nasunęła mi lektura książki Jamesa Burnhama pod wymownym tytułem: „Suicide of the West — An Essay on the Meaning and Destiny of Liberalism”.

Praca Burnhama jest świetnie napisana. Autor zmobilizował całą swoją imponującą wiedzę i talent analityczny by zaprezentować czytelnikowi amerykańskiemu nieubłaganą i zwarłą krytykę liberalizmu.

Swoją temat Burnham ujmuje z właściwą sobie lapidarnością w jednym zdaniu: „Ta książka stanowi zbiór różnorodnych rozważań na temat jednej i prostej tezy: to co Amerykanie nazywają „liberalizmem” stanowi ideologię samobójstwa Zachodu”.

Burnham pokreśla również, że liberalizm jest jedyną ame-

rykańską ideologią, akceptowaną przez większość obywateli Stanów Zjednoczonych. Terminu „ideologia” w odniesieniu do liberalizmu autor używa z całą premedytacją i stara się uzasadnić swą decyzję.

W mojej opinii Burnham wychodzi z fałszywych założeń. Liberalizm nie jest żadną ideologią — natomiast anty-liberałowie w 90 wypadkach na 100 są wyznawcami takich czy innych ideologii. Cechą wszystkich ideologii jest dogmatyzm. Liberalizm jest anty-dogmatyczny i tym samym jest anty-ideologiczny.

Ustalenie rodowodu liberalizmu nie przedstawia trudności. Prof. Michael Oakeshott identyfikuje liberalizm z racjonalizmem i dopatruje się jego korzeni w racjonalizmie 17 wieku. Wiek 18-ty, Oświecenie — to wszystko są źródła liberalizmu. Można stwierdzić bez przesady, że liberalizm jest dziedzicem całego intelektualnego dorobku od czasów Odrodzenia po dzień dzisiejszy. Bez liberalizmu i racjonalizmu nie byłoby demokracji, nie byłoby rewolucji przemysłowej, nie byłoby cywilizacji zachodniej w jej obecnej formie i treści.

Burnham choć analizuje liberalizm na 300 stronach druku we wszystkich jego aspektach od polityki po filozofię — od ekonomii po religię — nie zwrócił uwagi na rzecz najistotniejszą. Każdy z nas, członków wspólnoty cywilizacji zachodniej — jeżeli nie jest komunistą lub faszystą (ideologie!) w większym lub mniejszym stopniu jest liberałem. Zerwać z liberalizmem — oznacza zerwać z cywilizacją zachodnią. Liberalizm nie jest ideologią, nie jest programem partyjnym lecz w swej istocie jest postawą kulturalną człowieka Zachodu. Triumf liberalizmu polega na tym, że jego przekonany zwolennikami są często ludzie, którzy nigdy nie określiliby siebie mianem liberałów. Zdobywcze liberalizmu przyjmuje się dziś jako rzeczy oczywiste nie wymagające dyskusji. Żaden oświecony katolik, protestant, konserwatysta czy socjalista — nie podda w wątpliwość zasadniczych założeń liberalizmu. Wszyscy są za wolnością słowa mówionego i drukowanego, za wolnością przekonań politycznych i religijnych, za wolnością zgromadzeń i stowarzyszeń, za demokratyczną formą rządu, za równością wszystkich wobec prawa itd. Przeciwnikami powyższych zasad są tylko wyznawcy ideologii, tzn. komuniści i faszyci.

Tam gdzie kończy się liberalizm — kończy się tolerancja, — owa czołowa zdobycz cywilizacji zachodniej. Burnhama irytuje relatywizm liberalizmu. Racjonalistyczne podejście do spraw tego świata jest a-dogmatyczne, tym samym relatywne i w konsekwencji tolerancyjne.

Wszystkie próby zerwania z tradycją liberalizmu prowadziły nieuchronnie do upadku demokracji, do totalizmu, do całkowitej negacji wartości, które tworzą cywilizację zachodnią. Faszyzm, hitleryzm, komunizm-stalinizm — oto pomniki buntu przeciwko liberalizmowi.

Największą zbrodnią liberałów w oczach Burnhama jest ich

skłonność do poglądu, że nie ma wrogów na lewicy (*pas d'ennem à gauche*).

Nie wszyscy liberałowie wykazują tego typu „niebezpieczne” tendencje. Równocześnie trzeba obiektywnie stwierdzić, że w historycznej perspektywie motorami postępu społecznego były ruchy lewicowe a nie prawicowo-konserwatywne. Postawę skrajnych konserwatystów najlepiej określa powiedzenie Lorda Balfoura, że lepiej jest robić rzecz głupią, którą robiło się wiele razy, niż zaryzykować rzecz mądrą, której nie robiło się nigdy.

Dla Burnhama nie ma wrogów na prawicy. Reżym gen. Franco *...is not and never has been totalitarian* — cytuję dosłownie (str. 207).

Zdumiewający jest stosunek Burnhama do procesu de-kolonizacji w Afryce i w Azji. Cytuję dosłownie: „To Stany Zjednoczone zarówno jak Polacy, Węgrzy, Bałtowie ponieśli stratę w Europie wschodniej — ponieważ stratę poniosła cywilizacja zachodnia; to Stany Zjednoczone, zarówno jak Wielka Brytania poniosły stratę w Indiach; to Stany Zjednoczone zarówno jak Francja, Belgia, Wielka Brytania a jutro Portugalia poniosły stratę w Afryce”.

Burnham uważa, że de-kolonizacja Afryki i Azji jest identyczną stratą dla cywilizacji zachodniej i Stanów Zjednoczonych jak skolonizowanie Europy wschodniej dokonane przez Sowiety.

W opinii autora „Suicide of the West” Suez i Budapeszt stanowią dwa największe błędy polityki amerykańskiej. Ameryka nie poparła Anglików i Francuzów w aferze sueskiej i w konsekwencji jeden z najważniejszych strategicznych punktów świata został stracony dla Zachodu. Ta klęska przesądziła o losie Afryki. „Postępując w ten sposób Stany Zjednoczone poświęciły interesy cywilizacji zachodniej” — konkluduje Burnham.

Każdy Polak musi przyznać rację autorowi czytając jego druzgocącą krytykę polityki jałtańskiej, której finalną tragedią był Budapeszt. Krytyka jest znakomita lecz fałszywie zaadresowana.

Jesień 1956 roku to okres, kiedy polityka *liberation* mogła przybrać realny kształt. Wschodnia Europa była w stanie wrzenia a pro-stalinowski reżym w Sowietach daleki był od konsolidacji. I punkt najważniejszy: w 1956 r. Sowiety nie posiadały jeszcze pocisków atomowych o zasięgu globalnym. Innymi słowy „bezpośrednia konfrontacja” nie niosła z sobą ryzyka bombardowania atomowego miast amerykańskich.

Lecz owej jesieni 1956 roku nie liberał Kennedy i nie liberał Johnson dzierżyli ster polityki amerykańskiej. Prezydentem Stanów Zjednoczonych był republikanin, konserwatysta i zawodowy wojskowy, gen. D. Eisenhower.

Gen. Eisenhower jako fachowiec-strateg powinien był sobie wtedy zdawać sprawę, że równie korzystna sytuacja już się nie

powtórzy. Było łatwo przewidzieć, że za kilka lat Rosjanie będą mieli pociski między-kontynentalne o zasięgu globalnym i wówczas każda bezpośrednia konfrontacja oznaczać będzie zagrożenie dla miast amerykańskich.

Liberałowie Kennedy i Johnson, których Burnham krytykuje nieubłaganie i często słusznie — przejęli w spadku po konserwatyście gen. Eisenhowerze trupa polityki *liberation*.

Były dwa momenty, kiedy polityka „wyzwolenia” — wchodziła w zakres rzeczy możliwych. Mam na myśli krótki okres amerykańskiego monopolu atomowego bezpośrednio po wojnie — oraz jesień 1956 r.

Monopol atomowy nie został wykorzystany — bo w wyobraźni Amerykanów Rosja w owym czasie jeszcze ciągle była „aliantem”. W r. 1956 nikt już nie mógł mieć żadnych złudzeń w stosunku do Sowietów. Militarna przewaga Stanów Zjednoczonych gwarantowała sukces a ewentualność „bezpośredniej konfrontacji” nie zagrażała atomowym „końcem świata” kontynentowi amerykańskiemu.

Między polityką a strategią istnieje ścisły związek. Polityka, która nie liczy się ze strategicznymi możliwościami — jest jak plan gospodarczy, na który nie ma pieniędzy.

Z chwilą gdy Stany Zjednoczone znalazły się w zasięgu sowieckich broni nuklearnych — polityka *liberation* — to znaczy koncepcja wyzwolenia Europy wschodniej siłą — utraciła wszelki realizm. Stany Zjednoczone nie są w stanie wyzwolić nie tylko Europy wschodniej lecz nawet Kuby, która jest odległa od brzegów Ameryki nie o 3000 mil lecz tylko o 80 mil.

Zarówno Waszyngton jak i Moskwa — w sytuacji jaka się wytworzyła — unikają bezpośredniej konfrontacji ponieważ w razie wybuchu amerykańsko-sowieckiego konfliktu — istnieją minimalne szanse rozegrania go na cudzym terytorium. Polem bitwy stałyby się — prawdopodobnie już w pierwszych dniach — wielkie miasta i ogniska przemysłowe w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w takim układzie choćby zakamufLOWANA wzmianka na temat możliwości rozwiązania wojennego uczyniona przez polityka — obojętne czy będzie to liberał czy skrajny konserwatysta — przynieść musi w rezultacie klęskę wyborczą, czego przykładem przegrana sen. Goldwate-ra.

Z wyżej naszkicowanego stanu rzeczy narody wschodnio-europejskie już dawno wyciągnęły odpowiednie wnioski. Wyciągnęliśmy wnioski i my w „Kulturze” starając się wypracować program zgodny z rzeczywistością.



„Z uniwersalizmu i demokratyzmu liberalnej ideologii” — pisze Burnham — „wyływa znana zasada: jeden człowiek je-

den głos (*one-man — one-vote*). Ta zasada poprzez prostą arytmetykę zakłada poddaństwo Zachodu. Członkowie cywilizacji zachodniej stanowią bowiem nieliczną mniejszość”.

W ostatecznym rozrachunku konflikt Wschód-Zachód sprowadza się do następującego dylematu: albo my zliberalizujemy komunizm — albo komuniści stotalizują system zachodni. Musimy jasno i bez niedomówień sprecyzować nasz cel. Jeżeli naszym celem jest pokonanie Związku Sowieckiego i całkowite wypalenie komunizmu — to trzeba również bez niedomówień stwierdzić, że dążymy do wojny i przyjmujemy wszystkie konsekwencje z tym związane.

W moim osobistym przekonaniu skrajna prawica ani w Ameryce ani w innych krajach nie dąży do wojny z Sowietami — pragnie natomiast rozniecić lęk, nienawiść, podejrzliwość — by na tej mętnej fali wypłynąć na powierzchnię.

Prawdziwymi przeciwnikami komunizmu w jego totalistycznej postaci są liberałowie a nie skrajni prawicowcy. Stalinowcy w bloku komunistycznym i skrajni prawicowcy na Zachodzie mają wspólnego wroga tj. liberałów. Prawicowcy nie zamierzają reformować stalinowców ani komunistów. Oni pragną „zreformować” zachodnich liberałów i zlikwidować w zastępstwie komunistów zachodnią demokrację. Gdyby ci panowie uchwycili ster władzy znaleźliby wspólny język ze stalinowskimi przywódcami komunistycznymi daleko łatwiej niż liberałowie. Są bowiem anty-demokratyczni, anty-liberalni, autorytarni, elitarni, rasistowscy — jednym słowem bliźniaczo podobni do stalinowców. Amerykanie czy Anglicy, którzy nie mają „największego doświadczenia naszych czasów” za sobą — nie widzą tych podobieństw. Lecz dla wschodniego Europejczyka owe podobieństwa są uderzające.

By uniknąć nieporozumień — podkreślam, że niniejszy artykuł nie jest recenzją z książki „Suicide of the West” i krytykując polityków prawicowych nie mam na myśli Burnhama, lecz skrajną prawicę na Zachodzie. James Burnham jest filozofem, socjologiem, pisarzem — nie aktywnym politykiem. Jego talent i *integrity* czynią wielkie wrażenie na czytelniku cytowanego dzieła.

Muszę stwierdzić również, że w bardzo wielu punktach Burnham ma rację. Autor „Suicide of the West” sądzi, że liberałowie są w swoim żywiole będąc w opozycji — nie przy władzy. Są lepsi jako krytycy władzy niż jako ci, którzy władzę sprawują. Wszystko to sprowadza się do kardynalnej tezy, że w ramach „ideologii” liberalnej Zachodu nie można obronić. Argumentacja Burnhama i bogata dokumentacja którą przytacza — nie są łatwe do odparcia.

Podstawowy błąd w powyższym rozumowaniu polega na tym, że uległość, *appeasement*, brak wizji i koncepcji w polityce zagranicznej ani nie wypływają z liberalizmu ani nie cechują wyłącznie liberałów. Neville Chamberlain, król *appeaser*ów, był

prawicowym konserwatystą. Gen. Eisenhower, który poza frazesami nie miał niczego do zaoferowania powstańcom węgierskim, jest również prawicowym konserwatystą. Niedowład polityczny jaki obserwujemy w świecie zachodnim jest chorobą ogólną na którą cierpią zarówno liberałowie jak i konserwatyści — zarówno demokraci jak i republikanie.

Nikt nie ma koncepcji zwycięstwa. Nie mają jej liberałowie. Nie mają jej prawicowi konserwatyści. Nie ma tej koncepcji i autor „Suicide of the West”.

Zwycięstwo można rozważać w dwóch płaszczyznach: liberalizmu lub konserwatyzmu.

Idąc za wskazaniem skrajnych prawicowców należałoby odliberalizować system i instytucje zachodniej cywilizacji. Jednak idąc w ślad za tymi radami musielibyśmy zrezygnować z nadziei zliberalizowania w przyszłości systemu komunistycznego. Jeżeli przestaje się być chrześcijaninem trzeba w konsekwencji zrezygnować z planów misyjnych. Trudno kogoś nawracać na liberalizm i pełnokrwistą demokrację, jeżeli liberalizm tępi się u siebie w domu. Trudno domagać się w krajach satelickich wolnych wyborów jeżeli zasadę *one-man — one-vote* uważa się za nonsens. Trudno żądać wyzwolenia narodów ujarzmionych przez Moskwę jeżeli wyzwolenie ludów Afryki uważa się za sprzeczne z interesami Zachodu. (Wyzwolenie ludów ujarzmionych przez Moskwę byłoby na pewno sprzeczne z interesami Związku Sowieckiego). W sumie należy stwierdzić, że w płaszczyźnie strategii skrajnie prawicowej wyłączone jest zwycięstwo na drodze pokojowej.

Pokojowe rozwiązanie konfliktu możliwe jest tylko w płaszczyźnie „ideologii” liberalnej.

W mojej ocenie zarówno konserwatyści jak i liberałowie amerykańscy na ogół mylnie odczytują ewolucję w bloku komunistycznym. Konserwatyści uważają, że komunizm nie podlega ewolucji, że nie ma „dobrych” komunistów, że policentryzm, koegzystencja itd. — to wszystko są slogany obliczone na naiwność Zachodu.

Liberałowie z drugiej strony dopatrują się ewolucji i korzystnych przemian tam, gdzie ich jeszcze nie ma. W ocenach liberałów często zatarta jest linia oddzielająca zdrowy rozsądek od „pobożnych życzeń”. Głównym grzechem liberałów jest przekonanie, że ewolucja w bloku komunistycznym jest procesem samoczynnym. Z naszej strony należy tylko unikać prowokacji, dbać o utrzymanie pokoju, poszerzać wymianę gospodarczą i... *hope for the best*.

Ponieważ liberałowie wbrew opinii Burnhama nie są ideologami — nic im w gruncie rzeczy nie zależy na walce ideologicznej. Ich zainteresowanie przemianami w ramach Związku Sowieckiego — ograniczone jest względami praktycznymi. Chodzi wyłącznie o to, by Rosjanie w polityce zagranicznej przyjęli nasze zasady gry. By w końcu dojrżeli i przestali być og-

niskiem światowej wywrotowej roboty, by porzucili rewolucyjny *cloak and dagger* — i stali się normalnym, zwyczajnym państwem.

Ponieważ liberałowie nie są ideologami gotowi są zawsze poświęcić zasady liberalizmu dla wskazań praktycznej polityki. Dramat polega na tym, że to co kiedyś było praktyczną polityką dziś nie zawsze jest praktyczną polityką.

Archaicznie pojmowana praktyczna polityka dyktuje liberałom kurs nie drażnienia Rosji Sowieckiej. Ponieważ ofensywne oddziaływanie ideologiczne można zawsze określić jako „drażnienie” Związku Sowieckiego — liberałowie rezygnują z ideologicznego oddziaływania.

Z jednej strony politycy liberalni wszystkie swoje nadzieje łączą z ewolucyjnym zliberalizowaniem systemu komunistycznego — z drugiej strony, by nie drażnić Sowietów są przeciwni jakiegokolwiek akcji, która mogłaby ten proces przyspieszyć.

Ponieważ komunizm w przeciwieństwie do liberalizmu jest ideologią — Rosjanie unikają również prowokacji, mówią wiecznie o koegzystencji — lecz nie słabną ani na sekundę w swojej ideologicznej ofensywie.

„Kultura” otrzymuje stale utwory literackie pisarzy sowieckich, które ze względu na cenzurę nie mają szansy ujżenia światła dziennego w Sowietach. Niektóre z tych utworów jak Terca „Sąd Idzie” były światowymi *best-sellerami* i ukazały się w przekładach na ponad dwadzieścia języków. Wstyd przyznać, że otrzymujemy daleko więcej „podziemnej literatury” ze Związku Sowieckiego niż z Polski.

Te fakty wskazują na pewien stały ferment. Cóż byłoby bardziej naturalnego gdyby „Kultura” — niejako w rewanżu — mogła podjąć druk w języku rosyjskim starannie wybranych książek zachodnich, z przeznaczeniem dla czytelnika sowieckiego? Ten projekt upadł, bo nie tylko nie otrzymaliśmy na ten cel żadnej pomocy, lecz nie zdołaliśmy przekonać naszych amerykańskich przyjaciół o słuszności i celowości tego typu inicjatywy. Nie należy drażnić Sowietów nawet jeżeli owo „drażnienie” byłoby podjęte przez niezależny polski miesięcznik emigracyjny nie mający żadnych powiązań z instytucjami amerykańskimi.

W skali polityki światowej to jest przykład drobny — niemniej przykład ten symbolizuje generalną linię polityki liberalnej.

W świeżo wydanej książce „The Politics of Hope” — A.M. Schlezinger, jun., stwierdza, że intelektualiści w Związku Sowieckim o Zachodzie niczego nie wiedzą i nie są Zachodem zainteresowani. Zachód interesuje ich wyłącznie jako potencjalny dostawca „gadżetów”. Dialog z Rosjanami na tematy nie związane z techniką — nie jest po prostu możliwy.

To jest opinia światłego i wybitnego liberała. Lecz gdzie są wnioski?

Nie jest prawdą, że w Europie wschodniej z Rosją włącznie nie ma zainteresowania kulturą Zachodu. Istnieje natomiast bezbrzeżna ignorancja spowodowana latami hermetycznej izolacji. Przełamanie owego muru ignorancji, nieufności i izolacji — wydaje się zadaniem ponad siły lecz od wykonania tego zadania wiele zależy. Umiemy sprzedawać wszystko — zboże, kompleksy fabryk, *know-how* technologiczny — lecz nasz geniusz kończy się gdy trzeba Rosjanom „sprzedać” kilka zachodnich książek. To mogłoby ich podrażnić, wobec tego nie należy tego robić.

Przed kilku laty analizując polski „Październik” i powstanie węgierskie — wysunąłem tezę, że tylko zdemokratyzowana rewolucja mogłaby zdobyć wpływ na klasę robotniczą Europy zachodniej.

Powstanie węgierskie upadło i „Październik” upadł — lecz problem pozostał. Oto charakterystyczna opinia członka sekretariatu włoskiej Partii Komunistycznej — Berlinguer’a (Plenum KC włoskiej PK z października 1964):

„Robotnicza klasa Zachodu powinna odzyskać swoją funkcję w ruchu komunistycznym. Przywiązujemy także zasadniczą wagę do rozwoju demokracji w Związku Sowieckim i w krajach demokracji Ludowej i podkreślamy naszą krytykę opóźnienia i powolności powrotu tych krajów do ustroju prawdziwie demokratycznego. Bez tego powrotu krajów obozu socjalistycznego do prawdziwej demokracji — rozwój komunizmu w krajach kapitalistycznych był, jest i będzie niesłychanie utrudniony”.

Powyższe słowa nie spłynęły spod pióra publicysty kołusanego „pobożnymi życzeniami” lecz stanowią oficjalną wypowiedź czołowego reprezentanta największej komunistycznej partii Zachodu.

Podobnie jak Berlinguer myśli wielu młodych komunistów polskich, czechosłowackich i węgierskich. Ci ludzie zdają sobie sprawę, że zdemokratyzowanie ustroju państw satelickich jest konieczne by wydobyć owe państwa z izolacji. Niestety ewolucję w krajach wschodnio-europejskich paraliżuje w znacznym stopniu problem niemiecki. Liberałowie, których Burnham posądza o lewicowość i pacyfizm — zbroją Niemców popierając milcząco ich absurdalne pretensje terytorialne.

Liberałowie nie rozumieją podstawowej sprawy. Zjednoczenie dwóch republik niemieckich i likwidacja reżymu Ulbrichta spowodowałyby wstrząs, który mógłby obalić imperium satelickie. Gdyby granica na Odrze i Nysie była wówczas międzynarodowo uznana — ludność w krajach satelickich ów wstrząs wykorzystałaby przeciwko swym neo-stalinowskim rządóm. Jednak gdyby kiedyś dojsć miało do zjednoczenia Niemiec bez uprzedniego zagwarantowania granicy na Odrze i Nysie — lud-

ność krajów satelickich, a w szczególności Polacy staną murem za swymi rządami choćby neo-stalinowskimi.

Komunizm będzie ulegał przemianom bez względu na naszą interwencję. Jednak w pożądanym kierunku ewoluować będzie tylko wówczas jeżeli sami nie odstępimy ani na jotę od podstawowych zasad liberalizmu i demokracji. Równocześnie należy podkreślić, że ugodowość za wszelką cenę, koegzystencja za wszelką cenę, rozbrojenie za wszelką cenę, pokój za wszelką cenę — są objawami identycznego zwyrodnienia na skutek zagrożenia komunistycznego jak „goldwateryzm” i ruchy skrajnie prawicowe. Objawy są różne lecz choroba jest ta sama.

Liberałom gotowym koegzystować z Sowietami za wszelką cenę warto może przypomnieć, że wschodnio-europejczycy za swe liberalne i demokratyczne przekonania często płacili życiem. Płacona cena różniła ich od tych liberałów, których przekonania nie mają ani ceny, ani wartości ani siły.

Juliusz MIEROSZEWSKI

„Chruszczowizm” bez Chruszczowa ?

Jeszcze za rządów Chruszczowa kursowała w Sowietach następująca anegdota ze znanej serii „Radio Erywań odpowiada...”: „Pytanie: co się stanie w Sowietach po śmierci Chruszczowa? Odpowiedź: nie będzie już nadmiaru żywności i dobrobytu, ale życie ulegnie normalizacji”. Dowcip polega dzisiaj na tym, że po obaleniu Chruszczowa o normalizacji życia w Sowietach nie może być mowy. Wydaje się, że nawet przywódcy sowieccy niezupełnie orietowali się co ich czeka po usunięciu Chruszczowa. Potwierdzają to ich ciągłe deklaracje, że wszystko będzie po staremu. W ostatnim artykule użyłem sformułowania, że „chruszc-zowizm” będzie w Sowietach istniał i bez Chruszczowa. Dziś trzeba to stwierdzenie opatrzyć następującym komentarzem: problemy, które istniały za czasów Chruszczowa zachowają swą aktualność i po jego odejściu.

Nowy rozwój wydarzeń w Sowietach nie jest jednak mechaniczną kontynuacją dotychczasowego. Należałoby raczej powiedzieć, że w najnowszej historii sowieckiej powoli wyłania się nowy cykl, który już teraz posiada pewne typowe cechy.

Front ideologiczny w defensywie

Aby lepiej zrozumieć co się ostatnio wydarzyło w centralnych aparatach ideologicznych w Sowietach posługuję się świadomości nieco przejawskrawioną analogią z wydarzeniami po śmierci Stalina. Główną podporą Stalina był aparat terroru. Następcy zmarłego dyktatora uznali za najważniejsze zadanie nie tylko rozbicie tego aparatu terroru, ale także zapewnienie policji politycznej nowej pozycji w systemie sowieckim i w związku z tym wydali wówczas szereg bardzo ostrych zarządzeń, aresztowano wielu współpracowników dyktatora, rozstrzelano szereg funkcjonariuszy policji.

Kiedy w październiku 1964 obalono Chruszczowa okazało się, że głównym narzędziem szerzenia kultu jego osoby były aparaty ideologiczne. Reforma partyjna z roku 1962 stworzyła komisję ideologiczną KC, która była odpowiedzialna za pracę ideologiczną w całym kraju i na wszystkich szczeblach organizacji partyjnych. Na czele tej komisji ideologicznej stał (i stoi jeszcze) Iljiczow. Nie jest przypadkiem, że pierwsze uderzenie następców Chruszczowa skierowane zostało właśnie w ten aparat. Najpierw zwolniono przewodniczącego komitetu państwowe go dla radia i telewizji, Chałamowa, który pilnował aby prawie codziennie słyszano coś lub oglądano o „dobrym i zasłużonym Nikicie Sergiejewiczu”. Pozbawieni stanowisk zostali także: redaktor naczelny „Prawdy” — Satjukow, i „Izwestii” — Adżubej. Fakty te znane są z prasy. Nieznany natomiast jest inny fakt, że trzech wymienieni funkcjonariusze wraz z Iljiczewem stanowili trzon komisji ideologicznej KC KPZS.

Naturalnie, to co zrobiono dzisiaj z ideologami „chruszczowizmu” nie da się porównać z represjami, jakie zastosowano po śmierci Stalina wobec organów bezpieczeństwa. Analogia polega jednak na tym, że zaraz po usunięciu Chruszczowa poddano centralę ideologiczną nie tylko gruntownej czystce, ale odebrano jej na kilka tygodni możliwość normalnego funkcjonowania.

Następstwa faktu, że aparaty ideologiczne przekształciły się w główną podporę Chruszczowa, są poważniejsze niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Już za rządów Chruszczowa widoczny był kryzys na odcinku ideologicznym. Oświecona część biurokracji partyjnej zdawała sobie sprawę, że co najmniej część tzw. marksizmu-leninizmu nie odpowiada już potrzebom naszych czasów. Gorliwie, ale przeważnie bez powodzenia poszukiwano nowych formuł i teorii ideologicznych. Chruszczow nazywał to „twórczym rozwijaniem marksizmu-leninizmu”. Ówczesny kryzys można by uważać za kryzys doktryny, natomiast dziś mamy już do czynienia z kryzysem samych instytucji, działających na odcinku ideologicznym. Nie chodzi tu więc tylko o czystkę czy przemiany doktrynalne, ale — podobnie jak to miało miejsce po śmierci Stalina — o to, jaką pozycję zająć ma aparat ideolo-

giczny w strukturze partyjnej a nawet w całym systemie. Na miejsce Charłamowa np. mianowano Miesjacewa, który jeszcze niedawno był dyplomatą; posiadającego pewną indywidualność Adżubeja zastąpił Stiepakow, były pedagog, ekonomista i specjalista od spraw rolnych. Po Satjukowie redaktorem naczelnym „Prawdy” został Rumjancew, który już za czasów Stalina znany był jako tępą doktryner. Jest on autorem serii prowokatorskich artykułów przeciw komunistom jugosłowiańskim. Był też współautorem potępionej później pracy Stalina: „Problemy ekonomiczne socjalizmu w ZSSR”. Ideologiczny szef, Iljiczew, pokazuje się jeszcze publicznie, ale jego pozycja jest podkopana. Nowa obsada ma wyraźny charakter prowizorium.

Trudności na odcinku ideologicznym pogłębiają rozmaite fakty o znaczeniu wewnątrz-sowieckim, jak również wydarzenia w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Wśród pierwszych najważniejszy jest nacisk kół gospodarczych, które wypierają coraz bardziej ideologów. W wydarzeniach międzynarodowych najważniejszą rolę odgrywają te, które zachodzą w prosowieckim obozie komunistycznym. Jak wiadomo, komuniści włoscy jedną z najważniejszych tez leninizmu — teorię Lenina o państwie — uznali za nieobowiązującą dla siebie. Tezę Marksa o religii, będącej opium dla narodu, uważają za całkowicie przestarzałą. Występują przeciwko dyktaturze ideologii na odcinku kulturalnym i domagają się wolności dla pisarzy i artystów. Na tym tle zaostrza się sytuacja wewnątrz KPZS w dziedzinie ideologicznej. To nowe stadium kryzysu ideologicznego jest jednym z najważniejszych znamion rozwoju sytuacji w Sowietach po upadku Chruszczowa.

Anulowanie reformy Chruszczowa z roku 1962

Listopadowe plenum KC KPZS trzeba uznać za najważniejsze wydarzenie omawianego przez nas okresu. W pierwszym rzędzie zasługują na wzmiankę zmiany personalne. Dwaj funkcjonariusze partyjni, a mianowicie szef partii Ukrainy, Szelest, i były szef policji bezpieczeństwa oraz niedawny przewodniczący komitetu kontroli partyjno-państwowej Szelepin zostali pełnymi członkami prezydium. Uważany niegdyś za „następcę tronu” Kozłow wyszedł z prezydium i otrzymał urlop zdrowotny na czas nieograniczony. Zastępcą członka prezydium mianowany został Demiczew. Z sekretariatu KC ustąpił Kozłow, poza tym pozbawiono funkcji sekretarza przewodniczącego biura KC dla rolnictwa Poliakowa, który do końca dochował wierności Chruszczowowi. W rezultacie tych zmian obecne prezydium składa się z 11 członków i 6 zastępców, zaś liczba sekretarzy zmniejszyła się z 14 do 10. Skład personalny tych władz obrazuje następująca tabela (w nawiasach rok urodzenia):

*Prezydium KC KPZS**członkowie*

BREŻNIEW, L. I. (1906)	SZELEPIN, A.N. (1918)
KIRYLENKO, A.P. (1906)	SZELEST, P.J. (1908)
KOSYGIN, A. N. (1904)	SZWERNIK, N.M. (1888)
MIKOJAN, A.I. (1895)	SUSŁOW, M. A. (1902)
PODGORNY, N.W. (1903)	WORONOW, G.I. (1910)
POLJANSKIJ, D.S. (1917)	

kandydaci

DEMICZEW, P.N. (1918)	MAZUROW, K.T. (1914)
GRISZIN, W.W. (1914)	MŻAWANADZE, W.P. (1902)
JEFREMOV, L.N. (1912)	RASZIDOW, S.R. (1917)

*Sekretariat KC KPZS**I sekretarz*

BREŻNIEW, L.I.

sekretarze

Andropow, J.W. (1914)
Demiczew, P.N.
Iljiczew, L.F. (1906)
Podgorny, N.W.
Ponomariow, B.N. (1905)
Rudakow, A.P. (1910)
Szelepin, A.N.
Susłow, M.A.
Titow, W.N. (1907)

Zmiany te charakteryzują dwie cechy: uderzające odmłodzenie nowych władz, oraz awans Szeleпина, który przeskoczył normalny szczebel kariery jakim jest stanowisko zastępcy członka Politbiura, co podkreśla znaczenie jego osoby. Szelepin jest bez wątpienia najwybitniejszym przedstawicielem młodej generacji funkcjonariuszy partyjnych.

Jednym z najdonioślejszych wydarzeń po upadku Chruszczowa było anulowanie przeprowadzonej przez niego w roku 1962 reformy partii. Przypomnijmy najpierw najważniejsze elementy tej reformy. W roku 1962 Chruszczow oświadczył, że struktura partii jest przestarzała, że uniemożliwia dostosowanie się partii do wymogów nowoczesnego społeczeństwa. Zaproponował on po prostu podział partii na dwa człony w oparciu o zasadę produkcyjną: pierwszy objąć miał komunistów działających w przemyśle, drugi — w rolnictwie. Istotą tej reformy było jej naprawdę antybiurokratyczne ostrze. Chruszczow zaproponował likwidację partyjnych komitetów rejonowych i powołanie na

ich miejsce nowych organów kierowniczych. Tylko część funkcjonariuszy komitetów rejonowych miała znaleźć zatrudnienie w nowych organach partii, ponieważ równolegle z tą reformą przeprowadzono w szerokim zakresie akcję łączenia rejonów. Jak widać z tego Chruszczow myślał o usprawnieniu pracy komunistów w produkcji nie drogą mechanicznego przeniesienia, lecz przez konsekwentne stosowanie zasady selekcji. Jego reforma oznaczała zatem usunięcie całej armii nieudolnych funkcjonariuszy i lepszą kontrolę rozwoju gospodarki przez partię.

Reforma Chruszczowa zakończyła się wielkim fiaskiem. Okazało się, że oddzielenie aparatu przemysłowego od rolniczego jest utopią. Gospodarka tworzy jedną całość, a przeprowadzenie reformy wywołało trudności w ustaleniu granic poszczególnych kompetencji. Ponieważ ten punkt wyjściowy reformy Chruszczowa okazał się błędny, wyniki były akurat odwrotne od oczekiwanych. Granice między rolnictwem a przemysłem przeprowadzono przy pomocy środków administracyjnych. Rolnictwo zostało jeszcze bardziej odizolowane od przemysłu, jakkolwiek jego osiągnięcia zależą w wielkiej mierze właśnie od współpracy z przemysłem. Można by długo wyliczać listę niepowodzeń reformy. Interesujące uwagi na ten temat znajdują się w sowieckim organie partyjnym, „Komunist”, nr 11 z listopada 1964. Następcy Chruszczowa oświadczyli, że zmuszeni są do wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z gorzkich doświadczeń, jakie przyniosła ta reforma. Do grudnia 1964 ma być przywrócona dawna struktura partii. Wszystko wskazuje jednak na to, że jest to zbyt krótki okres czasu aby podołać tej pracy. Specjalne trudności związane są z restytucją komitetów rejonowych. Doświadczenia ostatnich dwóch lat wykazały, że wprawdzie podział na dwa piony partyjne miał negatywne następstwa, ale łączenie rejonów okazało się z niewielu wyjątkami zjawiskiem pozytywnym. Z pewnością zaistnieje teraz w Sowietach znów nienormalna sytuacja, podobnie jak po przeprowadzeniu przez Chruszczowa reformy w listopadzie 1962. Następcy Chruszczowa zarzucają mu, że ówczesna reforma była nieprzemyślana i przeprowadzona zbyt pośpiesznie, ale można to samo powiedzieć o jej anulowaniu. Sytuację komplikuje jeszcze fakt, że od listopada 1962 także lokalne sowiety, komsomoł oraz związki zawodowe zostały przekształcone przez wprowadzenie zasady produkcyjnej. Teraz i tutaj powraca się do stanu sprzed listopada 1962. Łatwo można sobie wyobrazić w stanie jakiego chaosu znajduje się obecnie gospodarka sowiecka, nie mówiąc już całkiem o finansowych stratach.

Ofensywa managerów

Już w artykule zamieszczonym w październikowej „Kulturze” wskazano na to, że upadek Chruszczowa wywołał uczucie zaniepokojenia w szerokich masach ludności, że jedyną warstwą, któ-

ra przyjęła ten upadek z nieukrywaną radością byli managerowie, kadry techniczne i naukowcy. Ostatnie wydarzenia potwierdzają, że stosunki między partią a czynnikami gospodarczymi decydują o kierunku rozwoju społeczeństwa. Społeczeństwo sowieckie osiągnęło szczególny stopień rozwoju. Okazuje się wyraźnie, że biurokracja partyjna nie panuje całkowicie nad społeczeństwem. Chruszczow próbował to osiągnąć poprzez unowocześnienie techniki rządzenia i spotkał się z zupełnym niepowodzeniem. Wydaje się jednak, że słuszność tezy jakoby system sowiecki dojrzał już w pełni do natychmiastowej demokratyzacji, jest wątpliwa. Jest to raczej pobożne życzenie licznych grup lewicowych w zachodnim świecie. Próba modernizacji systemu zarządzania gospodarką jest godna podziwu, ale tylko z poważnymi zastrzeżeniami można ją określić jako postępową. Postępowe jest w niej dążenie do usunięcia uprzedzeń ideologicznych z dziedziny gospodarczej. Postępową jest również próba usprawnienia działalności przemysłu i rolnictwa przy pomocy nowoczesnego myślenia i nowoczesnej techniki. Byłoby jednak nonsensem twierdzić — jak to czynią niektórzy autorzy na Zachodzie — że działalność sowieckich kół gospodarczych zmierza do restauracji stosunków kapitalistycznych w Sowietach. Teza ta jest niesłuszna także i z tego powodu, że dzisiejsi socjologowie nie stawiają znaku równania między nowoczesnym społeczeństwem przemysłowym a kapitalizmem. Nie chcąc snuć domysłów ograniczam się do stwierdzenia, że to, co się dokonywa w tej dziedzinie w Sowietach jest próbą unowocześnienia gospodarki sowieckiej na bazie zmienionych przez rewolucję stosunków własności.

Jakie są najważniejsze postulaty sowieckich managerów? W oparciu o sowiecką literaturę fachową, m.in. o artykuły w „Ekonomiczkiej Gazecie” i w czasopiśmie „Planowoje Chazajstwo” można wymienić trzy najważniejsze: przede wszystkim już wymienione wypieranie ideologii na rzecz gospodarki. W kilku artykułach podkreślono, że polityka partii musi trzymać się ściśle prawidłowości rozwoju gospodarczego. W „Ekonomiczkiej Gazecie” z 11 listopada czytamy: „Gospodarka tworzy obiektywną, materialną bazę polityki. Polityka wyrasta z ekonomii, ekonomia rozstrzyga o treści, kierunku, formach i metodach realizacji celów politycznych”. W pierwszej chwili odnosi się wrażenie, że myśl ta nie jest nowa, że podobne słowa padały często z ust Chruszczowa. Ale nigdy przedtem nie stwierdzono tak dobitnie, że nie wystarczają same słowa, że trzeba, aby stały się one praktyką życia codziennego.

Drugim postulatem programu managerstwa sowieckiego można by nazwać dążenie do położenia nacisku na produkcję przemysłu konsumpcyjnego. Charakterystyczny jest tu artykuł wstępujący listopadowego numeru „Planowoje Chazajstwo”. Myśl przewodnia artykułu jest następująca: forsowanie przemysłu ciężkiego było warunkiem gospodarczej i wojskowej potęgi Sowietów. Dziś jednak sytuacja uległa zmianie. Czytamy dosłownie:

„Partia komunistyczna nie uważała nigdy rozwoju ciężkiego przemysłu za cel sam w sobie, popierała go nie dlatego, żeby był jakimś dogmatem. Partia komunistyczna, opierając się na wysokim poziomie przemysłu ciężkiego i uznając nadal zasadę priorytetu wytwarzania środków produkcji, przy opracowywaniu nowego planu perspektywnego postawi sobie za najważniejszy cel przyspieszenie produkcji przedmiotów konsumpcji”.

Trzecim i najważniejszym postulatem jest rezygnacja z podkreślanej tak silnie przez Chruszczowa maksymalizacji produkcji przemysłu i rolnictwa i przejście na optymalizację gospodarki. Optymalizacja stała się w ogóle modnym pojęciem w sowieckich kołach fachowych od czasu upadku Chruszczowa. Mówi się o przywróceniu optymalnych proporcji w przemyśle, o optymalnej strukturze gospodarki narodowej, o optymalnym kierowaniu gospodarką zakładów i td. i td. Wydaje mi się, iż w przekonaniu komunistów sowieckich chodzi tu o jakościowe zmiany w dziedzinie przyszłego rozwoju przemysłu.

Artykuł umieszczony w czasopiśmie „Ekonomiczeskaja Gazeta” 25.11.1964 pod tytułem „Leninowska zasada kierownictwa gospodarczego” jest interesujący z różnych względów. Dla Zachodu wydaje się sprawą oczywistą, że środki administracyjne nigdy nie potrafią zastąpić ekonomicznych czynników rozwoju gospodarczego. Autor artykułu przyznaje jednak otwarcie, że system praktykowany za czasów Stalina szkodził Sowietom. Podważona zostaje w ten sposób legenda o celowości biurokratycznej polityki gospodarczej, stosowanej przez partię w zacofanej Rosji. Sowieccy autorzy zbliżają się powoli do stanowiska reprezentowanego przez rewolucyjną lewicę na Zachodzie, kiedy utrzymują, że nawet w zacofanej Rosji można by osiągnąć o wiele większe sukcesy gospodarcze rozwijając demokrację i popierając inicjatywę mas niż przy pomocy biurokratycznych i administracyjnych praktyk za czasów Stalina.

Pech Chruszczowa z bykami Łysienki

Równocześnie z sowieckimi ekonomistami i managerami przeszli do ofensywy naukowcy. Domagają się oni coraz wyraźniej rozszerzenia autonomii nauki i uznania jej roli w nowoczesnym społeczeństwie. W „Izwestiach” ukazał się 6 listopada 1964 artykuł zastępcy przewodniczącego sowieckiej Akademii Nauk, Kirilina. M.in. pisze on: „Pomyślny rozwój nauki wymaga szerokiej i swobodnej wymiany poglądów między naukowcami, nie ograniczanej ani przez wpływ wyższych autorytetów naukowych, ani też przez poglądy, które stały się tradycją”.

Nie są to puste słowa. Uczeń sowieccy podjęli ostatnio szereg odważnych akcji. Największe znaczenie posiadają wydarzenia, które zaszły w dziedzinie biologii i doprowadziły do definitywnego upadku znanego agrobiologa Łysienki. Już za życia Stalina Łysienko zaawansował do roli najwyższego autory-

tetu biologii sowieckiej. Nowoczesna genetyka została uznana w Sowietach za pseudo-naukę. Wielu uczonych sowieckich, którzy reprezentowali odmienne poglądy, uległo prześladowaniom, niektórzy zostali nawet zlikwidowani fizycznie. Autorytet Łysienki ucierpiał poważnie po śmierci Stalina. Przy pomocy Chruszczowa odzyskał on jednak wpływy i znaczenie. Jego zwolennicy obsadzili kluczowe pozycje, jak np. w redakcji gazety „Sielskaja Żiźń” a także i kierownictwo leninowskiej Akademii Rolniczej w Moskwie. Upadek Chruszczowa był dla sowieckich przyrodników hasłem do podjęcia ofensywy przeciw Łysience. W początku listopada ukazały się w różnych gazetach artykuły, zaś punkt szczytowy tej akcji stanowiła zorganizowana przez czasopismo literackie „Literaturnaja Gazieta” konferencja okrągłego stołu. W czasopiśmie tym ukazało się 24 listopada sprawozdanie z tej dyskusji. Jest to wstrząsający dokument! Okazało się teraz wyraźnie, że tzw. „jarowizacja” była zwyczajnym oszustwem. Chodziło tu o przyspieszenie rozwoju roślin przez oddziaływanie drogą określonych temperatur w początkowym okresie kiełkowania. W latach trzydziestych niektóre pisma donosiły o zadziwiających rezultatach osiągniętych dzięki tej metodzie. Zaawansowała ona do roli popisowego numeru sowieckiej agronauki. Obecnie zaś Jefroimson oświadczył wyraźnie: wszystkie cyfry, które swego czasu podawał Łysienko jako dowód sukcesu stosowanej przez siebie metody były bluffem. W czasie rozmowy wymieniano inne eksperymenty Łysienki, które przyniosły poważne straty.

Nie ulega dziś wątpliwości, że Chruszczow popierał zwykłego oszusta. Kiedy w latach trzydziestych nie powiodły się eksperymenty Łysienki oświadczył on krótko i węzłowato, że winę za to ponoszą sabotażyści, kułacy, którzy zakłócali przebieg jego doświadczeń. Można sobie wyobrazić jaki los spotkał tych ludzi! Dla Chruszczowa zaś specjalnie fatalną okazała się legenda z dziedziny hodowlanej. W wielkiej farmie doświadczalnej „Gorki Leninski” Łysienko miał rzekomo drogą skomplikowanych krzyżowań wyhodować byka rozplodowego, którego potomstwo produkowało mleko o znacznie wyższej zawartości tłuszczu. W szeregu przemówień Chruszczow apelował do kołchozów, aby zakupywały byki Łysienki przyczyniając się w ten sposób do zwiększenia produkcji tłuszczu w ojczyźnie. Niedawno ukazał się w „Sielskaja Żiźń” artykuł, w którym kompetentni ludzie wykazali, że znów chodziło tu o bluff. Okazało się mianowicie, że tylko w pierwszej generacji krów pochodzących od byka Łysienki produkowane przez nie mleko zawierało nieco więcej tłuszczu niż normalnie, natomiast już w następnej generacji zawartość tłuszczu w mleku spadała do poziomu przeciętnego.

Upadek Łysienki odbija się w wielu dziedzinach na przysługującym położeniu nauki sowieckiej. Bezwątpienia przyniesie on korzyść biologom sowieckim. Genetyka sowiecka, która czyniła

tak zadziwiające postępy w latach dwudziestych, przestaje być nauką przemilczaną, a ponadto zapewne w przyszłości żaden autorytet naukowy nie odważy się nadużywać swej pozycji dla uciskania inaczej myślących kolegów. Od chwili obecnej stosunki między aparatem partyjnym a naukowcami będą musiały być oparte na innej postawie. Z jednej strony wielu ambitnych naukowców przestanie starać się wszelkimi środkami o poparcie czynników partyjnych, z drugiej zaś byki łysienkowskie zniechęciły funkcjonariuszy do szczególnego protegowania uczonych.



Czytelnik zechce mi pozwolić na osobistą uwagę. Kiedy Chruszczow zapowiedział w roku 1962 reformę partii, zamieściłem w wiedeńskiej gazecie „Die Presse” komentarz, którego myśl przewodnia zbliżona była do tego, co dzisiaj pisze „Kommunist”. Podkreśliłem tam fakt, że ta reforma jest oderwana od życia. Na komentarz mój zareagował znany uczony sowiecki, profesor Birman. Napisał on długi list, w którym próbował odpowiedzieć na pytanie: „W czym błądzi, moim zdaniem, pan Lewytsky”. List ten opublikowała „Die Presse” 26 stycznia 1963 r. Z tego listu, utrzymanego na bardzo wysokim poziomie, warto zacytować ostatni ustęp: „Rozwój przebiega w zamkniętym kręgu, powraca on stale do punktu wyjściowego, ale już na wyższym poziomie. Słowa te nie zostały wypowiedziane na plenym listopadowym ale przed półtora wiekiem i pochodzą one nie od Chruszczowa, lecz od Hegla. — Aleksander Birman, doktor nauk, Moskwa”. Bez wątplenia profesor Birman i wielu innych jego kolegów rozumieją znaczenie tezy, niestety od dawna zapomnianej przez teoretyków sowieckich, że permanencja sprzeczności jest motorem historii ludzkości. Ta marksistowska teza posiada uniwersalne znaczenie. Odnosi się ona zarówno do społeczeństw zacofanych w rozwoju, jak i do nowoczesnych — kapitalistycznych oraz „socjalistycznych” w Sowietach i w innych państwach bloku.

Borys LEWICKYJ

Kronika angielska

FUNDUJE NAGRODĘ LITERACKĄ

Na loterii tureckiej wygrałem niespodziewanie poważniejszą sumę pieniędzy. Wstępując w ślad światłych osobistości emigracyjnych postanowi-

łem ufundować nagrodę literacką. Przyznawane były dwie nagrody roczne na £ 500. — wybitnemu pisarzowi emigracyjnemu i wybitnemu pisarzowi krajowemu. Ponieważ osobiście nie mam żadnego doświadczenia ani w przyjmowaniu ani w nadawaniu nagród literackich — ubiegłej soboty zwołałem „konferencję orientacyjną”. Wzięło w niej udział kilku znakomitych i doświadczonych krytyków, którzy zęby zjedli na przyjmowaniu i nadawaniu nagród literackich.

Po lanczu który odbył się w sali bankietowej londyńskiego biura redakcji „Kultury” przy czarnej kawie i koniaku podjęliśmy dyskusję.

Zaproponowałem by zacząć od pisarzy emigracyjnych i na pierwszy ogień wysunąłem kandydaturę Miłosza.

P. Iksiński oświadczył eierpko, że Miłosz miał czelność żądać od Red. Grydzewskiego by go przeprosił za artykuł, który ukazał się w „Wiadomościach”. Odmówił również przyjęcia mandatu, gdy go wybrano do emigracyjnej „Akademii Literatury”.

— Spoliczkował naszą czcigodną londyńską instytucję — dodał Zetowski — która podtrzymuje chwalebnie tradycje Polskiej Akademii Literatury.

Sprawę przygwoździł Ypsyłoński cieszący się powszechnym mirem i uznaniem:

— Na terenie Londynu kandydatura Miłosza nie jest praktyczną propozycją. Mieszkając tu, nad Tamizą, nie możemy śmiertelnie narazić się Red. Grydzewskiemu i wszystkim członkom emigracyjnej Akademii Literatury.

Westchnąłem, pyknąłem fajkę i zaryzykowałem drugiego kandydata.

— Herling-Grudziński, były łagiernik, żołnierz 2-go Korpusu, kawaler Virtuti Militari...

Ypsyłoński przerwał mi gwałtownie:

— Na terenie Londynu kandydatura Grudzińskiego nie jest praktyczną propozycją. Na miłość Boską — czy Pan nie pamięta, że Grudziński nazwał jednego z dyrektorów „Dziennika” literackim bawidamkiem? Nagradzając Grudzińskiego mielibyśmy przeciwko sobie „Dziennik Polski”; a Tylon maglowałby nas co tydzień — tak, że suchej nitki by na nas nie zostało. Zadzierać z „Dziennikiem” to szaleństwo, a ściągać na siebie Tylon to obłąd!

Popykałem fajkę i wypaliłem:

— Józef Mackiewicz!

— Granica na Odrze i Nysie — zasyczał Ypsyłoński.

— Nagradzamy twórczość literacką a nie granicę na Odrze i Nysie — odparłem spokojnie.

Nie chwyciło.

Nalałem trzecią kolejkę koniaku moim gościom i wysunąłem następującą propozycję:

— Proponuję byśmy odwrócili całą procedurę. Zaczniemy od sporządzenia „czarnej listy” na której umieścimy nazwiska tych pisarzy, którym z wyższych przyczyn nagrody w Londynie przyznać nie można. Być może zostanie nam garsteczka pisarzy nie objętych listą, których kandydatury będziemy nogli spokojnie rozważyć.

Oklaski. Londyńczyk uśmiecha się uprzejmie.

Głos zabiera p. Igrecki.

— Sugestię Londyńczyka uważam za niezmiernie konstruktywną. Każdy nowoczesny rynek literacki ma swoje „tabu” i im nowocześniejszy tym owych „tabu” więcej. Przykładem tego stanu rzeczy jest emigracyjny rynek literacki. Już w zeszłym roku proponowałem prezesowi Wohnoutowi, by Związek Pisarzy wyłonił specjalną komisję, która opracowywałaby i wydawała poufny biuletyn informacyjny dla użytku krytyków, redaktorów i ludzi pióra. Wyjaśnię całą rzecz na przykładzie. Przed kilku tygodniami w jednej z moich recenzji zacytowałem mało znany wiersz Łysakowskiego. Następnego dnia po ukazaniu się recenzji wezwał mnie do siebie prezes Korybut. „Czy pan wie co robi Łysakowski, którego pan beczelnie chwala? To jest człowiek, który komercyjnie traktuje naszą największą tragedię narodową. Największą tragedią narodu polskiego jest wymieranie emigracji — a cynik Łysakowski na tej tragedii robi pieniądze. Pan wie co pisał Wieszczy: „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe”.

„A dla poety Łysakowskiego dobry emigrant to tylko emigrant w trumnie. Inni go nie interesują”. Cóż się okazało? Łysakowski został dyrektorem zakładu pogrzebowego. Lecz skąd ja nieszczęśny mogłem o tym wiedzieć!

— Kolega Igrecki ma całkowitą rację — wtrącił pośpiesznie Iksiński. — Łysakowski choćby napisał „Księgi Pielgrzymstwa” nie mógłby dostać w Londynie nagrody.

— Są i inne problemy — uśmiechnął się p. Zetowski. — Mnożą się poszlaki, że Danilewiczowa straciła sympatię pewnych wpływowych kół ponieważ skrytykowała suknię żony wysokiego dygnitarza. Czesław Dobek pogrzebał się również ponieważ poddał w wątpliwość dogmat narodowy, który głosi, że nasi przywódcy odpowiadają za rozliczenia finansowe tylko przed Bogiem i Historią. Z tych przyczyn zarówno Danilewiczowa jak i Dobek znaleźć się muszą na „czarnej liście”.

Zapadło milczenie. Nabiłem fajkę i nagle doznałem olśnienia.

— Panowie — już mam kandydata. Hostowiec! Trzeba było od niego zacząć — wybór jasny i oczywisty.

— Portki! — wykrzyknął Iksiński.

— Czyje portki?

— Portki Marszałka Piłsudskiego! Hostowiec z bezprzykładną beczelnością i poufałością o spodniach Marszałka pisał per „portki”. Tu, w Londynie, mamy Instytut Marsz. Piłsudskiego, Ligę Niepoległości, wiarusów z Pierwszej Brygady, ułanów Beliny — nie, Hostowiec jest wyłączony. Roznieśliby go na szablach.

Ciarki mnie przeszły wobec czego napiłem się koniaku.

Po czterech godzinach konferowania mieliśmy dwudziestu trzech pisarzy na „czarnej liście” i ani jednego kandydata do nagrody.



Na drugim posiedzeniu „Komisji Orientacyjnej” omawialiśmy nagrodę krajową. Zetowski wysunął następującą koncepcję:

— Co to znaczy nagradzać? Nagradzać to znaczy pomóc. Pomoc stanowi odwrotność szkody. Nagroda przestaje być nagrodą jeżeli zamiast pomóc — szkodzi. Innymi słowy, możemy wyróżnić tylko takiego autora,

któremu nagroda dopomoże a nie zaszkodzi. W moim przekonaniu pisarze, którzy złożyli swe podpisy pod tzw. kontr-protestem są w pełni zaasekurowani. Autor, który podpisał kontr-protest może bez ryzyka przyjąć nagrodę emigracyjną. Ponieważ ów kontr-protest podpisało kilkuset literatów — nie jesteśmy ograniczeni w naszym wyborze do kilku czy kilkunastu nazwisk jak na emigracji.

W tym miejscu, nieco wzburzony, przerwałem Zetowskiemu.

— Kontr-protest uważaliśmy za „czarną listę” na której znalazły się nazwiska tych pisarzy, którzy odcięli się od akcji 34-ech.

— Popieram w pełni kolegę Zetowskiego — wtrącił zapalczywie Igreci. — Nagroda nie może mieć charakteru prowokacyjnego. Wyróżnienie jednego z 34 pisarzy, którzy podpisali list do Cyrankiewicza — byłoby prowokacją, która zemściłaby się na naszym laureacie. Powiedzmy dla przykładu, że nagradzamy ostatnią książkę Wańkowicza pt. „Gryf Walczący”. Książkę wycofano by z obiegu a sam Wańkowicz znalazłby się w przykłej sytuacji. Nie możemy przyjąć zasady, że to — za co w Polsce idzie się do więzienia — na emigracji wieńczy się nagrodą. Takie dramatyczne gesty nigdy nie są ani pozytywne ani konstruktywne. Prowokowanie bezsensownych wystąpień nie może być celem kulturalnego oddziaływania emigracji na kraj.

— Bójcie się Boga, Panowie — jęknąłem zgnębiony. — Cóż pomyślał sobie odważni i uczciwi pisarze, którzy podpisali protest 34-eh jeżeli nagrodzimy autora z listy partyjnego kontr-protestu? Pomyślał sobie, że walczą samotnie, nie mając oparcia nawet w emigracji.

— Nie sentymentalizujcie kolego, — odezwał się milczący dotąd Ypsyloński. — Fakt, że ci panowie podpisali protest nie oznacza bynajmniej, że oni są z nami, z emigracją. W polityce naszej wobec kraju kierować się musimy umiarem i ostrożnością. Nie drażnić, nie prowokować, nie narażać, nie judzić — przeciwnie uspakajać, kołować i pocieszać. Dla autora, który uległ naciskowi partii i podpisał kontr-protest byłoby wielką pociechą i wsparciem moralnym gdyby otrzymał nagrodę emigracyjną. Pomyślałby sobie, że przecież na emigracji są ludzie, którzy rozumieją obecną sytuację w Polsce.

Chciałem odpowiedzieć Ypsylońskiemu, lecz Igreci nie dopuścił mnie do słowa.

— Nagroda nie może być demonstracją bo wszelkie demonstracje są niepoważne. Jeżeli pan chce mieć nasze nazwiska w składzie jury musi pan, drogi Londyńczyku, przyjąć spokojny i rozsądny punkt widzenia. Lepiej pójść na pewien kompromis a nie prowokować i nie drażnić. Nagradzamy nie demonstrantów, tylko pisarzy, którzy w trudnych warunkach krajowych ze spokojem i godnością wypełniają swój zaszczytny obowiązek.

Członkowie komisji potakująco kiwali głowami.

Uderzyłem dłonią w stół i powiedziałem:

— Idąc za radą panów — to znaczy stosując politykę nie demonstrowania, nie drażnienia i nie prowokowania — stwarzamy warunki, które szefowi partyjnej komórki w Związku Literatów Polskich umożliwią oświadczenie każdemu buntującemu się pisarzowi: „jeżeli kolega nie będzie grzeczny nie dostanie nagrody ani krajowej ani emigracyjnej”. Nie wiem czy naszym głównym zadaniem winno być ułatwianie życia Putramentowi.

Igrecki roześmiał się i odparł:

Kochany Londyńczyku — w innych warunkach i na inną nutę Putrament w Polsce robi to samo, co ja i Ypsyloński robimy na emigracji. Tak on jak i my mamy swoich buntowników i „czarne listy”.

Nagle obudziłem się i z pewną dozą melancholii pomyślałem, że może to jednak dobrze, że nie gram na loterii...

PROTEKTORZY

Śmiesz mnie zawsze operowanie w polityce słowem „naturalny”. Mogą być naturalne granice lecz co należy rozumieć przez „naturalną politykę”?

Weźmy przykład. Cóż byłoby bardziej naturalnego niż sojusz brytyjsko-francuski? O ile sojusz brytyjsko-francuski byłby bardziej naturalny od sojuszu francusko-niemieckiego? Unia francusko-brytyjska mogłaby przekształcić Europę w niezależną atomową potęgę w stosunkowo krótkim czasie.

Ideę sojuszu francusko-brytyjskiego można by poprzeć dziesiątkami argumentów historycznych, politycznych, gospodarczych, strategicznych itd. Francuzi i Anglicy mogliby utworzyć prawdziwy *partnership* ponieważ ich wzajemne potencjały są dość wyrównane. W sumie trudno sobie wyobrazić politykę bardziej naturalną choć całkowicie nierealną. W prasie brytyjskiej tylko John Grigg wysunął podobną koncepcję lecz nikt nie podjął nawet z nim dyskusji.

Polacy są opętani ideą niezależności. Lecz gdybyśmy byli zależni od Stanów Zjednoczonych, a nie od Związku Sowieckiego — być może i my patrzylibyśmy na te sprawy inaczej. Niezależność związana jest niewątpliwie z potencjałem gospodarczym. Lecz dziś ów związek nie kształtuje się tak prosto i jasno jak przed pierwszą wojną światową.

Niemiecka Republika Federalna po Ameryce jest najbogatszym mocarstwem w świecie zachodnim. Anglia jest mniej bogata jednak jest bardziej niezależna, ponieważ posiada własne bronie atomowe.

Jeżeli ktoś nie jest w sytuacji idealnej jak Stany Zjednoczone, które łączą bogactwo z potęgą atomową — musi dokonać wyboru: albo bogactwo i dobrobyt albo niezależność. Jak do tej pory tylko Ameryka jest w możliwości bogacić się i potęgnić równocześnie. Związek Sowiecki swój status atomowego mocarstwa Nr 2 okupuje rezygnacją z powszechnego dobrobytu.

Obywatele Trzeciej Rzeszy nie jedli masła lecz hitlerowska Trzecia Rzesza była pierwszą potęgą na kontynencie. Czy jednak opłaca się rezygnować z masła dla własnych broni atomowych, które w porównaniu z potencjałem nuklearnym Ameryki mogą mieć tylko znaczenie symboliczne? Czy raczej poświęcać dobrobyt by semi-zależność zamienić na semi-niezależność?

Słusznie zauważył londyński „The Observer” — że prestiż w sensie politycznym dają bogactwo lub bronie atomowe — względnie jedno i drugie. Lecz państwo, którego w gruncie rzeczy nie stać na potężny

samodzielny potencjał atomowy — podejmując program zbrojeń nuklearnych ryzykuje, że przestanie być bogate a nie stanie się potężne.

Szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie jednak nie każdy szlagon mógł utrzymywać prywatne armie jak Radziwiłłowie. Anglia jest równie suwerenna jak Stany Zjednoczone lecz nawet gdyby ostatnią uncię margaryny zainwestowała w program zbrojeń atomowych — nie miałyby żadnej szansy przybliżyć się do nuklearnego statusu Stanów Zjednoczonych.

W tego typu sytuacji wybór ogranicza się do dwóch możliwości. Albo trzeba uznać atomowy protektorat amerykański — albo trzeba tworzyć związki państw, które wspólnymi siłami podjęłyby realny program zbrojeń atomowych.

Czołowe mocarstwa zachodniej Europy tj. Anglia, Francja i Niemcy — mogłyby utworzyć związek, który w każdej dziedzinie miałby możliwości „dogonienia Ameryki”. Związek — obojętne czy nazywałby się „Zjednoczoną Europą” czy inaczej — byłby organizmem politycznym w stu procentach suwerennym i niezależnym.

Jednak powyższe rozwiązanie, którego osobiście jestem entuzjastą — ma poważną wadę. Nawykiem historycznie uwarunkowanym przez suwerenność rozumiemy instynktownie suwerenność narodową. Żadnego Ukraińca nie zachwyca „suwerenność” Ukrainy poprzez suwerenność Związku Sowieckiego. Anglicy pragną suwerenności dla Zjednoczonego Królestwa a nie dla Zjednoczonej Europy.

Każdy naród teoretycznie ma prawo do samostanowienia — lecz nie każdy naród posiada możliwości do „samostanowienia atomowego”. Wydaje mi się, że „protektorat atomowy” jest zjawiskiem politycznym, które wykaże większą długowieczność niż protektoraty kolonialne. Śmiało można zaryzykować twierdzenie, że świat rozpadnie się na protektoraty atomowe, którym kres położyć może tylko wojna światowa albo rząd światowy.

Nie jest wyłączone również, że „protektoraty atomowe” stanowią ważny punkt rozwojowy w ogólnej ewolucji systemu międzynarodowego. W ramach protektoratu amerykańskiego toczy się walka o udział w podejmowaniu zasadniczych decyzji. Zarówno Anglicy jak i Niemcy pragną ograniczyć wyłączną władzę decyzji atomowych swego protektora. Projektów jest wiele i proces przebudowy „protektoratu” jest ciągle w stadium początkowym. Gdyby jednak „protektorat” przemienił się z czasem w autentyczną ponad-narodową instytucję — byłby to olbrzymi krok naprzód w ewolucji zachodniego systemu międzynarodowego.

W całym omawianym problemie podstawowe pytanie brzmi: *kto jest protektorem?*

Gdyby prezydentem Stanów Zjednoczonych był dziś sen. Goldwater — nawet rząd socjalistyczny Wielkiej Brytanii podjąłby z całą pewnością program budowy prawdziwie niezależnej siły atomowej. Z powyższą tezę wystąpił klasycznie liberalny dziennik „The Guardian”.

Odpowiedź na owo pytanie — kto jest naszym protektorem — obejmuje niepomniernie więcej niż kwestię niezależnego *deterrent*. W odpowiedzi na to pytanie kryje się całokształt strategii w konflikcie Wschód-Zachód.

CENZURA NA CENZUROWANYM

Mało rzeczy jest równie interesujących jak studium mechanizmu cenzury. Oczywiście w krajach Zachodu a nie w bloku komunistycznym, gdzie cenzura jest zagadnieniem policyjno-administracyjnym.

Weźmy dla przykładu Anglię. Do niedawna dzierżycielami wzorców moralno-kulturalnych byli dostojnicy kościoła, rektorzy wyższych zakładów naukowych, publicyści poważnych pism i periodyków, prezydenci humanitarnych stowarzyszeń itd. Richard Hoggart określa ową elitę mianem „strażników” (*the guardians*).

Radio i telewizja dokonały rewolucyjnych przemian w tradycyjnym układzie kulturalnym. Dyskusje radiowe i telewizyjne, produkcje dramatyczne itp. — choć intelektualistycznie mogą wydać się na miernym poziomie — otworzyły nowy świat doznań kulturalnych dla dziesiątków milionów ludzi. Dla owego „masowego odbiorcy” to co widzi na ekranie i słyszy przez radio jest często uderzająco nie-konwencjonalne. Swobodna dyskusja, nie-konwencjonalna sztuka, w milionach domów brytyjskich były dotąd zjawiskiem nieznanym.

Owe przemiany zaskoczyły „strażników”, którzy na skutek swego konserwatyzmu o wszystkich rewolucjach dowiadują się ostatni. Z chwilą jednak kiedy tradycyjni „strażnicy” zaczęli tracić grunt pod nogami — pojawił się nowy ruch „opiekuńczy”, który Hoggart określa (nie bardzo szczęśliwie) mianem „populizmu”.

„Strażnicy” dawnego stylu stanowili elitę i choć bywali ciasni i konserwatywni rozumieli problematykę kulturalną i potrzebę wolności twórczej.

Swobodna dyskusja i nie-konwencjonalna sztuka znajdują się obecnie pod zorganizowanym i masowym ostrzałem ludzi, którzy nie pretendują do statusu „strażników”. Ci panowie, a szczególnie panie (trafniej byłoby powiedzieć „paniusie”) twierdzą, że przemawiają „w imieniu zwykłych, przyzwoitych obywateli”. Populiści głoszą, że są zmuszeni do zajęcia stanowiska przeciw inwazji niepotrzebnego „sexu”, zbytnej agresywności, destrukcyjnej ironii itp.

Krytyka populistów skierowana jest głównie przeciwko radiu i telewizji. Ich rozumowanie opiera się na przekonaniu, że skoro odbiorniki telewizyjno-radiowe są w posiadaniu niemal każdej rodziny — programy muszą odpowiadać normom „zdrowia moralnego” przyjętym przez ogół rodzin brytyjskich. Radio i telewizja działają na podstawie *public-service regulations*. Jeżeli więc (powiadają populiści) to są nasze służby społeczne, oddziałujące bezpośrednio na nasze rodziny, naszą młodzież a nawet dzieci — programy muszą być zgodne z naszymi wymaganiami.

W opinii Hoggarta normy populistów są ciasne, anty-intelektualne i anty-imaginatywne.

Ruch populistów rozpoczął się atakiem na program telewizyjny pt. „That was the Week that was”. Ostatnio ruch zyskał ogromnie na sile gdy dwie gospodynie (*housewives*) w Midlands — czyli jak Polacy brytyjsey mówią w Midlandach — wszczęły masową kampanię, której celem jest „oczyszczenie” telewizji. Współzałożycielka ruchu, z zawodu nauczy-

cielka porzuciła nauczanie by w całości poświęcić się „oczyszczaniu”. Do tej pory manifest *Clean-Up Television Campaign* podpisało 270.000 osób.

Cenzura populistów jest z całą pewnością groźniejsza od cenzury „strażników”. Lecz osobiście patrzę na ten problem inaczej niż Hoggart. Dzięki telewizji sztuka (w pewnym odłamie) utraciła swój elitaryzm i nabrała charakteru masowo-społecznego. Każdego wieczoru na kontynencie i na wyspach brytyjskich dziesiątki milionów ludzi, którzy nigdy nie chodzili do teatru — patrzą na żywą sztukę dramatyczną — nie zawsze w najpopularniejszym wydaniu.

Lower-middle-class z której w 80 procentach składa się masowy odbiorca — w poglądach na sztukę i moralność jest ciasna, konserwatywna, anty-intelektualna i filisterska. Zmienić ten stan rzeczy można tylko poprzez podniesienie przeciętnej ogólnej wykształcenia. W Anglii wymagałoby to reformy systemu szkolnictwa. Od populistów nie można uwolnić się inaczej jak tylko poprzez podniesienie poziomu ich wykształcenia i oświecenia.

Zupełnie inny typ cenzury obserwujemy w Australii. Ponieważ większość książek importuje się z Anglii i ze Stanów Zjednoczonych głównymi cenzorami w Australii są biblijni celnicy. W r. 1957. celnicy skonfiskowali poważniejszą przesyłkę znanej książki J.D. Salinger’a pt. „*Catcher in the Rye*”. Kilka dni przed ową konfiskatą ambasador amerykański ofiarował kilkadziesiąt egzemplarzy książki Salinger’a australijskim bibliotekom uniwersyteckim.

Po epizodzie z „*Catcher in the Rye*” rząd australijski wydał instrukcję, że celnikom wolno konfiskować książki tylko na polecenie urzędu cenzury (*censorship board*).

W roku 1962 sąd w Londynie stwierdził w swym wyroku, że wydawnictwo Penguin Books nie popełniło przestępstwa rozpowszechniania sprośności (*obscenity*) podejmując wydanie „*Lady Chatterley’s Lover*”. Australijski urząd cenzury polecił przeto urzędowi celnyemu nie czynić trudności importerom „*Kochanka Lady Chatterley*”. Lecz w owym czasie w Australii odbywały się wybory i rząd liberałów doszedł do wniosku, że ważniejsze są głosy purytańskich katolików i protestantów niż garstki intelektualistów i wydał zakaz importowania i rozpowszechniania nieszczęsnego „*Kochanka Lady Chatterley*”.

Ostatnio władze celne oświadczyły, że jeżeli intelektualista czy grupa intelektualistów — potrzebują dla celów naukowych zakazanych książek — bez trudności otrzymają zezwolenie na import prywatnych egzemplarzy danego dzieła.

By sprawdzić praktyczną wartość tych obietnic wydział historii literatury na uniwersytecie w Canberra włączył „*Lolite*” do listy obowiązujących lektur z literatury amerykańskiej. Władze odmówiły jednak zezwolenia na sprowadzenie większej ilości egzemplarzy, a prośba o zezwolenie sprowadzenia jednego egzemplarza „*Lolity*” do tej pory nie została załatwiona.

W opinii znawców przedmiotu Australijczycy sami ponoszą winę za ten stan rzeczy, bo nikt nie walczy z przeżytkami cenzury ani na forum parlamentu ani na sali sądowej.

Informacje do powyższej notatki zaczerpnąłem z „*Censorship*. A Quar-

terly Report on Censorship of Ideas and the Arts". Jest to nowy kwartalnik wydawany przez Kongres Wolności Kultury. Pierwszy numer przynosi artykuły o różnych formach cenzury w Anglii, Australii, Francji, Wschodnich Niemczech, Irlandii, Włoszech, Polsce, Związku Sowieckim, Stanach Zjednoczonych i w Afryce Południowej.

Pomysł wydawnictwa jest świetny a treść i oprawa graficzna są na najwyższym poziomie. Artykuł o formach cenzury w Polsce pt. „The Writers and the Regime” napisał K.A. Jeleński.

„FUROR TEUTONICUS” I LOGIKA

Na posiedzeniu Unii Zachodnio Europejskiej obradującej w Paryżu w pierwszych dniach grudnia ub. roku, — wice-kanclerz Niemieckiej Republiki Federalnej Dr. Erich Mende — powiedział, że zjednoczenie Niemiec może dojść do skutku tylko wówczas gdy lęk przed odrodzeniem się *Furor Teutonicus*, który żywią zarówno sprzymierzeńcy Niemiec na Zachodzie jak i sąsiedzi Niemiec na Wschodzie zostanie uśmierzony.

Święte słowa!

Niestety w tym samym przemówieniu w Palais d’Jena — Dr Mende zaprezentował światu typowy przykład żywotności *Furor Teutonicus*. Wicekanclerz NRF oświadczył, że rząd niemiecki nigdy nie zaakceptuje linii Odry i Nysy jako ostatecznej granicy polsko-niemieckiej by polepszyć stosunki z Polską. I dodał, że nie należy wymagać, by NRF broniła interesów narodu polskiego.

Jeżeli Dr Mende sądzi, że oficjalne popieranie szowinizmu i rewizjonizmu jest najwłaściwszą metodą uśmierzenia lęku przed odrodzeniem się *Furor Teutonicus* — to możemy mu tylko pogratulować istic teutońskiej logiki.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Wyniki pięciokwartalnej polityki zagranicznej Kanclerza Erharda można scharakteryzować bardzo zwięźle: zakwaszenie miodowego okresu przyjaźni francusko-niemieckiej bez jednoczesnego osłodzenia stosunków z Anglią i USA, oraz trwanie w sztywnej a dość nieporadnej postawie w stosunku do Związku Sowieckiego i krajów Europy Wschodniej.

Rządy Kanclerza Erharda świadczą o kryzysie w rządzącej od piętnastu lat Chadejji, przy jednoczesnym wzmożeniu się wpływów Socjalistów (którzy z dużą pewnością siebie szykują się do objęcia rządów po wyborach we

wrześniu), oraz przy wzrastającym hałasie czynionym przez nieuleczalnych nacjonalistów i ekstremistów wszelkich odcieni. Trudno tu oprzeć się wrażeniu, że sam Kanclerz walnie się przyczynia do owego hałasu, tolerując w swym gabinecie obecność ministra Seebohma i pokrywając jego powszechnie znane wysoki stwierdzaniem, że prowokacyjne wystąpienia na zjazdach ziomkowskich to prywatna sprawa pana Seebohma. Inaczej mówiąc: minister w gabinecie Kanclerza Erharda „prywatnie” może być kim chce, jeżeli „oficjalnie” przemilcza kim jest. Osoba ministra Seebohma jest dowodem istnienia głębokiego kryzysu, nurtującego partię rządzącą na najwyższych jej szczeblach. Jaskrawym tego przykładem są również dwie sprawy: admirała Heye i sędziego Jaguscha.



Heye, admirał w stanie spoczynku, poseł Chadeceji do Bundestagu, został obarczony trudną misją pełnomocnika parlamentu do spraw służbowo-porządkowych w odbudowanej armii niemieckiej. Pełen inicjatywy, był admirał przeprowadził dochodzenia w wojsku w przeszło dwu tysiącach rozmaitych spraw i sporządził odpowiedni raport. Natknąwszy się w parlamencie na opory — admirał odwołał się do opinii publicznej, udzielając wywiadu popularnemu tygodnikowi „Quick”.

Zawrzało! Głosy pochwał i uznania, ale także krytyki, a nawet nagany z łona partii, której Heye jest członkiem, były bardzo liczne. Rezultat: po kilku miesiącach wielkiej wrzawy, głównie wokół osoby admirała a nie spraw przezeń poruszanych, Heye pod naciskiem partyjnych kolegów zrezygnował ze stanowiska pełnomocnika parlamentu.

Sprawa sędziego Jaguscha, jednego z najwyższych dostojników sądownictwa niemieckiego, nie osiągnęła tak wielkiego rozgłosu jak poprzednia, po prostu z racji na swój charakter, dostępny tylko intelektualnym warstwom społeczeństwa. Sędzia Sądu Najwyższego Jagusch, zniecierpliwiony funkcjonowaniem sądownictwa politycznego, wystąpił jako publicysta, posługując się początkowo pseudonimem. Po ujawnieniu kto ukrywa się pod pseudonimem — także zawrzało. Wkrótce jednak sędzia złożył podanie o przeniesienie w stan spoczynku. Wraz ze spensjonowaniem sędziego Jaguscha sprawa ucichła, ale i w tym wypadku ważna jest nie osoba sprawcy hałasu, lecz zagadnienie, poruszone przez sędziego Sądu Najwyższego, to znaczy echa wciąż aktualnej afery polityczno-sądowej, łączącej się z nazwiskiem byłego ministra F.J. Straussa i tygodnika „Der Spiegel”.



Innym dowodem kryzysu rządów Chadeceji jest incydent, jaki wydarzył się ubiegłego lata na terenie rozgłośni Deutschlandfunk.

W niespełna rok po uruchomieniu polskiej sekcji Deutschlandfunku, (patrz „Kultura” Nr 10/192 1963 roku) w czerwcu ubiegłego roku usunięto z trzaskiem kierownika tej sekcji, Petra Nasarskiego. Zarzucano mu chyba jakieś wielce karygodne czyny, skoro usunięcia dokonano gwałtownie, z godziny na godzinę. Nie udało mi się dociec na czy polegały te zarzuty, natomiast zdołałem się przekonać, że właściwe przyczyny pozbycia się kierownika polskiej sekcji były natury czysto politycznej. Po prostu

Peter Nasarski nie odpowiadał odnośnym pracownikom Deutschlandfunk, którzy pragną nadal stosować przebrzmiałe teorie i praktyki wielkoniemieckie.

Zarzuty przeciw Nasarskiemu okazały się jakimś drętowym bezsenssem. Trwające już pół roku próby zakłajstrowania incydentu nie dają pomyślnych wyników, wywołana awantura zawisła w próżni. Ale inicjatorzy awantury dopięli celu: z Deutschlandfunku nadawane są codziennie półgodzinne audycje wygłaszane po polsku, lecz redagowane przez wielkoniemieckich pseudo-patriotów. Sekcja polska tej rozgłośni zamieniła się w „aparat do fermentowania rządowych pieniędzy” — jak to w swoim czasie określano niektóre instytucje amerykańskie.

Ostatnio Deutschlandfunk zabiega o współpracę poważnego znawcy zagadnień polskich i specjalisty radiowego, doktora Haralda Laeuen. Na razie dr Laeuen zgodził się, by go Norddeutscher Fundfunk (Hanower) „wypożyczył” na kilka miesięcy Deutschlandfunkowi.

Dalszy przebieg awantury to sprawa mniej ważna. Ważne jest natomiast, że obecna sytuacja polityczna w Niemczech Zachodnich pozwala, by kilku poprzednich wykonawców zdołało storpedować próby pojednawczej polityki i wprowadzić w kłopotliwą sytuację wielu czołowych przedstawicieli niemieckiej radiofonii.



Urzędowa polityka wschodnia Niemiec polega na kurczowym trzymaniu się teorii, że państwo niemieckie prawnie wciąż istnieje w granicach z 1937 roku, że tzw. Niemiecka Republika Demokratyczna jest tylko sowiecką zoną okupacyjną a tereny za Odrą są jedynie czasowo poddane administracji państwa polskiego i Rosji (w odniesieniu do północnej części Prus Wschodnich).

Kryzys partii rządzącej polega między innymi i na tym, że poza — odsetkowo biorąc — niezbyt licznymi fanatykami Wielkich Niemiec, ilość Niemców wierzących w trwałość tej teorii stale i poważnie maleje. Ale teoria stała się urzędowym tabu.

Pod osłoną tego tabu powstała w październiku r.ub. nowa partia polityczna, łącząca rozbitków z zanikających ugrupowań i wszelakich ekstremistów, zwana „National-Demokratische Partei”, NDP.

Teoretycznie, celem NDP ma być restytucja całości Niemiec, oczywiście w jak najszerszych granicach, choćby z 1941 roku. Dalej, przeciwdziałanie „kłamstwu”, że wyłącznie Niemcy ponoszą winę za wywołanie drugiej wojny światowej, oraz położenie kresu „jednostronnym sądom” nad niemieckimi zbrodniarzami wojennymi. Praktycznie, trudno zgadnąć czego się założyciele spodziewają, bo ich szanse we wrześniowych wyborach wyglądają bardzo mizernie.

Zeszłoroczny sympozjon londyński historyków niemieckich i polskich przyczynił się w dużej mierze do utworzenia nowej instytucji, przy uniwersytecie w Moguncji, pod nazwą: *Studiengesellschaft für Fragen Mittel- und Osteuropäischer Partnerschaft, Präsident Prof. Dr. Gotthold Rhode*. (Towarzystwo Badań Współzicia Środkowo-Wschodnio-Europejskiego).

Pod koniec ubiegłego listopada powyższe Towarzystwo po raz pierwszy wystąpiło publicznie, zapraszając sporą listę swych członków i gości na trzy-

dniową dyskusję pod ogólnym tytułem „Życie umysłowe w obecnej Polsce”. W spotkaniu wzięli udział z niemieckiej strony: prof. Rhode ze swym asystentem; prof. Gross, ekonomista z Uniwersytetu w Monachium; dr. Domes z Bonn; dr. Germann z Akademii w Lüneburgu; dr. habil. Hartmann z Uniwersytetu w Marburgu; dr. Laeuen z Radia w Hanowerze; Peter Nasarski były kierownik polskiej sekcji w Deutschlandfunk; dr. habil. Schramm z Uniwersytetu w Marburgu; przemysłowiec Senf z Kolonii i dr. Strobel, ekonomista z Bonn. Z polskiej strony: Jerzy Hauptman, prof. Parkville, Mo, USA, Witold Jedlicki, Józef Mackiewicz, Kazimierz Okulicz, Roman Orwid-Bulicz, K. Zdziechowski i — S.W. Kozłowski.

Nowością w tym spotkaniu były obrady prowadzone po polsku. Okażało się, że wszyscy obecni władają tym językiem, a dr. Schramm — syn profesora Ernst Percy Schramma z Getyngi — imponował nam swą polszczyzną, zdobyłą w ciągu zaledwie dwóch lat studiów historii w Polsce.

Drugą ważną cechą spotkania był udział młodszego pokolenia: dr. Hartmann, dr. Schramm, dr. Strobel i prof. Jerzy Hauptman — to powojenni maturzyści z niedawno przekroczoną trzydziestką.

Dyskusja toczyła się wokół wielu zagadnień życia kulturalnego i gospodarczego w kraju komunistycznym w ogóle, a w szczególności w Polsce, wokół literatury, teatru, filmu i sztuki, cech polskiego marksizmu, literatury krajowej i emigracyjnej oraz kontaktów emigracji z krajem. O jakichkolwiek rezolucjach czy uchwałach nikt z obecnych chyba nawet nie myślał.

Spotkanie to, właśnie przez brak politycznych akcentów, może mieć poważne polityczne znaczenie.



Niemal jednocześnie ze spotkaniem u profesora Rhode odbyły się jeszcze dwie imprezy o zbliżonym charakterze: Dwudzieste pierwsze rozmowy w Barsinghausen, pod hasłem: „Między Prawem a Oporem — dawniej i dzisiaj”, oraz posiedzenie Towarzystwa Popierania Spotkań Zachodnio-Wschodnich w Europie, pod hasłem: „Traktaty Zachodnie i Zagadnienia Wschodnie”.

„Rozmowy w Barsinghausen” (uzdrowisko wypoczynkowe i znane boisko sportowe pod Hanowerem), od dziesięciu lat systematycznie organizowane przez hanowerski „Arbeitskreis für Ostfragen”, stały się szerzej już znanym terenem dyskusyjnym, nie unikającym nawet bardzo kontrowersyjnych tematów. „Towarzystwo Spotkań” jest instytucją znacznie młodszą, koordynującą działalność kilku podobnych stowarzyszeń. Jednym z głównych jego zadań jest wydawnictwo miesięcznika „Europäische Begegnung”. Obie te instytucje są wzajemnie niezależne, mają jednak dużo powiązań personalnych.

Rozmowy w Barsinghausen gromadzą ponad setkę prelegentów i dyskutantów i stanowią niezwykle barwny wachlarz polityczny, światopoglądowy, a ostatnio i pokoleniowy. Głównym tematem był zamach na Hitlera, dokonany przez spisek wojskowych w dniu 20 lipca 1944.

Zebranie „Towarzystwa Spotkań” liczebnie o wiele mniejsze od poprzedniego, ale rozpiętością przekonań równie barwne, odbywało się w Bonn,

w przedstawicielstwie Dolnej Saksonii przy Republice Związkowej. Obradom przewodniczyli kolejno: prezes Towarzystwa, pastor Gerhard Gülzow i naczelny redaktor „Europäische Begegnung” Hans Beske.

Uprzednio zaproszony do wzięcia udziału w dyskusji nad „Probleme im Osten” — pan K. Okulicz wygłosił na ten temat treściwe przemówienie, które spotkało się z ożywioną, na ogół życzliwą dyskusją. Żałowaliśmy, że sekretarz Ministra Wysiedleńców opuścił zebranie, gdy p. Okulicz zaczął przemawiać. Straciliśmy przez to ewentualność usłyszenia miarodajnej krytyki polskiego stanowiska dotyczącego problematyki wschodniej.

S.W. KOZŁOWSKI

ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIÓDMY

ukaze się w końcu stycznia 1965

i będzie zawierał m.in. prace:

T. Katelbacha: *Akt pierwszy dramatu*

płk. F. Kalinowskiego: *Legenda lotnicza w świetle historii*

F. Mantla: *Fragmenty wspomnień*

Rolanda: *Partyzantka na Wileńszczyźnie*

Polacy w Argentynie (II)

Sprawy Materialne.

Związek Polaków nie utrzymuje się ze składek członkowskich. Innymi słowy — składki członkowskie, które powinny być podstawą materialną Związku nią nie są. Poszczególne stowarzyszenia — członkowie Związku — swe należności składkowe muszą wyrównywać co roku przed sejmikiem według ilości swych zarejestrowanych członków-osób, ponieważ od tego później będzie zależała ilość zweryfikowanych na sejmiku delegatów danego stowarzyszenia. Składki te wynoszą w tej chwili 4 pesy od osoby (równowartość około trzech i pół centima francuskiego). Sytuacja taka wytworzyła się z powodu ciągłej dewaluacji pesa, który z roku na rok traci swą wartość, ażeby zaś przekonać delegatów o konieczności podwyższenia składek należałoby wykonać pracę syzyfową. Toteż wpływy ze składek nie wystarczają na to, aby pokryć należność za światło w Domu Polskim. Dlatego Związek Polski musi sobie szukać dodatkowych źródeł dochodów, a tymi jest między innymi — nieśmiertelny sposób wzbogacania kas przez zabawy, które urządza albo sam Związek, albo poszczególne stowarzyszenia, płacące później część dochodu za wynajęcie Domu Polskiego na ten cel. Inną imprezą dochodową jest restauracja tegoż Domu.

Wszystko to jednak razem wzięte nie pokryłoby potrzeb Związku. Od czasu do czasu tedy ogłasza się apele o nadzwyczajne zrywy i wyciska ze społeczeństwa coś nie coś, aby później przez jakiś czas konsumować spokojnie. Takim na przykład nadzwyczajnym zrywem był zakup obecnego Domu Polskiego. Warto z grubsza opisać całą historię dlatego choćby, że została ona przeprowadzona w sposób bardzo nie ortodoksyjny, chociaż dostatecznie skuteczny.

Od dłuższego już czasu zbierało się fundusze na zakup albo domu, albo terenu i budowę. Zbiórka szła opornie, fundu-

sze już zebrane traciły wartość z powodu stałej dewaluacji pesa argentyńskiego. I nagle komuś (niech mi ten ktoś wybaczy, że nie pamiętam jego nazwiska) błysnęła myśl niezwykła. Był oto bowiem dom do kupienia w dobrym punkcie, w niezłym stanie, po małych przeróbkach nadający się na centralną siedzibę Związku Polaków. Posiadane fundusze wystarczyły na wpłacenie zadatku, który też wpłacono. I teraz dopiero zwróceno się do społeczeństwa z apelem: „Rodacy, dom mamy, tylko trzeba za niego zapłacić. Dawajcie pieniądze”.

Rodacy dali. Prawda, że zbiórki powtarzały się kilkakrotnie, że apele bywały dramatyczne („Jeśli nie dotrzymamy raty, to przypadnie dom i wszystko cośmy dotychczas wpłacili”), że te same nazwiska nie tylko nielicznych „milionerów”, ale i zwykłych ofiarnych ofiarodawców powtarzały się kilkakrotnie, ale dom został ostatecznie spłacony, stał się własnością Związku Polaków, daje przytułek takim instytucjom jak Macierz, Harcerstwo, Biblioteka, Związek Kobiet, Głos Polski, Księgarnia Polska i tp.

Entuzjazm zrywu skończył się. Zabrano się do pracy organicznej ulepszeń i przebudowy Domu Polskiego, a właściwie spoczywano na laurach dobrze wypełnionego obowiązku, aby w pewnym momencie stwierdzić, że w kasie brak pieniędzy na najważniejsze pierwsze potrzeby. Przeróbki zaczęły straszyć gruzami poprzez całe miesiące a nawet lata.

Milionerów polskich jest bardzo niewiele. Kto by zaś chciał podkładać za obszerną treść pod to wyświechtane amerykańskim słowo, niech wie, że tutaj w Argentynie za jednego angielskiego funta trzeba płacić prawie 380 pesów, a za amerykańskiego dolara ichże 150. Jak sobie to dobrze przeliczy, wtedy mu ten argentyńsko-polski milioner odpowiednio zmaleje. Tymczasem zaś do ofiarności przede wszystkim tych milionerów, a potem wszystkich innych poczuwających się do obowiązku płacenia patriotów odwołują się i odwoływały wciąż wszystkie polskie stowarzyszenia, instytucje i potrzeby — pieniądze, pieniądze, i pieniądze. Jak wiadomo to Napoleon I potrzebował do prowadzenia wojny trzech rzeczy to znaczy trzykrotnie pieniędzy, Polak zaś jak to ktoś, tylko nie wiem kto, słusznie zauważył, z największą gotowością zaofiaruje raczej życie niż pieniądze. Toteż znowu w roku 1958 w czasie największego nasilenia bezpardonowych choć podjazdowych walk między złomnymi i niezłomnymi, gdy umysły były rozgorączkowane stosunkiem do kraju, kredytem dla Gomułki, odwrotem od polskiego października nagle rozległ się głos ludzi trzeźwych: Polacy, bankrutujemy.

Zwołano nadzwyczajny sejmik, powołano nadzwyczajną komisję gospodarczą i postanowiono stworzyć fundusz gospodarczy. Zadaniem tego funduszu miało być scentralizowanie wszystkich polskich w Argentynie potrzeb do jednego ośrodka dyspozycyjnego i ograniczenie wszystkich składek do jednego sta-

łego dobrowolnie przez każdego dla siebie samego ustalonego podatku rocznego. I znowu chwyciło. Fundusz gospodarczy zaczął urządować sprawnie, podatek dobrowolny został wymierzony i ustalony, pieniądze zaczęły wpływać i zostały rozdzielane według potrzeb poszczególnych instytucyj.

Niestety — w Argentynie szaleje inflacja. Wartość pieniądza zmniejsza się choć powoli ale stale. Sumy zadeklarowane wpływają wciąż w tej samej wysokości, a więc ich siła nabywcza jest coraz niższa. Z drugiej strony kryzys gospodarczy, jaki przeżywa w tej chwili Argentyna, i bezrobocie, pomniejszają i tak nie wysoką zamożność Polaków. I znowu Macierz, i znowu Harcerstwo, i znowu inne towarzystwa występują z apelami o dodatkowe składki, ponieważ sumy przydzielane z funduszu gospodarczego nie wystarczają. Zdaje się, że znowu jakiś energiczny i trzeźwy głos będzie potrzebny, aby huknąć potężnie w karki i sumienia argentyńskich Polaków i pobudzić ich słabnącą ofiarność.

Reprezentacyjne działanie Związku Polaków.

Jedną z najprzyjemniejszych funkcyj prezesów jest reprezentowanie, chociaż oni sami mówią niezmiennie, że to jest najbardziej przykra, choć nieunikniona strona ich działalności. Jak wtedy człowiek jest zaganiany, jak to na nic nie ma czasu, jak go to wszystko nudzi i męczy, ale jak przy tym z dumnie podniesionym czołem i bohatersko spiżowym głosem przemawia, zajmuje miejsca w pierwszych rzędach, składa kwiaty pod pomnikami w otoczeniu delegacyj, nawołuje, wyjaśnia, wyraża przekonania.

Związek Polaków w Argentynie jest wyraźnie antykomunistyczny — co do tego nie ma dwóch zdań. Jasno to stwierdza deklaracja ideowa. Taż sama deklaracja równie jasno i wyraźnie stwierdza, że w sprawach emigracyjnego legalizmu zostawia członkom wolną wolę wyboru. I to jest chyba najśluszniesze stanowisko, jakie można było zająć.

Mamy w Argentynie reprezentanta Rządu Polskiego na wygnaniu (Zamek) i reprezentanta Rady Trzech. Obaj zgadzają się tylko w jednej rzeczy — ogłaszają w „Głosie Polskim” i „Kurierze Polskim” dnie i godziny przyjęć z okazji świąt narodowych — każdy dla swoich zwolenników. Nie wiem, czy te daty uzgadniają między sobą, ale przeważnie się one pokrywają. Są tacy jednak którzy na to utyskują, ponieważ nie mogą brać udziału w przyjęciach obu stron. Na uroczystościach i akademiach mówcy zaczynają swe przemówienia nieodmiennie w sposób następujący:

— Panie Ministrze Rządu Polskiego na Wygnaniu, Panie Przedstawicielu Rady Trzech, Panie Prezesie Związku Polaków, Księżu Rektorze Polskiej Misji Katolickiej, panie, panowie...

Kolejność wymienianych dygnitarzy może ulegać przedstawieniu w zależności od osobistego poglądu przemawiającego, ale zasadniczej treści to nie zmienia. Wszyscy zaś wymieniani dygnitarze siedzą na honorowych miejscach w pierwszym rzędzie, a w przerwach od nudzenia się podniosłością przemówień zabawiają się rozmową w sposób kulturalny.

Ale kwiaty pod pomnikiem San Martina w imieniu wszystkich Polaków składa prezes Związku Polaków, nie ulega bowiem wątpliwości, że to on jest najbardziej reprezentacyjną osobą jeśli chodzi o Polonię argentyńską. Oficjalni reprezentanci PRL nie odgrywają wielkiej roli. Rządy argentyńskie na wszystkie dyplomatyczne reprezentacje państw zza żelaznej kurtyny patrzą nieufnie, jako na ośrodki komunistycznej propagandy i działalności szpiegowskiej. To powoduje, że prezes Związku Polaków wyrasta na główną postać reprezentującą Polaków i polskość. Od niego też w dużej mierze zależy, czy odzyskanie dobrej sławy dla słowa „Polaco” — o czym później — będzie postępowало w szybszym lub też powolniejszym tempie.

Złomni — niezłomni.

Cała sprawa zaczęła się z polskim październikiem, ale żeby ją dobrze po polskiej stronie zrozumieć, trzeba zacząć od argentyńskiej.

Robotnik argentyński komunistą nie jest, ale z komunizmem sympatyzuje. Sympatyzuje, ponieważ komunizm obiecuje mu jako proletariuszowi podniesienie poziomu materialnego bytowania, ale komunistą nie jest, gdyż komunizm nie pozwoliłby mu dorabiać się, skazywałby go na pozostanie na zawsze w szeregach proletariatu, co mu wcale a wcale nie odpowiada. Prawie każdy robotnik poza swą pracą w fabryce posiada na boku jakiś handelek albo warsztat, który prowadzi na własną rękę. Ten stan powoduje, że z jednej strony skutki powiększającego się ostatnio coraz bardziej bezrobocia łagodzą się mocno, a z drugiej strony to, że każdy robotnik czuje się potencjalnym przedsiębiorcą. W jego oczach wciąż jeszcze ludzie dorabiają się, zaczynają od najmniejszych warsztatików, które nagle wyrastają w olbrzymie fabryki. To wszystko wzrostowi komunizmu nie sprzyja.

Robotnik tutejszy jest peronistą. Pamięta wciąż czasy, gdy w pewnym momencie Peron podniósł mu znacznie jego byt materialny, w czym nie było zresztą wielkiego udziału samego robotnika. O tym, że poziom materialny jego po tym pierwszym gwałtownym skoku w zwyż powoli ale stale obniżał się, robotnik już zapomniał. Pozostała legenda Perona jako wielkiego obrońcy robotnika. Krzykliwa propaganda peronowska ma wiele podobieństwa z niemniej krzykliwą propagandą komunistycz-

ną, wiele jest wspólnych argumentów. Obie gwałtownie występują przeciw „zaborczemu kapitałowi amerykańskiemu”, obie prześcigają się w demagogicznych żądaniach, stawianych rządzącym, w demagogicznych obietnicach. Stąd w rozumowaniu robotnika są to siły pokrewne. Do tego dochodzi sympatyczna mu ale także legendarna postać brodatego Kubańczyka, w którym widzi mniej komunistę, a właśnie więcej coś z Perona.

Nie ulega wątpliwości, że Argentyna — jak zresztą wszystkie pozostałe republiki Ameryki Południowej — potrzebuje reform społecznych, gospodarczych, agrarnych, ustrojowych. Jednakże siły będące dziś u szczytu, klasy arystokratyczno-oligarchiczne którym dzisiejszy niedoustrój zapewnia wysoką pozycję społeczno-materialną, sprzeciwiają się jakimkolwiek próbom reform. Każde śmielsze żądanie przeprowadzania koniecznych reform jest w ich propagandzie komunizmem, lewicowością prowadzącą do komunizmu, co samemu komunizmowi wychodzi na dobre, ale stwarza klimat hysterii przeciwkomunistycznej.

Partia komunistyczna, choć nielegalna ale istnieje, działa, czeka, dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana, aby w pewnym momencie wykorzystać anarchię i uchwycić władzę, a argentyński antykomunizm działa na jej korzyść. Najpewniejszym lekiem na niebezpieczeństwo komunizmu byłoby przeprowadzenie koniecznych reform.

Dyplomatyczne reprezentacje krajów strefy sowieckiej z całą pewnością pomagają miejscowym komunistom w każdy możliwy sposób, ale znowu propaganda antykomunistyczna przypisuje im rolę superdemonicznych ośrodków demonicznego szpiegostwa na rzecz demonicznej siły wszystkiego komunistycznego zła, potęgując tym klimat antykomunistycznej hysterii.

Jeśli chodzi o Polaków sprawa rozpoczęła się, jak to już wspominałem, od października. Do tego czasu wszystko w naszej imigracji było jeđnolite. Nowa imigracja była niepodległościowa i antyreżymowa. Stara imigracja także w ogromnej większości była — i jest — antykomunistyczna. U tych, dla których poselstwo PRL (obecnie już ambasada) miało siłę atrakcyjną, wynikało to raczej z naturalnej, patriotycznej — powiedzmy — potrzeby szukania oparcia u jakichś swoich reprezentantów dyplomatycznych, aniżeli z sympatii dla ustroju. Po „odwilży” wzmożona propaganda ambasad państw spoza żelaznej kurtyny spowodowała pewien ciąg do powrotów wśród starych imigrantów lub też nawet wśród ich dzieci, szukających nowości i odmiany. Szybkie i liczne ucieczki tych repatriantów z powrotem do Argentyny, propagandowe rozdmuchanie tych nieraz bardzo dramatycznych repowrotów przyhamowało cały proces. Dotyczyło to w szczególności Ukraińców i Białorusinów, mniej zaś Polaków, Czechów, czy narodów Jugosławii.

Nową imigrację polską przewrót październikowy z miejsca podzielił na entuzjastów kredytu dla Gomułki i niezłomnych antyreżymowców.

Kredytowcy dość nieśmiało ale i dość licznie zaczęli odwiedzać poselstwo i konsulat, starać się o handlowe przedstawicielstwa. O ile w pierwszym wypadku poselstwo wyszło im na przeciw z otwartymi szeroko ramionami, urządzając przyjęcia, pokazy filmów i td. o tyle w drugim oblano ich zimną wodą. Nieznośny biurokratyczny żargon, nie znających się na mechanice wolnego handlu urzędasów, przeplatany frazesem to „po handlowemu” albo „nie po handlowemu”, wyraźne protegowanie grubych miejscowych kapitalistów, nie wyłączając Niemców — wszystko w krótkim czasie odsadziło byznesmanów: Kredytowcy polityczni zrażali się w powolniejszym tempie, w miarę odsuwania się Gomułki od zdobyczy październikowych. Zaimprovizowana przez poselstwo kampania, aby nazwę polityczną czy niepodległościową imigracja zastąpić terminem Polonia i upchnąć imigrację na tory czysto zarobkowe, nie dała właściwie rezultatów. W pierwszej chwili niektórzy złomni dali się nawet na to złapać, ale niezłomni zareagowali ostro, wystąpili do boju i wygrali. Na dłuższą metę zawsze musieliby zwyciężyć, ponieważ wyszła im na spotkanie praktyka gomułkowsizmu w kraju, i zamiast spodziewanego przez entuzjastów pogłębienia październikowych osiągnięć stopniowy od nich odwrót.

Warto by teraz sprecyzować stanowiska dwóch ścierających się poglądów — będą to stanowiska skrajne, albowiem jak to zwykle bywa, było między nimi dużo pośrednich, dużo niezdecydowanych, dużo podchodzących do zagadnienia z oportunistycznego punktu widzenia. A więc złomni dają entuzjastycznie kredyt Gomułce, przez jakiś czas niektórzy myślą o Polonii Zagranicznej jako o emigracjach zarobkowych, później zaś powrót do stanowiska krytycznego w stosunku do rządzących, co nie oznaczało, że wszystko co krajowe powinno być zaetykietowane jako czerwona zaraza. Niezłomni od początku twierdzą, że cały przewrót nas nie obchodzi, bo to tylko kłótnia w rodzinie, albo nawet zawracanie głowy zainscenizowane dla uratowania prestiżu komunizmu i rozładowania wrzenia rewolucyjnego w kraju.

Ale przecież się jednak zmieniło. Z kraju przybywają nie tylko różnego rodzaju urzędnicy, jak na przykład członkowie misji handlowych, którzy zresztą, zaznaczając swój entuzjazm dla Gomułki, podkreślają dość wyraźnie swój antykomunizm ale przyjeżdżają również członkowie rodzin osiadłych tu imigrantów — niektórzy na stałe, inni z wizytami. Kto ma pieniądze, może odwiedzić kraj — robią to początkowo nieliczni i z obawą, że ich mogą z powrotem nie wypuścić, później odważa się na to coraz więcej śmiałków. Następuje ożywiona korespondencja z krajem. Wracający z wizyty w kraju, opisują w bardziej lub mniej obiektywny sposób to co tam zobaczyli, wzniecając falę powrotnej nostalgii, albo jeszcze większą zawziętość. „Kurier Polski” zamieszcza stałe koresponden-

cje swych krajowych współpracowników. Wreszcie odwiedzają Argentynę artyści filmowi i reżyserzy na festiwalu filmowe w Mar del Plata, dyrygenci orkiestr, sportowcy (zawody szybownicowe w Junin). Trzeba przyznać, że większość społeczeństwa podchodzi do tych ludzi z entuzjazmem jako do reprezentantów Polskości — to *polski* sportowiec zdobywa pierwsze miejsce, to *polski* dyrygent orkiestry choć młody, a już międzynarodowa sława, *polski* artysta. Książkę polską i polski teatr, wyzwolone z ucisku cenzury, witamy entuzjastycznie. Marynarze z polskich statków są przyjmowani nie tylko w domach prywatnych, ale i w Domu Polskim z całą gościnnością.

Część niezłomnych, odcinając się zdecydowanie od jakiegokolwiek kredytu i podkreślając swój zdecydowany sprzeciw w stosunku do rządu PRL, podchodzi poważnie do zmian, wyraża zadowolenie ze zmniejszonego ucisku w kraju, styka się z rzeczywistością krajową. Jednak większość zaczyna nie tylko bezpardonową ale i demagogiczną walkę ze wszystkim co krajowe. A więc każdy przybysz z Polski to nasłany agitator, każda książka powinna być bez czytania spalona, każdy wyjazd do kraju, — przejście na żołąd reżymu. I tp. i tp.

Dochodząca do nas prasa polska z innych części świata uświadamia nas, że gdzie indziej dzieje się podobnie i można by nie zatrzymywać się nad tym, jako nad wyrazem hysterii, towarzyszącej wszystkim walkom ideologicznym i wstrząsom rewolucyjnym, gdyby z tą histerią polską nie spotkała się inna histeria — argentyńska antykomunizmu, o którym wspominałem na początku tego rozdziału. Wtedy pewne artykuły w organie Związku Polaków, wskazywanie palcem, albo między wierszami, nabierają znanego nam także i skąd indziej smrodku. Takie na przykład niedopowiedzenie: — on i reżym chwalią Piastów — nie jest jeszcze donosem, jest to tylko sugestia. Ale zdarzają się i bezpośrednie donosy do policji. Policja na przykład przychodzi do tych osób, które stały na czele entuzjastycznego powitania polskich pilotów szybowniczych, bada ich, zbiera o nich opinię, szuka w nich czerwieni.

Pewien prezes pewnego polskiego prowincjonalnego stowarzyszenia urządza całopalenie zaraźliwych książek i dziwi się, że temu jego patriotycznemu czynowi nie tylko nie nadano rozgłosu, ale z dość wyraźnym zawstydzeniem przyciszono.

Inną ilustracją tego stanu rzeczy jest historia z krokodylem. W pewnym momencie — był to chyba gdzieś rok 1958 albo 1959, inż. Tadeusz Taworski, kierownik ogrodu zoologicznego w Płocku, zwrócił się do Polonij zagranicznych z apelem o nadsyłanie mu egzotycznych okazów dla jego zoo, które jest biedne i nie posiada funduszy dla dokonywania zakupów. W zamian za to obiecał przysyłać książki dla dzieci emigranckich od dzieci z Polski. W Argentynie całą tą akcją zajął się inż. Wiktor Ostrowski — podróżnik, andynista, pisarz, entu-

zjasta polskości w każdej formie. Jakieś tam gady sam nałapał i innych do tego pobudzał.

Przyszły książki. Inż. Taworski zapewniał, że już je przejrzał i wszystkie, które by posiadały momenty propagandowe, wysegregował. Niestety: jakieś — nieliczne zresztą — widać prześlizgnęły mu się między palcami, bo trudno by było pośądzać go o świadomą perwersję. Reakcja niezłomnych — krzyk ogromny pod niebiosą: spalić natychmiast całą czerwoną zarazę. Zdrowy rozsądek jednak zwyciężył. Książki dostała Macierz Szkolna do dodatkowego przejrzania i aby niewątpliwe przekazała dzieciom polskim w Argentynie.

Innym charakterystycznym obrazkiem dla tej hysterii, a może tylko dobrze przemyślanej kampanii jest sprawa Skarbów Wawelskich. W okresie kampanii o ich zwrot na Wawel przewodził jej tutaj „Kurier Polski”. Czynił to z zapałem, na jaki tylko stać jego redaktora Zahorę, a jaki się ma zawsze dla słuszności. Nadzwyczajny sejmik Związku Polaków, zwołany na październik 1958 r., powziął między innymi uchwałę, nawołującą do zwrotu Skarbów na Wawel. Po sejmiku organ Związku Polaków wystąpił z oskarżycielskimi artykułami, że uchwała została powzięta nieważnie, przy braku *quorum*, po rozejściu się części delegatów, przez zaskoczenie i w ogóle, że czerwona zaraza.

Sejmik Polonii argentyńskiej co roku uchwała deklarację ideową, która stanowi coś w rodzaju konstytucji, obowiązującej potem całą naszą imigrację. Deklaracja na ogół z roku na rok powtarza się, czasem bez zmian, czasem ze zmianami drobnymi. Głównym punktem deklaracji jest stwierdzenie, że jesteśmy i uważamy się za imigrację polityczną, niepodległościową, nie uznajemy zależności od Rosji, zależności nam narzuconej.

Na temat tego punktu naturalnie także toczyły się dyskusje, o sformułowanie czy tylko niepodległościowa, czy także antykomunistyczna. W danym naszym wypadku to jest to praktycznie wszystko jedno, ponieważ ustrój jest nam narzucony. Ale mogłoby się zdarzyć, że ustrój komunistyczny zostałby przyjęty dobrowolnie przez cały naród, a wtedy sytuacja zmieniłaby się kompletnie. Teraz, po październiku, ten punkt stał się tym bardziej aktualny, a ponieważ ludziom zachciało się nagle odwiedzać kraj, więc także i im należałoby obrzydzić życie, żeby pamiętali, że jadą do źródła wrażej propagandy. I dodaje się w tej deklaracji punkt, że wyjeżdżający tracą członkostwo w swych stowarzyszeniach. Na skutek silnej reakcji przeciwników takiego sformułowania, w niektórych wypadkach całych stowarzyszeń, złagodzano ten punkt w ten sposób, że odwiedzający kraj mają składać swe mandaty przed wyjazdem, a to w tym celu, aby komuś w kraju nie zechciało się reprezentować argentyńskiej Polonii.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

Witold KUSS, sen.

Kronika kulturalna

Nagrody "Kultury" za rok 1964

NAGRODA LITERACKA

Jury Nagrody Literackiej „Kultury” przyznało nagrodę za rok 1964 Wacławowi IWANIUKOWI, zamieszkałemu w Toronto, za jego twórczość poetycką w ostatnich latach.

Tom poezji Wacława Iwaniuka ukaże się w BIBLIOTECIE „KULTURY” w bieżącym miesiącu.

NAGRODA PLASTYCZNA

Nagroda Plastyczna „Kultury” za rok 1964 przyznana została Marianowi KOŚCIAŁKOWSKIEMU, zamieszkałemu w Londynie, którego twórczość artystyczną omawia poniżej Marian Bohusz-Szyszko.

Malarstwo Mariana Kościółkowskiego

Dziewiętnaście lat mija od mego spotkania z Marianem w Rzymie, gdzie znalazłem się po niewoli niemieckiej. Od pierwszej chwili byłem zafascynowany siłą i bogactwem jego erupcji twórczej, choć wydawała mi się wtedy tak niezrównoważona, tak pozbawiona oparcia o jakiś jednolity pogląd na świat; gotów

byłem przywydywać końcową klęskę tych wysiłków, których bogactwo i rozwichrzenie widziałem niby dwa przeciwnie skierowane wektory, niwelujące się nawzajem. Również kolor obrazów Mariana, czynnik decydujący w moim pojęciu o malarstwie, wydawał mi się zupełnie nie na miarę wyjątkowej pomysłowości i oryginalności jego rysunku. O błędności ówczesnego mego osądu przekonałem się po czterech latach, już w Anglii, po zobaczeniu kilkunastu pasteli Marianowych. Jedna z prac tej nieporównanej serii znajduje się obecnie w posiadaniu artysty grafika Zygmunta Kowalewskiego w Londynie. Wrażenie z oglądu tych dzieł zaliczam do najsilniejszych przeżyć w mojej rozprawie z malarstwem nowoczesnym. Nie pamiętam aby jakiś cykl obrazów w moim pokoleniu wydał mi się bardziej oryginalny, a równocześnie świetniejszy w kolorze, bardziej zaskakujący w kompozycji, bardziej klasyczny w precyzji determinowania form nowych i niespodziewanych. Były to wszystko prace „figuracywne”, przedstawiające sylwetki nie z tego świata, umieszczone w bajkowych regionach wysnutych z wyobraźni, a poddanych konsekwentnym prawom; prawom oczywistym dla wrażliwego widza, a niepodobnym ani do tych w świecie realnym, ani do spotykanych w światach innych malarzy. Podobnie jak Przybyszewski o zaginionych szkicach Wyspiańskiego chciałbym wykrzyknąć: rany boskie, gdzie się te pastelki Marianowe podziały? Bo sam twórca nie tylko nie wie gdzie są, ale wyraźnie ten cykl w swojej minionej wypowiedzi — lekceważy...

Marian twierdzi, że interesuje go tylko to we własnym malarstwie co w tej chwili realizuje; i z manią nieprzebranego bogacza inwencji gotów jest wyrzucać na śmietnik najświetniejsze plody swoich wczorajszych dokonań, bo „dziś” zdaje mu się narzucać coś nieporównanie ciekawszego, nieporównanie dojrzalszego. Nie spotkałem artysty dla którego własna pasja twórcza byłaby bardziej organicznie spojona z treścią całego bytowania; swoją twórczością Kościalkowski oddycha i, jak każdy oddychający, nie potrzebuje myśleć o poprzednim oddechu, chociaż ten, poprzedni, był koniecznym warunkiem obecnego i wszystkich następnych...

Siedzę w tej chwili w pracowni artysty — przed stosami obrazów opartych, w przypadkowych seriach, o ściany lub porozwieszanych na nich. Niektóre są mokre — dziś i wczoraj malowane — niektóre powstały kilka lat temu. Staram się zdefiniować istotny rytm tego niewątpliwie jednolitego w swej różnorodności ogromu. Figuracywność ciągle się tu przeplata z abstrakcją, temat zasugerowany aktualnością życia (jak np. śmiercią Kennedy’ego) z tworem najbardziej oderwanej metafizyki wizualnej. Wielkie masy, skandujące porządek kompozycyjny obrazu, prawie zawsze mają za towarzyszy roje drobniaków ściśle zdefiniowanych i zaczerpniętych bądź z natury, bądź z fantazji — a wszystko tak ostro zamknięte, tak odrzu-

cające wszelką mglistość i niedopowiedzenie formy, że jest oczywiste: Marian widzi świat otaczający i świat swej wyobraźni z równą dokładnością. Psychologowie nazywają taką wyobraźnię — ejdetyczną. Przybyszewski twierdzi, że ejdetykiem był Wyspiański. Niewątpliwie jest nim Kościalkowski.

Nieprzebraność form, które mam przed oczami w tej chwili, łączy się z nieprzebranością zestawień barwnych i gam. Są tu gamy oparte o ostre kontrasty farb, wyciśniętych prosto z tuby, a przecie działających jako wyszukane harmonie dzięki niespodziewanym proporcjom ilościowym mas przeciwnostawnych; równocześnie te surowe kolory są tak wymyślnie okonturowane, że kształt plamy daje w efekcie zupełnie nowy wynik chromatyczny. Oto krótki komentarz do powyższych wywodów, dość trudnych dla niefachowców. Dwie różne masy barwne, umieszczone w bliskiej opozycji, dadzą inny wynik wrażeniowy jeżeli, nie zmieniając ich ilościowych proporcji, zmienimy ich kształty. Jest to cząstkowe sformułowanie jednej z podstawowych tez malarstwa: kształt i kolor w danym układzie wizualnym tworzą sprzężoną, współzależną całość: wrażenie koloru zmienia się gdy zmienimy okonturowanie jego masy, wrażenie kształtu zmienia się gdy zmienimy kolor ten kształt wypełniający. Marian Kościalkowski jest właśnie mistrzem w budowaniu układów barwnych przez operowanie kształtami najprostszych elementów chromatycznych, które składają się na fragmenty i na całość jego kompozycji. W wyniku tego procesu realizacyjnego powstają obrazy-wizje o najróżnorodniejszych tonacjach i najróżnorodniejszym sensie tektonicznym; ostre gamy przeplatają się z perlistymi i szarymi, ciepłe z zimnymi, rytmy dysonansowe z delikatnymi i miękko harmonizowanymi. A we wszystkim jest oczywisty jednolity styl, którego tylko jedną cechę potrafię sformułować słownie: nienawiść do wszelkiego braku decyzji w ewokowaniu formy; najdziwniejsze, najbardziej niesamowite jej manifestacje są w kreacjach Mariana zawsze czytelne i klasycznie zamknięte.

Gdy kontemplowałem świat obrazów Marianowych nasunęła mi się przez paradoksalną różność „Komedia Ludzka” Balzaca. Tu — komedia kosmosu stworzonego przez wyobraźnię malarza, którego prawa są dziwną a przecie konsekwentną parafrazą i istot ludzkich, i zwierząt, i roślin, i minerałów, zobaczonych w jeszcze bardziej zdumiewającym świecie, który filister nazywa powszednim.

Był okres, zdaje się pokrywający się z dziesięcioleciem 1950-60, gdy Kościalkowski, niby dzisiejszym językiem mówiący Goya, starał się wypełnić swoje malarstwo krzykiem o nędzach ludzkich. Szukał tematów do tych malarskich streszczeń, w czasie swych wycieczek letnich na półwysep Iberyjski, w życiu ludu hiszpańskiego. Był to najbardziej realistyczny okres Mariana. Ale i wtedy, obok kompozycji zabarwionych odcieniem satyry na stosunki społeczne, manifestuje się często ulu-

biona postawa malarza: patrzenie na świat jak na teatr mario-netek, skojarzonych i zdeformowanych w relacjach, których jedną logiką i uzasadnieniem jest kaprys twórcy.

Po tym okresie, raczej figuratywnym, Marian pogrążył się na kilka lat w „czystej” abstrakcji. I tutaj nikogo nie naśladował, a wiązał się z dawną linią swej wypowiedzi przez umiłowanie malarskiej konkretności przedmiotu, który utracił obecność w jego kompozycjach wszelkie, nawet najdalsze, echa naturalizmu. Natomiast jasność i demonstracyjna określoność każdego kształtu pozwala nazwać styl Kościalkowskiego, już teraz w pełni wykrystalizowany, odmianą neo-klasycyzmu. Ostatnią fazę twórczości artysty, w którą wszedł po ciężkiej chorobie, cechuje łączenie elementów oderwanych z formami realistycznymi (typowy jest tu obraz powstały jako malarska reakcja na śmierć Kennedy'ego).

Wróg śmiertelny akademizmu w każdej formie — jest równocześnie Marian Kościalkowski głębokim znawcą malarstwa na przestrzeni dziejów. Wie on doskonale, że podobnie jak natura ludzka, fizyczna i duchowa, mimo zawartych w niej sprzeczności, obdarzona jest niezmiennymi cechami — malarstwo z prawdziwego zdarzenia ma też właściwości niezienne. Pamiętam jak w jednym z artykułów, ogłoszonych jeszcze we Włoszech, pisał Kościalkowski (w tym sensie — nie mam tekstu pod ręką): uczyć się musimy od wszystkich epok, np. od Etrusków, i stwierdzimy, że istnieją prawa niezienne w malarstwie — np. płaskość plamy barwnej. Cała twórczość Mariana jest podporządkowana temu prawu, a raczej jest z nim w zgodzie. Ale płaskość plamy barwnej, i ogólniej płaskość obrazu (pojęcie równoważne jednolitości nasycenia powierzchni kolorem) nie jest w żadnej sprzeczności z interpretacją przestrzeni trójwymiarowej na dwuwymiarowej powierzchni malowidła. Cała wizja europejska, od Giotta do Cézanne'a i po dzień dzisiejszy, koncentruje się na problemie interpretacji przestrzeni; rozwiązywanie tego zagadnienia jest też częścią zadań, które stawiał sobie Kościalkowski w ciągu całego swego rozwoju, a dowodem jego wybitnej wrażliwości na sens barwy w obrazie jest fakt że nigdy zasadnicza płaszczyznowość jego wizji nie uległa spaczeniu; nawet wtedy gdy interpretacja trójwymiarowości była w grze w jego kompozycji malarskiej.

Już w Rzymie (lata 1945-6) poznałem możliwości Mariana w rysunku; było jasne, że jest on kandydatem na mistrza w tej dziedzinie plastyki. Miał już zresztą wtedy osiągnięcia mistrzowskie. Wystarczy zobaczyć jego rysunki z bitwy pod Monte Casino. Niektóre z nich są reprodukowane w wielkim dziele Wańkowicza na ten temat; jeden z nich — „Wynoszenie Rannego” — jest arcydziełem nowoczesnego realizmu. Tysiące rysunków, które Kościalkowski zrobił w ciągu lat ostatnich (przeważnie przy użyciu pióra, patyka lub pędzla) oscylują między ekspresją neo-realistyczną a pewnego typu surrealizmem. Nie

znam dziś polskiego rysownika o większej sile i oryginalności od Mariana Kościałkowskiego. A i wśród obcych na pewno należy do awangardy najsilniejszych.

Marian Kościałkowski urodził się w r. 1914-ym. Przed wojną ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Przeszedł przez Rosję i bliski Wschód. Był w szeregach 2-go Korpusu we Włoszech w latach 1944-6. Mieszka w Londynie od lat 16-u. 14 lat temu miał indywidualną wystawę w jednej z czołowych galerii Londynu — braci Gimplów. Później brał udział dorywczo w licznych wystawach polskich i angielskich. Ze artysta tak wielkiej miary wystawiał tak stosunkowo mało i rzadko, że nie miał wielkich wystaw zbiorowych poza jedną wspomnianą, tłumaczy się prosto: Kościałkowski jest tak bez reszty oddany pracy twórczej, że wszelkie starania o zewnętrzne wystąpienia na pokazach, czy rynkach sztuki, są poza programem bezcennego dlań czasu. Właściwie zamknąłem jego życiorys w kilku zdaniach. Dla takich ludzi jak Marian Kościałkowski — życiorys — to historia ich trudu twórczego.

Kilka godzin po napisaniu powyższego artykułu zwiedzałem w galerii „New Vision” w Londynie wystawę Zrzeszenia Plastyków Polskich w Wielkiej Brytanii”; są tam pokazane również dwa obrazy Mariana Kościałkowskiego — „Wnętrze” i „Martwa Natura”. Ogląd tych prac nasunął mi potrzebę rozszerzonego komentarza do tezy o współzależności formy i koloru w malarstwie, a w następstwie, jeszcze oczywiście, zobaczyłem jak konsekwencje tej tezy przejawiają się w wizji Mariana.

Cézanne twierdzi: gdy kolor jest u szczytu — forma jest u szczytu; w malarstwie jego, i w poglądzie na nie, kolor jest punktem wyjścia, argumentem czy zmienną niezależną (terminologia matematyczna); forma-funkcją, zmienną zależną; w procesie twórczym czymś pochodnym, co musi się zrealizować — pod działaniem świadome budowanego koloru. Prymat koloru w malarstwie jest postulatem dla Cézanne’a. Jak i dla całego pokolenia malarzy, którzy konsekwentnie szli po drodze tak jasno widzianej przez olbrzyma z Aix.

Ale potężny Ingres, parę dziesiątków lat przed Cézanne’em, sformułował tezę wprost przeciwną! — Dla niego obraz „dobrze narysowany” (forma — u szczytu) będzie *automatycznie* „dostatecznie” dobrze namalowany!!

— Gdzie jest więc „prawda”? — chcielibyśmy zapytać jak malarski Piłat.

Któż wątpi (mowa o tych co mają oczy w rozumieniu malarza), że Cézanne, wychodząc ze swojej „modulacji kolorem” osiągnął w niektórych martwych naturach i portretach szczyty formy? Ale nie da się też zaprzeczyć, że Ingres w niektórych dziełach, jak np. „Odaliska” (Louvre; siedząca, widziana od tyłu, po kąpieli) i w niektórych portretach dochodzi do szczytów w kolorze; w dziedzinie, którą uważał za podrzędną,

a której prawa, jak widać z wyniku, w tych działach w pełni doszły do głosu. Po prostu: Ingres tak absolutnie rozumiał sens obrazu przez formę, że rozprawa z nią, doprowadzona do ostatecznych konsekwencji, musiała uwzględnić „kolor” — niejako automatycznie. Jakiż stąd wniosek? I Cézanne, głoszący prymat koloru, i Ingres, głoszący prymat formy — obaj mają rację w świetle uogólnionej, godzącej sprzeczność tezy: forma i kolor w malarstwie są sprzężone organicznie i współzależnie. Ale są różne konstrukcje twórcze wśród malarzy. Jedni dochodzą do pełnej wizualnej treści obrazu wychodząc z koloru (jak Cézanne), drudzy — z formy (jak Ingres). Tryumf, wizualnie ortodoksyjny, może być osiągnięty na obu tych, pozornie sprzecznych, drogach. I oczywiście — przy potencjałach twórczych z prawdziwego zdarzenia.

Kościątkowski może być uważany za klasyczny przykład malarza, który osiąga syntezę obrazu wychodząc z formy, jako zasadniczej postawy. Do tego samego typu należy w wizji współczesnej Picasso. Doskonałym przedstawicielem postawy wyjściowej z koloru — jest Bonnard. U nas Potworowski.

Marian BOHUSZ-SZYSZKO

Florian Czarnyszewicz (1895-1964)

„Moje zdrowie pod psem — pisał Florian Czarnyszewicz 30 sierpnia 1955 roku. — Chwała jednak Bogu, że już przeżyłam sierpień. Tutaj jest takie powiedzonko, że kto przeżyje *Agosto* to już może żyć rok czasu. Sierpień to bardzo zdradliwe tu przejście zimy do wiosny...”

Od owego sierpnia dane było panu Florianowi przeżyć jeszcze dziewięć lat i wydać dalsze dwie powieści, ale umarł właśnie w owym zdradliwym *agosto* dnia 18, 1964 roku.

Zabrakło człowieka szlachetnego i świadka rzetelnego całego szmatu historii ziem północno-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, dzisiejszej Białorusi sowieckiej.

Dziesiątki, a może setki tysięcy ludzi doświadczyło w ciągu pierwszego dwudziestolecia tego wieku podobnych losów, co F. Czarnyszewicz na tych zawsze najazdami zagrożonych ziemiach, o sprzecznych wpływach Wschodu i Zachodu, o złożonej kulturze, wielojęzycznego, wielowyznaniowego kraju. Ale jeden tylko Czarnyszewicz dał nam poznać, dotknąć, pamiętać dzieje tamtych lat.

W czterech powieściach, pisanych nie tylko z talentem i z zacięciem rasowym pisarza, ale sumieniem obywatelskim niezamąconym ani religijnym, ani narodowym, ani klasowym fanatyzmem, w poczuciu odpowiedzialności bezstronnego świadka, w powieściach pisanych krwią serdeczną — wszedł Czarnyszewicz na stałe do literatury polskiej.

„Kochałem i kocham swój kraj — pisał do p. Akuły, pisarza białoruskiego — dlatego, że żyli w nim obok siebie Białorusini, Polacy, Litwini, Żydzi starowiercy i Tatarzy, że w miastach były kościoły, cerkwie, synagogi i kirki, że byli chłopci i szlachta i mieszczenie. Współżyciu naszemu szkodziły tylko niesprawiedliwy podział dóbr ziemskich oraz intrygi sąsiadów. Różnice ras i kultury wśród obywateli nie stają na przeszkodzie postępu i szczęśliwości”.

Ale p. Akuła, autor obszernej powieści pt. „Zmaharnyja Darohi” twierdząc, że dąży do porozumienia polsko-białoruskiego podkreśla w tej powieści jedynie krzywdy doznane od szlachty i nieprawości Polaków, o których mówi jako o strupach pokrywających ciało jego ojczyzny, jako o robactwie (*kuzurka*), które należy wyduścić. A mianem „kuzurki” ogarnia nie tylko obszarników ale szlachtę schłopiałą od wielu pokoleń, zagrodową i zaściankową, wrosłą w te ziemie od wieków i bezlitośnie przesładowaną i rugowaną od dwustu lat przez rządy carskie, a następnie bolszewickie.

„Skąd pan wiesz — pisał F. Czarnyszewicz do K. Akuły — żeś od wieku jest Akułą? Śmieiej mogą to mówić Poleszucy bo ich przed napływem sąsiadów broniły błota... Na północ od Polesia były drogi i ludzie przesuwali swe siedziby ze wschodu na zachód i odwrotnie. Pana przodek przed pięciu wiekami mógł przywędrować ze Żmudzi i nazywać się Akulajtisem, lub z Mazowsza — Akulickim, albo z Ukrainy — Akulenką... Chłopi stawali się szlachtą a szlachta wygasła przechodząc do stanu chłopskiego. Bóg dopuszczał na nasze kraje burze i wiatr nasiona brzoźek przenosił w chojnik, a sosenek w brzeźniak. Ważne to, że pan jest synem swego kraju. Ja też jestem synem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Mój ojciec i dziad i dziad mego dziada urodzili się i złożyli swe kości w tej ziemi i sądzę, że wolno mi rodzinny kraj kochać i tęsknić do niego i myśleć o nim, i cieszyć się gdy gospodarze czynią coś mądrego i szlachetnego, a smucić gdy popełniają błędy...”

Iluż z nas w młodości „górnej i durnej”, jako polscy patrioci, nie zdawało sobie sprawy z tej odrębności Białorusi. W roku 1917, po pierwszej rewolucji, w okresie Rządów Tymczasowych zwołany był w Mińsku w wielkiej sali Towarzystwa Rolniczego wiec polski. Podane było pod głosowanie czy kraj nasz, Białoruś, ma być włączony do Polski niepodległej, czy połączony unią państwową. Ogromna większość zebranych opowiedziała się za włączeniem, w imieniu stronników unii wypowiedziało się dwóch najrozsunniejszych i najbardziej zasłużonych obywateli Roman Skirmuntt i Edward Woyniłłowicz, podkreślając różność Białorusi od Polski etnograficznej. Pan Aku-

ła zarzucał Czarnyszewiczowi sfałszowanie historii Białorusi i to, że takich ludzi jak Wicik Żywica było bardzo mało. Czarnyszewicz zaś twierdził, że ich było w tamtych latach tysiące i że wszyscy myśleli podobnie jak Wicik Żywica, bohater powieści, i Kościk Wasilewski.

„I nie byli to koroniarze a synowie Wielkiego Księstwa Litewskiego, wielu z nich w domu nie mówiło po polsku, ale miana Biało — czy Czarno-Rusinów nie akceptowali, bo ruski dla nich oznaczał trzy czwarte Moskala. Nazywali siebie Polakami, ale czuli swoją odrębność i gdyby wówczas jakaś mądrość, jakiś autorytet uzgodnił i wprowadził w życie miano Litwina (w znaczeniu Mickiewiczowskim) lub Krywiczana, chętnie by to przyjęli!”.

Pisząc „Wिका Żywicę” Czarnyszewicz sądził, że jeśli nie zbuduje mostu dla polsko-białoruskiego porozumienia to przetrze chociaż kładkę, którą można będzie przy dobrej obopólnej woli poszerzyć. Zamiar chybił celu, bo ideologia rozsadziła ramy powieści na szkodę całości. Podobnym zamierzeniem „z lepszym skutkiem” kierował się autor pisząc „Chłopców z Nowoszysek”, których akcja toczy się na wschodniej Wileńszczyźnie w latach 1921-22, po wojnie bolszewickiej.

„Aby wyczerpać wszystkie poruszane w *Chłopcach* tematy, trzeba by kilku grubych tomów — pisał mi autor — i lektura mogłaby wypaść nudna. Chodziło mi o naświetlenie ważniejszych problemów: ówczesny stosunek dworu do chłopów i chłopów do dworu, jak chłop pragnął tej ziemi i jakich środków w walce o nią się imał, jak się budziło poczucie narodowości Białorusinów, jak szkodziła młodemu państwu polskiemu Rosja Bolszewicka i jakich, pod płaszczykiem propagandy niepodległej Białorusi nasyłała dobrze opłaconych „agentów” — szpiegów i zbrojów... Czytelnik niech się reszty domyśla. Uważałem, że lepiej nie zagłębiać się w problemy, a tylko drapnąć pazurem za żywe, to wystarczy by człowiek przeniósł się myślą na swe strony, podumał i potęsniał. Myślałem, że jeśli strona ideowa książki zawiedzie, to pozostanie przynajmniej taki siaki obraz bytności polskiej na Kresach, świadectwo przeczące twierdzeniom bolszewików, że Polska tam nic nie zrobiła. Pozostaną utrwalone obyczaje tamtych stron, ich język...”

Każda z czterech powieści Czarnyszewicza ma to ideowe podłoże ściśle związane z akcją, zawsze pełną barw i ruchu, niektóre epizody przemijają aż do zaparcia tchu, godne przygód bohaterów „Trylogii”.

Pierwsza powieść w trzech tomach pt. „Nadberezyńcy”, z podtytułem „Nie za burżujów idziemy”, to arcydzieło Czarnyszewicza: jego ziemia rodzinna w widłach Dniepru i Berezyny, w kryształ zamieniony zaścianek ojczysty, obrazy szczęśliwego dzieciństwa, pierwszego kochania, czynu zbrojnego, przygód żołnierskich. To pory roku rozłożone niby wachlarz przed

¹⁾ Korespondencję swoją z p. K. Akulą przesłał mi F. Czarnyszewicz w odpisach po białorusku i w polskim tłumaczeniu.

oczami czytelnika w blaskach śniegu i księżycowego mrozu, w potędze wiosennych roztopów, huku nadciągającej burzy i rozkołysanej na wichrze puszczy, w różnaitości obłoków letnich i chmur jesiennych, barwach listopada i bieli pierwszych szronów, bogactwie kwiatów wiosennych i śpiewie ptactwa. Wydane w 1942 w Buenos Aires, jako nieporadny volumen in 4° z dawną wyczerpane, domagają się „Nadberezyńcy” wielkim głosem wznowienia, jako jedna z najpiękniejszych, a zarazem najczytelniejszych książek ostatniego dwudziestolecia. Osobiście Czarnyszewicza nie poznałam, ale dwanaście lat stałej korespondencji zbliżyły nas i związały głęboką przyjaźnią. Pośredniczyłam w wydaniu jego ostatnich powieści „Losy pasierbów” i „Chłopcy z Nowoszysek”*), p. Florian śledził zawsze życzliwie i serdecznie moje prace, a mnie cieszyły jego osiągnięcia.

Emigrując za chlebem w 1924 roku z Polski, Czarnyszewicz nie wiedział na jakie natrafi w Argentynie trudności, na jaką wrogość skomunizowanych już zorganizowanych „Słowian” argentyńskich wobec Polaka i byłego polskiego żołnierza („Losy pasierbów”). Dosłużywszy się emerytury po 30 latach pracy w chłodniach Berisso, osiadł z żoną i córką w 1956 nad jeziorem San Roque, w Villa Carlos Paz we własnym, białym domku wśród kwiatów, polskich brzoź i argentyńskich cyprysów. Zdrowie miał zniszczone, cierpiał na ciężką astmę i wadę serca, ale żył pracą do ostatniej chwili. Poza pisarstwem uprawiał swój ogródek, nie uznawał rybołówstwa, którym się bawili sąsiedzi.

„Lubię grzebać w glebie — pisał — i hodować rośliny, gdy mi coś zakwita cieszę się, gdy usycha, boleję. Tak jak by to było poważne nieszczęście. Chandra mnie często napastuje i płakać się chce, objaw jak dla mężczyzny bardzo niepoehlebny. Ciągłe jak by na kogoś i na coś czekam...”

Pisał tak w złym miesiącu *agosto*, na dwa lata przed śmiercią — aż się doczekał wiecznego odpoczynku.

I jemu, przyjacielowi drogiemu, człowiekowi żywej wiary wolno mi zakończyć to pożegnanie słowami z liturgii Jutrzni Żałobnej:

„Chociażbym kroczył po ciemnej dolinie śmierci, nie lękam się złego gdyż Ty jesteś ze mną”. (Ps. XXII).

Maria CZAPSKA.

*) Florian Czarnyszewicz, *Losy Pasierbów*, „Libella”, Paryż, 1958; *Chłopcy z Nowoszysek*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1963.

Komunikaty

NAGRODY FUNDACJI IM. KOŚCIELSKICH.

Rada Fundacji im. Kościelskich, zebrana w Genewie dnia 7 listopada postanowiła za rok 1964 przyznać dwie nagrody literackie po 2.500.- franków szwajcarskich, które otrzymają: Tadeusz Konwicki i Zofia Romanowiczowa, oraz trzy nagrody literackie po 2.000.- franków szwajcarskich, które otrzymają: Bogdan Czapkowski, Wiesław Dymny i Bogdan Wojdowski.

WIECZÓR MARKA GORDONA W CHICAGO

W listopadzie 1964 r. odbył się w Chicago wieczór poezji i prozy, zamieszkłego tu od 14 lat, polskiego poety i prozaika średniego pokolenia — Marka Gordona. Wieczór ten zorganizowany został przez Polski Związek Akademików w Ameryce, Okręg Chicago oraz Komitet Wydania Esejów w związku z ukazaniem się najnowszej książki Gordona — zbioru esejów pt. „Katedra”. Książka wydana została przez londyńską Oficynę Poetów i Malarzy.

Wieczór zgromadził około 300 osób. O autorze mówiła Róża Nowotarska, a prelekcję na temat ostatniej książki Marka Gordona wygłosił dr Witold Fang. Wiersze, eseje, nowele i felietony Gordona czytali znani miejscowi aktorzy i recytatorzy ze Związku Akademików: Elżbieta Krzemińska, Róża Nowotarska, Jolanta Pawlikowska, Alicja Kiewlicz, Antoni Trzaskowski, Józef Wieszczyk, Stanisław Garczyński, Robert Lewandowski oraz sam autor. Wieczór prowadziła Ewa Buchowska, red. „Amerykańskiego Merkuriusza”, a opracowaniem strony muzycznej zajmował się Leszek Kobylński z Detroit.

„Katedra” stanowi szóstą z kolei pozycję wydawniczą Marka Gordona; poprzednio wydał on trzy tomiki poezji („Cudzy Chleb”, „Zabawki z Majoliki” i „Muza Miasta”), komedię harcerską pt. „Wielka Gra” oraz zbiór felietonów pt. „Radiowe Igraszki”.

NAGRODY ROY PUBLISHERS INC.

Dla upamiętnienia 40-lecia działalności i uczczenia pamięci Mariana Kistera, założyciela i prezesa ROY'u, dn. 7 grudnia 1964 roku na obiedzie P.E.N.-Klubu w New Yorku, ogłoszone zostały nazwiska tłumaczy, którzy otrzymali Nagrody za najlepsze tłumaczenia książek: z języka angielskiego na polski i z polskiego na angielski. Brane były pod uwagę wyłącznie książki wydane w latach 1961-1963.

Członkami jury byli: Aleksander Janta, Virgilia Peterson i Robert Penn Warren.

Nagroda za tłumaczenie z języka polskiego na angielski w kwocie dol. 250.- przyznana została *Celinie Wieniewskiej* za przekład książki Bruno Schulza pt. „Sklepy cynamonowe” (*The Street of Crocodiles — Cinnamon Shops*).

Nagrodę za tłumaczenie z języka angielskiego na polski w kwocie dol. 250.- jury w osobach Józefa Wittlina, Marii Kuncewiczowej i dr. Ludwika Krzyżanowskiego postanowiło podzielić pomiędzy Krystynę Tarnowską i Bronisława Zielińskiego — po dol. 125.- za całokształt ich pracy.

Krystyna Tarnowska przetłumaczyła z języka angielskiego na polski 20 książek, wśród których znajdują się dzieła Thomasa Wolfe'a, Malcolma Lowry, J. Cronina, Marka Twaina, Erskine Caldwell'a i innych.

Bronisław Zieliński przetłumaczył z języka angielskiego na polski 40 książek (i wiele sztuk teatralnych) Hemingwaya, Steinbecka, Ewelyn Waugh'a, Roberta Penn Warrena, Hermana Melville'a i Aldous Huxleya.

ROY Publishers, Inc. ogłosiło ponadto 3 dodatkowe Nagrody za tłumaczenie z języka angielskiego na polski wierszy drukowanych w jednym z trzech literackich pism: „Wiadomości”, „Kultura”, „Tematy”.

Nagrodę w kwocie dol. 25.- otrzymał Wacław Iwaniuk za przekład poezji Emily Dickinson wydrukowany w „Wiadomościach”.

Nagrodę w kwocie dol. 25.- otrzymał Czesław Miłosz za przekład poezji Robinsona Jeffersa wydrukowany w „Kulturze”.

Nagrodę w kwocie dol. 50.- otrzymał dr Stanisław Vincenz za przekłady Walt Whitmana ogłoszone w „Tematach”.

Książki

Skład Płyt

Skład Nut

KSIEGARNIA “ ZWIĄZKOWCA ”

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

ma na składzie WIELKI wybór

POLSKICH KSIĄŻEK

Polecamy polskie książki:

- do nabożeństwa
- powieści
- techniczne
- medyczne
- rolnicze i hodowlane
- podręczniki szkolne.

zaopatrzona jest w DUŻY wybór

POLSKICH PŁYT
GRAMOFONOWYCH

produkowanych

w kraju i za granicą.

- Muzyka
- Śpiew
- Kolędy
- Monologi i recytacje

Utwory polskich kompozytorów
w wyk. polskich artystów.

Piszcie po BEZPŁATNE katalogi. Wykonujemy zamówienia pocztą
Przyjmujemy abonament na „Kulturę” —
Posiadamy na składzie wszystkie książki wydane przez
Instytut Literacki w Paryżu

Dar intelektu

Czytanie „Drugiego przyjscia” sprawia podwójną przyjemność: intelektualną i estetyczną. Sama delektacja jednak nie stanowiłaby o wadze i uroku tej, oraz poprzednich książek Herlinga-Grudzińskiego, gdyby z nich nie przemawiał człowiek, usiłujący ratować naszą moralność, zdawałoby się, bezapelacyjnie skazaną na zagładę. Nie dajmy się zwieść pozornemu pesymizmowi tego pisarza. Jest to tylko baza wypadowa akcji ratowniczej. Gustaw Herling-Grudziński zdaje się rozumować w ten sposób: — Świat się wali? Owszem. Ale czy powinniśmy przykładać ręce do tego, aby się prędzej zawalił? A może jest nadzieja, że się nie zawali? Więc próbujmy go ratować. — Autor „Innego świata”, „Skrzydeł ołtarza” i „Drugiego przyjscia” należy do tych, nielicznych dziś pisarzy, niezwiązanych żadną doktryną ani wiarą, którzy nie poddali się nihilizmowi. W ogóle nie jest on z tych, co łatwo się poddają. Nie ma w nim nic z kapitulanta. Ale też nie zaciera triumfalnie rąk na widok klęsk, które przepowiedział. Wielu „intelektualistów” w naszych czasach dało się rozbroić jeszcze przed poniesieniem klęski. Upajają się potem wątpliwą satysfakcją trafnej diagnozy. Zapewne sama literatura nie wyleczy świata z trapiących go chorób i nie powstrzyma nadchodzącej katastrofy. Ale kto wie, czy nie uodporni, przynajmniej myślącą mniejszość ludzkiego rodu, przeciw siłom, co gotują mu zgubę? Wydaje się, że Herling pracuje w tym kierunku i dlatego utwory jego przerastają swoje intelektualne i estetyczne zalety.

Współczesne piśmiennictwo roją się od „intelektualistów”. W cudzysłowie i bez cudzysłowu. Coraz częściej jednak odkładamy ich ciekawe, a czasem nawet mądre książki z uczuciem czczości, jak po spożyciu przysmaków, raczej szkodliwych niż koniecznych dla zdrowia, a w każdym razie nie zaspakajających głodu. Intelektualizm Herlinga-Grudzińskiego nie jest ani celem samym w sobie, ani mu nie służy do popisywania się przed czy-

telnikiem. Służy raczej do wyjaśniania, jeśli nie do rozwiązywania niektórych zagadek i tajemnic naszego bytu. Indywidualnego i zbiorowego. I zawsze w warunkach dokładnie określonych czasem i przestrzenią, czyli w granicach tzw. rzeczywistości historycznej. Jest więc Herling autorem o zacięciu wybitnie społecznym a nawet politycznym, co nie znaczy, że nie obchodzą go zagadnienia metafizyczne.

Pisarzem takim, jak autor „Drugiego przyjścia”, walczącym o godność człowieka i o przyzwoite warunki jego bytu na ziemi, łatwo przykleja się nalepkę: humanista. Określenie to wydaje mi się powierzchowne, chyba że humanistą jest każdy, komu człowiecza dola i niedola leżą na sercu i gniotą mózg. Humanista w pierwotnym znaczeniu tego pojęcia jest zaprzeczeniem moralisty. Toleruje wszystko, co ludzkie, a więc i zło. Humanizm tego pokroju często prowadzi do nieludzkości, o czym mogliśmy się niedawno przekonać, a na co moralista Herling jest szczególnie uczulony.

Jakże on niepodobny do owych intelektualistów, których José Bergamin potępił i osadził w dantejskim piekle. W tym samym kręgu Inferna, gdzie męczą się ci, co zaprzepaścili „dar intelektu”.

.....le genti dolorose
che hanno perduto il ben de lo'ntelletto”.

(Inf. III, 16-18)

„Słowo 'intelektualny' — powiada Bergamin w książce „Lazaro, Don Juan y Segismundo” — jest groźne. Zadaje ono rany. Bywa dwusieczne. Nie powinniśmy przeto ufać tym, co sami nazywają się poetami lub intelektualistami. Oni z góry są już skazani na dantejskie Inferno”. Niewątpliwie Bergamin ma na myśli pychę. Dantejski natomiast „dar intelektu” jest tym, co nazywamy „iskrą Bożą”. Dar „intelektu” usiłuje w człowieku zdeptać posępny diabeł, Belzebub, „Król much”, nie ów romantyczny, czarujący „Światło niosący” Lucyfer. Diabeł sprowadza człowieka do stanu ogłupienia i zezwierzęcenia. W najpiękniejszym opowiadaniu, zamieszczonym w „Drugim przyjściu”: w „Księciu Niezłomnym” również jest mowa o „darze inteligencji”. Niezapomniany bohater tej noweli, książę Gaetano Santoni „piętnował codzienne deptanie przez dzicz w czarnych koszulach włoskiego „daru inteligencji”. Myślę, że sympatia polskiego autora dla tej szlachetnej, kto wie, może autentycznej postaci świadczy wymownie o darze intelektu, którym rozporządza sam autor, chociaż pewno by się zżymał, gdybyśmy jego talent przypisywali „iskrze Bożej”.

Co do przyjemności estetycznej, z jaką czytamy „Drugie przyjście”, nie jest ona tylko owocem starań autora o piękno wystąpienia. Piękno to jest organicznie związane z „darem intelektu”. A dodajmy, że jest to intelekt wyjątkowo — jak na

nasze czasy — jasny i przytomny. W utworach Herlinga-Grudzińskiego nie ma interesujących majaczeń, którymi nas karmi dzisiejsza literatura. „Drugie przyjście” pisał człowiek trzeźwy i zdrowy. Nie wstydzmy się trzeźwości ani zdrowia, jakkolwiek niejedno arcydzieło zawdzięczamy *morbidez* i opętaniu. Ale czy nie za wiele patologii stało się obecnie już nie tylko zachynem, ale samym chlebem powszednim „pięknej sztuki pisania”, jak ją w nader dramatycznych okolicznościach nazwał i na świadectwo „epoki pieców” wezwał Adolf Rudnicki? Nasza epoka jest i bez pieców krematoryjnych Oświęcimia dostatecznie obłąkana, więc dobrze jest niekiedy spotkać pisarza, który sumiennie bada jej obłąd, sam nie będąc pacjentem. W takich czasach, jak nasze, trzeba mieć odwagę zwalczania aberacji, a nie poddawania się im. Herling-Grudziński posiada tę odwagę. I to też go wyróżnia spośród tylu jego piszących rówieśników. Pisarskie jego zdrowie przejawia się w samym stylu, w klarowności myśli, obrazów i zdań. Nie należy wszakże tego zdrowia utożsamiać z tzw. krzepą, na którą chorowała niejedna literatura przed ostatnią wojną i niejedno społeczeństwo dało się tą „krzepą” śmiertelnie zakazić.

W utworach Herlinga-Grudzińskiego od razu rzuca się w oczy fakt, iż pisarz ten obiema nogami stoi mocno na tej i tylko na tej ziemi. Obojętne, jaka to jest ziemia. Czy lodowata, nieludzka, pod kołem polarnym, czy bardzo ludzka nad zatoką Neapolitańską. Tu i tam autor „Innego świata” nie przestaje się troszczyć o ludzi, których napotyka i wśród których musi żyć. Od razu czuje się ich towarzyszem. Rzadko spogląda w niebo, gdyż nie spodziewa się stamtąd pomocy. Mimo to potrafi lojalnie odnosić się nie tylko do ludzi, spoglądających w niebo i ufających siłom nadprzyrodzonym, ale nawet do doktryn i mitów, którymi te siły posługują się w obcowaniu z ludźmi. Przykładem: ostrożność, z jaką autor „Drugiego przyjścia” podchodzi do spraw wiary i Kościoła katolickiego. A pamiętajmy że to podchodzenie racjonalistycznego moralisty odbywa się w epoce opromienionej blaskiem pontyfikatu i zapewne niedalekiej już aureoli Jana XXIII. Nie jest też obojętny fakt, iż Herling-Grudziński od wielu lat mieszka we Włoszech, a więc w pobliżu kolebki *aggiornamento*, kiedy to sam Kościół rzymski chce z siebie zrzucić brzemiona, niepotrzebnie obciążające stare „mystyczne Ciało Chrystusa”. Autor „Drugiego przyjścia” jakby z pewnym zażenowaniem chował się w wielkim cieniu, który od wieków rzuca chrześcijaństwo na umysły i wyobraźnię. I od wieków zapładnia sztukę, zapraszając artystów do tworzenia nowych wersji starych, ale wciąż żywych motywów. Każdy czytelnik „Skrzydeł ołtarza” i „Drugiego przyjścia” bez trudu zauważy fascynację religii i Kościoła, jakiej, nie tylko z czysto estetycznych pobudek, ulega trzeźwy, przytomny, kurczowo trzymający się ziemi autor tych pięknych opowieści.

Postawę jego wobec wiary, a raczej wobec fanatyzmu wier-

nych we wczesnym włoskim Średniowieczu (przypominają się tu niekiedy „Żywe Kamienie” Berenta) najlepiej określi zdanie, wyjęte z tytułowego opowiadania w zbiorze „Drugie przyjście”. O fanatycznych pokutnikach, zwanych *disciplinati*, którzy 4. maja 1260 r. wyszli w czarnych workach na głowie na ulice Peruggi, powiada autor iż „szukając wiekuistej światłości, weszli w ciemność”. Kto wie, czy w tym jednym zdaniu nie mieści się istota wszystkich pretensji moralisty Herlinga do Kościoła i do aberacji, wywołanych fanatyzmem? Autor „Drugiego przyjścia” zgodziłby się chyba na istnienie wiekuistej światłości i, kto wie, czy sam by jej nie pragnął, gdyby w dziejach, tak mu przecież drogiej, cywilizacji, słusznie lub niesłusznie zwanej chrześcijańską, dążenia do tej światłości tylekroć nie utrudniała i nie unicestwiała ciemność. Ciemność, czyli zatracenie dantejskiego „daru intelektu”.

Skrzywdzilibyśmy Herlinga zaliczając go do liberałów, tak samo, jak zbywając go nazwą humanisty. To jest pisarz wybitnie z a n g a ż o w a n y, wyraźnie polityczny i odrzucający wszelkie ideologie, które mu wydają się niemoralne i szkodliwe. To pisarz po łokcie zaangażowany w służbie bliżnim i to nie abstrakcyjnym bliżnim. Jedną z form tej służby jest jego publicystyka, ożywiająca tępno tak świetnych szkiców literackich jak „Cierpienia młodego outsidera”, „Izaak Babel” lub „Demon naszych czasów”.

Gustaw Herling-Grudziński nigdy nie jest bohaterem swych opowieści. Nawet, gdy pisze o sobie. Toteż dramatyczne jego przygody są ważne w jego relacji nie dlatego, że on w nich uczestniczy, lecz ponieważ dotyczą i moralnie obciążają nas wszystkich. Rzadka to zaleta w „epoce pieców”, która niestety tyłu autorom dostarczyła tworzywa z ich własnych przygód. Przygody te, wiarygodnie opowiedziane, usprawiedliwiają nawet egocentryzm owych autorów. Ktoś, kto nie czytał „Innego świata” mógłby mniemać, że „Drugie przyjście” i „Skrzydła ołtarza” pisał jakiś benjaminek Fortuny, któremu ona oszczędziła ciężkich prób i doświadczeń. Co prawda w przedmowie do „Drugiego przyjścia” wspomniane jest indywiduum nazwiskiem Mickiewicz, które autor spotkał zimą 1940 roku w Grodnie, a bez którego może nie mielibyśmy „Innego świata”. Autor „Drugiego przyjścia” przeszedł przez lodowate piekła sowieckich łagrów, lecz powrócił z nich bez poczucia własnej wyjątkowości. Obozowe i wojenne przejścia wyostrzyły mu umysł i wrażliwość na niedolę innych ludzi. Toteż Herling należy do tych pisarzy, którzy „czują” drugiego człowieka i to nie tylko w odniesieniu do swojej osoby. Jakie trzydzieści lat temu, owo „czucie” drugiego człowieka było naturalne u każdego, kto zabierał się do pisania książek, ale nie dziś, gdy tyle książek piszą męczennicy introspekcji. Herling-Grudziński nie częstuje nas osobliwościami swego wnętrza. Woli nam opowiadać o innych ludziach i to w taki sposób, że ich sprawy stają się naszymi sprawami. Jest to zatem pisarz wolny

od narcyzyzmu. Nie przegląda się w lustrze, gdyż wie, że posiada własną, wyrazistą, niekiedy gniewną twarz. I nie podrabia cudzych, interesujących fizjognomii. Nie jest też dandysem, nawet w tym głębszym sensie, jakim zaszczycił dandyś Camus w „L'homme révolté”, nazywając dandyzm „zdegradowaną formą ascezy”. Według Camusa „dandys gra swoje życie, nie mogąc go przeżywać”. Herling-Grudziński przeżywa swoje życie, więc nie ma potrzeby go grać. Ani przed nami, ani przed sobą.

Jest pisarzem emigracyjnym, więc podlega prawom*), spod których nie może się wymigać żaden pisarz, przebywający po za własnym krajem. Jakkolwiek Herling interesuje się wszystkim, co się tam dzieje i pisze, jest on odsunięty od imponderabiliów powszedniego życia w Polsce. Z daleka może śledzić tylko gotowe, już skrystalizowane, jeśli nie skostniałe, a więc uchwytnie i nazwane objawy tego życia. O imponderabiliach, nie mających jeszcze konturów ani nazw — pisarz emigracyjny dowiaduje się jedynie z ustnych lub pisemnych relacji innych osób lub autorów. Nie pomoże mu nawet turystyka do ojczyzny. Nie uwolni go od perspektywy outsidera. Herling dobrze o tym wie, skoro w usta swego „Księcia Niezłomnego” włożył te słowa: „Co innego jest oglądać ojczyste wzgórza z doliny wygnania, a co innego być na nich”.

Pisarz emigracyjny jest skazany na wykorzystywanie wspomnień lub tematów, niezależnych od miejsc jego pobytu. Chyba, że potrafi włączyć się w nurt nowego życia w świecie, który go przyciąga. Bywa tam mile lub niemiłe widzianym gościem, a nie pełnoprawnionym udziałowcem doli tubylców. Oczywiście, że sytuacja przybysza z innego kręgu kultury zaostrza jego widzenie zjawisk, których tubylec nie zauważa. Bogata jest literatura podróżników, nawet takich, co latami siedzą „kołkiem” na jednym miejscu.

Rzadko się zdarza, żeby piszący emigrant zapomniał o przywiezionych ze swojego świata kryteriach, uprzedzeniach lub entuzjazzmach i umiał wtopić się, a nawet rozpuścić w nowym dłań świecie. Sądząc po takich utworach, jak „Książę Niezłomny” lub „Most” Herlingowi udało się to znakomicie. W krótkim stosunkowo czasie poznał on obecną i historyczną rzeczywistość Włoch i przyswoił ją sobie z zadziwiającą swobodą. Gdybyśmy nie wiedzieli, kto napisał „Księcia Niezłomnego” moglibyśmy ten, chyba najpiękniejszy w omawianej książce, utwór uważać za przekład z włoskiego. Oczywiście nie wiemy, czy tego samego zdania są również włoscy czytelnicy. Nam się wydaje, że polski autor nie tylko znakomicie sportretował (obojętne czy „z natury” czy z wyobraźni) urzekające postacie obu antyfaszystów i namalował — wcale nie pocztówkową techniką — pejzaż Ca-

*) Te prawa starał się autor niniejszych uwag zbadać i z grubsza sformułować we wstępie do „Filozofii literatury emigracyjnych”, pt. „Bla-ski i nędze wygnania”, drukowanym w Nr 9/143 „Kultury” oraz w książce „Orfeusz w piekle XX. wieku”.

pri i Zatoki Neapolitańskiej, ale i znacznie trudniejszy *pejzaż polityczny* powojennych Włoch, a więc *pejzaż epoki*. Boje ideologiczne księcia Gaetano Santoni z pisarzem Guidonem Battaglia nazwał autor „pojedynkiem dwóch rywalizujących z sobą arystokracji antyfaszystowskich, z których jedna broniła wygnania z kraju, a druga sensu wygnania w kraju”.

Jakże bliska jest polskim *fuorusciti* problematyka „Księcia Niezłomnego” mimo odmiennego tła, kolorytu i kulturalnej tradycji. „Książę Niezłomny” to nowela polityczna. Ale w żyłach księcia Santoni i pisarza Battaglii płynie gorąca, szlachetna krew, a nie farba drukarska, którą czuć wiecowe odezwy i partyjne ulotki. Pod względem artyzmu można utwór Herlinga porównać z arcydziełem beletrystyki niemieckiej „Die politische Novelle” Brunona Franka, napisanym w pierwszym dziesięcioleciu Republiki Weimarskiej.

Obok „Księcia Niezłomnego” postawiłbym opowiadanie pt. „Most”. Krótki ten utwór opatrzył autor podtytułem: „Z kroniki naszego miasta”. Tym miastem jest Neapol. Jeśli to nie stylizacja, do której autor „Drugiego przyjścia” zdradza pewną skłonność, jeśli istotnie Neapol stał się jego miastem, należy mu powinszować przewyciężenia kompleksu wygnańca. Neapolitańska „naszość” Herlinga, to cenna zdobycz, której pozazdrościć może każda emigracja polityczna i każda literatura. Zwłaszcza polska. Nigdy Mickiewicz (nie ten na usługach N.K.W.D., z którym Herling zetknął się w Grodnie, w marcu 1940 roku, ale ten dawniejszy, z Nowogródka, nie nazywał Paryża swoim miastem. Mimo profesury w Collège de France i posady bibliotekarza w paryskim Arsénale. Jemu nawet Warszawa, której nie znosił „na niewidziane” nie byłaby „naszym miastem”. Wieszcz Adam był zakutym *fuoruscito*. Nasz Neapolitańczyk z Kielec- czyzny w ogóle nie jest zakuty. Pozwala mu to świetnie orientować się w życiu i pismach cudzoziemców.

Lubi Herling nawiązywać do starych tekstów literackich i dokumentarnych. W wstrząsającym opowiadaniu „Wieża”, w książce „Skrzydła ołtarza”, nawiązuje do „Le lépreux de la cité d'Aoste” Xaviera de Maistre, z roku 1811, a w „Moście” do „Cronaca Giornaliera delle Provincie Napoletane” De Sterlicha, z roku 1869. Nieraz też „za odskocznię” do własnych rozważań lub opowieści służą mu cytaty z pism bliskich mu autorów, jak Kafka lub Camus.

W tych uwagach uwzględniliśmy głównie beletrystyczne, a raczej półbeletrystyczne utwory Herlinga, ze szkodą dla jego równie ciekawych, bystrych, czasem namiętnych szkiców krytycznych i sylwetek. Postąpiliśmy tak celowo. Rodzaj prozy bowiem, jaki z powodzeniem uprawia Herling, wydaje mi się znamieny nie tylko dla niego. Ten rodzaj może obecnie przyczynić się do rozwiązania kryzysu, czy też rzekomego kryzysu narracji, opartej na zmyśleniu. Proza z pogranicza beletrystyki i eseju ma przed sobą przyszłość. W trzeźwej, opanowanej, pozornie chłodnej pro-

zie Herlinga-Grudzińskiego — jest poezja bez liryki. Jak do tej pory nie ma Herling ambicji nowatorskich, nie kusi go eksperymentowanie. Forma i styl jego opowieści wskazują na kontynuowanie chwalebnych tradycji. Autor „Skrzydeł ołtarza” i „Drugiego przyjscia” dba o polerunek zdania, o jego brzmienie i kadencje. Lubi ozdobne metafory, ale nie jest ich niewolnikiem. Gdyby Prosper Mérimée lub Anatol France przeszli przez sowieckie łagry i byli pod Monte Cassino i żyć musieli w złowrogim cieniu „Demona naszych czasów”, może pisaliby podobnie jak Gustaw Herling-Grudziński.

Józef WITTLIN

Antyczny szlak Wieniewskiego

Filolodzy klasyczni rzadko bywają ofiarami tyranów lub szalejących ludów. Zdarza się to chyba wówczas, gdy ze skały Tarpejskiej zrzucają hurtem wszystkich piśmiennych. Można przypuszczać, że filolodzy zawdzięczają względne bezpieczeństwo swoim lekturom. Kto czytał Tukididesa, Tacyty i Suetoniusza, wie czego się spodziewać po władcach i ogarniętym szaleńcem ludzie, chociażby nawet ateńskim, i umie w odpowiedniej chwili zniknąć z oczu. W 1918 nauczyciel greki i łaciny kamienieckiego gimnazjum, Opacki, skrył się w szlacheckim zaścianku wraz z kosztem pełnym najlepszych autorów. Gdy jeden z dawnych uczniów, zobaczywszy go, przypadkiem w tym idyllicznym ukryciu, radził mu uciekać do Polski, stary filolog odpowiedział: „Patrz pan, ile mam tu jeszcze do przeczytania. Nie mam czasu zajmować się rewolucją”. Taka postawa zabezpiecza na ogół od prześladowań.

Nauczanie języków starożytnych przetrwało najbardziej nawet niszczące burze dziejowe. Czytam właśnie, że znakomity Adam Gurowski radził Mikołajowi I zakazać w Polsce nauczania łaciny, wraz z którą szerzą się idee republikańskie. Cesarz nie usłuchał jednak tej rady. Przypomniawszy sobie być może, że nigdy nie widziano tylu i tak sławnych panegirystów, co w złotym wieku Augusta. Różnorodność interpretacji, jakim starzy autorzy poddają się bez szemrania, ocalała nieraz studia klasyczne. Grożące im dziś zaniedbanie ma pozapolityczne przyczyny.

W tych warunkach związani z uczelniami filolodzy są mało

ruchomi, nie łatwo rozstają się ze swymi warsztatami pracy. Na emigrację wyjechał z nami tylko jeden zawodowy filolog klasyczny, mianowicie Ignacy Wieniewski. Powinniśmy go tym bardziej cenić, że nie stracił czasu na potęgienne swary. Wykorzystując warunki, jakich nie znalazłby być może w kraju, podjął zadanie wymagające wielu lat skupionej pracy. Było nim nowe tłumaczenie *Iliady*. Tłumaczenia klasyków starzeją się szybko i tracą aktualność u czytelników. Kontakt publiczności literackiej z klasykami wymaga co pewien czas nowych przekładów, dostosowanych do stanu wiedzy o tłumaczonym utworze i do języka nowych czytelników.

Narzekaniom na jałowość emigracji przeciwstawia się fakt, że właśnie emigranci znaleźli czas i ochotę do tłumaczenia Homera. Oszlifowany na nowo — jak by powiedział Martialis — przekład *Odysei* Wittlina i przekład *Iliady* ukazały się drukiem na emigracji. Na takie przekłady czekano dawniej po kilkadziesiąt lat.

O znaczeniu świata *Iliady*, w którym ludzie i Olimpijczycy są tak dziwnie pomieszani, pisałem już innym razem. Ograniczę się więc tu do jednej uwagi. Na wystawach, mianowicie, od dawna już nie widziałem nagich postaci ludzkich. Dlaczego? *Le nu* był grecką formą artystyczną. U Greków mających wciąż w pamięci *Iliadę*, nagości kobiece zawierały aluzje do nieśmiertelnych ciał bogiń. Tradycja ta nie skończyła się na Grekach. Przez długie wieki jeszcze *Iliada* była jedną z najwięcej czytanych ksiąg.

*Je vais lire en trois jours l'Iliade d'Homère
Et pour ce, Corydon, ferme bien l'huis sur moi*

pisał Ronsard. Jak długo pamiętano świat *Iliady*, myśl artystów i patrzących zatrzymywała się na olimpijskich aluzjach. Gdy Homer znikł z pamięci artystów i publiczności, akt stał się popisem wirtuozerii i, odarty z głębszego sensu, znikł wreszcie z sal wystawowych. Można przypuszczać, że ponowne zapoznanie się publiczności literackiej ze światem Homera przyczyni się do pogłębienia sądów i wrażliwości artystycznych.

Różne okoliczności — jak *prosperity* i wczesne zatrudnienie — oddaliły obecną młodzież od studiów klasycznych. Do świata antycznego prowadzą jednak także inne drogi. Wzrost turystyki i ułatwienie podróży dają dziś niemal wszystkim możliwość oglądania miejsc, w których narodziła się, rozkwitła i zgasła cywilizacja antyczna. Turystom brak na razie przewodnika opowiadającego im przeszłość mijanych wybrzeży: Ta wyspa nazywa się Leukada, z tej skały rzuciła się zawiedziona w miłości Safo; to jest dawna Korkira, na której rozpoczęła się wojna peloponeska; to jest Patmos, gdzie św. Jan miał widzenie spisane przezeń w Apokalipsie; oto wyspa Naksos, na której Dyonizos porzucił Ariadnę; w tym mniej więcej miej-

scu Tezeusz, jadąc na Krete, skoczył ze statku do wody i prowadzony przez delfiny złożył krótką wizytę w podwodnym pałacu swego ojca Posejdona, skąd — jeżeli wierzyć Bacchylidesowi — wrócił na statek suchy, z wieńcem róż na skroniach etc. Turyści, z którymi próbowałem tej gry, dali się w nią wciągnąć ponad oczekiwanie. Po powrocie wzięli się do czytania historii Grecji, *Metamorfoz* i oczekują następnych wakacji, aby zobaczyć znów spalone słońcem wybrzeża i skaliste wyspy, zaludnione legendarnymi i historycznymi postaciami starożytności.

Masowa turystyka jest zjawiskiem nowym i przedsiębiorstwa obwożące obcych po krajach śródziemnomorskich nie odkryły jeszcze wartości, jaką dla nich również mogłyby mieć przewodniki historyczno-literackie po najbardziej uczęszczanych szlakach. Wydawcy dostrzegli już te możliwości, bo w rękach niemieckiego turysty we Włoszech widziałem niedawno skrócone wydanie Gregoroviusa.

Wieniewski, który jak wszyscy filolodzy klasyczni zajmował się dotąd głównie tekstami, dostrzegł także nowe drogi prowadzące szerszą publiczność do świata antycznego. Jego nowa książka (1) poświęcona jest w połowie relacji z podróży prowadzącej przez Ateny, Delfy, Korfu, Olimpię, Korynt, Argos, Mykeny i Epidaurus do Krety. Jako hellenista jest tam wszędzie w swoim żywiole. O każdym z tych miejsc ma coś do opowiedzenia, umie ożywiać ruiny scenami z życia dawnej Grecji. Mam nadzieję, że w najbliższej podróży zwiedzi także mniej znane lecz już objęte programem towarzystw turystycznych wybrzeże wschodnie Morza Jońskiego z imponującymi i lepiej od innych zachowanymi ruinami dawnego Efezu.

Druża część książki zaczyna się od zapisków z podróży do Sirmione, Werony i Mantui, śladami Katulla i Wergiliusza. Dalej znajdujemy krótką rozprawkę o familiarnym i żartobliwym stosunku pisarzy greckich do bogów Olimpu. Rozprawka ta, powstała z dawnych zainteresowań i prac autora, należy do najlepszych rozdziałów obecnego zbiorku. W ostatnich pozycjach wreszcie autor rozważa różne sprawy związane z kulturą antyczną. Dowiadujemy się tam, jak płaskorzeźby Akropolu dostały się do British Museum, o interpretacji tragedii antycznych przez grecką trupę w Londynie, o fantazjach astronautycznych Lukiana, o kłopotach tłumacza Homera, o nowogreckim eposie Kazantzakisa i o elementach mesjanistycznych w czwartej Eklodzie Wergiliusza. Tyle różnorodnej treści mieści się na dwustu stronicach przejrzystego, bardzo czytelnego druku. Kilkadziesiąt fotografii odnosi się w lwiej części do podróży autora po Grecji.

Paweł HOSTOWIEC

(1) Ignacy Wieniewski, *Antycznym szlakiem*. Nakł „Veritas”, Londyn 1964. Str. 208.

Nowe przekłady z hiszpańskiego

Powieść dialogowana w 21 aktach anonima z piętnastego wieku pt. *Celestyna* (1) (albo *Kalikst i Melibea*) stanowi jedną z fascynujących zagadek literatury hiszpańskiej. Za autora przynajmniej części dzieła uchodzi Fernando de Rojas, a najstarszy znany egzemplarz pochodzi z 1499 r.

Budująca miłość młodych kochanków Kaliksta i Melibei skazana przez pośrednictwo chytrej rajfurki Celestyny przemienia się w tragedię pociągając za sobą śmierć wszystkich ważniejszych protagonistów. Uważana za dzieło literackie ilustrujące fuzję elementów średniowiecza i odrodzenia, stworzyła kapitalną postać Celestyny, staruchy o niedościgłej mądrości życiowej i przebiegłości, demona z lubością ingerującego w życie ludzi. Tłumaczona na wiele języków znalazła żywy oddźwięk w literaturze europejskiej, choć bezpośredniej kontynuacji w samej Hiszpanii nie miała.

To kluczowe dzieło, bez zapoznania się z którym nie można pretendować nawet do najbardziej powierzchownej znajomości literatury hiszpańskiej, zostało oto przełożone na język polski. (Uprzednio tylko fragmenty w wersji E. Porębowicza weszły do *Antologii Wielkiej Literatury Powszechnej* a na scenie grano francuską adaptację Acharda spolszczoną przez J.W. Gomulickiego). Ukazanie się pełnego tekstu jest wydarzeniem kulturalnym wielkiej miary. Zastosowano słuszne kryteria: język przekładu współczesny przy bardzo nieznacznej archaizacji, respekt dla kolorytu lokalnego i formy. Po usunięciu drobnych usterek, głównie mylnych interpretacji hermetycznych zwrotów przysłowiowych (*Nunca mas perro al molino*; „jedźmy” zamiast „jedźmy”. itd.), będziemy posiadali wartościową, rzetelną polską *Celestynę*.



Pio Baroja (1872-1956), Bask, oryginał, anarchista, niezorganizowana ale wielka osobowość, powieściopisarz płodny, nie doczekał się należnego rozgłosu za granicami Hiszpanii. Polski przekład jest dopiero trzecią pozycją (Edward Boyé przełożył *Jarmark głupców* (Rój 1928) i *Perwersyjną zmysłowość* (1931)

(1) Fernando de Rojas. *Celestyna*. Przełożył Kazimierz Zawadowski. Drzeworyty Marii Hiszpańskiej-Neumann. PIW 1962.

i to chyba wszystko). *Paradox królem* (2) to tom obejmujący dwie powieści, których bohater jest częściową projekcją autora, człowiekiem podejrzanym, pełnym szalonych pomysłów i niepotrzebnych wynalazków. Paradox tuła się po madryckich domach, wśród zubożałych arystokratów i bohemy w beznadziejnym zmaganiu z kołtuńskim otoczeniem. Druga powieść, dialogowana, opisuje wyprawę do Afryki. Grupa unikatów różnych narodowości jedzie badać możliwości założenia w Afryce państwa żydowskiego (rzecz ukazała się w 1906). Po rozmaitych perypetiach Paradox zostaje królem Murzynów krainy Bu-Tata panując mądrze i roztropnie. Idyllę przerywa ekspedycyjne wojsko francuskie, które krwawo tłumi opór Murzynów i na gruzach szczęśliwego miasta zatyka sztandar cywilizacji i postępu w postaci klubów nocnych, konsumpcji alkoholu, wszelkiego rodzaju rozwyrzenia powodującego rozprzeżenie moralne i choroby.

Przy tym wszystkim, mimo drwin z postępu i ostrych ataków pod adresem państwa, Pio Baroja, choć w sposób lekki, zdaje się wyznawać wiarę w naukową wizję sprawiedliwego świata. Ale nie ponosi go pasja do umoralniania. Sprawiedliwości nie wymierza, przede wszystkim obserwuje i bawi siebie i nas.

Autorką przekładu jest Kalina Wojciechowska sięgająca pewnie po laury najpłodniejszej tłumaczki z hiszpańskiego.



Powojenną powieść hiszpańską zwykło się wywodzić od dwu debiutów J.C. Celi i Carmen Laforet. Pierwszy nawiązał do tradycji pikareski, druga wprowadziła powieść bez fabuły, opis życia przeciętnych ludzi, atmosferę gnuśności i zastoju, lubowanie się w czarnych aspektach życia.

Po *Ulu*, dostępnym nareszcie także dla czytelnika hiszpańskiego, który do niedawna musiał się kontentować egzemplarzami sprowadzanymi z Ameryki Południowej, ukazał się po polsku debiut Celi *Rodzina Pascuala Duarte* (3). Książka to brutalna i hiszpańska wedle słów Gregoria Maranona. W krótkim czasie z wyzywającej książki młodzieńczej stała się klasykiem. Po raz pierwszy ukazała się w 1942 r., a nieliczne egzemplarze drugiego wydania, które nie zdołały się rozejść, zostały skonfiskowane przez cenzurę. Ale od 1946 ukazują się regularnie coraz to dalsze nakłady. (Na obwolucie polskiego wydania podaje się mylnie „skonfiskowana zaraz po wydaniu”, insynuując, że książka jest

(2) Pio Baroja. *Paradox królem*. Tłumaczyła Kalina Wojciechowska. Czytelnik 1962.

(3) Camilo José CELA. *Rodzina Pascuala Duarte*. Tłumaczyła Zofia Szleyen. Czytelnik 1963.

zabroniona w Hiszpanii). Książka zrobiła fenomenalną karierę za granicą tłumaczona niemal na wszystkie języki europejskie. Autorowi utorowała drogę do Akademii Królewskiej.

Treścią książki jest relacja więźnia zasądzonego na karę śmierci za morderstwo. Domniemany pamiętnik opatrzone listami uzupełniającymi obraz człowieka jaki wyziera z kart, nawiązuje do tradycji powieści łotrzykowskiej i nowel przykładowych. Z pierwszej zaczerpnął formę autobiograficzną, specyficzny typ humoru, niskie pochodzenie bohatera i osaczenie go złymi warunkami; z drugiej, intencję dydaktyczną, ukazanie, że brutal i raptus był w gruncie rzeczy „pokornym barankiem, zapędzonym do zagrody i zastraszonego przez życie”.

Przekładanie *Rodziny* nie należało do zajęć najprzyjemniejszych i Zofii Szleyen przyjsie w sukurs wydawnictwu musi być ocenione należycie. Na karb pewnej obcości i nieżycia się z tekstem należy zapewne zapisać drobne przeoczenia jak „uderzenie pługiem w głowę” zamiast „motyka”; przypisanie Pascualowi słów mówionych przez Lolę (str. 120); „przepiórki” na „perdices”.



Dobrze się stało, że i książkę Carmen Laforet uprzystępniono polskiemu czytelnikowi. *Złuda* (4) (w oryginale „Nada”, nic) to (częściowo chyba autobiograficzna) relacja Andrei, studentki filozofii mieszkającej u biednych krewnych w Barcelonie, w ponurym, brudnym domu. Epizody z jej pobytu wśród ludzi noszących ciężkie psychiczne urazy powojnia widziane są oczyma młodego entuzjazmu i idealizmu. Beznadziejnie szare życie, które nie skończyło się w porę, staje się koszmarem. Z tej udręki pozostaje tylko ucieczka na tamten świat (dla Romana) i do Madrytu (dla bohaterki). W ten sposób mogła się uchronić Andrea od losu, który przeznaczył jej Roman zapewniając: „nie będziesz nic potrzebowała, kiedy ten dom i jego sprawy przytępią twoje uczucia”.

Dwudziestotrzyletnia autorka urodzona w Barcelonie zdobyła swoją pierwszą powieścią w 1944 najważniejszą nagrodę literacką dopiero co ustanowioną tzw. Premio Nadal. Kto wie, czy na skutek liberalizacji literatury w Hiszpanii i zezwolenia na ukazywanie się książek, a także czasopism w języku katalońskim (od czasów wojny domowej zabronionych) nie zuboży się literatura hiszpańska, kastylijska, skoro szereg wybitnych prozaików powojennych właśnie z Katalonii pochodzi.

(4) Carmen LAFORET. *Złuda*. Przetłóżyła Kalina Wojciechowska. Iskry 1962.

Tłumaczyła niestrudzona Kalina Wojciechowska. Szkoda, że nie zachowano dedykacji „A mis amigos Linka Babecka de Borrell y el pintor Pedro Borrell”. Zawsze to miły polonik.

Wędrując po las Hurdes (5) to niewielki reportaż o literackich ambicjach z pieszej wędrówki po jednym z najbiedniejszych zakątków Hiszpanii leżącym na południe od Salamanki. Młodzi pisarze przedsięwzięli wyprawę zachęceni sukcesem Celi, który napisał doskonałą *Podróż do Alcarrii*. Postanowili dorzucić swoją część do relacji o współczesnej Hiszpanii. Sęk w tym, że nie posiadają artystycznego spojrzenia Celi, a ich sucha opowieść jest wypaczona brakiem solidniejszych wiadomości o opisywanym rejonie i jego ludziach (patrz *Razón y Fe*, nr 758, gdzie ukazała się długa lista zarzutów rzeczowych i sprostowań). Przypominają oni niektórych polskich inteligentów, którzy zapalają się do sprawy, opuszczają stolicę, aby spędzić kilka autentycznych dni w otoczeniu, któremu chcą poświęcić książkę. W podobny sposób powstały ich debiuty powieściowe o górnikach i o bezdomnych Madrytczykach budujących budy pod osłoną nocy.

Usterką książki o założeniu, że trzeba pokazać Hurdes jako krainę nędzy i głodu, to ciągłe przemilczanie elementów nie pasujących do takiej wizji. Selekcja artystyczna ma rację bytu, ale inaczej musi postępować autor reportażu głoszący, że prostuje „powierzchowne i fałszywe sądy” krążące na temat tego regionu. Sympatycznych osobiście autorów miałem okazję poznać na jednym ze spotkań literackich w Madrycie. Powiedziałem im wówczas, wśród żartów, że nie powinni spożywać na laurach, że mimo zagranicznych sukcesów socjologizujące reportaże to jeszcze nie literatura piękna. Opinię tę nadal podtrzymuję.

Ukazanie się ich „czarnego” reportażu świadczy o postępującej liberalizacji Hiszpanii i przykłaśnie jej każdy prawdziwy zwolennik wolności słowa drukowanego. Nie zahamuje jej, miejmy nadzieję, fakt wykorzystywania tego typu pozycji przez zagranicę, która stara się pokazać Hiszpanię w najgorszym świetle.

Polski przekład Marii Sten powstał chyba z tych pobudek. Nie jest on w sumie zły, choć nie wiadomo dlaczego tłumaczka opuściła całe zdania (str. 18, 20, 27 i td.), zdaje się też wierzyć, że monetą obiegową Hiszpanii jest *peso* a mimo proveniencji południowoamerykańskiej napisze „Quito w Indiach”. Koniki polne to zaraz „szarańcza”. Nie umiała się także wykazać podstawową znajomością teatru hiszpańskiego.

(5) A. FERRES, A. LOPEZ SALINAS. *Wędrując po Hurdes*. Przełożyła Maria Sten. PIW 1963.



Do odnotowania pozostały dwie hiszpańskie pozycje poetyckie. Laureat nagrody Nobla 1956 Juan Ramón Jiménez doczekał się drugiej polskiej wersji swojego arcydzieła, pod tytułem *Srebrzynek i ja* (6) (londyńska Oficyna Poetów i Malarzy wydała *Srebronia i ja* rok wcześniej, w 1961).

Przekładu dokonał Janusz Strasburger, starannie zaopatrzony w wersje innojęzyczne choć solennie zapewnia, że do żadnych innych polskich przekładów nie zaglądał. Odchyień od oryginału jest niewiele, bo niesposób oddać tekst bezbłędnie choćby na skutek niejasności ornitologicznych.

Tłumacz zrezygnował z opracowania całego tekstu. Prawda, że wersja Oficyny Poetów i Malarzy zawiera tylko 50 poematów, ale tłumaczy się emigracyjnymi warunkami wydawniczymi. Strasburger daje 115 ale pomija 23. Także się więc zadawała przekładem fragmentarycznym. Opuszczanie poszczególnych, luźno z sobą powiązanych rozdziałków jest, oczywiście, dopuszczalne. Ale skoro już się przyswaja lwią część, to czy należy pozostałą jedną siódmą książeczki dyskwalifikować wyniosłym stwierdzeniem, że „inne (rozdziały) ustępują pozostałym wartością artystyczną”. Skądś już znamy Strasburgera bezceremonialnie obchodzącego się z kryteriami estetycznymi. Tym razem dochodzi Strasburger-skrupulant. Usprawiedliwia on pominięcie niektórych rozdziałków, bo „zawierają — rażące nasze niehiszpańskie kryteria estetyczne — momenty brutalnego naturalizmu”. Są to racje niedostateczne i fakt, że edycja Oficyny zawiera aż sześć odrzuconych przez Strasburgera fragmentów, zdaje się im przeczyć a co czytelnik łatwo może sam sprawdzić.

Książeczka jest pięknie ilustrowana przez Stanisława Rzepę i prezentuje się bardzo okazale. Nakład 5000 jest duży ale mógł być śmiało większy.



Antologii poezji hiszpańskiej XX wieku Jana Winczakiewicza (7) należałoby poświęcić dużo więcej miejsca niż mam do dyspozycji w ramach serii notatek o nowościach. Jest to trzeci z kolei wybór liryki hiszpańskiej od wojny (obszerny tom J. Strasburgera ogarnął szerszy obszar ale kryteria wyboru były utylitarne,

(6) Juan Ramón JIMENEZ. *Srebrzynek i ja*. Elegia andaluzyjska. Przełożył Janusz Strasburger. Pax 1962.

(7) Jan WINCZAKIEWICZ. *Andaluzja i Kastylia*. Antologia poezji hiszpańskiej XX wieku. Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn 1963.

a przekład słaby; M. Bieszczadowskiego *Smak winnic Twoich* obejmował poetów hiszpańskich w bardzo liberalnym znaczeniu „religijnych”), wybór najambitniejszy i jedyny godny polecenia miłośnikom poezji.

Choć w podtytule widnieje słowo „XX wiek”, co sugeruje okres sześćdziesięciu lat, w rzeczywistości chodzi o tzw. pokolenie 1927 r., o grupę Lorki i Albertiego, o poetów międzywojnia z małymi odchyleniami w obie strony. Ok. 80 utworów reprezentuje 31 poetów. Można by się spierać o jedno czy drugie nazwisko, o poszczególne wiersze. Natomiast należy żałować, że tłumacz potraktował po macoszemu Hernandeza i Cernudę, wybitnych poetów, mało znanych poza Hiszpanią a będących bożyszczem hiszpańskiej młodzieży literackiej.

Wśród wersji Winczakiewicza znajdziemy wiersze celne i wzorowe, wiele poprawnych i kilka takich, które należałoby raz jeszcze wziąć na warsztat. Ale usterek jest stosunkowo niewiele (odsyłam do obszerniejszej recenzji w majowym (1964) nrze „Kontynentów”), a pożytek z antologii niewątpliwy i to zarówno dla nieznających hiszpańskiego i dla tych, którzy go znają.

Oto próbką doskonałej roboty:

*Ty mnie unosisz, ziemio kastylijska,
Na porydlonej unosisz mnie dłoni
Ku niebu, które spala cię i chłodzi,
Ku twemu panu.*

*O ziemio czysta, sucha, unerwiona,
Matko serc mocnych, matko silnych ramion,
W tobie dzisiejszość przybiera szlachetne
Barwy przeszłości.*

(Unamuno, Kastylia)

Obszerny wstęp daje przejrzysty rzut oka na poezję hiszpańską międzywojnia o uproszczonej może nieco konkluzji.

Tom jest piękny i po *Srebroni* i *ja, Kasydach i gazelach* J. Łobodowskiego i wierszach Lorki w przekładzie także Winczakiewicza, stanowi czwartą już pozycję „hiszpańską” Oficyny Poetów i Malarzy.



Wreszcie wypadnie zająć się dwiema pozycjami południowo-amerykańskimi: wydaną przed laty *Pieśnią powszechną* Pabla Nerudy i powieścią Carpentiera.

Chilijczyk Pablo Neruda debiutował pod wrażeniem modernizmu. Liryką miłosną znalazł swoją własną drogę, aby w okresie tomów *El bondero entusiasta* (1933), a szczególnie *Residencia en la tierra* (1925-35) osiągnąć dojrzałość. Poezję tego okresu charakteryzuje wybujała imaginacja granicząca z fantasmagorią, erupcje intuicji, płynność konturów. Po niej następuje okres katastrofizmu, jawi się smutek, wizja nicości życia i świata, dezintegracja. Po klęsce Hiszpanii Republikańskiej zaczął się etap inny, estetyka ustąpiła miejsca polityce. Lirykę wyeliminowała retoryka. Poezja wprzęgnięta została w służbę sprawy. Jego wiersz będzie odtąd gromił, szydził, judził, będzie wychwalał i pod niebo wynosił. Przestanie natomiast być przeżyciem pełnym niespodzianek, nie będzie wzruszał, choć tu i ówdzie zaświadczy o tężyznie talentu, potrafiącego nawet wśród utylitaryzmu zabłysnąć prawdziwym pięknem.

Pieśń powszechna (8) należy do tego okresu służby i proselitizmu. Neruda nie zawaha się do tematyki staroamerykańskiej wprowadzić anachronicznych nazwisk rosyjskich. Już dzisiaj bałwochwalczy stosunek i bezkrytyczny kult niektórych postaci nabrał cech gorzkiej ironii i obnażył słabości ślepego zaangażowania.

Polski przekład jest owocem kolektywnej pracy czterech ludzi o różnych talentach poetyckich i równie zróżniczkowanej znajomości oryginału. Niemniej przyznać trzeba, że przekład do łatwych nie należał zarówno dla obszerności poematu, jak też z uwagi na formę, amerykańskie realia i asocjacje. Choć *Pieśń powszechna* nie ukaże całego Nerudy, daje wyobrażenie o jego możliwościach, szczególnie jeżeli zapomnimy o propagandowych partiach w rodzaju:

*Miguelu, daleko od więzienia w Osunie, daleko
od okrucieństw, Mao Tse-tung wie dzie
do naszego zwycięstwa
twoją pieśń strzaskaną.*

Gwarna Praha

*buduje słodkie ule, któreś ty opiewał.
Węgry zielone zmywają swe spichrze
i tańczą ponad rzeką przebudzoną ze snu.
A nad Warszawą wstaje syrena naga,
która budując wznosi swój miecz kryształowy.*

(8) Pablo NERUDA. *Pieśń powszechna*. Pod redakcją i ze wstępem Jarosława Iwaszkiewicza. Tłumaczyli: Konstanty Ildefons Gałczyński, Jarosław Iwaszkiewicz, Lech Pijanowski, Janusz Straszburger. Ilustrował Jerzy Jaworski. Czytelnik 1954.

Kapitałna powieść Kubańczyka francuskiego pochodzenia Aleja Carpentier (ur. w Hawanie w 1904 r.), *Pasos perdidos* (9), należy do arcydzieł literatury hispano-amerykańskiej. Jest to odyseja młodego muzykologa, który jedzie do rodzinnej Europy, aby odżyć i skąpać się w kulturze przodków. Wraca odepchnięty widokiem bankructwa zachodniego człowieka, nie potrafi znieść jego okrucieństwa i krwiożerczości, istniejących obok wzniosłości „Dziewiątej symfonii”. Po tym doświadczeniu wyprawia się w głąb dżungli podzwrotnikowej w dolinie rzeki Orinoco. Po mistrzowsku maluje krajobraz nietknięty przez człowieka cywilizowanego, pokazuje interpenetrację kultury europejskiej i indiańskiej przeszłości, wyrafinowania i prymitywu, oszałamia widokiem pierwotnej fauny i flory.

Dżungla nie jest Arkadią, rządzi się prawami surowymi i dzikimi. Ale potrafi ona stać się odtrutką na wielkomiejską cywilizację, objawić niespodziewane piękno i stać się źródłem trwałego wzruszenia.

„Czasem stawiam sobie pytanie, czy najwyższe formy wzruszenia estetycznego nie polegają po prostu na dogłębnym zrozumieniu tego, co zostało stworzone. Któregoś dnia może ludzie odkryją alfabet w cętkach wapieni, w brunatnych aksamitach émy i wtedy dowiemy się ze zdumieniem, że każda nakraplana muszla zawsze była poematem (str. 307-308)”.

Przyswajając tę wybitną powieść Kalina Wojciechowska musiała pokonać nie byle jakie trudności. Niektóre fragmenty wypadły w rezultacie zbyt grandiloquentnie, a epatowanie przez autora erudycją w dziedzinach dość specyficznych postawiły tłumaczkę przed beznadziejnym zadaniem. (Odsyłam do uwag na ten temat J. Woźniakowskiego w „Zapiskach na marginesach”, Znak, str. 116-117). Dobrze się stało, że wysiłek doceniony został przez wydawnictwo, które zdecydowało się na nakład 20.000

Florian ŚMIEJA

(9) Alejo CARPENTIER. *Podróż do źródeł czasu*. Tłumaczyła Kalina Wojciechowska. Czytelnik 1963.

Nadeślane nowości wydawnicze

John F. Kennedy and Poland. Selection of Documents, 1948-63 with 8 illustrations. Preface by Robert F. KENNEDY. Str. 140, rysunek Czermańskiego. Edited by Jan WSZELAKI. (Nakł. Polish Institut of Arts and Sciences in America, Inc., New York, 1964, cena egz. w opr. dol. 4,00, broszur. dol. 2,50).

BURNHAM (James). *Suicide of the West.* An Essay on the Meaning and Destiny of Liberalism. Str. 312. Index nazwisk. (Wyd. The John Day Company, New York, 1964, cena dol. 5,95).

Pismo Święte Nowego Testamentu. Wstęp. Nowy przekład z Wulgaty. Komentarz, przez ks. Eugeniusza Dąbrowskiego, dra Świętej Teologii i Nauk Biblijnych. Wydanie Tysiąclecia. Str. 889, i 7 nlb. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paris 1964).

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI. *Nie ostatnie słowo oskarżonego.* Wspomnienia i artykuły. Str. 559 i 1 nlb. Indeks nazwisk i 10 fotografii. (Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1964, cena 48 sh.).

Collegium Polonorum. Pismo Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie. Rok I, Zeszyt Nr 1. Str. 115 i 1 nlb. (Wydaje Komitet Redakcyjny, Rzym Piazza Remuria 2a. Cena egz. 500 lirów).

GORDON (Marek). *Katedra.* Eseje. Str. 119 i 1 nlb. (Nakł. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1964).

MORELOWSKI (Jan). *Sędzia za kratami.* Wspomnienia z lat 1939-1942. Z przedmową Józefa Wittlina. Str. 92 i 4 nlb. (Nowy York, 1964, cena egz.

CZERSKI (Alexander). *Nieśmiertelność.* Powieść. Str. 288 i 2 nlb. (Wyd. Massadah, P.E.C. Press, Ltd., Tel-Aviv).

CYGAN (Edward). *Rola uchodźców i wysiedleńców ze Wschodu w życiu politycznym NRF.* Str. 82. Indeks nazwisk. (Powielacz, na pracach rękopisu, Niemcy Zachodnie 1963).

Polnische Poesie des 20. Jahrhunderts. Wybrał i przełożył Karl DE-DECIUS. Str. 236 i 2 nlb. z wkładką w języku polskim od Tłumacza do Przyjaciół-Polaków — zamiast dedykacji. (Wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium, 1964).

Introduction to Modern Polish Literature. An Anthology of Fiction and Poetry. Edited by Adam GILLON and Ludwik KRZYŻANOWSKI. Str. 480. (Wyd. Twayne Publishers, Inc., New York 1964, cena dol. 6,95).

JAROCKI (Stanisław). *Katolicka nauka społeczna.* Str. 554 i 6 nlb. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paris, 1964).

CZEREŚNIEWSKI (Wawrzyniec). *Morze Jońskie.* „Motywów Greckich”. Zeszyt Trzeci. Str. 21 i 1 nlb. (Wyd. Księgarnia „Orbis”, Londyn, 1964).

WINCZAKIEWICZ (Jan). *Czarne wino.* Poezje. Str. 51 i 3 nlb. Okładka i rysunek Marka Rudnickiego. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964).

KOTKOWSKI (Zygmunt). *Biskup Polowy ks. Józef Gawlina.* Bagdad-Londyn. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. „Rytm”, Londyn, 1964, cena egz. 4 sh. 6 d.).

Listy do Redakcji

Paryż, 24 listopada 1964

Drogi Panie Redaktorze,

Do listu mego („Kultura”, nr. 12/1964), obok kilku nieistotnych błędów czysto drukarskich, które nie zmieniają w niczym sensu odnoszących zdań, zakradł się złośliwy chochlik (na str. 158, w. 32-33): teorię o której tam mowa, St. Piasecki sformułował nie w „Po prostu”, lecz — oczywiście na łamach redagowanego przezeń „*Prosto z mostu*” (co wynika zresztą z mych słów w tym samym zdaniu: „*prosto z dziury w moście* proklamował nawet w...”).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i uścisk dłoni

M. BORWICZ



Waszyngton, 24 listopada 1964

Szanowny Panie Redaktorze,

W listopadowym numerze „Kultury”, który właśnie do nas dotarł, Juliusz Mieroszewski, omawiając „Sprawę Wańkowicza”, pisze: „W jednym z artykułów podkreślił, że rządy silnej ręki w Polsce Ludowej wyróżniają się umiarem w porównaniu z rządami przedwrzesniowymi”.

Pamiętam ten artykuł i ten ustęp dobrze. Napisałam do ojca wtedy pytając: „Co się stało?” W odpowiedzi dostałam kartkę maszynopisu z odnosnym tekstem i wyjaśnieniem. Po ustępie o „polskiej anarchii” i rządach „silnej ręki” w Polsce przedwrzesniowej, które spotykał „nieuchronny los: za łatwego rządu” następował tam nowy paragraf:

„Świadome samoograniczenie 'silnej ręki' dodatnio wyróżnia obecnie Polskę w Europie Centralnej”.

Na telefoniczne zapytanie z redakcji czy mogą skreślić słowa „w Europie Centralnej” po słowie „Polska”, ojciec — zmęczony innymi bojami — przystał łatwo, wzruszywszy ramionami: każdy wie, że Polska leży w Europie Centralnej. Dopiero zobaczywszy artykuł w druku zorien-

tował się, że ta „poprawka redakcyjna” wypaczyła zamierzony sens, zamieniając porównanie ówczesnych stosunków w Polsce Ludowej ze stosunkami w Europie Centralnej — na porównanie z Polską przedwojenną.

Nie poczuwałam się nigdy — a tym bardziej teraz — do obowiązku polemizowania z zarzutami stawianymi ojcu. Jeśli piszę ten list, to tylko jako drobny przyczynek do „najnowszej historii Polski”.

Słowa poważania łączę —

Marta ERDMAN



Sydney, 25 listopada 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 11 listopada 1964 r. prosiłem redakcję „Tygodnika Katolickiego” w Melbourne o opublikowanie mego listu otwartego (którego treść podaję tu poniżej). Redaktora „Tygodnika”, p. Romana Gronowskiego, prosiłem o udzielenie mi odpowiedzi, czy list mój ogłosi w swym czasopiśmie. Niestety, nie zechciał podać mi swej decyzji ani listem, ani też (gdy zatelefonowałem do niego) w rozmowie osobistej.

Ponieważ „Tygodnik Katolicki” w podobnych sprawach dał się już poznać z „prywatnych polemik” i w ogóle z taktyki działania na zwłokę, byle by nie dopuścić do ujawnienia pewnych rzeczy drukiem — przeto zmuszony jestem uprzejmie prosić Redakcję „Kultury” o gościnę w tej sprawie. Niechże choć poprzez Paryż społeczeństwo polskie w Australii ma możliwość poznania faktów, tak troskliwie ukrywanych tu przed światłem opinii publicznej.

Podając poniżej tekst mego listu otwartego do „Tygodnika”, pozostaję z prawdziwym poważaniem,

Mieczysław IWĄNCZAK.

Sydney, 11 listopada 1964 r.

W. Pan Redaktor
„Tygodnika Katolickiego”
w Melbourne.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Tygodniku” z 5 września 1964 r. ogłosił Pan Redaktor następującą, piękną deklarację: „W ustroju demokratycznym prawo mniejszości do swobodnego wygłaszania swej opinii jest gwarantowane i musi być respektowane. Więcej: tej mniejszości nie może dziać się z tego powodu żadna krzywda!”.

Zachęcony tym, uprzejmie proszę Pana Redaktora o łaskawe zamieszczenie w „Tygodniku” niniejszego listu, którym pragnę poinformować opinię publiczną o następujących faktach:

1) Dwa lata temu, tj. w listopadzie 1962 r., w Sydney, na X-tym Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii, pre-

zes Rady (p. generał Juliusz Kleeberg) publicznie odczytał „Oświadczenie” Zarządu Związku Dziennikarzy R.P., Syndykat Australia, datowane 5 października 1962 r.

2) Powyższe „Oświadczenie” wymierzone we mnie, było wynikiem m.in. skargi, wniesionej do Związku Dziennikarzy przez p. gen. Kleeberga jako prezesa Rady Naczelnej. Mocą „Oświadczenia” zostałem zawieszony w prawach członkowskich Związku Dziennikarzy na okres dwuletni, tj. do dnia 5 października 1964 r.

3) Powyższe „Oświadczenie” Zarządu Związku Dziennikarzy zapadło z powodu treści moich enuncjacji prasowych w Australii, których druk uważałem za swój obowiązek społeczny. Ponieważ na Zjeździe Rady nikt nie mógł wystąpić w mojej obronie, przeto publiczne ujawnienie na Zjeździe faktu zawieszenia mnie w prawach członkowskich Związku Dziennikarzy, uważam za czyn wysoce mnie krzywdzący.

4) Krzywdę wyrządzono mi tym większą, iż treść „Oświadczenia” władz Związku została udostępniona nie tylko pp. Delegatom Zjazdu Rady Naczelnej, bo także postronnej a licznej publiczności, dla której obrady Zjazdu były otwarte.

5) Publiczne ujawnienie powyższego „Oświadczenia” było sprzeczne z jego warunkiem poufności, obowiązującym nie tylko mnie, bo także stronę skarżącą (a więc i p. gen. Kleeberga). Złamanie tego warunku nastąpiło na Zjeździe Rady w obecności członków władz Związku Dziennikarzy z których żaden nie zaprotestował. Przeciwnie, nastąpiło to z ich jawnym współudziałem.

6) Moje późniejsze usiłowania wprowadzenia w życie prawa do apelacji od decyzji Zarządu Związku Dziennikarzy i o rewizję „Oświadczenia” poprzez odwołanie się do Walnego Zebrania Związku, zostały mi kategorycznie odmówione: Zarząd powiadomił mnie, że — ponieważ zostałem zawieszony w prawach członkowskich — nie wolno mi pojawić się na Walnym Zebraniu. Na tej samej zasadzie omówiono mi też prawa do zapoznania się z treścią dokumentów, na których oparto „Oświadczenie”. A także milczeniem pominięto moją prośbę (przesłaną listem poleconym) o pozwolenie mi zapoznania się z oryginałem Statutu Związku Dziennikarzy R.P. W zamian, wyrażono zgodę na to, bym sprawę swą przedstawił Związkowi za pośrednictwem obranego przez siebie rzecznika-obrońcy; zasugerowano mi w tym celu kilka nazwisk, których przyjęcie przeze mnie byłoby sprzeczne z moim interesem. Z kolei, gdy, na moją prośbę, p. Zbigniew Jasiński wyraził swą zgodę na podjęcie się funkcji mojego rzecznika w tej sprawie — Zarząd Związku nie zgodził się na rzecznictwo. W ten sposób Związek dał mi do poznania, że apelacji w mojej sprawie być nie może.

7) W dniu 5 października 1964 r. wygaś dwuletni okres zawieszenia mnie w prawach członka Związku Dziennikarzy R.P., Syndykat Australia. Z powyższą datą odzyskałem pełne prawa członka Związku. Korzystać z nich nie mam zamiaru. Niniejszym listem otwartym podaję do wiadomości publicznej, iż z dniem wygaśnięcia zawieszenia — przestałem uważać się za członka Związku.

Dziękując Panu Redaktorowi za łaskawe umożliwienie mi przedstawienia powyższych faktów za pośrednictwem „Tygodnika”, pozostaję

Z poważaniem

Mieczysław IWANCZAK

Londyn, 16 listopada 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W imieniu Polskiego Ośrodka Naukowego pozwalam sobie przesłać przy niniejszym szereg informacji, prostujących dane, na których p. Czesław Dobek oparł swe wnioski w artykułach zamieszczonych w poczytnym piśmie Panów.

Z poważaniem,

Tytus KOMARNICKI

Polski Ośrodek Naukowy

Na wstępie pragniemy zaznaczyć, że p. Czesław Dobek nigdy nie zgłaszał się do naszej instytucji, gdzie chętnie dostarczylibyśmy mu wszelkich potrzebnych informacji ani, jak widać z jego artykułów, nie zapoznał się z naszą biblioteką i wydawnictwami. Żałujemy również, że nie przeczytał dokładnego i rzeczowego opracowania pióra Bogdana Czaykowskiego pt. „Polski Ośrodek Naukowy”, napisanego dla wydawnictwa „Nauka Polska na Obczyźnie” i wydanego również w formie osobnej broszury.

1) *Wydawnictwa*. Na stronie 9 i 10 pracy p. Czaykowskiego podany został wykaz wydawnictw PON (do roku 1960). Są między nimi tak poważne prace, jak Prof. W. Wielhorskiego, „Polska i Litwa”, Prof. F. Dvornika, „The Making of Central and Eastern Europe”, Prof. Z. Dmochowskiego (po angielsku i polsku, bogato ilustrowana), „Dzieła Architektury w Polsce”, Księga Pamiątkowa (w czterech językach) ku czci Juliusza Słowackiego, E. Raczyńskiego, „W sojusznicy Londynie” i wiele innych, których, dla braku miejsca tu nie przytaczam. Działalność wydawnicza PON nie została bynajmniej zahamowana w ostatnich czasach, bo w ciągu ostatniego roku PON wydał następujące prace: tom I „Diariusza i Tek Jana Szembeka”, (w opracowaniu T. Komarnickiego), P. Czerwińskiego, „Zakon Maltański i Polska na przestrzeni dziejów” i E. Raczyńskiego, „Rogalin i jego mieszkańcy”. Tom II Szembeka jest w druku.

Zupełną nieprawdą jest twierdzenie p. Dobka, że „Diariusz Szembeka” i praca p. Czerwińskiego zostały wydane z funduszy Komitetu Wolnej Europy. Widać, że p. Dobek żadnej z tych książek nie miał w ręku. W „Diariuszu” Szembeka znalazłby bowiem na samym wstępie listę ofiarodawców, wśród których, prócz paru polskich instytucji w Londynie (jak Komitet Obywatelski) figurują wyłącznie osoby prywatne, obok E. Raczyńskiego i p. K. Lanckorońskiej, w ogromnej większości dawni urzędnicy MSZ i Polacy z USA, wśród których działał, jako niestrudzony kwesztarz p. Wiesław Domaniewski. Jego to głównie wysiłkom zawdzięczamy, że tom I „Diariusza”, którego koszt wyniósł około £ 2.000 mógł się ukazać. Przez swe informacje, nie wiadomo skąd zaczerpnięte p. Dobek wyrządził wielką szkodę moralną p. Wiesławowi Domaniewskiemu i polskiemu ofiarodawcom, deprecjonując ich wielki wysiłek. PON otrzymuje pewną (zmniejszoną od pewnego czasu) subwencję od Komitetu Wolnej Europy. Jest ona dla PON bardzo cenną i łącznie z sumami otrzymywanymi z wynajmu lokali na Pont Street, 26 (gdzie mieści się również Centrala Bibliotek Ruchomych), pozwala naszej instytucji na prowadzenie działalności, a przede wszystkim na utrzymanie biblioteki w ramach wegetacyjnego budżetu.

2) *Biblioteka*. P. Dobek twierdzi, że „działalność Polish Research Centre jest mało znana, a biblioteka dostępna jest tylko na miejscu”. Biblioteka jest mało znana wśród osób interesujących się wyłącznie beletrystyką. Natomiast jest uczęszczana przez wszystkich, którzy chcą zapoznać się z historią polityczną, życiem kulturalnym i społecznym Polski. Faktem jest, że w ciągu roku lista czytelników osiąga 1.000. Są to przede wszystkim naukowcy polscy i obcy, publicyści i dziennikarze, pisarze, nauczyciele szkół sobotnich, studenci polscy i obcy przygotowujący prace na tematy związane z Polską, prawnicy itd. Biblioteka PON nie ma na celu zaspakajania potrzeby lektury szerokich mas, czemu służą biblioteki i wypożyczalnie publiczne. Zarzut, że biblioteka PON jest tylko dostępna na miejscu jest zupełnie niepoważny, bo taka sama sytuacja istnieje we wszystkich bibliotekach naukowych. Ani British Muzeum, ani Bibliothèque Nationale ani wreszcie Biblioteka Polska w Paryżu nie wypożyczają książek osobom prywatnym i chyba to ich nie dyskwalifikuje. Natomiast biblioteka PON wypożycza wiele książek polskich albo o tematyce polskiej bibliotekom brytyjskim przez National Central Library oraz sporządza liczne fotokopie dla bibliotek w Polsce i w innych krajach, posiadając wiele białych kruków. Poza tym wypożycza dla czytelników polskich i obcych książki z bibliotek w Polsce, nawet z mniej dostępnych bibliotek prowincjonalnych polskich i rosyjskich. Biblioteka pośredniczy poza tym w załatwianiu kwerend w Polsce oraz w sprowadzaniu mikrofilmów z rękopisów i druków, które nie mogą być przesłane ze względu na rozmiar lub rzadkość.

Jak mało co wie p. Dobek o zasobach biblioteki PON, świadczy o tym jego twierdzenie, że „wydawnictwa (znajdujące się w zbiorach biblioteki PON) są specjalne, przeważnie związane z ministerstwem spraw zagranicznych”. Oddajmy w tej sprawie głos dwóm kompetentnym ludziom, którzy, w przeciwieństwie do p. Dobka gruntownie zapoznali się z księgozbiorem PON. Oto, co pisze p. Czaykowski w wyżej wymienionym opracowaniu:

„Dzięki świadomej polityce kierownictwa biblioteki, księgozbiór przybrał z biegiem lat charakter specjalny, o pewnych działach szczególnie rozbudowanych. Zawiera on w chwili obecnej następujące działy:

działa dotyczące historii kultury polskiej (historia, sztuka, literatura, krytyka, etnografia, ekonomia i td);

przedwojenne i powojenne publikacje polskie (te pierwsze szczególnie cenne ze względu na luki w dziale polskim British Muzeum);

pokaźny zasób wydawnictw i czasopism polskich wydanych na emigracji oraz prasy podziemnej (w odbitkach fotograficznych);

bogatą kolekcję starych druków polskich (około 900 pozycji) m. in. pierwsze wydanie Kopernika: „De revolutionibus orbium coelestium”, Goślickiego, „De Optimo Senatore”, Jakuba Przyłuskiego, Zbiór Praw i Statutów wydany w 1533 r., „Poloniae Historiae Corpus” wydany w Bazylei w 1582 r., M. Sarbiewskiego „Lyricorum Libri Tres” z 1630 r. i innych wiele dzieł w językach obcych, traktujących o zagadnieniach polskich;

działy specjalne, jak pokaźny i bardzo wartościowy zbiór wydawnictw niemieckich z okresu okupacji w Polsce, posiadający pozycje o charakterze unikatów, anglo-polonica od XVII wieku i td.

kolekcję starych map Polski”.

Jeszcze więcej szczegółów o księgozbiórze PON przynosi ostatnio sporządzony raport z lustracji trzech bibliotek polskich w Londynie przez komisję rzeczoznawców, złożoną z p. Hilla, b. dyrektora National Central Libra-

ry, przewodniczącego Komitetu „Education and Library Committee” i Prof. Leona Koczego. Raport ten, którego jeden egzemplarz został przesłany redakcji „Kultury”, przynosi m.in. następujące szczegóły, dotyczące biblioteki PON:

„Biblioteka ta, najstarsza tego rodzaju w Londynie, umożliwia studia nad Polską w najszerszym tego słowa znaczeniu, a w szczególności nad najnowszą historią Polski. Była ona rozbudowywana znacznym wysiłkiem podczas wojny z funduszy przyznawanych przez rząd polski na wygnaniu i była kompletowaną z darów polskich i brytyjskich przyjaciół”. Ilość tomów w bibliotece Komisja oceniła na 50.000. Ilość starych druków polskich na 1730, z czego 18 z XVI wieku, 183 z XVII wieku, reszta z czasów późniejszych. Kolekcja periodyków polskich obejmuje 1.052 tytuły. Niemiecka prasa wojenna zebrana jest w 55 skrzyniach. Biblioteka posiada niezmiernie cenną kolekcję starych map (ogólna ilość 399 sztuk), z czego 125 jest zaliczonych do kategorii bardzo starych map Polski.

Jak w świetle tych rzeczowych sprawozdań wygląda twierdzenie p. Dobka, że w bibliotece PON znajdują się „wydawnictwa specjalnie związane z ministerstwem spraw zagranicznych”?

Sprawy finansowe.

Sprawy te są przedstawione przez p. Dobka bez znajomości sprawy. Historycznie rzecz biorąc, subsydia wypłacane przez władze brytyjskie, nie były związane z biblioteką na 9, Princes Gardens, ale z Committee for the Education of Poles in Great Britain, który udzielał subsydiów całemu szeregowi polskich organizacji, m.in. Reducie i Kursom Korespondencyjnym. Polski Ośrodek Naukowy otrzymywał subsydlum brytyjskie na szereg lat przed objęciem formalnej opieki nad bibliotekami polskimi. Nie jest zatem prawdziwym twierdzenie, że to subsydlum pozostawało w związku z objęciem opieki nad dwiema bibliotekami polskimi (Biblioteka na 9, Princes Gardens i Centrala Bibliotek Ruchomych). Ponieważ rząd brytyjski zawsze stawiał sprawę w ten sposób, że subsydia udzielane na cele kulturalne polskie mają być stopniowo zmniejszane, zostały, w pierwszym rzędzie cofnięte subsydia dla PON i inne cele oświatowe polskie, jak Polski Ośrodek Korespondencyjny. W następnym etapie zlikwidowano płatny sekretariat Committee for Education i zaczęto obcinać budżet biblioteki na 9, Princes Gardens. Subsydlum dla PON zostało zlikwidowane już w roku 1960, przy czym ostatnia rata wyniosła £ 1.000 a nie £ 2.000 jak mylnie podaje p. Dobek. Nawiasem mówiąc obala to twierdzenie p. Dobka, że początek scalania Instytutu im. Gen. Sikorskiego i PON pozostawał w związku z cofnięciem subsydiów brytyjskiego, gdyż to ostatnie miało miejsce już 4 lata temu.

Kwestia uzyskania dalszych zasiłków na cele kulturalne polskie powstała w roku 1961, kiedy Lord Barnby zwrócił się do premiera Macmillana o pomoc dla Instytutu im. Gen. Sikorskiego. W odpowiedzi na to wysunięto ze strony brytyjskiej postulat połączenia Instytutu Sikorskiego i PON i objęcia przez Instytut Polski powstałej z połączenia obu instytucji opieki nad połączonymi bibliotekami polskimi, sprawowanej dotychczas jeżeli chodzi o bibliotekę na 9, Princes Gardens i Centralę Bibliotek Ruchomych przez PON. Nawiasem mówiąc, w roku 1962 Sir David Eccles, ówczesny minister oświaty, przyjmując delegację polską w sprawie przyszłości biblioteki na 9, Princes Gardens, wysunął inny projekt, a mianowicie włączenia tej biblioteki do jednej z borough libraries, z tym że depozyty i dary polskie miały być z niej wycofane. Projekt ten został szczęśliwie zaniechany.

Zagadnienie połączenia wszystkich bibliotek polskich było już omawiane w roku 1960, kiedy odbyło się zebranie zainteresowanych organizacji. Sprawa ta jednak rozbiła się o fundusze i o niewyjaśniony tytuł własności zbiorów biblioteki na 9, Princes Gardens. Dopóki ze strony brytyjskiej nie było formalnego wypowiedzenia się co do tytułu własności, dopóty sprawa połączenia bibliotek musiała stać na martwym punkcie.

Zauważmy na końcu, że nie jest prawdą, iż Komitet Apelowy zbierał pieniądze wyłącznie na bibliotekę Polską, gdyż apel ten obejmuje wszystkie trzy biblioteki polskie i ma na celu znalezienie dla nich wspólnego pomieszczenia.



Londyn, 8 grudzień 1964 r.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku z listem p. J.G. Görlicha, zamieszczonym w nr. grudniowym „Kultury”, pragnę jedynie zaznaczyć, że p. J.G. Görlich ani sam w to nie wierzył, ani innym do wierzenia nie podawał, jakoby w Niemczech istniał jakikolwiek ruch oporu. Ruch bowiem objąłby tysiące, a co najmniej setki Niemców, tego zaś nie było, o czym autor listu na pewno wie lub powinien wiedzieć. Spiskowcy nieudanego zamachu na życie Hitlera z płk. Stauffenbergiem na czele stanowili tylko grupę i można by ich bez mała policzyć na palcach.

Toteż na „najciemniejszej karcie historii Niemiec” nie może się niestety znaleźć nawet wzmianka o niemieckim ruchu oporu.

T. ROKICKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} trimestre 1965

PRZEDSTAWICIELSTWA
Egz poj.
Prenumerata
1/2-roczna
Roczna

AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8º Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyce, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikliczuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zeba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziekanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Meudon-la-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CIV - Seria «Archiwum Rewolucji»

IGNAZIO SILONE

WYBÓR TOWARZYSZY

Przekład Zofii Kozarynowej

Str. 94

Cena egz. F. 7,50 (11/6 sh.; \$ 1,75)



TOM CV - Seria «Dokumenty»

w opracowaniu

WIKTORA SUKIENNICKIEGO

BIAŁA KSIĘGA

zawierająca zbiór dokumentów, dotyczących stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich z okresu dwóch wojen światowych.

Str. 176

Cena egz. F. 12,75 (19 sh.; \$ 2,75)



TOM CVI

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

EWOLUCJONIZM

Str. 68

Cena egz. F. 6 (9 sh.; \$ 1,25)